


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.





*„Napoleon szukał cnoty, a nie
znalazłszy jej, zdobył moc“.*

GOETHE



N

EMIL LUDWIG
NAPOLEON

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY

L. STAFFA



1 9 2 8

WYDAWNICTWO POLSKIE

< R. WEGNER >

POZNAŃ

N

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

*

OKŁADKĘ RYSOWAŁ CZERPER

DRUKARNIA CONCORDIA

TREŚĆ:

—

KSIĘGA PIERWSZA:

WYSPA

—

KSIĘGA DRUGA:

POTOK

—

KSIĘGA TRZECIA:

RZEKA

—

KSIĘGA CZWARTA:

MORZE

—

KSIĘGA PIĄTA:

SKAŁA

—

POSŁÓWIE

KSIĘGA PIERWSZA

WYSPA

*„Baśń napoleońska przypomina
mi objawienie Św. Jana: każdy czuje,
że coś w nim tkwi, tylko nie wie co“*

GOETHE

I.

Na biwaku siedzi młoda kobieta, okutana w koce i słucha dalekich huków i zgiełków. Czyżby strzelano jeszcze po zachodzie słońca? Czy też jesień burze roznosi echami wśród tych surowych, skalnych gór, lub tylko szumi odwieczny las dębów i świerków, w których gnieźdzą się lisy i dziki? Siedzi niby Cyganka, owinięta chustą dokoła białej piersi, wśród kłębow dymu i mgły, dumająca, niepewna, co tam hen dziś się zdarzyło. Wtem słyszy tętent zbliżający się do namiotu. Byłbyż to on? Obiecał przybyć, ale szanice są daleko, a mgły się kłębią.

Nagle odchyła się zasłona namiotu i wraz z świeżym powiewem wchodzi mężczyzna, oficer w barwach i piórach, smukły, zgrabny w ruchach, młody szlachcic, lat dwudziestupięciu i wita ją serdecznie. Zerwała się z miejsca, oddała dziecko piastunce, wydobywa wino; zrzuciwszy chustę, staje przed nim; kasztanowate pukle wiją się nad czystym czołem, delikatne usta rzucają szybkie pytanie; podłużna broda, siedziba dzielności, i nos orli zaznaczają się w odbłasku ognia; u biodra jej połyska sztylet, z którym nie rozstaje się nigdy. Widać po pięknej Amazonce, że pochodzi ze starego rodu, od mężów czynu i woli; i rzeczywiście przodkowie jej, jak i jego, byli już od stuleci w Italji, a potem na tej wyspie górskiej, wodzami i wojownikami.

Ale w tej chwili, gdy wszystko, celem wygnania znenawidzonego wroga, Francji, skupiło się w tej najdzikszej części wyspy, dokąd dziewiętnastoletnia, dzielna kobieta towarzyszyła mężowi w walce o ojczyznę, nikt oczywiście nie poznałby w niej świetnej patrycjuszki, na którą wszyscy patrzyli, gdy szła do kościoła; tylko duma i odwaga świadczyły o szlachectwie.

On zaś, pełen życia i ciągłego ruchu, zasypuje ją nowinami: nieprzyjaciel, odparty ku wybrzeżu, nie ma wyjścia; wysłał dziś do Paoliego pośrednika; jutro nastąpi zawieszenie broni. Letycjo! Zwycięzamy! I Korsyka będzie wolna!

NAPOLEON

Każdy Korsykanin pragnie mieć dużo dzieci. Gdyż tutaj mści się jeszcze obrazę z miejsca, żga się niezwłocznie; a potem zaprzysięga się dziedziczną wróżdę, która trwa lat kilkadziesiąt lub sto. Przeto i on, jak i inni, pragnie mieć wiele dzieci i zabezpieczyć swój ród; a ona nauczyła się od matki i babki, że dzieci przynoszą cześć. W piętnastym roku życia powiła pierwsze; ale dopiero teraz miała pierwszego chłopca.

Jakiegoż życia nabiera obraz wolności, gdyż oficer jest adjutantem Paoliego, wodza narodu. Tak, dzieci nasze nie będą jui niewolnikami Francji!

II.

Ale z wiosną wszyscy upadają na duchu. Wróg nowe odziały wysadza na ląd, raz jeszcze zbroją się synowie wyspy, znowu młoda kobieta jest przy boku męża, nosząc pod sercem dziecię, które poczęła wśród owych burz jesiennych. „Często podkładałam się, dla zasięgnięcia wiadomości, z naszej kryjówki górskiej aż ku polu bitwy, słyszałam gwizd kul, ale ufałam Madonnie.“ Tak opowiadała później.

W maju przegrali bitwę: straszliwy odwrót przez gąszcz lasów, przez urwiska gór. Wśród licznych mężczyzn i nielicznych kobiet, jedzie na mule Letycja brzemienna, z rocznym dzieckiem w ramionach, ku wybrzeżu. W czerwcu musi pobity Paoli, z kilkuset wiernymi, uciekać do Italji. W lipcu staje oficer, adjutant jego, z grupą wysłańców, przed zdobywcą i kapituluje. Duma wyspy złamana. Ale w sierpniu wydaje żona jego na świat mściciela.

Nazywa go Napolione.

Tu na wybrzeżu, w wielkim domu nad morzem, rozumną i oszczędną gospodynią jest kobieta, która w polu zdawała się tylko odważna i mężna. I musi nią być, gdyż małżonek żyje zawsze fantastycznie, więcej z planów, niż dochodów; pragnie przez bita całe wygrać wielki proces o odziedziczone mienie; jako student w Pizie zwał się wprawdzie hrabią Buonapartym i bawił się, jednak studjował mało i dopiero teraz po urodzeniu się drugiego syna, szybko ukończył studja. Więc z czego żyć?

W ciężkich czasach bierze się świat tak, jak jest, znosi się zdobywcę, zwłaszcza że Francuz sprzyja szlachcie tubylczej, by zyskać grunt pod nogami.

Wnet zostaje oficer asesorem w nowym sądzie, nadzorcą szkółki drzewnej, w której król francuski pragnie na nowej swej wyspie hodować morwy, a gdy wytworny marszałek zjawi się w gości, nie żałuje się kosztów. Posiada się też nadto stada owiec w górach, winnice nad morzem; brat, archidiakon katedralny, jest zamożny, a także przyrodni brat żony, ksiądz jak i tamten, niedarmo jest synem kupca, zręcznym w sprawach świeckich.

Atoli później, gdy piękna, dumna pani dosięga trzydziestki, płacze się dokoła niej pięciu chłopców i troje dziewcząt, wymaga tego zmysł rodzinny wyspiarza, dla którego współzawodnictwo i vendetta są najwyższymi cnotami. Wychować ośmioro istot jest trudną i kosztowną rzeczą, więc dzieci słyszą codzień w domu rozmowy o pieniądzach. Ale ostatecznie ojciec daje sobie radę i pewnego dnia siada z dziesięcio — czy jedenastoletnim chłopcem na żaglowiec udający się do Francji i z Toulonu jedzie do Wersalu.

Marszałek korsykański polecił go, heroldja potwierdza przywilej szlachecki Buonapartych i król Ludwik przyznaje urzędnikowi, który w przeciągu dziesięciu lat okazywał lojalność, 2000 franków i wolne miejsca w szkołach szlacheckich dla dwóch synów i córki: jeden z synów ma być księdzem, drugi oficerem.

III.

W kącie ogrodu siedzi milczący chłopak, mały, płochliwy, samotny i czyta. Kawalek ogrodu, wyznaczony mu w szkole w Brienne, otoczył płotem. Właściwie należy mu się tylko trzecia część, gdyż ogroził też części dwóch swoich sąsiadów i tych wpuszcza, — ale biada każdemu innemu, kto mu przeszkodzi! Wówczas wypada wściekły, a nawet niedawno, podczas ogni sztucznych, gdy kilku kolegów poparzyło się i schroniło właśnie w jego kącie, wypędził ich przy pomocy siekiery.

Nie pomaga żadna kara i nauczyciele, kiwając głowami, pozwalają mu na wszystko: „Ten chłopiec jest z granitu, orzekł

jeden z nich, ale kryje w sobie wulkan“. Tak, tego małego państwa, które należy doń, choć jest po części uzurpowane, nie wolno tknąć nikomu; tak wielkie jest jego poczucie własnej wolności, że niebawem pisze do ojca: „Wolę być pierwszym robotnikiem w fabryce, niż ostatnim artystą w Akademji“. Czy czytał to już w Plutarchu? Upaja się nim! Znajduje tam żywoty wielkich ludzi, przedewszystkiem bohaterów rzymskich: jest o czem marzyć. Nikt nie stwierdza, że widział uśmiech na twarzy chłopca.

Kolegom wydawał się napół dzikusem, conajmniej dziwacznym cudzoziemcem. Italczyk ledwo umiał po francusku i nie zdawał się skłonny schylić czoło przed mową swych wrogów. Co za brzdąc! Jakie śmieszne nosi imię! Surdut ma za długi, ani grosza kieszonkowego i nie może sobie nic kupić, a twierdzi, że pochodzi ze szlachty! Młodzi hrabice śmieją się: szlachta korsykańska, cóżto za ludzie! A jeśli jesteście tacy dzielni, to czemu daliście się pobić naszym niezwyciężonym wojskom?

„Było was dziesięciu na jednego“, odpowiada z gniewem chłopak. „Czekajcie, aż dorosnę: dam ja się wam Francuzom we znaki!“

„Twój ojciec jest prostym sierżantem.“

Chłopak wybucha gniewem, wyzywa zuchwalca. Areszt domowy, błagalny list do ojca: „Zmęczyło mnie tłumaczenie się z mego ubóstwa, słuchanie szyderstw obcych chłopaków, którzy mają przewagę nade mną tylko dzięki pieniądзом, ale pod względem uczuć szlachetnych stoją głęboko pode mną. Czyż muszę się istotnie ugiąć przed tymi błaznami, którzy chełpią się swym zbytkiem?“ Ale z wyspy przychodzi odpowiedź: nie mamy pieniędzy, musisz zostać.

Zostaje i bawi lat pięć i jak z każdym poniżeniem wzmaga się w nim pęd rewolucyjny, tak też wraz z pogardą dla ludzi rośnie poczucie własnej wartości. Wprawdzie z nauczycielami, którymi są mnisi, nie jest na złej stopie, ale duże postępy robi tylko w matematyce, historii, krajoznawstwie: przedmiotach, które przykuwają ścisły umysł, badawcze oko i nadto gniew niewolnika.

Albowiem spojrzenie jego zwraca się zawsze ku wyspie. Ojcu wyrzuca tajemnie, że zadał się z Francuzami, i jest już

dziś zdecydowany przyjmować wszystko od króla, którego w szkole jest gościem, by kiedyś użyć wszystkiego przeciw niemu. Nurtuje go niejasne przecucie, że oswobodzi wyspę. Ale będąc jeszcze bezsilny, czternastolatek każe przysyłać sobie książki i pamiętniki o ojczyźnie: trzeba wpieryw studjować historję, jeśli pragnie się dalej ją tworzyć. Jednocześnie pochłania wszystko, co napisali Voltaire, Rousseau i wielki król pruski przed niedawnym swym zgonem, za wyzwoleniem Korsyki.

Czemże stanie się przedewszystkiem taki osamotniony, dumne plany knujący, o przewrocie myślący, nieufnie badawczy chłopiec? Przedwcześnie dojrzałym, wyższym znawcą ludzi. Gdy starszy brat, Józef, chce przejść z drogi duchownej na wojskową, pisze o nim młodszy: „1. Brak mu odwagi, dla stawienia czoła niebezpieczeństwom bitwy... Będzie dobrym oficerem garnizonowym: posiadając piękny wzrost, lekki dowcip, więc skłonny do płochych komplementów, będzie zawsze czuł się dobrze w towarzystwie. Ale w bitwie? 2. Zapóźno jest zmieniać konika; otrzymałby bogatą prebendę; co za korzyść dla rodziny! 3. Do jakiego korpusu? Do marynarki? a) brak wszelkich wiadomości z matematyki, b) brak wytrwałości dla tej służby. Również konsekwentnej pracy w artylerji nie znieśnie jego lekka natura.“ Oto rozważania piętnastolatniego znawcy ludzi, który sobie samemu właśnie przypisuje to, czego odmawia tamtemu; jednocześnie doskonały opis starszego brata, podobnego do ojca.

On sam, Napoleon, odziedziczył po nim fantazję i zřeczność, po matce dumę, odwagę i ścisłość; po obojgu poczucie rodowe.

IV.

— Tylko pendent należy do Francji, ostrze należy do mnie!
— myśli, przypasując poraz pierwszy szpadę. Gdyż w szesnastym roku życia zostaje podporucznikiem i już tylko kilka razy w życiu zdejmie uniform. Zdobył go w paryskiej szkole kadetów, w której rok spędził tak samo, jak w Brienne: czytając bez końca. Spartaninowi temu decorum dopiero tu niewygodne się staje, gdzie odpycha go wysoka szlachta fran-

NAPOLEON

cuska. Ponieważ jednak z natury czuje się on zawsze centrem świata, czyni natychmiast z konieczności prawo i w pamiętniku swym dowodzi, że bogate życie nie przystoi przyszłym żołnierzom. Długów robić nie chce, zna niedostatek domowy, a kiedy i ojciec umiera, uczucie rodzinne tego Włocha całą siłą zwraca się ku swoim. Teraz ten napół jeszcze chłopak zaczyna oszczędzać dla matki.

Średnio zdany egzamin przynosi mu takie świadectwo; „Powściągliwy i pilny, przenosi studja wszelkiego rodzaju nad zabawę i krzepi się dobrymi pisarzami... Jest milczący, lubi samotność, jest kapryśny, dumny i bardzo samolubny. Nie mówiąc wiele, jest w odpowiedziach stanowczy, przytomny i rozważny w rozprawach. Dużo miłości własnej i ambicji dążącej do wszystkiego.“

Mały porucznik, który w nowym uniformie odbywa podróż do Valence, z tego połowę drogi pieszo, gdyż jest biedny, hoduje w sercu młodzieńcem trzy zamysły: chce gardzić przeważnie pustymi i pysznymi ludźmi i posługiwać się nimi; przezwyciężyć biedę; uczyć się wiele, w celu o władnięcia innymi. Środek i cel tej drogi jest ten sam: w walce na wyspie zostać wodzem, a potem jej panem.

Jakże nudny jest ten garnizon! Należałoby uczyć się tańczyć, uczęszczać do wesołych towarzystw, — i próbuje tego, ale daje wnet pokój, gdyż wielka duma pragnie ukryć jego ubóstwo. Jednak obcując z mieszczanami, adwokatami, kupcami słyszy się zdumiewające rzeczy, których młodzi wicehrabiowie paryscy zdają się nawet nie przeczuwać. A więc to prawda? Z pism Voltaire'a, Montesquieu, Raynala duch rzeczywiście zstąpił już na małych mieszczan prowincji? Stoimy istotnie wobec ruchu, który wywołali ci prorocy: stoimyż w obliczu rewolucji?

Książki głoszą to po świecie. Czyta się zadarmo, jak się od-dycha, a gdy połąkneło się bibliotekę wypożyczalni, to można przecie niekiedy za dwa oszczędzone franki kupić nową książkę. Wprawdzie bilard w sąsiednim pokoju, gdyż porucznik mieszka w kawiarni, jest przykry. Ale przeprowadzka jest jeszcze przykrzejsza; w przyzwyczajeniach jest zachowawcą.

W uczuciach? Zobaczmy, gdyż, jak każdego młodzieńca owej epoki, nic nie pobudza go bardziej nad państwo i społeczność. Oto siedzi obok bilardowego pokoju, błądy, samotny,

w płomiennej zadumie i gdy koledzy jego, po krótkich godzinach służbowych, szukają przechadzki, zabawy lub kobiet, biedny porucznik ślęczy i z nieomylnym instynktem studjuje to i tylko to, co kiedyś będzie mu potrzebne: zasady i dzieje artylerji, prawidła oblężenia, państwo Platona, ustrój Persów, Ateńczyków, Spartanów, historję Anglji, wyprawy Fryderyka, finanse Francji, kraje i obyczaje Tatarów i Turków, historję Egiptu i Kartaginy, opis Indyj, angielskie sprawozdania o Francji, Mirabeau, Buffona i Macchiavellego, dzieje i ustrój Szwajcarji, dzieje i ustrój Chin, Indyj, Inkasów, historję szlachty, zbrodnie szlachty, astronomję, geografję, meteorologję, prawa płodności, statystykę śmiertelności.

Że tego wszystkiego nie czyta pobieżnie, lecz zgłębia, dowodzi szereg zeszytów, w których, nieczytelnem niemal pismem, sporządza najdokładniejsze wyciągi; sam przedruk tych zeszytów zajmuje 400 stronic. Znajdujemy tam w rękopisie cały plan siedmiu saksońskich państw w Anglji i spis ich królów przez przeciąg trzech stuleci, formy gonitew na starożytnej Krecie, listę starogreckich fortec w Małej Azji, dane co do 27 kalifów z liczbą jeźdźców i zbrodniami ich żon.

Najobfitsze są wyciągi, dotyczące Egiptu i Indyj, obejmujące nawet pomiary wielkiej piramidy i poszczególne sekty Braminów. Oto czyta ustęp w Raynalu: „Na widok Egiptu, leżącego między dwoma morzami, naprawdę między wschodem i zachodem, powziął Aleksander Wielki plan założenia tam stolicy swego światowego państwa i uczynienia Egiptu centrem światowego handlu. Ten najświetlejszy z wszystkich zdobywców zrozumiał, że gdyby istniał sposób skupienia wszystkich jego zdobyczy w jednym ustroju państwowym, to może nim być tylko Egipt, stworzony do połączenia Afryki i Azji z Europą.“ Po latach trzydziestu ma jeszcze te słowa w pamięci. Tak często je czytał.

Jednocześnie zaczyna sam pisać przeszło tuzin rozpraw szkiców w tych łątach: o ustawianiu dział, o samobójstwie, o władzy królewskiej, o nierówności ludzi, przedewszystkiem o Korsyce. Wobec jego stanowczej rzeczowości, wobec jego realistycznego spojrzenia, rozpyływa się w nic najpopularniejszy autor owych lat, Rousseau; wyciągi z Rousseau'a o początku rodu ludzkiego przerywa stale śmiało powtarzane zdanie:

NAPOLEON

„Nie wierzę temu wszystkiemu.“ Potem podaje na kilku stronach swój pogląd przeciwny: ludzie nie żyli samotnie, ani koczowniczo, lecz byli szczęśliwi i odosobnieni, bo byli nieliczni i nie mieszkali blisko siebie. Gdy rozmnożyli się, „wtedy wystąpiła fantazja z swej jaskini, gdzie była długo zamknięta: powstało poczucie siebie, namiętność, duma, i zjawili się bladzi ambitnicy, którzy opanowali sprawy i rumianych fircyków, gachów i kobieciarzy.“

Słyszycie, jak potrząsa swemi łańcuchami w ciemnej jaskini, w której żyje zamknięty z swą potworną fantazją? Widzicie go tu bladoliciego, z jego nienawiścią do rumianych kobieciarzy w pułku?

Precz od tych ludzi: to Francuzi! Wzrok jego zwrócony jest ku wyspie i jego nowy pogląd na państwo kieruje się wedle tego celu: „Niedorzecznością jest głosić jako przykazanie boże, że nie wolno zrzucić jarzma samozwańcy! Wtedy każdy królobójca, który zdobył próżny tron, byłby natychmiast pod ochroną Boga, gdy przecie niepowodzenie przyplacił głową. O ileż bardziej wolno ludowi strącić najezdniczego księcia! Czyż nie przemawia to za Korsykanami?.. Możemy tak samo zrzucić jarzmo Francji, jak Genui. Amen.“

Tymczasem młody duch pragnie poczuć się w sobie i szkicuje romans na Korsyce, jak i nowele; wszystko przepojone jest nienawiścią do Francji, nic nie skończone. Jednocześnie uczy się wciąż swego rzemiosła, za podniętą ubóstwa, namiętności i uczucia, że fantazja rządzi światem, ale działa urzeczywistniają fantazję. „Nie mam innej ucieczki poza swą pracą. Przebierani się tylko raz na tydzień. Odkąd chorowałem, spiam mało... Jem tylko raz na dzień.“

Studjuje działa i amunicję, myśląc zawsze liczbami, aż wszyscy mówią, że stworzony jest do matematyki. Obok swych fantastycznych planów zaznacza dokładnie na wyspie punkty, gdzie umieściłby działa, zbudował sztańce, ustawił wojska, — gdyby miał tylko władzę. Pod siecią poetycznych myśli, którą narzucił na wyspę, rozpina na swych mapach drugą sieć, w której krzyże oznaczają armaty. Mapy, mapy! I w pokoju swym, obok hałaśliwej kawiarni, studjuje na nowo wszystko, co daje się obliczyć, przepisuje całe mowy z parlamentu londyńskiego i szkicuje najdalsze części ziemi.

WYSPA

Na końcu ostatniego zeszytu, ostatnia jego notatka brzmi: „Św. Helena, mała wyspa na Oceanie Atlantyckim. Kolonia angielska“.

Wtem nadchodzi z ojczyzny list od matki: jej možny opiekun, marszałek, umarł; domowi zabrakło pomocy; i szkółkę drzewną wymówiono matce; Józef jest bez posady, więc matka wzywa drugiego na pomoc. Otrzymawszy urlop, żegluję niebawem do domu. Czyż to tajemny zwycięzca powraca na wyspę swych planów i marzeń? Z dziennika:

„Zawsze samotny, nawet wśród ludzi, przybywam do domu, aby oddać się samotnym marzeniom i falom mego smutku. Ku czemu ciąży on dziś? Ku śmierci. A przecież stoję na progu życia i mam prawo spodziewać się, że pożyję długo. Od sześciu czy siedmiu lat bawię zdała od ojczyzny. Co za radość... zobaczyć znów swoich!... Jakież więc demon każe mi dążyć do zniszczenia siebie?... Ponieważ spotyka mnie zawsze nieszczęście i nic mnie nie cieszy, pocóż znosić życie, w którym nic mi się nie wiedzie?... Co za widowisko w domu! Moi ziomkowie w kajdanach całują rękę, która ich bije... Dumny, przejęty własną wartością, przeżywał niegdyś Korsykańin szczęśliwie dzień dla państwa, noc w ramionach kochającej małżonki, — natura i czułość czyniły mu ją nocą bogów. Wraz z wolnością znikły te czasy szczęśliwe, jak sny. Francuzi! Rabujecie nam nietylko dobro najwyższe, lecz psujecie nam jeszcze obyeczaje! Patrząc na swą ojczyznę i nie mając siły jej pomóc, mam dość powodów, by uciekać od świata, każącego mi słać tych, których nienawidzę... Gdybym miał zabić tylko jednego człowieka, by nas uwolnić, ruszyłbym natychmiast... Życie jest mi ciężarem, nie znam żadnej rozkoszy, wszystko staje się bólem... a ponieważ nie wolno mi żyć na swój sposób, wszystko jest mi wstrętne“...

Po upływie posępnego roku, spędzonego wśród trosk pieniężnych i rodzinnych na wyspie, musi wracać beznadziejnie do garnizonu, tym razem do Auxonne, ale zmiana nie przynosi nic lepszego.

NAPOLEON

Nagle dopuszczają go do czegoś: nowy generał, który poznał jego wiedzę, każe dziewiętnastolatkowi wznieść na placu ćwiczeń kilka urzędzeń, „które wymagają trudnych obliczeń, toteż od dni dziesięciu jestem bez przerwy od rana do wieczora czynny na czele dwustu ludzi. Niezwykłe to odznaczenie oburzyło przeciwko mnie kapitanów, którzy klną, że w tak ważnych sprawach dano przed nimi porucznikowi pierwszeństwo.“

Znów usunięty jest w cień. Tak będzie się włókł z trudem dalej, by jako kapitan przejść na pensję i z rentą francuską wrócić w pogardzie do domu i wkońcu gryźć ziemię ojczystą, — tego jednego zrabować nam nie mogą! Więc pianą tylko były sny o wolności, zapowiadanej przez owe książki? Jeśli potężna Francja nie może samej siebie uwolnić od ucisku swej szlachty, od przekupstwa i nepotyzmu, to jakże ma się uwolnić od Francji mała Korsyka?

Nowemi szkicami wypełnia młody autor swój dziennik. Biada, gdyby cienki zeszyt wpadł w ręce przełożonemu; czytałyby: „Szkic memorjału o władzy królewskiej. Przedstawić szczegóły uzurpowanej władzy, którą sprawuje dziś dwunastu monarchów Europy. Jeno nieliczni wśród nich nie zasługują na złożenie ich z tronu“. Tak zgrzyta w tajnym dzienniku, gdy musi w dzień imienin każdego księcia wołać w galowym mundurze: Niech żyje król!

Upływa jeszcze jeden rok młodości w posępnej służbie, w milczeniu, oczekiwaniu, między poezją i matematyką.

Nastaje rok zdarzony losem, do najospalszych gniazd prowincji przenika przecucie bębnow, które milczą jeszcze. Liczymy rok 1789. Melancholijny porucznik czuje, że nadchodzi epoka odwetu! Czy nie zniweczy samej siebie pycha tych, którzy dokuczali mu tak długo? Nie jestże ten okrzyk tysięcy także hasłem do boju dla wyspy? I młodzieniec zgarnia swe korsykańskie listy, posyła je swemu uwielbianemu wzorowi, Paoliemu, na wygnanie i pisze:

„Generale! Ja przyszedłem na świat, gdy ojczyzna moja ginęła. Rzęzenie umierających, łzy zrozpaczonych otaczały moją kolebkę... Wraz z nimi znikła wszelka nadzieja. Nie-wola była ceną naszej uległości. Aby się usprawiedliwić,

WYSPA

zdrajcy obrzucili pana oszczerstwami... Kiedym je czytał, burzyła się krew we mnie i postanowiłem rozproszyć mgły. Teraz poczernię wszystkich, którzy zdradzili pospólną sprawę, pendzlem hańby... rządzących oskarżę publicznie, odsłonię wszystkie skandale... Gdybym żył w stolicy, znalazłbym inne środki... Wobec młodości mojej przedsięwzięcie to jest może zuchwałe, jednak miłość prawdy, ojczyzny i zapamiętany winny mi pomóc. Jeśli pan, Generale, zechce w pracy tej dodać ducha młodzieńcowi, na którego narodziny pan patrzył, w takim razie nabiorę otuchy... Matka moja, Letycja, poleciła mi przypomnieć panu dni przeżyte w Corte.“

Nowy ton, symfonia nowych tonów: wybujały patos epoki, geat tyranobójcy, szafowanie świetnym słowem, nie wyrozumiał jak na kartach jego dziennika, lecz używanem dla efektu. Jedno tylko jest nowe, straszliwie nowe i jest całkowicie jego własnością: rozstrzygające Ja na czele listu, Ja jako wielka teza, stojąca frontem do świata. poraż pierwszy toruje sobie drogę bezmierne poczucie własnej wartości, gdyż właśnie rozbrzmiewają bębny nowych czasów, które nie wieńczą urodzenia, lecz czyn, i zmiatają w ten sposób jedyną niepokonalną dotąd przeszkodę. Zjawia się bezprzykładne uroszczenie, które odtąd nie zagna spoczynku; ale przy końcu pisma przechodzi ono w dworny niemal akcent poufałości, z którego wydźwięka ton protekcyjny. Co za zrzęczość, co za grzeczność we wszystkich listach wyrostka, który osobiście pozostaje szorstki i chmurny!

Paoliego, pochodzącego z innych czasów, niemile dotyka ta pycha; odpowiada on uprzejmie, że młodzi ludzie nie powinni pisać historii.

W kilka tygodni potem zaczynają młodzi ludzie tworzyć historię, poraż pierwszy od stu lat: zdobywają Bastylję w Paryżu, pada wielki sygnał, Francja śpieszy do broni, również w garnizonie młodego porucznika tłum dopuszcza się rabunku, aż sfery posiadające łączą się z wojskiem i obok działa na ulicy staje młody porucznik i strzela do ludu. Jest to pierwszy Buonapartego ostry strzał, dany na rozkaz królewskiego oficera, lecz z pewnością też z całego serca, do tłumy, którego nienawidzi tak samo, jak szlachty.

NAPOLEON

W głębi duszy jednak jest mu to wszystko obce; cóż go obchodzą Francuzi, srożący się przeciw Francuzom! Tylko jedna myśl trawi mu mózg: — Teraz Korsyka! Teraz przemieść tę wściekłość czy zapał, ten ideał czy hasło, na wyspę! Teraz otrzymać urlop i w zamięcie nowej ruchawki być pierwszym w domu!

VI.

Jak prorok, niosący nową naukę na obcy brzeg, ląduje porucznik Buonaparte na swej wyspie: gdyż pierwszy przywozi czerwoną kokardę, zwiastującą wolność, równość i braterstwo. Czyż nie mieszkał tu wolny lud górski, który niegdyś sam rządził sobą, a od lat dwudziestu cierpiał ucisk ze strony zdobywcy, posługującego się szlachtą i klerem, i nie rozumiejącego zgoła ludu?

Cóż to obchodzi młodego jakobina, że do dnia wczorajszego żył dzięki szlachectwu swych przodków, otrzymując wychowanie na koszt króla! Cóż go obchodzi król! Czyż nie głosiło się wreszcie, że ludy są wolne i mogą rządzić sobą same? Jeśli tak mówi młoda Francja, która zbudziła się właśnie, to wolną musi się uznać i wyspa, którą stara Francja zakuła w łańcuchy. Współobywatele! Spełniły się czasy! Uzbrojcie się! Niech każdy nosi kokardę nowej epoki, utwórzcie straż narodową, jak w Paryżu! Pozwólcie nam wydrzeć środki władzy wojskom króla! Umiem obchodzić się z działami, powiodę was!

Dwudziestoletni, blady młodzieniec o szaro-niebieskich, zimnych oczach, lecz pełnych płomiennego słowa ustach, Buonaparte, którego każdy zna w małym Ajaccio, śpieszy przez ulice na czele rosnącego tłumu, pragnącego poczęści wolności, poczęści odmiany, występuje na placu przed gromadą, jako namiętny, nadziei pełen trybun. Tak, wśród tego napół wschodniego ludu, powiedział później, wśród tych wadzących się rodzin „uczy się człowiek wcześniej poznawać serce ludzkie“.

Zmiana: posiłki z gór zawodzą i gdy nadchodzą prawomysłne wojska, wypędzają rewolucjonistów, rozbrajają wszystkich w przeciagu kilku godzin, ale, kierując się rozsądkiem, nie

więzą nikogo. Nowe rozczarowanie: być nie męczennikiem, tylko pobitym, wodzem ludu, to rzecz niemal śmieszna. Lecz gdy gorączka pali żyły, człowiek chwytą się każdego środka, by ją ostudzić. Zażalenie idzie do Paryża: z początku w rozlewnym stylu epoki, niby oda do nowej wolności, potem kłęb skarg i zaklęć: — Na szubienicę urzędników króla! Uzbrójcie-obywateli wyspy! I w mig komitet podpisuje z nim papier!

Tygodnie oczekiwania: co Paryż odpowie? Wreszcie przybija do brzegu kurjer: wyspa jest na równych prawach prowincją francuską; Paoli, na wniosek Mirabeau, przyzwany zpowrotem z wszystkimi bojownikami o wolność. Porucznik niemieje: — Prowincją? Więc mimo nowe. ideje i właśnie dzięki nim, on zostaje... Francuzem? Osobliwa forma wolności! Ate oto już tłumny pochód zdaża do kościoła, z władzami na czele, dla pobłogosławienia dekretu paryskiego. Porucznik chwytą się liny, której chwytają się wszyscy, pisze ogniste manifesty do współobywateli, szuka poparcia w nowym klubie, wprowadza starszego brata do rady gminnej. Tymczasem pracuje dalej nad historją Korsyki i ustępy z niej czyta matce.

— Jestże to wielki Paoli? — zapytuje siebie Buonaparte, widząc bohatera swej wyobraźni, wracającego wśród okrzyków radości po dwudziestu latach wygnania. — Z jakim umiarkowaniem przemawia i patrzy, jak politycznie, — jak nie po żołniersku! Ale trzeba stanąć przy nim, jako że będzie teraz dowodził gwardją narodową. Młodzieniec spędza w górach czas pewien w pobliżu męża, który był szefem jego ojca, zanim on sam przyszedł na świat.

I gdy tak przesiadują i jeżdżą razem, doświadczony starzec i chmurnie ambitny młodzian korsykański, który z zapałem rozwija swe zbrojne plany wyrwania wyspy gwałtem także nowej Francji: stary patrzy nań wzrokiem wahającym się między dumą i lękiem; czuje, że autor owych korsykańskich listów rości sobie istotnie prawo do swego ja: ma djabła za skórą, co gorzej, w mózgu, w którym lśni jedynie obraz miecza. I stary powiada, kiwając głową: „Nie masz w sobie nic nowoczesnego, Napolione, pochodzisz z wieku Plutarcha.“

Młodzieniec czuje poraż pierwszy, że go zrozumiano: sami bohaterowie Plutarcha, Rzymianie, starczą jego dążeniu. Paoli poznał pierwszy w Buonapartym Rzymianina

NAPOLEON

Wreszcie znalazł słowo, około którego opleść się może jego poczucie siebie i pisząc teraz na wsi z polecenia Paoliego manifest, datuje w gorączce: „23 stycznia, drugiego roku, w moim gabinecie w Midilli.“ Czy to śmieszne, czy wzniósłe? W każdym razie musi młodzieniec po tym dyktatorskim podpisie spieszyć zpowrotem do swego garnizonu, gdyż przedłużany wciąż urlop skończył się. Czyż należy spalić ten ostatni most? Gwoli czemu? Cóż miał teraz robić na wyspie? Pierwsze miejsce było zajęte.

VII.

„Siedzę w ubogiej chacie i piszę do ciebie, po długiej rozmowie z jej mieszkańcami... Jest czwarta wieczór, wiatr chłodny, bawiła mnie podróż piesza, śnieg nie pada, ale jest bliski... Wszędzie zastałem chłopów stanowczych, gotowych bez wyjątku umrzeć za nowy ustrój... Tylko kobiety są wszędzie usposobione rojalistycznie: nie dziwota, gdyż wolność jest kobieta, która je wszystkie bije pięknnością. Księża Delfinatu złożyli wszyscy przysięgę cywilną, ludzie wyśmiewają biskupów... To, co się zwie dobrem towarzystwem, trzy czwarte arystokratów, udaje stronników angielskiej konstytucji. Teretti (Korsykanin) zagroził istotnie Mirabeau nożem, co przynosi nam mało zaszczytu. Nasz klub powinienby podarować Mirabeau nasz strój narodowy, więc czapkę, kamizelkę, spodnie, ładownicę, sztylet, pistolet i strzelbę; obiecuję sobie potem dobry efekt.“

Wszystko w tym liście do stryja, duchownego, świadczy o obserwacji i wyrachowaniu, elementach polityka: myśli się o pogodzie i państwie, o podróży pieszej i ugłaskaniu mocarza, o pobudkach ludzkich. Próżność i chciwość to słabości, w które się godzi, i głęboko wgląda się w duszę jego własną, czytając list otwarty z tych tygodni, w którym oskarża przeciwnika: „Jako prawdziwy znawca ludzi, wiedział pan, ile kosztuje zapłać poszczególnej jednostki: kilka sztuk złota mniej lub więcej określało panu różnicę charakterów!“

Sztuki złota! Gdyby je mieć! Przywiózł z sobą trzynastoletniego brata Ludwika, i dostawszy się jako pierwszy po-



Mio Caro-Amico
Buonaparte
Fontenay del 1788
Lournois

WYSPA

rucznik ponownie do Valence, ma do spółki z nim 85 franków na życie, odzież i naukę chłopca. Sam czyści sobie ubranie.

Pieniądze! Nie dla używania — pogardza używaniem — lecz dla wybicia się! Czyż Akademia lionńska nie rozpisała zadania do nagrody: 1200 franków! Można by za to uzbroić połowę wyspy! „Jakie prawdy i uczucia zdolne są przedewszystkiem uszczęśliwić ludzi?“ Porucznik uśmiecha się: mogą służyć odpowiedzią. Najpierw składa swą kartę akademikom, uczniom Rousseau'a, którzy zadali pytanie, sławi radość z natury, przyjaźni, marzycielskiej bezczynności, trzech rzeczy, których nie zna, ani ceni. Nagle wszystko przybiera obrót polityczny, przeciw królom, za wolnym udziałem wszystkich w posiadaniu i prawie. Ale potem, w niesamowitym tonie, zjawia się znów błąd młodzieniec z przed lat kilku, jakby jego własne odbicie w lustrze: „Ambitnik z bladą twarzą, z sardonicznym uśmiechem, igra ze zbrodnią, narzędziem jego staje się intryga... Gdy dorwie się wreszcie steru władzy, nuży się szybko hołdem tłumom... Wielcy ambitnicy szukali szczęścia, a znaleźli

Wzniosłe przeczucia, godne plutarchowego charakteru! Ale niebawem wszystko staje się jeszcze jaśniejsze: ideałem jest Sparta, odwaga i siła są wielkimi cnotami. „Znamieniem Spartanina było poczucie się mężczyzną w pełni siły. Ponieważ żył według swej istoty, przeto był szczęśliwy. Tylko siła jest dobra, słabość jest zła.“ I jeszcze raz wybłyska przeczucie ze słów: „Prawdziwie wielcy ludzie są jak meteory: błysną i spalają się, by oświecić ziemię.“

Tego za dużo było Akademji, uznała pracę za „niegodną uwagi.“ Nowy zawód: ani pieniędzy, ani sławy. Jednak niezmordowanie pracuje nad romanssem dziejącym się na Korsyce i nad dialogiem o miłości.

Opromieniaż to słowo i tę chmurną młodość? Usłyszymyż wylewy w tonie Rousseau'a? Oto co sądzi dwudziesto dwuletni porucznik: „I ja byłem raz zakochany i wiem tyle, że gardzę definicjami, które mać tylko sprawy. Odmawiam im uprawnienia, co więcej, uważam je za szkodliwe dla społeczeństwa i szczęścia jednostek. Uwolnienie ludzi od nich byłoby błogosławieństwem niebios.“

NAPOLEON

Fanfary przerywają rozmyślania politycznego poety, — fanfary z Paryża! Król pojmany, lud triumfuje, rewolucja zaostrza się. W drugą rocznicę Bastylji wznosi czerwony porucznik toast wręce patryjotów. I z samej wyspy dolatują doń okrzyki zamętu, wybuchy anarchji; gdyż zawsze w owych latach dziko miotane kamienie wzburzonego morza paryskiego dosięgają kręgami dalekich wybrzeży. I Korsyka stoi w obliczu wojny domowej. Trzeba ruszyć tam, by pokusić się poraz drugi!

VIII.

Teraz porucznik staje się Korjolanem: postanawia łąwić głosy, łąwić ludzi! Odkąd bowiem lud rozstrzyga, potrzeba popularności. Dobrze, że właśnie umarł bogaty wuj, więc lepiej się dzieje rodzinie. Drugiego księdza, brata matki, Fescha, udało się wprowadzić do klubu. Józef może w radzie gminnej stworzyć nastrój. Czyż jest choć jeden człowiek na wyspie, który umie kierować baterją? Dowodzenie gwardją narodową byłoby rzeczywistą władzą. Ale jeśli nie będzie się wybranym?

Tym razem urlop upływa już z Nowym Rokiem: bacność! Pisz do swego szefa: „Nagłące okoliczności zmusiły mnie zabawić na Korsyce dłużej, niż pozwala mi mój obowiązek, jednak nie mam sobie nic do wyrzucenia: świętsze, droższe obowiązki przemawiają za mną.“ Chyba go nie skreślą z listy. Brak odpowiedzi? Jednak trzeba się ważyć.

Zbliża się walka wyborcza o miejsce komendanta. Wszędzie są krewni, ale to nie wystarcza. U matki zawsze jest stół nakryty dla stronników, nawet noc spędzają tam ludzie przebyli z gór; w ten sposób wytwarza się nastrój. „Był on wtedy, pisze jeden z towarzyszy, jużto milczący i zamyślony, jużto przyjacielski i uprzejmy dla wszystkich, rozmawiał z każdym — odwiedzał tych, którzy mu pomoc mogli i starał się wszystkich pozyskać“. Gdy potem przybyli komisarze, każe jednego przytrzymać gwałtem w domu i rozpedzić zwolenników swych rywali: oto korsykańskie wybory. Ale wieczorem po tym niepokojącym dniu osiąga wreszcie swoje: zostaje drugim komendantem, podpułkownikiem.

Czy występuje ze służby francuskiej ten Włoch? Ostrożnie! Nie zamykać sobie nigdy odwrotu, nauczył się tego z ksiąg wodzów. „W tem ciężkiem położeniu, pisze teraz do Vałence, honorowe miejsce dla dobrego Korsykanina jest w jego ojczyźnie. Oto powód, czemu zatrzymali mnie moi. Ponieważ jednak nie umiem frymarczyć obowiązkiem, więc miałem zamiar podać się do dymisji.“ Nie podaje się jednak, żąda raczej zaległej pensji i nazywa w piśmie tem Francję „wasz naród“. Więc Francja skreśla oficera z listy.

W ten sposób prędzej, niż pragnął, stał się rycerzem szczęścia. Pozostał bez oparcia, bez innych praw poza rewolucyjnymi prawami gwardji narodowej, którą rozwiązać mogła każda reakcja: Hic Rhodus! Tę utajoną wojnę domową między obywatelami a gwardją trzeba wyzyskać, rozdmuchać płomień, by potem, w ogólnym zamięcie, stać się wybawcą! Czyliż tam w górze nie grozi cytadela z regularnymi wojskami króla? Czyż Fryderyk, czy Cezar nie szturmował zawsze najpierw cytadeli? Trzeba schwytać komendanta, wypędzić tego szlacheckiego mazgaja i za jednym zamachem uwolnić wyspę od Francji, która teraz wplątana w wojnę nie zdoła jej odbić. W ten sposób zostanie panem wyspy. Stary Paoli staje się legendą.

W dzień Wielkanocy dochodzi do walki. Czy gwardja była stroną wyzywającą, czy obywatele uknuli spisek? Kto zaczął? Wiecześnie ironicznе pytanie! Jedno pewne: dowódca bataljonu, Buonaparte, starał się owaćdnać twierdzę. Ale nikt nie dał się zastraszyć; kierują nań działa, zmuszają go do odwrotu, oskarżają w Paryżu o rokosz: grozi mu proces o zdradę stanu. Frazesy jego pisma obrończego nie przekonują nikogo. Nawet Paoli, od początku nie ufający swemu dzikiemu ziomkowi, śpieszy z oznakami lojalności i degradowuje syna przyjaciela.

— Jeśli nie chcesz, Paoli, iść ze mną, myśli Buonaparte, ja pójdę przeciw tobie! Miej się na baczności! Śpieszę do Paryża! niedarmo tam rewolucja!

Po ulicach dyszącej latem stolicy świata włóczy się niefortunny awanturnik, bez pieniędzy, bez stanowiska. We Francji jest mniejwięcej zbiegłym porucznikiem, na Korsyce zdegradowanym podpułkownikiem; zagrożony najprzyczrzejszemi niebezpieczeństwami, obdarty, może stanie się jutro

NAPOLEON

pastwą głodu. Jego jedyną nadzieją są radykali; przyłączy się do Robespierre'a; gdyż tylko upadek dynastji, tylko całkowita przemiana może go ocalić.

Upalne dni lata; a życie na bruku paryskim jest drogie. Pewnego razu zastawia zegarek, innym razem, czego uniknął aż do tego dwudziestego trzeciego roku życia, robi długi: 15 franków u handlarza wina. Potem proponuje przyjacielowi swemu, Bourienne, zająć się wspólnie pośrednictwem w sprzedaży domów. Czy zazdrości panującym? Gardzi nimi tylko. „Widząc to wszystko zbliżka, trzeba przyznać, że ludy nie są warte, by starać się o ich względy. Tutaj są ludzie może jeszcze bardziej nędzni i oszczerzy... Zapał jest tylko zapałem i lud francuski postarzał się. Każdy szuka tylko własnej korzyści i chce się wybić... Wszystkich podkopuje ambicja. Jedyną rolą jest żyć spokojnie, dla siebie i rodziny, z 4—5000 franków renty, — to jest, gdy uspokojona fantazja nie dręczy już człowieka. “

Ale biada, jeśli go dręczy! Jakaż potworność nie jest możliwa w chaosie tej epoki, w kotle Paryża! Będąc cudzoziemcem, ten czystej krwi Włoch umie przeżywać z całkowitym chłodem awanturnika losy Francuzów i korzystać z nich. Już wysuwają się na czoło jakobini.

Gdy zradykalizowany tłum szturmuje Tuilerje, Buona parte znajduje się wśród widzów. Cóż mówi uciśniona jego istota? Chwała Bogu, człowiek znów staje się wolny! Ale co mówi oficer? „Widziałem żołnierzy zagrożonych przez cywilów, raziło mnie to... Gdyby król ukazał się na koniu, zwycięstwo pozostałoby przy nim; taki był nastrój rankiem. “ A w kilka dni przedtem, gdy król ukazał się w czerwonej czapce: „Co za osieł! Gdyby skartaczował był kilka setek tej hołoty, inniby uciekli!“

A jednak czuje się wyzwolony, przeciwnicy jego pozbawieni są władzy, nazajutrz pisze do wuja: „Nie troszcz się o siostrzeńców, znajdują sobie oni miejsce, “ Czyż nowy rząd nie jest dzielny? Nietylko przyjął go, dezertera, ale awansował na kapitana. Więc teraz ma jak najspieszniej odszukać swój pułk na wschodnim froncie? Cóż go obchodzi król pruski nad Mozela, cóż obchodzą go wojny Francji! Zostanę Korsykaninem! Bądźcie zdrowi, jadę na wyspę!

IX.

Czyż podobna? Czyż wiecznie świeży wiatr morski, czyż nawet czyste powietrze gór nie rozwiało ducha stronnicości, w którym zamiera walka idei? Oszczerstwo, przekupstwo i anarchja, oto formy, w których przedstawiają się one na wyspie! Mąż, którego Korsyka wysłała do Konwentu paryskiego, Saliceti, jest śmiertelnym wrogiem Paoli'ego, przeto przyjacielem Buonapartych, którzy stali się Paoli'ego przeciwnikami. W klubie panuje rozłam, ale większość wydaje się radykalna i lży Paoli'ego, jedyne go nieskazitelnego człowieka na wyspie, dlatego zdrajcą, że działa umiarkowanie.

Kto dzierży władzę? Wszyscy i nikt. Jeden niedowierza drugiemu, gdyż w Paryżu wynaleziono gilotynę, ścięto króla, nikt nie wie, kto jutro rządzić tam będzie. Wszyscy noszą broń, nietylko w górach, bezsilnie rozbijają się rozkazy z wybrzeża o skały wnętrza wyspy, każdy jest tu swym królem, każdy swoim mścicielem. Istniejeż lepsze pole dla tego awanturnika, który nie ma nic więcej do stracenia? poraz trzeci próbuje stać się panem wyspy.

Około domu Buonapartych gromadzi się fronda, bracia Józef i Lucjan, wuj duchowny, mają swoich ludzi. Ale do diero Napoleon skupia siły; przywozi z sobą zaufanie deputowanego paryskiego, który potrzebuje tu tego artylerzysty, by utrzymać się przy najbliższym zamachu. Z tem samem uczuciem zwraca się doń klub. A gdyby tak Paolfego, który niedarmo przez lat dwadzieścia korzystał z gościnności Anglii, oskarżyć o zdradę stanu wobec Francji? Czyż nie jest gotów sprzedać nas Anglii? Lucjan pojedzie do Marsylii i szepnie tam komisarzom na ucho, a Saliceti krzyknie to wnet konwentowi. Wszeczną intryg jest taka mała wyspa: ponieważ o życiu publicznem rozstrzyga kilka rodzin, niknie wszelkie życie rodzinne w publicznem.

Wnet konwent przysyła zastępców, usuwa i mianuje na Korsyce oficerów, nie pytając Paoli'ego i oto ponownie mianowany we Francji kapitan Buonaparte zostaje niebawem i na wyspie szefem bataljonu, gdyż dzięki zręczności i sympatji żołnierzy uzurpował sobie znów dowództwo, które wymaga tylko potwierdzenia. Widoki jego rosna.

NAPOLEON

Wtedy nadchodzi z Paryża straszny rozkaz: uwięzić Paoli-ego! Teraz jednak, gdy przeciwnicy osiągnęli za dużo, serce wyspiarzy raz jeszcze zwraca się ku ich sędziwemu bohaterowi: wszyscy kupią się dokoła niego, on zaś urąga rozkazowi.

Młody Buonaparte tropi się. Zawsze przykładął ucho do serca tłumu, nie jako kochający, lecz jako lekarz i badacz. Stara się zyskać na czasie, obiera drogę pośrednią, oświadcza się publicznie za nieuznanym Paolim, — lecz i za mądrym konwentem. Wprawdzie konwent nie ufa mu i chce również jego uwięzić, ale Paoli także niedowierza podwójnej grze i oto co mówią jego stronnicy: „Ponieważ bracia Buonapartowie popierali oszczerstwo i przyłączyli się do komisji, więc zajmować się nimi jest poniżej godności ludu korsykańskiego: należy się im pokuta i hańba publiczna.“

Teraz nieprzyjaciele rodziny rzucają się na ich dom, łupią go i zabiliby ich, gdyby tamci nie szukali i nie znaleźli schronienia w komisji.

Byłże to może jego zamysł? Teraz może władcom paryskim wskazać palcem, jak niezłomnym jest rewolucjonista i odzyskuje zaufanie. On, przed rokiem dowódca wolnego hufca korsykańskiego przeciw artylerji rządowej, zostaje przez rząd mianowany komendantem artylerji przeciw wolnemu hufcowi korsykańskiemu. Działa! Wprawdzie najlepsze punkty są w posiadaniu tamtych, ale wreszcie posiada się pewną siłę, pełnomocnictwo, a nawet rozkaz zabezpieczenia wybrzeża. Teraz, Paoli, ostatni pojedynek!

Ale starzec, dzięki łaskom ludu, ma także jako żołnierz przewagę; ma w ręku cytadelę, i gdy młodzieniec, teraz jako Francuz, pragnie zdobyć ją poraz drugi, doznaje znów niepowodzenia. Ostatnia próba wtargnięcia do twierdzy z zewnątrz od wysp, zawodzi!

On i jego bliscy są na wyspie zgubieni. Rada ludowa skazuje ich na wygnanie, ogłasza rodzinę Buonapartych za banitów. Matka, tak dumna ze swego rodu, dwóch synów, dwie córki i jej brat, wszyscy znaleźli się bez dachu wskutek nieudanego zamachu porucznika, muszą w przeciągu kilku godzin uciekać. Przez głucho lasy, których dzicz przed dwudziestu czterema laty chroniła ją przed Francuzami, musi teraz

WYSPA

ta kobieta pod ochroną Francuzów uchodzić ku wybrzeżu; nie posiada nic prócz sukni na sobie; własność przypadła wrogom.

Na żagłowcu, uwożącym ich do Toulonu, stoi dwudziestotrzyletni porucznik; w późnym blasku wieczora czerwcowego widzi oddalającą się wyspę: zna każdy wierch, każdy szczyt. Trzykrotnie chciał ją zdobyć, jako wyzwoliciel. Teraz jako Francuz wygnany jest przez swoich. Rozpiera go nienawiść i pragnienie zemsty: Francji zwycięstwa umocnią go i w ten sposób jednak kiedyś zostanie jej panem!

Lecz, gdy zwróciwszy się na zachód, ujrzał zbliżający się brzeg Francji, poczuł awanturnik wolność, poczuł, że wszędzie jest w domu: szczęście i los pozbawionego ojczyzny.

X.

— Jakże zniszczone są suknie! — myśli Letycja Buonaparte, patrząc po powrocie ze skąpych zakupów na dwie dorastające dziewczyny. Na czwartym piętrze zarekwirowanego domu, którego szlachecki właściciel został stracony, siedzi dumna czterdziestoletnia kobieta z dziećmi; troje zarabia na chleb, dwoje najmłodszych zostało u krewnych na wyspie. Jako „prześladowani patryjoci“ otrzymują od komendanta część jadła. Ale ona nie skarży się nigdy, jest dumna.

Niebawem udaje się Napoleonowi, w podróżach, uzyskać przez stosunki dostawy wojenne dla brata, wuj-duchowny zrzuca sutannę i robi interesy, rodzina wchodzi do branży jedwabniczej. Wtedy elegancki Józef, który z powierzchowności przypomina ojca i podobnie, jak tamten, zwie się jako najstarszy hrabia de Bona Parte, zjednywa sobie jedną z dziedziczek marsylijskiego domu jedwabniczego, zjawiają się pieniądze i oto Napoleon zamyśla pojąć za żonę szwagierkę, Dezyderję.

Pilnie jeździ w tych miesiącach letnich tu i tam, już to jest w Nizy w pułku, już to nad Rodanem, już to w Toulonie. Ale w każdej chwili jego oficerskie spojrzenie, jego artyleryjski mózg ogarnia naturalne położenie, notuje oszańcowanie każdego punktu tych wybrzeży: przyda mu się to niebawem. Jednocześnie pisuje polityczne dialogi, jeden z nich nawet ukazuje się drukiem, jako pismo ulotne, na koszt państwa.

NAPOLEON

Fabrykant z tego dialogu jest typem bardzo rozpowszechnionym. Ponieważ bogacze tulońscy boją się, że podobnie jak ich przyjaciele marsylijscy będą ścięci lub wywłaszczeni przez władze Robespierre'a, więc ze strachu lgną sercem coraz bardziej do biednego, wygnanego domu królewskiego i, aby uratować swój kapitał, przyzywają wrogów ojczyzny: resztę floty wydają Anglikom, którzy wzamian przyrzekają ochronę.

Straszliwy to cios dla młodej Francji, która właśnie na wszystkie strony walczy przeciw napierającej reakcji, straciła Belgię, widzi, jak przez góry wdzierają się Hiszpanie, a w Wandei umacnia się wpływ Bourbonów! Giełda tulońska pozbywa się swej trwogi za cenę floty na rzecz starego przeciwnika! Tedy mobilizuje się ostatniego mężczyznę, powołuje się kobiety, zmienia Francję w jeden obóz. Każdy, kto zna rzemiosło, witany jest z podwójną radością.

Pod Toulonem gotują się do wypędzenia Anglika; w jaki sposób, to konwent pozostawia pewnemu malarzowi, którego rewolucyjne przekonania mają zastąpić wiedzę.

Wtedy zdarza się, że młody kapitan Buonaparte, który jeździł do Avignonu po proch, odwiedza w drodze powrotnej swego ziomka Salicetiego, który wiezie go do malarza-generała. Po jedzeniu podchodzą dyletanci do 24-funtowego działka, stojącego o milę od morza i zapalają się chełpliwiemi planami. Fachowiec przeczy ich twierdzeniom, czterema strzałami dowodzi, żenię dosięgają brzegu. Tamci tracą głowy, zatrzymują go, każą mu brać się do pracy.

— Nareszcie! Sposobność! Pochwycić ją i nie puścić! — myśli samotny człowiek woli; i zdumiewa widok dzielnego kapitana ściągającego z odległych miejsc wybrzeża armaty; po sześciu tygodniach zgromadzono przeszło sto ciężkich dział.

Ale młodzieniec pragnie dowieść nam jeszcze swych zdolności wodza. Co zamierza? Oto pragnie obstawić cypel, dzielący przystań na dwoje, baterjami i zamknąć w ten sposób flotę nieprzyjaciela: wtedy generał angielski nie zechce chwycić kul w mysiej dziurze, pozbawionej oparcia, spali arsenał i odpłynie. — Dziwactwo! sztydzą dyletanci. Ale Buonaparte, który ma także w konwencie przyjaciół, wnosi tam skargę na swego szefa i posyła do Paryża całoarkuszowy plan ostrzelania Toulonu, z radami również ogólnego rodzaju: „Trzeba ogień

zawsze koncentrować. Po utworzeniu wyłomu, nieprzyjaciel traci równowagę, wszelki opór staje się daremny, pole jest zdobyte. Trzeba się dzielić, by żyć, łączyć się, by bić. Bez jedności komendy niema zwycięstwa. Czas jest wszystkim.“ Tak pisze do centrali 24-letni kapitan.

Z Paryżem łączy go potężny przyjaciel, młodszy Robespierre, który nawet na wyżynę wszechmocnego brata waży się rzucić nazwisko młodego talentu: — Jeśli kiedyś trzeba ci będzie, — rzekł do starszego, — przeciwko ulicy żelaznego żołnierza, musi nim być młody, nowy człowiek, powinien nim być Buonaparte. Proponowano mu już, by objął straż nad terrorystami, ale przezorność powstrzymała go od tego. Teraz plan jego jest przyjęty, malarz-generał odwołany. Kogo tam posła?

Zgrzyta zębami: znowu dyletanta! Nowy generał jest lekarzem, węszy wszędzie sprzysiężenie szlachty, gdy tymczasem nieprzyjaciel sam obsadza drogocenny cypel. W złotych karocach dworskich przybywa jednocześnie do obozu garść zapalonych ludzi, zdecydowanych zdobyć wręcz Toulon w swych pięknych uniformach. Buonaparte prowadzi ich do nieosłoniętej baterji, a gdy nieprzyjaciel strzela, oni zaś wołają o osłonę, mówi z powagą: „Zniesiono ją, zamiast niej mamy dziś patryjotyzm.“ Ten młody człowiek o szaro-niebieskich oczach ceni sprawę, nie przekonania. Nowe skargi, nowa zmiana, potem staje na czele stary wojak, który mianuje go natychmiast szefem bataljonu i postanawia, ściśle wedle planu Buonapartego, wypędzić wroga z cypla.

Gdy wreszcie, wciąż wedle jego planów, dochodzi do szturm, koń pod nim pada od kuli, pchnięcie włóczni angielskiej trafia go w łydkę: jest to Napoleona pierwsza i niemal ostatnia rana. To jest jego pierwsze zwycięstwo, choć nie on jest urzędowym wodzem; zwycięstwo nad Anglją. Nieprzyjaciel chroni się na okręty, pali arsenał, odpływa, wszystko dzieje się tej samej »ocy, jak tamten przepowiedział.

Pożoga i śmierć, bitwa i zgroza w przystani, do której schronić się pragną tysiące świadomych winy obywateli. W tej pożarnej nocy grudniowej, skroś dym i krzyki, nad stosami trupów, wśród przekleństw tonących obywateli i wrzasku płądrujących żołnierzy, wschodzi poraz pierwszy nowa gwiazda: sława Napoleona.

XI.

Albowiem święto ludowe, które Paryż obchodzi z powodu uwolnienia Toulonu, jakoteż na cześć nowych zwycięstw na froncie północnym i wschodnim, wnosi nazwisko Napoleona w tłum. Zostaje generałem brygady i szef jego, sławiąc go w swem sprawozdaniu jako wynalazcę planu bitwy, dodaje, wśród podziwu i strachu, zdumiewające zdanie: „Gdyby go spostonowano w konwencie, wymusi on jednak swoją drogę.“ Ale wraz z nim wstawia się pięć innych młodych nazwisk i gdy on w „Monitorze“ czyta poraz pierwszy swe własne, razi go z pewnością to sąsiedztwo. Jakże trudno jest wznieść się!

Istnieje już jednak kilku młodych ludzi, którzy tej nocy dostrzegli jego gwiazdę: Marmont, Junot, młodzi, nieznani oficerowie, którzy zaprzysięgają się jego szczęściu; on wybiera ich, wraz z szesnastoletnim bratem Ludwikiem, na adjutantów. Posiada już grupę.

Armaty! I konwent daje mu polecenie umocnienia całego wybrzeża od Toulonu do Nizy. Czyż nie leży tam Genua, stara Korsyki nieprzyjaciółka? Trzebaby zdobyć Genuę, wtedy posiędzie się i wyspę. Czyż Genua nie jest pełna dyplomatów i agentów? Tu wyrabia się nastrój neutralnych, tu można bystrem okiem i uchem wiele pochwycić i wszystko zamilczeć. Zaopatruje się w polecenie jednego z komisarzy ludowych i przedstawia się naczelnikom Genui, rzekomo gwoli kilku kwestjom granicznym.

W rzeczywistości jest to pierwszy krok Buonapartego dyplomaty: nawiązuje stosunki z agentami wszelkiego rodzaju, jednocześnie bada, czy tamtejsi przedstawiciele Francji są rzeczywiście radykalni lub tylko udają i zarazem szpieguje, gdzie właściwie stoją armaty. Wróciwszy do Nizy, dla napisania sprawozdania, jest nagle aresztowany.

Gdyż tymczasem Robespierre padł i był ścięty. Natychmiast wszyscy odsuwają się, każdy twierdzi, że z tyranem obcował tylko z musu i dla oczyszczenia się szuka ofiar. Kto nie jest obecny, by miażdżyć innych, sam nadaje się do tego najlepiej. Spieszcie się, bo inaczej tamci wyjawia.

WYSPA

że byliśmy w spółce! Oto generał Buonaparte! Był dopiero w tajnej misji w nieprzyjacielskiej Genui: uwięźcie go! Z Robespierre'em dążył do zniszczenia naszej armji południowej! Wleczcie go dla przesłuchania do Paryża!

Oto siedzi w forcie Carree pod Nizzą, odebrano mu wszystkie papiery, jest rocznica jego urodzin. — Dziś mam 25 lat, — myśli, — i spogląda przez kraty na morze. Gdyby się można wychylić, widaćby było jeszcze brzeg Korsyki. Tak często próbował i chybiał! Czyż kiedykolwiek młodość dążącego człowieka składała się z takiego szeregu katastrof? Co opowiada Plutarch? Zdegradowany, wygnany, wyjęty z pod prawa na wyspie i teraz, wraz z wszystkimi planami, więzień Francji, stanie może za tydzień na dziedzińcu koszarowym, w obliczu dwudziestu kul. Co począć?

Wierni doradzają ucieczkę. Odpowiada w tonie wzruszenia, który rzadko spotyka się w sześćdziesięciu tysiącach listów Napoleona: dzięki za przyjaźń, ale „choć ludzie są niesprawiedliwi względem mnie, jeśli tylko jestem niewinny, to mi wystarcza. Stawiam swe czyny przed trybunałem mego sumienia, które jest spokojne. Nie czyń więc nic, bo byś mnie tylko skompromitował“. W tym łzawym liście męczennika szczere jest tylko ostatnie słowo. Marzycielowi Junot podaje motywy, które tamten zdolny jest pojąć. W rzeczywistości, ponieważ żadna łączność z Robespierre'em nie da się wykazać, pragnie się tylko nie skompromitować, a ucieczka byłaby wyznaniem.

„Jestem — pisze do jednego z poważnych dyplomatów z więzienia — trochę zmartwiony katastrofą młodszego Robespierre'a, gdyż lubiłem go i uważałem za czystego, ale, choćby był moim ojcem, zasztyletowałbym go, gdyby zechciał być stać się tyranem“. Czyż nie mówi, jak Rzymianin? I jeszcze rozsądniej do konwentu: „Choć oczerniony jestem niesłusznie, nie będę oskarżał komisji, cokolwiek postanowi... Ale słuchajcie mnie! Rozerwijcie moje kajdany, przywróćcie mi szacunek patrijotów! W godzinę potem, gdy źli ludzie zażądają mego trupa, będę gotów. Mało cenię życie, zbyt często wystawiałem je na szwank. Tylko myśl o służeniu ojczyźnie pozwala mi znosić spokojnie jego brzemię.“

NAPOLEON

Po tygodniu jest wolny. Saliceti, jego ziomek w konwencie, oczernił go pierwszy; teraz, gdy ochłoniął z pierwszego strachu i poczuł się sam bezpieczny, poręcza niewinność Buonapartego, przy końcu jednak korsykański intrygant umieszcza kilka słów, w których bezwiednie przewiduje triumf Buonapartego: „Zresztą będzie potrzebny w armji“.

XII.

Jakże go unikają! Jakże nie odpowiadają moi przyjaciele, do których pisuje długie, ponawiane listy; jakże wypraszać musi drobne rzeczy, „dobry przyrząd mierniczy dla armji“, by znacznego kolegę zmusić do odpowiedzi!

Wtedy nadchodzi raz jeszcze sygnał z wyspy. Stary Paoli wezwał Anglików na pomoc, teraz trzeba ratować Korsykę dla Francji! Do Paryża, by rozniecić ogień! Rzeczywiście, wyprawa jest postanowiona, serce rwie mu się do komendy, ale flota już po dwóch tygodniach wraca pobita do Toulonu. Nowy zawód! Gdybyż mu pozwolono operować! Czyż nie zdobył Toulonu, nie uzbroił wybrzeża, z myślą o wyprawie na Korsykę?

Ale reakcja nadchodzi, nie ufają mu i starają się przez oddanie mu wysokiej komendy w Wandei oddzielić go od jego ludzi; jednocześnie, jako „nadliczbowy“ przeniesiony jest do piechoty: degradacja w poczuciu przeszkolonego artylerzysty.

Błądy młodzieniec staje się jeszcze bledszy. Nie! I gdy żąda wyjaśnienia od komisarza wojny, a ten odpowiada mu: „Za młody“, — mierzy tamtego, który prawie nie był w polu, spojrzeniem: „Człowiek szybko starzeje się na polu bitwy, a stamtąd przychodzę.“ Odmawia posłuszeństwa, oczekuje przewrotu: zupełnie, jak przed trzema laty.

Co czynić? Zameldować się chorym, wziąć urlop? myśli bezczynny generał. Raczej tu zostać, Paryż jest pępkiem świata. Wprawdzie Marmont i Junot, bawiący bez urlopu przy nim, nie mają także pieniędzy. Cóż robi Bourienne? Spekuluje? Można również tego spróbować, ale asygnaty spadają. Jakżeście źle zainscenizowali nowy zamach! Chcecie urządzać

WYSPA

przewroty państwowe bez armat? Ale do Salicetiego, który teraz z kolei znajduje się pod ciężkim oskarżeniem i siedzi w ukryciu u znajomej Korsykanki, pisze: „Widzisz, że mogłem odpłacić ci krzywdę, którą mi wyrządziłeś... Czyjaż rola piękniejsza, twoja, czy moja? Tak, mogłem się zemścić, a nie uczyniłem tego... Idź, szukaj w spokoju schronienia, w którym nauczysz się myśleć lepiej o swej ojczyźnie. Usta me będą wiecznie milczeć o tobie. Wejdź w siebie, oceń moje motywy, zasługuję na to, są szlachetne i wspaniałomyślne.“

Co za przebiegłość poza temi rozmówkami w sobie wierzącymi, co za cienie ponad tą szlachetnością, dla ożywienia beczynnego dnia uczuciem fałszywej wielkoduszności!

Bo mrocznie szumi, ciężko uderza fala życia o jego brzeg w tych letnich tygodniach. Przejmuje go księga posepnej namiętności, Ossjan, tak samo jak tragiczne zakończenie dramatów, których nie pozwala psuć sobie granami potem farsami i dlatego spieszenie uchodzi z teatru. „Niedorzecznością jest rozpogadzanie, w pewnej nowej operze, Pawła i Wirginji przez ich ocalenie!“ — I czym jest szczęście? — pyta go dama, która słyszała te rzeczy z jego ust.

„Szczęście?“ — powiada Buonaparte. — „Najwyższy rozwój moich zdolności.“

One właśnie leżą odłogiem, o tem nie może zapomnieć. Przygniata go rosnący smutek i niemy gniew. W Komedji, opowiada żona pewnego przyjaciela, wszyscy śmieją się, tylko Buonaparte siedzi z lodowatą miną; niekiedy znika i wyłania się chmurny na drugim końcu parkietu. Niekiedy zjawia się na jego twarzy fałszywy, niewczesny uśmiech. Umie opowiadać czarująco anekdoty z pola, ale śmiech jego przytem jest surowy. Czasem widzi się go błądzącego na krótkich nogach po ulicach; jest chudy, żółty, słabowity, nerwowy, „niezgrabny i niepewny; ma stary, okrągły kapelusz, z pod którego wyglądają dwa źle upudrowane pukle, łupież na kołnierzu, ręce długie, chude, ciemne, bez rękawiczek, i źle leżące buty.“

Teraz zaczyna handlować książkami z zagranicą, ale zaraz pierwsza próba ze skrzynią wysłaną do Bazylei nie udaje się.

Niekiedy zjawia się w salonach, gdyż „tutaj, pisze do brata, wszyscy zmierzają do tego, by się rozerwać... Kobiety są

NAPOLEON

wszędzie, w teatrze, w parku, w bibliotece. W pracowni uczonego spotyka się najpiękniejsze dzieci. Zasługują one na panowanie, mężczyźni są zwarjowani, żyją tylko przez nie i dla nich. “

Gdy Buonaparte wchodzi do salonu trybuna Barrasa, który nigdy nie ma dość przepychu, marnotrawstwa i kobiet, by Paryż mógł o tem gadać, i gdy staje między najpiękniejszymi: panią Tallien i panią Recamier, wtedy on, mały, chmurny, kanciasty, może działać tylko umysłem, fantazją, a i wówczas pozostaje dziwakiem.

Zawsze samotny, zwierza się w długich listach tylko braciom. Wychowuje Ludwika: „Jest dobrym żołnierzem. Najbardziej podoba mi się to, że jednoczy wszystko: ogień, ducha, zdrowie, talent, niezawodność, dobroć serca... Będzie z pewnością najlepszym z nas czterech. Coprawda, żaden też z nas nie otrzymał tak dobrego wychowania. “ Zamyśla teraz umieścić też w Paryżu najmłodszego, Hieronima. Z Lucjanem znajduje się w napiętych stosunkach: ten utalentowany brat naśladuje go gorliwie, pragnie go wyprzedzić; znawca ludzi, jak i tamten, jest Lucjan pierwszym człowiekiem, który rozumie Napoleona całkowicie, a rozumiał, mając lat siedemnaście, dwudziestotrzyletniego: „Odkryłem, pisze do starszego, w Napoleonie ambicję, może nie samolubną, ale większą, niż jego miłość dobra publicznego. W wolnem państwie byłby zapewne niebezpiecznym człowiekiem. Wydaje mi się stworzony na tyrana i sądzę, że byłby nim, gdyby został królem. Conajmniej imię jego stałoby się dla potomności i dla wrażliwych patriotów postrachem. “ I to wspańiałe przewidzenie nie jest w ustach Lucjana tylko grą myśli: jego własna ambicja pali go tak, że w tym czasie, w tym kraju, takie wybicie się brata uważa za możliwe i martwi się zgóry, gdyby tamten miał go prześcignąć.

Ale on jest zgaszony. Zazdrości już Józefowi, którego pieniądze i wesołość uczyniły niezależnym. Ten ofiarowuje mu wszelką pomoc w poleceniach i papierach i radzi za zdewaluowane pieniądze kupić tanio majątek. Coprawda, czytamy też w liście do starszego brata: „Twój (polityczny) list jest za oschły, musisz nauczyć się jeszcze pisać inaczej“.

WYSPA

Ognisko domowe! Pragnie posiadać własne ognisko, jak tamten. Coraz silniej nalega w listach do niego, by zapewnił mu piękną, bogatą szwagierkę, od której już oddawna otrzymuje czułe listy. Gdy ona jednak nie może się zdecydować, on żąda jasnego postawienia sprawy. Widzi, że brat jego, że jeden z przyjaciół ożenili się dobrze, że koledzy równego wieku są wodzami na zdała widnych stanowiskach. Tylko on sam, pełen kłębiących się myśli i fantastycznych projektów, jest beczynny i samotny.

„Jeśli wyjedziesz na czas dłuższy, pisze do Józefa, to przyslij mi swój portret. Żyliśmy ściśle tak długo, że serca nasze zlały się w jedno: wiesz najlepiej, jak bardzo moje do ciebie należy. Pisząc te wiersze, jestem wzruszony, jak nigdy, czuję, że nie zobaczymy się tak prędko i nie mogę pisać dalej. Bądź zdrow, przyjacielu!“

Dusza jego jest tkliwie nastrojona, niekiedy opada go zniechęcenie: „Piąć się ze stopnia na stopień mało przystoi awanturnikowi i człowiekowi, który szuka szczęścia.“ I wreszcie mówi: „Życie jest lekkim snem, który się rozpływa.“

XIII.

Nagle wszystko nabiera ruchu.

Zmienia się minister wojny, nowy chce na froncie A^łoskim zaprowadzić szybko zmiany. Czy nie zna kto człowieka, który mógłby tam objąć komendę? Drugi, trzeci podaje pytanie dalej, czwarty poleca Buonapartego. Wzywają go do ministerstwa. On, którego myśli i oczy od lat tkwiły na tem wybrzeżu, na tej granicy, podaje natychmiast całkowity plan wyprawy do Górnej Italji, przeciw Sardynji i Austrji, oparty na dokładnej znajomości przesmyków Alpejskich, pogody i śniegu, siewu, plonów, zarządu, nastroju, charakteru krajów i ludzi. Po zdobyciu Lombardji, między lutym a lipcem, trzeba odebrać potężną Mantuę Austrjakom, potem zwrócić się na północ z siostrzaną armją, stojącą nad Renem, złączyć się w Tyrolu, zagrozić Wiedniowi i w ten sposób zmusić Cesarza do pokoju, który spełni wszystko, co fantazja Francji obiecywała sobie od lat.

NAPOLEON

Minister stoi osłupiały wobec katarakt tego mózgu: „Myśli pańskie, generale, są świetne i śmiałe, trzeba je zbadać. Niech pan napisze sprawozdanie dla komisji, niech się pan nie śpieszy.“

„Mój plan jest gotów. Mogę napisać go w pół godziny.“

„Znakomity, oświadczają panowie po przeczytaniu go, choć nie do przeprowadzenia.“ Bądź co bądź, taka głowa musi znaleźć się w oddziale operacyjnym. W kilka dni potem siedzi tam, gdzie stanowi się o wszystkim.

Jest to wielka chwila, decydujący dzień w jego młodości. Teraz stoi nareszcie na progu swej kariery, powołany nagle, jak wszystko następowało nagle w tej wybuchowej epoce. Od dnia dzisiejszego, gdy ma okragło lat dwadzieściasześć, będzie przez lat dwadzieścia z nieprzerwaną mocą ciągnął za sobą łańcuch swych myśli i czynów do tego samego celu. Nagle, od dziś za lat dwadzieścia, łańcuch się urwie.

Zaczyna się praca Napoleona. Z ognistą dzielnością, dbały o najmniejszy drobiazg, gdyż dążący do tego, co największe, załatwia od dnia dzisiejszego „sprawy“; zasłona podnosi się; znajduje on tu najtajniejsze wiadomości o wszystkich armjach Republiki. Jednocześnie codzienne obcowanie z władcami cywilnymi zdobywa mu powagę. Urok jego osobowości zaczyna działać.

Czegóż przedewszystkiem pragnie dla siebie? Ani Wandei, ani armji reńskiej, wielkości uchwytnych i dostępnych. Tu, w centrze wszystkich rzeczywistych frontów, nic nie nęci go tak, jak żywiąca się tylko jego fantazją komenda na placu boju, który nie istnieje, lecz który on dziś stworzyć pragnie i będzie chciał stworzyć jeszcze po latach siedemnastu. Jest nim Azja. Zaraz po wstąpieniu tłumaczy w sposób przekonywujący jak ważną rzeczą jest aktywowanie Turcji, wprowadzenie artylerji i nowoczesnego sposobu wojowania nad Bosfor, by zwrócić je potem przeciw Rosjanom i Austriakom. Widzi się już u sułtana, zdała od czujnych oczu tych wiecznych republikanów, w ciemnym, zamkniętym, żadną nauką wolności niewstrząsanym kraju, gdzie jeszcze czynić można, co się chce. W dwaście dni po wstąpieniu do ministerstwa, prosi o przeniesienie do Turcji.

Ale zatrzymują go, potężni przeciwnicy już się go boją i chcą go stąd wyprzeć: na front. Wtedy odrzmiwia jego protest

w zgoła nowym tonie: antycypując wszystkie swe powodzenia, które nosi w piersi, zaczyna rozkazywać. „Generał Buonaparte, który dowodził artylerią w najtrudniejszych warunkach i przyczynił się do największych powodzeń, spodziewa się, że sprawiedliwość członków komisji przywróci go znów do dawnych czynności i oszczędzi mu tej boleści, że miejsce jego zajęli ludzie, którzy trzymali się zawsze na boku... i dzisiaj występują, by zagarnąć owoce zwycięstw, ominąwszy ich niebezpieczeństwa.“

W trzeciej osobie, w spizowym stylu dziejopisarstwa: po rzymsku.

Nic nie pomaga, po raz drugi skreślają uporczywca z list, po raz drugi musi ustąpić. Ale teraz czuje, że czas jego bliski; nic nim już nie wstrząśnie. Grozi nowa zmiana rządu; donosi bratu o nowym przewrocie; osobiście jest na dobrej stopie z wszystkimi przewodcami stronnictw, którzy będą rozdawać stanowiska w armji. „Widzę w przyszłości tylko rzeczy przyjemne, a gdyby miało być inaczej, to trzeba przecie żyć terażniejszością; człowiek odważny gardzi przyszłością.“

Ponieważ nią gardzi, ona służy mu. Podobnie szczęście mu się będzie odtąd z ludźmi.

W dwa tygodnie po owem oznajmieniu wybucha zatarg między rządem a umiarkowanymi, za którymi stoją rojaliści. Znow jak przed trzema laty, bulwary stają się widownią walki. Gwardje narodowe są czterokrotnie tak silne, jak wojska rządowe. Czy przez ostrożność, czy z tchórzostwa, generał konwentu wchodzi w układy. Zową go zdrajcą i aresztują. Bezbronny konwent zbiega się, drżąc przed radykałami z lewicy i prawicy, którzy z różnych powodów kroczą razem.

Buonaparte spieszy wieczorem na trybunę, gdyż teraz trzeba szukać następcy; słyszy, kogo proponują: nazwiska jego rywali. Jakże bije serce milczącego widza: czy na dole w sali padnie jego nazwisko? A jeśli padnie, to czy ma podjąć się tym razem tego, co odrzucił za Robespierre'a? Czyż lud nie darzy nienawiścią każdego przewodcy i to właśnie dla jego powodzenia? — Mianujcie Buonapartego! Tak, to jego nazwisko; on zastanawia się „prawie pół godziny w sobie.“ — Sławy posłannictwo takie nie przynosi, ale przynosi władzę,

NAPOLEON

myśli i staje przed komisją. Minęła północ, rano oczekiwany jest szturm tłumu, wszystko musi być gotowe w przeciągu kilku godzin.

W tem położeniu żąda zupełnej wolności od wszelkiego cywilnego nadzoru: niesłychana rzecz na terenie rewolucji, do której nowych zasad należy właśnie nadzór nad niebezpiecznymi wojskowymi. „Jeśli mnie mianujecie, to jestem odpowiedzialny i muszę mieć wolną rękę! I dzisiaj też tylko komisarze ludowi wtrącili generała w straszliwe położenie. Czekacie może, by lud dał nam pozwolenie strzelania do ludu?“ Tylko z Barras'em, podówczas najpotężniejszym z dyktatorów, chce dzielić komendę, gdyż ma go w rękach. Minuty śpieszą, niema wyboru, powierzają mu ochronę rządu: w dwa tygodnie po skreśleniu go z list.

Od lat siedmiu lud paryski, idąc do czynu, spotykał zawsze tylko improwizowanych przeciwników: dlatego rewolucja mogła się rozwijać. Buonaparte pierwszy przygotowywa się do walki, zmienia konwent w przeciągu jednej nocy w twierdzę, sam uzbraja trwożnych deputowanych, którzy teraz przerażają się jeszcze bardziej, słysząc, że mówi się o armatach.

Młody oficer jazdy podejmuje się sprowadzić z przedmieścia czterdzieści armat; zwie się Murat i zaczyna dziś jednocześnie z swym szefem wielką karierę. Za miastem spotyka tłum, który, jak i on, szuka armat. Bez nich nie może Buonaparte bronić konwentu: upływają godziny rozpaczego napięcia, w których jednak trzeba w zupełnym pokoju rozdzielić małą armję. Wreszcie o godzinie piątej rano, słyszy turkot swych starych przyjaciół, dział: Murat i jego ludzie byli konno, więc im się poszczęściło. Naprzód! Za dwie godziny muszą wszyscy być na stanowisku!

W dobrze uzbrojonych secinach nadciąga groźnie tłum, w środku drżą adwokaci, trybuna drży od mów, że trzeba wejść w układy, cofnąć wojsko; niebezpieczny widok odbiera w świetle dziennem cywilom zupełnie odwagę, nastrój chwije się, popołudniu ustępuje część wojska i chce się bratać. Zmierzcha się: teraz lub nigdy! Czyż komendant ma dopuścić do triumfu tłumu? On, który wyśmiał już słabość króla Ludwika, ma teraz sam ściągnąć na siebie hańbę, — a przecież, trzyma rękę na lawecie?

Prawdopodobnie Buonaparte nakazał pierwszy strzał, może wymógł rozkaz na Barrasie, acz w sprawozdaniu i później przysięga, że przeciwnicy mają tę „zbrodnię na ludzie francuskim“ na sumieniu. Ale pada grom, armaty jego zwyciężają, bruk czerwieni się, tłum pierzcha i w dwie godziny ulice są puste. W nocy pisze do brata: „Nareszcie, wszystko przeszło ; pierwszym mem pragnieniem jest dać ci wiadomość... Ustawiliśmy nasze wojska, tłum zaatakował nas koło Tuileryj, zabiliśmy gromady ludzi, mieliśmy 30 zabitych i 60 rannych. Rozbroiliśmy seciny, wszystko spokojne. Jak zawsze nie jestem wcale ranny. Generał brygady Buonaparte. Dopisek: Szczęście mi sprzyja. Ukłony dla Dezyderji i Julji.“

Jest to Napoleona pierwszy biuletyn o zwycięstwie: nieprzyjaciółmi są Francuzi, polem bitwy Paryż, zbrodniarzami radykali, przewaga zabitych po stronie przeciwnika, podpis, który przedtem lub potem zawierał tylko nazwisko, opatrzony jest dziś tytułem: wszystko obliczone jest na efekt. Ale zjawia się uczucie i oto w dopisku szepce bratu o dwu sprawack serca: szczęściu i kobiecie.

„Noszę, powiada później, w sobie dwóch ludzi, mózgowca i człowieka sercowego.“

XIV.

Na trybunie konwentu stoi Buonaparte z swymi oficerami, witany oklaskami izby, której młody wybawca jest przedstawiony. Nie słyszy prawie oklasków, teraz i w przyszłości nie będzie upajał się takimi triumfami chwili. Zimnemi oczyma patrzy na salę i myśli: — Więc to są przywódcy narodu? Jakże drżeli, słysząc turkot armat! Nie oduczycie się tego drżenia! Podjąłem się waszej ochrony: będę was chronił, dopóty, aż wszyscy będą mnie słuchać.

Został mianowany — nie mogło obyć się bez tego — dowódcą armji wewnętrznej. Ma moc zwolenników: upośledzonych oficerów, którzy spodziewają się urosć wraz ze skreślonym generałem, urzędników mających powody bać się reakcji: wszystkich, co czują się ocaleni. Ale tłum musi go

NAPOLEON

nienawidzić, gdyż setki nieuzbrojonych obywateli, ciekawskich, kobiet padło owej godziny wieczornej. Cóż mu to szkodzi! Nie dba o to, by być kochanym.

I teraz, gdy ma nagle pieniądze, służbę, powozy, nie potrzebuje niczego dla siebie, wszystkiego dla swoich. Młodzi bracia otrzymują dobre posady, matka może znów zacząć żyć i oszczędzać, Józefowi ofiarowuje kilka urzędów, umieszcza najdalszych krewnych. Ale listy stają się rzadsze i już ton pierwszego jest odmienny: „Nie zaniedbam niczego, co może ci pomóc i przynieść szczęście.“ Brat stał się opiekunem, głową rodziny.

W tych tygodniach, gdy serce jego drży od rozkoszy spełnienia, uwikływa się w jedyną namiętność swego życia.

Dezyderja prześlepiła swą chwilę. Jeszcze przed kilku tygodniami, ze sztabu generalnego, naciskał brata o pośrednictwo i decyzję. „Gorąco pragnę mieć dom!“ Jednocześnie mnożą się w listach glossy o pięknych kobietach z towarzystwa i poczucie jego rośnie wraz z nadziejami. Teraz poznał *la femme de trente ans*, w jej mocy i piękności, i dwóm oświadczył się w szybkiej kolei: korsykańskiej szlachciance, przyjaciółce jego matki i pięknej kokocie, kochance Chenier'a. Obie są o wiele starsze od niego. Obie dają mu odkosza. Ale otoczyła go atmosfera tych artystek miłości, elektryzujących nowe salony: „Całuję obie damy, jedną w usta, drugą w policzek.“ Ponieważ żył dotąd niemal bez kobiet, 6amotne serce jego szybko ulega.

Zaraz po mianowaniu nowy komendant wydaje zakaz posiadania broni, przeszukuje wszystko i ściąga ją. Ale w biurze staje przed nim z wdziękiem dwunastoletni chłopiec i prosi o szpadę zmarłego ojca, którą odebrano jego matce. Wydaje pozwolenie i niebawem odbiera wizytę matki, która przybyła z podziękowaniem. Co za kapryśna, elegancka, czarująca kobieta! Ma lat przeszło trzydzieści, skończonych niewiedomo jak dawno, nietyle jest piękna, ile powabna, smukła bez gorsetu, wytworna a jednak cudzoziemska, o brunatnej cerze, gdyż urodzona jako Kreolka, wyrosła w Paryżu i nauczyła się w czasach terroru zwyciężać wdziękiem.

Gdy odwiedziła generała w jego domku na bardzo dalekiem przedmieściu, dostrzegają jego przez ubóstwo wybystrzone

WYSPA

oczy, że nadrabia ona miną, ale to mu nie przeszkadza. Gdyż ten oficer, który w dwudziestym siódmym roku życia poraz pierwszy ma tyle, by poruszać się z godnością, ceni pieniądze, ale nie ceni bogaczy i jak przez całe życie imponowało mu w mężczyznach tylko ich działanie, tak i w kobietach podoba mu się tylko ich działanie: wygląd, istota i to, co z tego umieją zrobić.

Józefina robi z tego wszystko i wyzyskuje to w dwójnasób, gdyż z tropikalnej swej ojczyzny, z Martyniki, nie uratowała nic, straciwszy męża, wicehrabiego Beauharnais. Była z nim rozdzielona przez długie lata, potem znów połączyła się z nim, gdy z za morza wrócił do Paryża, aż wreszcie stracony został jako rojalista, ona zaś sama wydostała się z więzienia po trzech straszliwych miesiącach tylko dzięki upadkowi Robespierre'a. Odzyskała więc wolność tego samego dnia, który Buonapartego wtrącił do więzienia. Potem całkowicie zubożała wspomagali krewni, ale zawsze żyła bez podstawy z dwójgiem pięknych, dorastających dzieci: Hortensją i Eugenjuszem.

Wskutek takiego zbytkownego ubóstwa, musiała być uprzejma; ale i pozatem wrodzona zalotność i wiecznie czujna żądza użycia czynią ją w każdym położeniu miłośnicą. W tym czasie jest kochanką Barrasa, przyjaciółką jej, piękna Tallien, odstąpiła jej mocarza, wzamian wzięła bogatego bankiera, ale obie panują nad nim, „Wydział dobra publicznego“ daje obom konie i powozy. Jednak pani Beauharnais, dla stanowiska swego, daje cenione obiady, obcuje z obiema partjami; tylko że hrabiowie i markizi bywają u niej bez żon. Stała się prawdziwą awanturnicą rewolucji.

A Buonaparte, którego każdy nowy przewrót może pozbawić stanowiska? Jestże on dziś już czemś więcej, niż awanturnikiem' rewolucji? Gdyby Murat niedawno nie pochwycił był armat, byłby generał rozstrzelany. Niepewne egzystencje.

Cóż łatwiejszego, jak bojącego się ludzi, żyjącego zdała od kobiet mężczyznę, w którego niemej duszy już nauczyciel z Brienne odkrył wulkan, pozbawić rozumu? Posiadłszy po raz pierwszy rzeczywiście kobietę i to znawczynię miłości, zdaje się istotnie spalać przy Kreolce we własnym ogniu. Dla niej jest to szczęśliwy traf, więc z całym chłodem rozważa ona jego plan małżeństwa:

NAPOLEON

„Spotkała pani u mnie generała Buonapartego, pisze do przyjaciółki. On to ma zostać pozostałym po mężu mym dzieciom ojcem, jego wdowie małżonkiem... Podziwiam męstwo generała, zakres jego wiedzy... Ale muszę wyznać: przerażona jestem przemocą, którą stara się wywierać na wszystko. Jego badawcze spojrzenie ma w sobie coś niesamowitego, co imponuje nawet naszym dyrektorom. To właśnie, co winnoby mi się podobać, napór jego namiętności, której dowodzi mi żarliwie, powstrzymuje moje przyzwolenie, które dać chciałam już niejednokrotnie. Czy mogę po pierwszej swej młodości spodziewać się, że długo utrzymam tak burzliwe uczucie, podobne do napadów szaleństwa?“

Ta wyrafinowana dama nie wie, co ją dręczy, ale przeczuwa z niewyraźnym dreszczem, że stała się polem gry żywiołu. Gdyż jeśli mąż, który chce zawsze mieć wszystko lub nic i nie spocznie, póki nie posiędzie wszystkiego, — jeśli ten mąż, który nikomu i niczemu nie poświęcił się nigdy, gdyż wszystkich i wszystko zdobyć musi, — jeśli Napoleon oddał się poraz pierwszy i jedyny całą duszą do człowieka, którego pochwyił w ramiona:

„Czekam na ciebie, jestem pełny ciebie, obraz twój i upajający ów wieczór nie dają spokoju mym zmysłom. Słodka, nieporównana Józefino, cóż pani robi z mem sercem? Gniewa się pani na mnie? Czy smuci się pani? Czy jest niespokojna?... Ale czyż ja sam znajduję spokój, gdy tonę w namiętności, by pić płomień twojego serca, które mnie spalają! Ach, owej nocy spostrzegłem, że obraz twój nie może zastąpić cię nigdy. Wyjedziesz w południe, za trzy godziny zobaczę ciebie, tymczasem, *mio dolce amor*, tysiąc pocałunków! Ale nie przysyłaj mi żadnego, bo palą mi krew.“

Nie wyjawia jej swych planów, ale mówi jej więcej. „Ci dyrektorzy myślą, że potrzebują ich protekcji. Będą szczęśliwi, gdy kiedyś zyskają moją! Swą szpadą utworzę sobie drogę!“ — „Cóż pani myśli, pisze Józefina, o tej wierze w powodzenie! Czyż taka ufność w siebie może wyrastać z czego innego, jak z niezmiernego poczucia własnej wartości? Generał brygady chce protegować naczelników rządu! Nie wiem, ale niekiedy ta śmieszna pewność siebie każe mi właśnie wierzyć we wszystko, co przeprowadzić chce ten dziwny człowiek.“

WYSPA

Ma się wrażenie, jakby się stało przed żelazną bramą tego płomiennego serca i patrzyło przez dziurkę od klucza w pożar tej duszy.

Ale dlaczego bierze kobietę, którą posiada, za żonę? Aby posiadał ją jedyny? Przeciw temu przemawia jego poczucie siebie; łudziłby się też. Czy dla korzyści? Nie obiecuje mu ona ani pieniędzy, ani wpływu u możnych, którego by już nie posiadał. Oczywiście mogła mu być pożyteczna, oczywiście pochlebia mu jej stare szlachectwo i słusznie obliczył, że ona, która obcowała też ze starym rządem, jako żona jego rozprószy ostatnią wątpliwość, jakoby był „tylko Korsyką-ninem“. Ale właśnie jako taki, swym zmysłem rodzinnym Włocha, dziedziczonym od wieków i opanowującym nawet jego, szuka szlacheckiego zmieszania krwi. Czyliż ten całkowicie na sobie oparty charakter nie musi pragnąć namiętnie przedłużenia własnego ja?

Dziedzic, jedyna rzecz na świecie, której Napoleon sam zrobić nie może, musi wyjść z dobrego materiału. Ponieważ nie był człowiekiem z ludu, lecz wzrósł w walkach starych domów, pod herbem z dwiema gwiazdami, które w jedną gwiazdę chce stopić; ponieważ tylko dla uciechy z pierwotnego czynu, nie zaś dla uczuć humanitarnych pomagał przełamywać“ uprzedzenia do tłumu, więc cóż mogło go skłaniać do mieszania się z krwią ludu? Wziął za żonę tę kobietę, która oddawna nie odmawiała mu niczego, gdyż po mieczu i po kądzieli pochodziła ze starej szlachty. To właśnie, obok jej powabów, czyniło ją pożądaną w salonach mimo jej opinję i położenie. Barras, najpotężniejszy wśród dyrektorów, stawia po walce ulicznej na Buonapartego, ma też powody do zmiany gabinetu i pragnie związać go z zalotną przyjaciółką. W sferze erotycznej wolności ten byłby śmieszny, toby nagle wysuwał sprawy honoru. Niema już rycerzy, są tylko obywatele i obywatelki, którzy wedle upodobania łączą się i rozchodzą.

Barras, zdecydowany oddawna postarać mu się o dowództwo w Italji, przyrzeka to teraz stanowczo niewieścio niezdecydowanej wicehrabinie. Ma też powody oddać niebezpiecznemu mężowi najgorszy front. Jego wielki plan, który otworzył mu drzwi sztabu generalnego, wysłany jest do Nizy, wraca jednak z uwagą komendanta, że ten, kto

NAPOLEON

to pisał, jest warjatem, niech sam spróbuje to wykonać. Taki jednak był zamiar dyrektorów: odwołali tamtego, a mianowali warjata.

Ponieważ uprawnił się, rozsądna Józefina nie zwleka dłużej. Jeden z przyjaciół jako notariusz poświadcza, że z blokowanej jej wyspy rodzinnej w Ameryce nie można wydostać teraz metryki chrztu i przeto trzeba jej wierzyć, że ma dopiero lat 28. Ponieważ ona podaje się za młodszą o lat pięć, on z grzeczności podaje się za starszego i tak małżeństwo zaczyna się dwiema sfałszowanymi datami. Podpisują podział dóbr, choć wicehrabina nie posiada nic prócz długów, a wódz oświadcza, że posiada tylko ubrania i uniform. Wesela im nie trzeba.

Ale on na pierścieniu każe jej wyryć: „Losowi!“

W dwa dni później opuszcza Paryż. Z jedenastu postojów pisze do niej jedenaście warjackich listów miłosnych. W Nizzy łączy się z swą armją i obejmuje komendę, która powiedzie go poza granice Europy.

Są to czasy porównania dnia z nocą, morze jest burzliwe. On spogląda z wieży ku nieprzyjacielskiemu brzegowi i myśli: — Oto punkt, z którego pragnąłem odbić. Poza mną leży Paryż i jej sypialnia, cała wyłożona lustrami, to jest szczęście. Posiadam je. Ale tam, poza górami, w kraju nieprzyjacielskim, leży sława. Tej pragnę.

Odwróciwszy się, widzi dobrze znaną linię gór znikającą w błękicie. Nie przykuwa go już ona.

To ojczyzna stracona. To wyspa.

KSIĘGA DRUGA

P O T O K

„ Tak boskie oświecenie jest zawsze w związku z młodością i produktywnością; tak też Napoleon był jednym z najproduktywniej szych ludzi, jacy żyli kiedykolwiek“.

GOETHE

I.

Białe szczyty potwornych ścian wdzierają się w błękit poranny. Lśniąciami lodowcami, niebezpiecznemi, jak ta wyprawa, promienieją i grożą Alpy nad zatoką i szczydą z rojących się ludzi. Przemózna natura dała tu wodzowi symboliczny postój: tu dzieli ona kraj jego ojców od jego ojczyzny.

Ale on, nie ufający nigdy tylko sile, prześcigający zawsze siłę rozumem, niedarmo od lat parął się starem zagadnieniem. Choć Hannibal przekroczył Alpy, on pragnie je obejść. Jeśli się nieprzyjaciela tego ujmie w najszlubszym punkcie, tam, gdzie Apeniny napierają ku Alpom, to nietrzeba czekać lata. Im wcześniej, tem śnieg jest twardszy, tem mniejsze niebezpieczeństwo lawin. Naprzód! w kraj moich ojców!

Gdyż pozostać tu, znaczyłoby zginąć. Nie dlatego, jakoby nieprzyjaciel napierał nań, ten śpi na leżach zimowych, Austriak na wschodzie, Sardynczyk na zachodzie Lombardji, a także i liczne małe republiki i księstwa, strzepy Italji, nie spodziewają się nieprzyjaciela przed odwilżą. Ale żołnierze francuscy głodują, Paryż, któremu zdewaluowany pieniądz grozi zagładą, może posyłać im tylko śmieszne asygnaty, a co pośle, to pożerają dostawcy. „Francja zadrżałaby, pisze tuż przed przybyciem Napoleona pewien generał do domu, gdyby mogła policzyć tych, którzy tu giną od głodu i zarazy.“ Cóż czyni nowy wódz, nie mogąc przywieźć pieniędzy ni chleba?

„Żołnierze! Jesteście bez odzieży, źle odżywiani, macie wymagania w stosunku do rządu, ale on nic nie posiada. Wasza cierpliwość i odwaga wśród tej pustki skalnej są godne podziwu, ale nie przysparzają wam ani sławy, ani chleba. Zawiodę was do najurodzajniejszych równin świata! Kwitujące prowincje, bogate kraje oczekują was! Znajdziecie tam sławę, rozkosz i bogactwo. Żołnierze armji włoskiej: czyż może wam wobec tego zabraknąć odwagi i wytrwania?“

Słaby okrzyk odpowiada nowemu wodzowi z szeregów tych, do których on podczas pierwszej parady zwraca te słowa; gdy

NAPOLEON

jednak wszyscy znów znajdują się na biwaku, mówią pomiędzy sobą: — Niezbyt tego wygląda on z tą żółtą skórą. Niech sobie gada piękne słowa o swych urodzajnych równinach. Niech naprzód da nam buty, byśmy mogli zejść do nich! — Czyż nie tak samo czuł lud Izraela, gdy wódz przyrzekał mu Ziemię Obiecana? Wódz czuje i spotyka się tylko z oporem.

Bo i któż zna go w tej armji, która od trzech lat stoi na grzebieniach górskich, i której jedna ćwierć leży w szpitalach, druga padła, dostała się do niewoli lub uciekła? A oficerowie? Czyż nie muszą, jak owi kapitanowie w Auxonne przed siedmiu laty, zamiast oddania okazywać raczej milczącego oporu temu dziwnemu młodzieńcowi? Gdy siedzi, pisze, rachuje, w niehaftowanym surducie, z pudrowanemi włosami, obciętemi pod kątem prostym z przodu poniżej uszu, ale z tyłu opadającemi w całej długości na bary; gdy chodzi i dyktuje, cudzoziemiec, mówiący wciąż jeszcze błędnie po francusku, to w całym sztabie niema nikogo, ktoby mu sprzyjał, poza trzema czy czterema wiernymi, których przywiózł z sobą i z których jeden donosi: „Uchodził albo za matematyka, albo za fantastę.“

A gdyby był jednym i drugim i właśnie w ten sposób genjuszem?

Przedewszystkiem zdaje się być tylko rachmistrzem. „Żądają ode mnie — pisze natychmiast do dyktatorów i otwiera tem samem wyprawę listowną, którą prowadzi obok wyprawy z jazdą i działami — żądają ode mnie cudów, a tych ja zdziałać nie mogę... Tylko ostrożnością i rozumem osiąga się wielkie cele... Jeden krok dzieli zwycięstwo od klęski. W wielkiej mierze przekonałem się, że ostatecznie tylko drobiazg rozstrzyga zawsze w największych sprawach.“ Wobec Carnota, wielkiego organizatora armji, któremu może niejedno szepnąć na ucho, czego urzędowo wyjawić nie chce, zgrzyta zębami: „Niech mi pan wierzy, że nie posiadam tu ani jednego oficera inżynierji, któryby uczestniczył w oblężeniu!... Nie może pan sobie wyobrazić, jak się wściekam, że nie mam wcale artylerji!“ Istotnie, ma naogół 24 działa górskie, 4000 chorych koni, 300 000 franków w srebrze, żywności dla swych 30 000 ludzi na miesiąc przy połowie racji. Temi szczątkami ma zdobyć Italję.

Ale zdobywszy się raz na odwagę, robi, co może z tego, co zastał i wpadłszy, jak wichher, tworzy z kupy nędznych,

POTOK

zdemoralizowanych ludzi, z korpusów, z których kilka śpiewa znów hymn królewski, przez nieprzerwaną działalność armję republikańską.

Wyciąg z aktów trzeciego dnia po przybyciu: Odprawa 110 robotników z budowy dróg. Stłumienie buntu pewnej brygady. Podział dwóch dywizyj artylerji. Rozkazy do dwóch generałów na wypadek kradzieży koni. Odpowiedź na życzenie dwóch innych w sprawie komendy. Rozkaz do generała w Toulonie, by wojska swe dostawił do Nizy. Rozkaz do innego generała, by zebrał gwardję narodową z Antibes. Rozkaz do pewnego generała, by w powstańczej brygadzie wyszukał dzielnych oficerów. Przemowa do sztabu generalnego. Przegląd wojsk z rozkazem dziennym. W pierwszych dwudziestu dniach wychodzi 123 pisemnych rozkazów tylko w sprawie wyżywienia wojsk, wśród tego liczne skargi z powodu sprzeniewierzenia, fałszywej wagi, lichego towaru i to w marszu, z dwunastu kolejnych kwater głównych, między sześcioma potyczkami.

Gdyż ledwo przekroczył ciasne przesmyki, natarł wszystkimi swemi siłami naprzód na jednego, potem na drugiego ze sprzymierzonych wrogów, pobił ich w dwóch bitwach i rozdzielił. Właściwie są to tylko utarczki straży przednich, odpowiadające usposobieniu Francuzów i wychowaniu tych wojsk, którym obcy jest jeszcze wielki ruch w otwartych linjach: tu działa raczej tempo i śmiałość, niż szachowa sztuka wodza.

Wśród tej przyśpieszonej jazdy przez przesmyki, doliny, wąwozy, wśród huku dział nieprzyjacielskich i własnych: pęka mu nagle w kieszeni surduta stokrotnie całowane szkło na minjaturze Józefiny; on blednie, jak młokos, wstrzymuje konia i mówi do Bourienne'a: „Szkło pękło. Moja żona zachorowała lub zdradziła mnie. Naprzód!”

Wszystko zawisło od tego, by spełnić pierwsze zuchwałę przyrzeczenie. Wie, że jeśli tym razem spełni to, co obiecał, wtedy armja uwierzy mu, a gdy jemu uwierzy, to wnet uwierzy w niego! Istotnie w dwa tygodnie po jego proroczem przyrzeczeniu, armja, która zwyciężyła już podczas zstępowania, staje naprawdę nagle na ostatniej wyżynie: woła, wydaje okrzyki radości! Po nieskończonym zastoju w rozpadlinach widzi

NAPOLEON

naraz u swych stóp niezmierną równinę piemoncką, w kwiecie wiosny, ofiarującą jej wszystko, czego tak długo jej brakło. Pad i inne rzeki płyną w dali, nareszcie świat śnieżny został za nimi, „jakby mocą czaru padła olbrzymia zaporą, która zdawała się jakby granicą innego świata.“

Wszystko to wasze! Już bowiem wódz zmusił króla Sardynji, jednego z dwóch przeciwników, do zawieszenia broni, między innymi do wydania wszystkiego, co u niego rośnie. To pierwsze swe zawieszenie broni osiągnął Buonaparte podstępem wojennym i przechwałką, grożąc strasznymi siłami, których nie posiadał, ani też, z dwu stron ściśnięty, mógłby wciągnąć do gry. Wojska zdumiewają się: ten człowiek umie dotrzymać słowa! W dwa tygodnie spełnia dosłownie, co przyrzekł!

Od tego dnia żołnierz przylgnął do Bonapartego. Gdyż tak podpisuje się on od pierwszego aktu tej wyprawy; odkąd Włochy są jego przeciwnikiem, odrzuca włoskie nazwisko.

Niebawem zmieni nazwisko poraz drugi.

II.

Dlaczego zwyciężył? Dlaczego w najbliższych tygodniach zwycięża raz po raz? W czym tkwi tajemnica?

Przedewszystkiem w jego młodości i zdrowiu. Posiada ciało, którego nie męczy żadna jazda, i sen, który każdej chwili na rozkaz jego mózgu zaczyna się i kończy; żołądek, który znosi wszystko i któremu niczego nie trzeba; oko, które wszystko widzi i porządkuje.

Ale tylko rewolucji zawdzięcza to, że w pełni wszystkich wspaniałych sił, jako człowiek dwudziestosiedmioletni, może być pierwszym i wypróbować się w nieograniczonej dyktaturze. Tylko z nowej myśli o równości i po tak surowych latach terminatorstwa powstają wodzowie o takiej młodości; tu znaczy wszystko czyn, nic urodzenie.

Jakżeżby też zwalczający go, piękny arcyksiążę Karol, z swym delikatnym nosem habsburskim, po swem wychowaniu, miał mu sprostać w znojach; jakżeby miał dorównać mu w jasności sądu o ludziach! Cóż począć może przeciw tam-

POTOK

temu wódz austriacki Beaulieu: ma lat 72, tamten 27. Generał Goili cierpi na podagrę i niosą go skroś wojnę, Alwinczy liczy lat 65, a drugi przeciwnik, król Sardynji, jest starcem. Cóż może zacytować generał Wurmser, głuchy, powolny, starszy pan, swemi ostrożnymi poruszeniami przeciw człowiekowi, który codzień zdolny jest związać główną kwaterę, otacza się tylko młodymi ludźmi i mówi: „Czas jest wszystkim!“

Najstarszy z jego otoczenia ma lat 42, jest to posłuszny Berthier, którego przejął od poprzednika dla jego znajomości kraju i który pozostanie przez lat dwadzieścia jego niewolniczo oddanym szefem sztabu. Obok niego płomienny Massena, zrazu chłopak okrętowy, włóczęga, który służył pod Bourbonami lat 14, nie mogąc zostać sierżantem, zostaje teraz w parę tygodni generałem. Dalej samochwał Augereau, zbieg z trzech armij, awanturnik i wielki złodziej: wszystko osobniki z piekła społecznego, z których ich wódz, najmłodszy, porobi szybko bohaterów i wodzów, a później książąt.

W każdym sprawozdaniu poleca tych i tylko tych, którzy byli waleczni; ot, grenadier po trzech bitwach zostaje pułkownikiem i zajdzie kiedyś jeszcze wyżej. Natomiast niektórych generałów, których przejął, odrzuca z gniewnymi słowami: „Dobry dla biura, nie był nigdy na wojnie.“ Jeśli ktoś został odparty, nie popada jeszcze przeto w niełaskę: „Losy broni, drogi Massena, zmieniają się codzień, jutro, pojutrze odzyskamy to, co pan dziś stracił.“ Natomiast złej dywizji każe wystąpić, lży ją, chce sztandar jej shańbić szyderczym napisem; wtedy rozlega się okrzyk żołnierzy: „Chcemy tworzyć jutro straż przednią!“ Kiedyindziej przysparza sobie tysiąc zapalonych żołnierzy. Gdy zwyciężą, woła do nich w rozkazach dziennych: Koledzy! Przyjaciele! Tak dowodzi synami ludu.

Gdyż dowodzi wojskiem ludowym, to druga sprawa; i to również jest zasługą, ba, formą rewolucji. Z tamtej strony nieprzyjaciół musi oszczędzać swych żołdaków, kosztują zbyt dużo i niełatwo ich zastąpić. Pochodzą z większej liczby narodów, niż je posiada nawet cesarz niemiecki, mówią sześciu językami, nie łączy ich żadna myśl wspólna. Ale tu walczy jeden, trzydziestomiljonowy naród, władny i zdecydowany odnawiać się ciągle, przez lat dwadzieścia.

NAPOLEON

Poco walczy ten naród? Poto, by swą nową wolność, kilka ubogich myśli, rozprzestrzenić po świecie: pragnie rewolucji światowej, nic więcej. Żadną jednak miarą nie wyruszył w świat z pobudki idealnej; musi strzec dobra wolności przeciw prawowitości, która powstaje dokoła i pragnie bronić bardziej siebie, niż strąconych Bourbonów. Nie tak dzieje się na granicach. Francja, otoczona królami i cesarzami, którzy ludom swym wybijają z głowy wszelkie naśladownictwo i pragną wytrzebić nowe idee w ich centrze, Francja, która umiała się obronić, wciągnięta jest tem samem w ofensywę. Jeśli tym sposobem, mimowolnie zostanie zdobywczynią, to zdobycz w imieniu wolności będzie tylko słuszną odpłatą.

To jest punkt trzeci. Wódz, starając się zdobyć Lombardję, a potem Italję dla Francji, głosi od pierwszego dnia w szeregu manifestów ludom, iż przychodzi, by uwolnić je od ucisku Habsburga i Sardyńczyka, książąt i szlacheckich senatów. Czyliż wszystko, co pęczniało niezadowoleniem, nie musiało rzucić się w rwący potok tych okrzyków? Gdzież był urzędnik lub namiestnik, książę lub wójt, któregooby tłum uciśniony dawno nie pragnął przepędzić? Czyż rewolucja nie przerzucała oddawna z kraju sąsiedniego swych myśli przez granicę, czyż nie parła w wielu miastach do buntu studentów i mieszczan? I tu istniała młodzież wzywająca wolności, wołająca daremnie o *Italia Unita*: groźnie dzwonił łańcuchami spętany jeszcze bunt u bram królów. Wszystkie te duchy przyjmowały burzliwe wojsko z dobrą wiarą w wysokie jego posłannictwo.

Ten wódz krwi czysto włoskiej, z swem nazwiskiem i mową ojczystą, nie był dla nich zgoła wojownikiem Francji; był zwiastunem wolności i równości, na czele każdego listu widniały te dwa wielkie, niebezpieczne słowa. Straszliwy byłby zawód, gdyby to przybył tylko ktoś, pragnący uciskać cudzoziemców! Od nastroju zależy wszystko, wódz rozumie to i pojmuje w lot dylemat: czyż może swych znędzniałych ludzi utrzymać w takiej karności, jak armję, która dopieroco opuściła tłusty garnizon?

„Grabież ustaje, pisze do domu, pierwsze pragnienie armji, której brakło wszystkiego, jest zaspokojone. Biedakom można przebaczyć: trzy lata stali na alpejskiej granicy i nagle dostali się do ziemi obiecanej!... Żołnierz pozbawiony chleba ulega



POTOK

wybuchom wściekłości, wobec których trzeba się wstydzić, że się jest człowiekiem... Pragnę przywrócić znowu porządek, albo zrzeknę się dowodzenia zbójami... Jutro każę rozstrzelać szereg żołnierzy i kaprała, którzy ukradli naczynia kościelne. W przeciągu trzech dni zaprowadzę karność. Italja zdumieje się powściągliwością naszych wojsk, których męstwo podziwia. Bywały straszne chwile: zdarzały się rzeczy, które mnie przejmowały dreszczem! Bogu dzięki, wróg postępował w odwrocie jeszcze gorzej.“

Przemawia ludziom swym do honoru: „Przysięgnijcie mi, woła w jednym z pierwszych manifestów, że będziecie szanowali ludy, które wyzwalacie: w przeciwnym razie byłibyście biczeniami udu! Wasze zwycięstwa, wasza odwaga, krew naszych poległych braci poszłyby na marne wraz z honorem i sławą. Ja i generałowie wstydziłibyśmy się dowodzić niekarnem wojskiem!“ Niesposób przeprowadzić tego mimo zakłęb. Z trudem wlecze odtąd za sobą przez całą wyprawę więzienny łańcuch grabieżców, wciąż nowe rozkazy polecają generałom rozstrzelać każdego, kto w przeciągu dwudziestucztu godzin nie odda własnowolnie zabranych rzeczy, nawet konia lub muła.

Zdarzają się bunty i reakcje: księża i szlachta, agenci książąt, podżegają jakieś miasto do odporu. Wtedy bezlitośnie pali się wszystko i rozstrzeliwa każdego, kto w zdobytym kraju powstaje przeciw nowemu panu. Ale to zdarza się rzadziej, gdyż w miastach inteligencja duchem obywatelskim przyjmuje nowy porządek, który rozwija się wspaniale. Gdyż Bonaparte — i to jest znów jedno z źródeł jego powodzenia — porozumiewa się z Włochem w jego mowie, umie używać słów, przykładow, nazwisk historycznych, starego patosu: „Ludy Italji! Armja francuska przybywa, by skruszyć wasze łańcuchy! Jest ona przyjaciółką wszystkich ludów. Ufajcie! Własność, obyczaj, religja, wszystko będzie uszanowane!“ I potem mówi do nich o Atenach, o Sparcie, o starożytnym Rzymie.

Ożywia go historja! Gdy on sam wkracza szybkimi ruchami w jej dziedzinę, ona uskrzydla jego ducha. Poznawszy jako młody chłopak Plutarcha, a jako porucznik dzieje powszechnie, korzysta teraz z tej znajomości co chwila. — Wiedząc, kto w jakim kraju panował, znając powstanie rządu,

który obala, traktuje każdy szmat ziemi inaczej. Ponieważ nieustannie przed oczyma jego unoszą się uwiecznione postaci, którym chce dorównać, które chce przewyższyć, pojmuje wszystko, co robi, natychmiast historycznie i narzuca już swej armji, krajowi, całej Europie to samo uczucie. Właśnie te pierwsze zwycięstwa, któremi faktycznie rozstrzygał tylko większe potyczki, czyni zapomocą słowa natychmiast bitwami, te bitwy zaś historją i osiąga połowę efektu słowem. Stale sugeruje krajom, że są oswobodzone, żołnierzom zaś, że wszystko czynili sami i dla siebie.

„Żołnierze! woła do nich w Medjolanie. Jak potok rzuciliście się z wyżyn Apeninów... Medjolan jest wasz... Jesteśmy przyjaciółmi wszystkich ludów, zwłaszcza jednak potomków Brutusa, Scypjona i wszystkich tych wielkich mężów, którzy są naszymi wzorami. Przywrócenie Kapitolu, ustawienie tam posągów bohaterów, obudzenie ludu rzymskiego, który przez wieki drzemał w niewoli: oto owoc waszych zwycięstw, które potomność będzie podziwiać! Zyskaliście tę nieśmiertelną sławę, że najpiękniejszemu krajowi Europy nadaliście nowe oblicze... Potem wróćcie do swego gniazda rodzinnego i współobywatele wasi będą wskazywać na was i mówić: Oto ten był w armji italskiej!“

Kiedyż to wódz przemawiał do wojsk i ludów, do współpracowników i wrogów w tak porywającym tonie! Któż przed nim umiał tak jak on działać na fantazję zamiast na posłuch! Pod Arcole woła już do wojska: „Czyście tchórzami, czy też zwycięzcami z pod Lodi!“ W kilka miesięcy później będzie ich znów podzegał jako zwycięzców z pod Arcole. „Przekroczyliśmy Pad, druga wyprawa zaczęta“, pisze do dyrektorów i gdy z doskonałą sztuką stylizuje sprawozdanie dla Paryża, to wprawdzie podaje prawdę, ale już w ukutej formie, która rozwija się żywcem, gdy tylko przez rząd dostanie się do prasy, a stamtąd za granicę.

Buonaparte wykończył własnem piórem to, co zdobył jego miecz.

III.

„Otrzymałem waszą ugodę z Sardynją. Armja uznała ją.“ Strach przejął dyrektorów przy czytaniu tego zdania, tem większy, że radość unosiła się nad chorągwiami, które gromadziły się w Paryżu. Kiedyż to generał ważył się tak przemawiać do swego rządu! „Za ten list należałoby młodego bohatera rozstrzelać!“ wołają przeciwnicy. Ale już nazwy jego zwycięstw, zdobycie Lombardji, stworzyły mu u ludu takie stanowisko, którego nie można było zaczepić. Już komisarzowi rządu, swemu korsykańskiemu ziomkowi, Saliceti'emu, gdy ten przybył niedawno do obozu, odebrał głos i sam podpisał zawieszenie broni z Sardynją. Podczas tego pierwszego występu swego w roli dyplomaty, gdy chciano odeń coś wytargować, wyciągnął zegarek, oznaczył godzinę swego najbliższego natarcia, kazał się spieszyć, gdyż „może się przytrafić, że przegram bitwę. Ale nigdy przez zbytne zaufanie nie stracę minuty.“ Tem zawieszeniem broni pozbawił pierwszego króla jego państwa. Teraz układa się na własną rękę z książętami, z Toskaną. Czy nie będzie niedługo sam układał się z papierem? Co począć z tak niebezpiecznym zwycięzcą?

Trzeba mu posłać partnera, myślą dyrektorowie i uśmiechają się. Podzieli naczelne dowództwo z Kellermannem, Saliceti obejmie politykę: rozkaz ten dochodzi go w Lodi, w dzień po bitwie.

Jest to pierwsza właściwa bitwa, jaką wygrał; niesłychanem zuchwalstwem i śmiałym ruchem zdobył most nad Addą i pobił przestraszonych Austriaków. Nastąpią zwycięstwa o wiele większe; ale dla dziejów jego duszy ten dzień ma większe znaczenie.

Gdyż teraz, po bitwie, która rozstrzygnęła pierwszą część jego wyprawy, mając dużą zdobycz a małe straty, będąc panem kraju, który otworzyła mu jednogodzinna bitwa na owym moście, Bonaparte czuje owego wieczoru, jak ciemne plany i jasne czyny, sen i rzeczywistość stapiają się z sobą, — i oto wynurza się w nim świadomość własnych sił w bezgranicznych możliwościach. Wtedy po raz pierwszy napomyka o tych celach i mówi do przyjaciela Marmonta: „Czuję, że czekają mnie czyny, o jakich nie śni się żyjącemu pokoleniu.“ I później.

NAPOLEON

z dalekiej perspektywy: „Dopiero w wieczór pod Lodi zacząłem uważać się za osobliwego człowieka, dopiero wtedy uczułem ambicję, by dokonać wielkich rzeczy, które dotąd zajmowały mój mózg jako rojenie wyobraźni.“

Właśnie w tem usposobieniu otrzymuje wyrok paryski. Jakto? Mieć przed oczyma duszy kilka części świata — i bawić się w spółkę z Kellermannem? Chodzi po pokoju tam i sam, z zaciśniętymi ustami, potem dyktuje list do rządu:

„Jeśli będziecie mi kładli rozmaite przeszkody na drodze, jeśli uzależnicie kroki moje od wyroku komisarzy,... to nie oczekujcie po mnie nic dobrego... Tutaj jest rzeczą niezbędną darzyć wodza pełnem zaufaniem. Jeśli nie mam nim być, to bez skargi postaram się zdobyć na innem stanowisku wasz szacunek. Każdy ma własny sposób prowadzenia wojny. Generał Kellermann posiada więcej doświadczenia i będzie robił to lepiej, razem jednak będziemy robili to źle. Mogę służyć ojczyźnie tylko na podstawie jej pełnego i niepodzielnego zaufania. Czuję, że trzeba mieć wiele odwagi, by pisać do was w ten sposób, jakże łatwo możnaby mnie oskarżyć o ambicję i pychę! Ale muszę wyznać wam moje uczucia... Nie mogę służyć razem z człowiekiem, który uważa się za pierwszego wodza Europy. Zresztą jeden zły generał jest lepszy, niż dwaj dobrzy. Z wojną ma się rzecz, jak z rządzeniem: jest to sprawa taktu.“

Ten wódz nie wydaje się zgoła skłonny ustąpić komuś miejsca. Gdyby w Paryżu obstawano przy podziale, — czyż nie mógłby z łatwością kroczyć naprzód wedle własnego upodobania, zwyciężać wedle własnego talentu, potem jednak zając groźnie front przeciwko Francji i jako kondotjer obalić rząd? Więc nie obstają raczej, czytają, uśmiechają się i ustępują. Po tem pierwszym, bezgłośnem zwycięstwie nad rządem Bonaparte czuje się panem. Odtąd postępuje w gruncie rzeczy jak król, będący swym własnym wodzem, może jednak tylko drogą zakłęć zdobywać dowozy, wojska, pewne środki i przeto ciągnie dalej szereg swych sprawozdań przez miesiące i lata w tonie uległym: radzi, zamiast grozić. W rzeczywistości postępuje odtąd tak, jakby już znajdował się na sułtańskim wschodzie, dokąd ciągnie go jego rozkazodawcza natura.

POTOK

Właśnie wyprawił kurjera do Paryża, pierwsza jego odmowa jest w drodze. Jeszcze jedna niespokojna noc w obozie i jutro rano wkraczamy do Medjolanu.

We wszystkim naśladuje rzymskiego triumfatora: naprzód jeńcy, tylko że nie kroczą w łańcuchach, jak niegdyś, potem 500 jeźdźców. Obywatele przyzwyczajeni do świetnych uniformów, zdumiewają się nędzną odzieżą, z mordowanymi końmi, uznojonemi głowami, zdumiewają się małym, chudym mężczyzną na niepozornym siwku, znużonemi mianami świty: jakież to wszystko szare w blasku wiosennego południa! Lecz gdy u bramy wita go sędziwy arcybiskup wraz z hrabiami i księżętami, nie zostaje na koniu, lecz zsiada, nie zbliża się jednak do nikogo z witających i słucha z dwornie obojętną miną, która obiecuje surową tolerancję. Wszyscy czekają, co odpowie. Ale wąskie wargi jego milczą jeszcze chwil kilka, poczem wódz wygłasza jedno jedyne zdanie, że Francja jest życzliwie usposobiona dla Lombardji, dosiada konia i jedzie dalej.

Ogromne wrażenie przejmuje przywódców i tłum: nikt nie czuje zapału, wszyscy są zdumieni. Ani śladu pychy w zwycięzcy, tylko stanowczość i wola, której poddać się trzeba. Jeśli wrażenie to było przez niego, który jeszcze nic podobnego nie przeżył, z góry obliczone, jeśli to było „zagrane“, tem większa jego znajomość ludzi, tem pewniejszy dowód, że zna się na sztuce panowania!

Atoli serce jego jest dziś nieobecne, czegoś mu brak.

Teraz ulice huczą radością tłumu, który musi ulżyć sobie i z pełną podziwu ciekawością patrzy na tysiąc ludzi wkraczających za wodzem, zmęczonych, wlokących się niemal bez ładu, w uniformach o różnokolorowych łatach, bez namiotów, nędzarzy, rzekłbyś, gorszych, niż jeńcy.

Wódz wypoczywa w pałacu arcybiskupim, kąpie się. Jest to jedyne jego zbytek i aż do śmierci coraz uparciej będzie używał kąpeli, coraz dłuższych i coraz „gorętszych; nic nie zmieni w nim tego przyzwyczajenia, jest to jedyne dlań pokrzepienie nerwów. Wieczorem przyjęcie. „Będziecie wolni, bezpieczniejsi, niż Francuzi. Medjolan będzie stolicą tej nowej republiki, jednoczącej pięć milionów ludzi. Będziecie mieli 500 armat i przyjaźń Francji. Z pośród was wybiorę 50 mę-

NAPOLEON

zów, którzy będą rządzili tem państwem w imieniu Francji. Przejmijcie nasze prawa, przystosujcie je do waszych obyczajów... Rozumnie i zgodnie: a wszystko będzie dobrze. Tak chcę. Jeśli Habsburg zechce raz jeszcze owładnąć Lombardią, to przysięgam wam dzisiaj, że będę z wami, że nie opuszczę was nigdy! Jeśli ten kraj zniszczy, to mnie już nie będzie. Także Sparta i Ateny skończyły się kiedyś.“

Nigdy od czasu mężów Plutarcha, nie mówił tak żaden wódz. W tej pierwszej mowie tronowej, wygłoszonej przez zwycięzcę, tkwią wszystkie pierwiastki, któremi przez dwa dziesięciolecia będzie działał na duchy Europy w słowie i piśmie. Wszystko jest proste, wszystko określone, stałość tak wielka, że każdy słucha chętnie. Jesteście wasale, ale wolni. Jestem waszym panem, ale będę was bronił. 500 armat i przyjaźń Francji. Tak chcę. I kiedyś wszystko się skończy.

Jakże huczy to bogate miasto w noc majową, wśród fajerwerków i muzyk! W oknie pałacu Serbelloni, do którego się przeniósł, stoi młody wódz, bankiet skończony, wjazd, o którym marzyła niegdyś wyobraźnia młodzieńca, odbyty, pierwsza dziewicza chwila minęła. Czy sięga myślą wstecz? Czy naprzód? Co go zaprzęta?

„Jak pan sądzi, pyta adjutanta, co myślą o nas paryżanie? Czy są zadowoleni?“ A gdy Marmont odpowiada, jak zwykle, on patrzy nań i ciągnie dalej: „A przecież Paryż nic jeszcze nie widział! Przyszłość kryje daleko większe zwycięstwa. Bogini szczęścia uśmiechnęła się do mnie nie poto, bym ją odepchnął. Im bardziej kobieta ta oddaje mi się, tem więcej żądam od niej. W przeciągu kilku tygodni staniemy nad Adygą, wtedy Italja leżeć będzie u naszych stóp. Może opuścimy ją, by posunąć się dalej. Nasze czasy nie wydały nic wielkiego. Chcę dać przykład.“

IV.

Co za wspaniałe łoże w tem palazzo: tak wygodnie nie leżało się jeszcze nigdy w życiu. Tylko za szerokie dla niego jednego! Gdzie Józefina! Cóż znaczą bez niej wjazdy i zwycięstwa, race i chorągwie! Czemu nie przybyła? Czy jest naprawdę chora? Czy ma kochanka? Godziny nocne wódz spędza bezsennie.

POTOK

Człowiek ten, który u najstarszych generałów zdobywał sobie szacunek, od pierwszego dnia wystawiał go znowu na szwank, gdyż każdemu, z kim mówił poza służbą, pokazywał portret żony. „Wszak przyjedziesz rychło, pisał do niej w jednym z codziennych niemal listów, musisz być przy mnie, na mojem sercu, w moich ramionach. Szybko, śpiesz na skrzydłach!“ Zna jej płochość, ustawiczną gotowość jej zmysłów oddawania się nowym wrażeniom, nowym wielbicielom. Ale teraz! Co może ją wstrzymywać! Tutaj oczekiwał jej, ambicją jego było dostać się aż tu z dzikiego wiru walk, by w jednym z tych pałaców dać jej wdziękom, jej kaprysom księżącą oprawę, jedynie godną jej i jego.

Ale wielki rachmistrz nie obliczył tego, że właśnie temi czynami trzymał ją zdała. Teraz nareszcie pragnie ona, po latach swego półświatkowego stanowiska, błyszczeć w swym Paryżu w sposób prawowity, jako małżonka wodza, o którym mówią wszystkie gazety i języki. Czyżby mały generał myślał, że wzięła go z namiętnej miłości? Gdy nadeszły pierwsze zwycięskie sztandary, ona ukazuje się w powozie wśród ludu, a gdy tłum wita ją okrzykami, myśli sobie, że to miłsze, niż przebywanie w obcych miastach z surowem żołdactwem. On pisze coraz natarczywiej. Nagle donosi: „Czy masz kochanka, jakiegoś dziewiętnastolatka? Jeśli tak, to drzyj przed pięścią Otella!“ Ona śmieje się i mówi do przyjaciółki: „Śmieszny człowiek z tego Bonapartego!“

Kiedyindziej, wśród pierwszorzędných, pilnych spraw, pisze do Carnota: „Jestem w rozpacz, żona moja nie przyjeżdża. Musi mieć kochanka, który zatrzymuje ją w Paryżu. Przeklinam wszystkie kobiety!“ Ale nareszcie nadchodzi list; oto nie mogą już wywinąć się od niebezpieczeństw i brudów obozowych, znalazła wymówkę: pisze, że jest przy nadziei.

Piorun z jasnego nieba: czyż wszystkie duchy szczęścia sprzysięgły się, by mu błogosławić? Tego właśnie, tego jedynie mógł pragnąć jeszcze wśród tych powodzeń. Gdyż jeśli los miał wielkimi zygzakami prowadzić go coraz wyżej, jak mu szeptało przeczucie, a postanawiała jego wola, wtedy, Józefino, potrzeba nam dopieroż dziedzica. Ale bitwa ta

NAPOLEON

jest dopiero w planie, jeszcze nie wygrana, grożą nowe niebezpieczeństwa. Dreszcz go przebiega: Czy to prawda? I czy to jego dziecko?

„Jestem niesprawiedliwy! — kreśli swem nieczytelnem pismem na służbowym arkuszu szefa-generała. — Oskarżam ciebie, a tyś chora! Miłość pozbawiła mnie rozumu, wybacz, odnajdę go znowu... Życie moje jest snem bez końca, ciemne przecucie zapiera mi dech, jestem zrozpaczony. Napisz mi dziesięć stron, tylko to może mnie pocieszyć. Jesteś chora, kochasz mnie, jesteś w ciąży, a ja nie widzę nawet twego cienia. Kto jest przy tobie? Hortensja? Kocham tę uroczą dziewczynę tysiąc razy więcej, odkąd myślę, że pielęgnuje ciebie... Powij dziecko tak zachwycające, jak ty! Ach gdybym mógł patrzeć na ciebie choćby dzień! . Wiesz, że gdybym zastał u ciebie kochanka, rozszarpałbym go bezwzględnie.“

Ale któż jej pomoże! Przyjaźni niema na świecie, poza węzłami krwi. „Jestem w rozpacz, pisze tego samego dnia do Józefa, żona moja jest chora, nie wiem, co się dzieje z mą głową, straszne przecucia zadręczają me serce. Zaklinam cię, napisz do mnie! Od dzieciństwa łączy nas krew i przywiązanie, więc staraj się, zrób dla niej to, co ja z zapałem zrobiłbym dla ciebie!... Znasz miłość moją, wiesz, jak jest gorąca, wiesz, że nigdy tak nie kochałem, że Józefina jest pierwszą kobietą, którą uwielbiam. Stan jej doprowadza mnie do szaleństwa... Jeśli jednak będzie znów zdrowa i będzie mogła odbyć podróż, niech przyjeżdża: muszę przycisnąć ją do serca, kocham ją do obłędu i nie mogę żyć bez niej. Jeśli przestanie mnie kochać, nie mam już czego szukać na tym świecie. O, mój przyjacielu, nie pozwól kurjerowi aabawić w Paryżu dłużej, niż sześć godzin, przyślij mi go z odpowiedzią, która przywróci mi życie! Bądź szczęśliwy! Jestem z natury skazany na to, by odnosić tylko zewnętrzne zwycięstwa!“

W dniu napisania tych dwu listów, dyktuje między innymi: Rozkaz do Berthiera obsadzenia Aleksandrii. Sprawozdanie do dyrektorów w sprawie nagląco pilnych dostaw. Ultimatum do senatu w Genui z powodu zamordowania żołnierzy. Wprowadzenie Murata do tegoż senatu. Projekt

sprzedania pewnych armat, stojących na Rnderze. Rozkaz do Masseny, by podjął amunicję z arsenału w Wenecji. Rozkaz do Lannes'a, by nie posuwał się naprzód. Rozkaz wysłania wszystkich podejrzanych do Tortony. Rozkaz wysłania oddziału do Toulonu. Zawiadomienie Kellermanna, że pieniądze i wojsko w drodze.

List przychodzi na miejsce. Józef nakłania Józefinę, by jechała z nim do Medjolanu. Cóż mogli innego wymyśleć? Ona wzdycha, pakuje się, płacze na wielkim przyjęciu pożegnalnym w Luksemburgu, wsiadają do powozu. Zresztą nazajutrz jest ostatni czerwca, sezon przecie skończony i towarzystwo podróżne niezłe: Józef oczywiście, siedzący naprzeciw niej, to skryty przeciwnik, ale Junot jest zgrabny chłopiec, Fortunat, piesek, słodki, jak zawsze, — wreszcie ten młody Charles, którego poznało się niedawno i który odtąd nie odstępował na krok. Czy pragnie zrobić karierę, czy zdobywać serca? Co za osobliwe ma imię: Hipolit! jaki ładny uniform strzelecki, jak wesoło opowiada, jak zna się na najnowszych szalach i perukach, — jakie wspaniałe ma nogi!

Medjolan. Bonapartego niema? Nowe walki pod Veroną? To nic, przecież tu niespodziewanie miło! Ładny pałac, do którego przychodzą wszyscy i składają ukłony, oczywiście Hipolit pozostaje *hors concours*, nieporównanie dzwoni szpada na *COTSO*. Tylko, że trzeba tu mieć się tak bardzo na baczności, bo wszystkie oczy śledzą! Ach, Hipolit jest zręczny, zna już tajemne schody.

Nagle poruszenie, meldunek, wódz przybywa z Verony. I dwa dni i dwie noce wali się na nią lawa tego wulkanu.

V.

Trzykrotnie próbuje cesarz niemiecki przez swego wodza uwolnić Mantwę, którą oblega Bonaparte, gdyż Mantua jest kluczem. Teraz przybywa stary Wurmser z nową armją nad jezioro Garda, odpiera przeciwnika, który chcąc utrzymać się w walnej bitwie, musi przedewszystkiem opuścić Mantwę. Ale tymczasem nieprzyjaciół przeciął mu odwrót

NAPOLEON

do Medjolanu. Straszna zmiana, największe niebezpieczeństwo. Bonaparte wypadając z Medjolanu, jeździ w lipcowym skwarze, równiny padańskiej od oddziału do oddziału, gromadzi wszystkich, gdyż wszystko postawione jest na kartę: stadjum najwyższej czynności i napięcia.

„Odkąd cię opuściłem, pisze w jeden z tych wieczorów, jestem wciąż smutny. Szczęśliwy jestem tylko w twojej bliskości, zawsze wspominam twoje pocałunki, twoje łzy, twoją przemianę z zazdrością i czar niezrównanej Józefiny wzniesioną cięgieł płomienny żar mego serca i moich zmysłów. Kiedyż wreszcie, wolny od trosk i kłopotów, będę mógł cały czas spędzać z tobą, nie robić nic innego, tylko cię kochać... Odkąd cię znam, uwielbiam cię codziennie bardziej, co świadczy, jak fałszywe jest twierdzenie La Bruyere'a, że miłość zjawia się nagle. Wszystko w naturze ma swój tok i stopniowanie... Bądź mniej piękna, mniej czuła, zwłaszcza mniej zazdrosna: twoje łzy rozpalają mi krew. . . Przybądź szybko, byśmy, zanim umrzemy, mogli powiedzieć: mieliśmy tyle szczęśliwych dni! Miljon całusów, nawet dla okropnego Fortunata!”

Oddalić tego pieska nie udało się wodzowi nigdy. Według tego, co sam opowiadał, w wieczór weselny znalazł go w łóżku swej pani „i pozostawiono mi do wyboru spać z nim, lub nie u niej. Był okropny, ale mogłem tylko przystać albo odmówić. Pogodziłem się z losem. On natomiast był mniej ustępliwy. Dowód tego mam dotąd na nodze!”

Wśród zamieszania w Brescii zjawia się generałowa. Ledwo przybyła, musi wracać do Medjolanu, wśród rekrutów i armat omal nie staje się łupem nieprzyjaciela. Odtąd ma na przyszłość wymówkę, teraz będzie odmawiała jeszcze bardziej.

W ciągu tych tygodni upada Bonaparte poraz pierwszy na duchu, tylko na parę godzin nocy, ale jednak! Zamiast rozkazywać, odbywa naradę wojenną, generałowie zdumiewają się. W tym krytycznym położeniu pragnie cofnąć się za Pad, ale szalony Augereau wali w stół i woła: „Chcę twojej sławy! Musimy bić!” i wybiega z pokoju. Zdania innych są podzielone. On usuwa się.

Siedzi sam w cudzej budzie nad mapą, przed decyzją, ómy igrają dokoła świecy i spalają się wkońcu, dokoła duszna noc letnia, z dworu słyszy bębny i wołania i myśli: „Jutro roz-

POTOK

strzygnie się, czy zachowamy Lombardję. Może moja sława, może mój los. Czy mam wszystko postawić na kartę? A jeśli Wurmser jest silniejszy, niż powiadają meldunki? Teraz Józefina śpi w swem wielkiem łożu. Kto wie, może śmieje się cicho do jednego z tych durniów, którzy jej nadskakują.

Decyduje się na bitwę. Nazajutrz zwycięża pod Castiglione.

Wkrótce potem pisze: „Trzy dni nie mam listu od ciebie, ja pisywałem codziennie. Rozłąka jest okropna, noce długie i puste, dzień jednostajny“. Jednocześnie ona pisze do przyjaciółki: „Nudzę się.“ On tonie w walkach i zwycięstwach, ona w uroczystościach i hołdach, ale obojgu życie wydaje się monotonne: jemu dlatego, że ona jest za daleko, jej przeto, że on jest za blisko. W trzy dni później: „Nieprzyjaciel jest zgubiony, moja droga, 18 000 jeńców, reszta zabici lub ranni. Wurmser posiada jeszcze tylko Mantuę. Jeszcze nigdy nie mieliśmy tak wielkich powodzeń: Italja, Friul, Tyrol są zapewnione republice. Za kilka dni zobaczymy się znowu, jest to nagroda za trudy i pracę. Tysiąc gorących pocałunków!“

Każde wytchnienie wodza wyzyskuje polityk. W Modenie zbiera dyplomatów wszystkich państw aż po Bolonję i na uroczystem posiedzeniu nadaje im konstytucję, aby odtąd tworzyły jedno państwo, nową republikę. Czyż jako założyciel państw czuje się szczęśliwy? Żona w Medjolanie musi być zakochana, bo w przeciwnym razie pisałaby inaczej!

„Listy twoje są zimne, pisze tego samego dnia, brzmią jakby pochodziły z pięćdziesiątego roku małżeństwa: przyjaźń i zima, to bardzo brzydko, złośliwie z pani strony. Cóż pozostaje pani jeszcze? Przestać mnie kochać? To stało się już dawno. Nienawidzić mnie? Dobrze. Pragnę tego. Wszystko poniża, tylko nienawiść nie. Ale obojętność z sercem z marmuru, zgasłe oko, ospały chód?... Tysiąc pocałunków, tak czułych, jak moje serce!“

Nowe przesilenia przywołują go znów na północ, przybywa, walczy, zostaje odparty. Ciężkich tygodni listopadowych, w ciągu których znów idzie o wszystko, nie rozjaśnia żadna jej pociecha. Natomiast zaufani przyjaciele, których oczu nie uchodzi, przynoszą ostrożne wieści, jak wybornie generałowa się bawi. W dzień po przegranej bitwie pod Caldiero, rozpaczliwe wołania o posiłki z Paryża.

NAPOLEON

Wszystko zdaje się wikłać, wszyscy upadają na duchu, oblegają wodza, który dnia tego myśli, rzekłbyś, trzydziestoma głowami, gdyż pod Arcole sieć się zaciąga. W jakim tempie, z jaką wściekłością tego wieczora szaleje pióro jego na papierze: „Nie Kocham cię już, nienawidzę ciebie! Jesteś brzydka, głupia, niezręczna, nie piszesz do mnie, nie kochasz swego męża. Co pani robi przez cały dzień, Madame? Co za ważna sprawa tak rabuje pani cały czas, że nie piszesz do ukochanego?... Cóż to za bajeczny kochanek zabiera pani cały czas i nie pozwala pisać do męża. Pilnuj się, Józefino: pewnej pięknej nocy rozpękna drzwi i ja stanę przed tobą! Jestem poważnie zatroskany, droga przyjaciółko, napisz mi szybko cztery strony o miłych rzeczach, które napełnią me serce radością i szczęściem. Spodziewam się pochwycić cię wkrótce w ramiona i obsypać tysiącem pocałunków, gorących jak różnik!“

Jakże drży serce jego, niepewne, czy może jeszcze ufać, nie-szczęśliwe, gdy musi niedowierzać: przesilenie w duszy, jak i w polu, odpowiedzialność, zwątpienie, burza w sercu ludzkiem, które dziś może już w domu, a jutro w polu będzie zbezczeszczone — i które jednak rozkazywać chce światu. W tych dniach rozkazuje żołnierzom, wśród których zdarzył się wypadek samobójstwa: „Żołnierz powinien przewyciężyć ból i smutek namiętności!“

W dwa dni po owym ostatnim liście stoi pod Arcole na moście nad Adyga, który wróg bombarduje, wszystko cofa się, rzeka jest nie do wzięcia, wódz głosem swym dopiero popycha wojsko naprzód, lecz nagle wołanie: „Nie idź pan dalej, generale! Zginie pan, wtedy jesteśmy straceni!“ Marmont idzie nieco przodem. Gdy ogląda się, czy idą za nim, widzi wodza w ramionach jego adjutanta, Muiron'a; zda się być ranny. Nie-ruchomo stojąca grupa. Ponieważ szpica stanęła, wszystko odpływa wstecz, po pochyłości grobli, Napoleon, wróciwszy do siebie, spada w rów pod groblą, brat jego Ludwik i Marmont wyciągają go. Konia! Zamieszanie, strzały, Muiron osłania pana swem ciałem i pada. Wódz ratuje się konno.

W posepnym nastroju ślęczy wieczorem w obozie. Jeszcze raz, dnia następnego, bezskuteczny szturm! Ta nędzna rzeka, zda się, jest nie do pokonania, trzeciego dnia dzieje się nielepiej.

POTOK

Wtedy w ostatniej godzinie ucieka się do podstępu. Gdy nad rzeką wre walka, każe wszystkim rozporządzalnym trębaczom i doboszom z częścią gwardji obejść wielkim łukiem nieprzyjaciela. Gdy tedy na tyłach wybucha wrzawa bitewna, panika ogarnia serca zmęczonych wojaków, jedna dywizja nieprzyjacielska cofa się, własne nowo zagrzane wojska szybko zmieniają ten popłoch części w ucieczkę wszystkich. Zwątpienie i odwaga, bagno i podstęp stworzyły zwycięstwo. Znow nazwa wioski przechodzi do księgi legendy: na cześć Arcole biją wnet w Paryżu monety, potem będą dla współczesnych i potomnych malować wodza na moście z sztandarem, którego nie niósł nigdy.

Tym razem niebezpieczeństwo zażegnane. Mantua, uwolniona przez nieprzyjaciela, wnet musi paść: wódz rozdziela znow swe wojska i wraca spiesznie do Medjolanu. Teraz nareszcie może rządzić ze stolicy, teraz będzie Józefiną miał i trzymał.

Ale ją pochwyć trudniej, niż Wurmsera. „Przyjeżdżam -do Medjolanu, wpadam do twego domu, porzuciłem wszystko, by uściskać ciebie, — a ciebie niema! Jeździsz ciągle po miastach z festynami, uciekasz, gdy ja przyjeżdżam, nie troszczysz się o swego Napoleona. Kaprys skłonił cię do miłości, teraz ehwiejność twa czyni cię obojętną. Nawykły do niebezpieczeństw, znam środki przeciw złośliwym psotom życia... Nie krępuj się, baw się, szczęście jest stworzone dla ciebie, wszak cały świat jest szczęśliwy mogąc ci się podobać, tylko twój mąż jest bardzo nieszczęśliwy.“

Nazajutrz rano: „Szczęście lub nieszczęście mężczyzny, którego nie kochasz, może cię nie obchodzić. Ale moim losem jest, że cię kocham... Nie bierz udziału w nieszczęściu twego męża, który żyje tylko dla ciebie. Gdybym żądał od ciebie miłości takiej, jak moja, byłoby to niesłuszne: czemu żądać, by delikatne koronki ważyły tyle, co złoto!... Moja to wina, jeśli natura odmówiła mi wdzięków, któreby przykuć cię mogły. Ale zasługuję na trochę względu, trochę szacunku Józefiny, bo kocham ją do szaleństwa, ją tylko i jedyną. Bądź zdrowa, uwielbiana żono... Jeśli to prawda, że ona już kochać mnie nie może, to ukryję swą boleść i zadowolę się tem, by być jej pożytecznym tam, gdzie mogę... Otwieram raz jeszcze list, aby cię ucałować. Ach, Józefino, Józefino!“

NAPOLEON

Co za wyznanie! Z zapałem i ambicją dąży do celu, ale nie-przyjaciół umknął, co czynić? Opanowanie jest pierwszym skutkiem niepowodzenia, nie klątwy i wściekłość. Zachować godność, radzić się rozumowi. Trochę szyderstwa, okraszonego dwornością, podziłała na nią. Kiedy indziej zastanawia się: Mieć ją muszę. Jak zwabić ją zpowrotem? Sławienie mych czynów nie sprawia na niej wrażenia. Co sprawia na niej wrażenie? Pochlebianie jej i służenie. Tak oblicza i przelicza się jednak, gdyż on, który pokazuje królom, kto jest panem, nie widzi, że urocza Józefina, wprawdzie nie uwielbiałaby pana, ale bałaby się go, że nic nie daje jej tyle pewności, ile jego wyznana namiętność.

Ten błąd wielkiego znawcy ludzi wypływa z jego dumy. Ona doprowadzi go do granic ludzkości, ona skusi go wkońcu do jego największego błędu. Teraz duma nie pozwala mu kryć namiętności, której opanować nie może, bo nie chce. Ale po wszystkich rozumnych słowach, że chce jej być pożyteczny, nagle miesza się w nie szalone serce człowieka i on gestem młodzianiska rozrywa raz jeszcze list: „aby cię ucałować.“

VI.

Co mówi Paryż?

Jest szczęśliwy, bo po długich latach ma nareszcie znów bohatera: portret Bonapartego widnieje w sklepach, ukazują się rymowane porównania do starożytnych zdobywców, nazwisko jego pada z ust aktorów, gdy trzeba obwieścić nowe zwycięstwo, chorągwie jego powiewają w Luksemburgu, sprawozdania jego, przykrojone przez dyrektorów, zjawiają się w „Monitorze“, pieśni, monety, nawet karykatury przedostające się z Anglii, wszystko rozwesela bulwary.

On wie o tem. Wie także, że z powodu tak szybko rosnącej popularności panowie dyrektorowie zaczynają drzeć, bo on ich już oddawna nie słucha. — Zwycięstwo tego człowieka jest naszą śmiercią, — myślą dyrektorowie i skupiają głowy. Niezwyčajone jest wojsko ludowe, — ale i strasznie niebezpieczne, jeśli oficerowie jego nie pozostają całkowicie w rękach rządu! Czyż od lat siedmiu nie grożono gilotyną każdemu generałowi,

który próbował uprawiać własną politykę? Kto nie poddaje się naszym rozkazom, kto lekceważy komisarzy, przysyłanych przez nas do obozu, musi pójść precz, choćby to był Bonaparte! Saliceti ulega mu nazbyt, jest Korsykaninem i nadto ma nieczyste sumienie, gdyż raz go już zdradził. Poślizmy innego, Clarc jest rozumny i ambitny!

Clarc elegancki i dumny, sam generał, jadąc do Medjolanu myśli, że da już sobie z nim radę. Czyżby tego człowieczka w wytartym uniformie, spotykanego niegdyś tak często u Baras'a, nie należało w sposób dyplomatyczny schować do kieszeni? Ze zdumieniem staje potem w palazzo Serbelloni przed wodzem. Urósć to nie urósł, ale gdy zjawia się, gdy wszystko czeka i cofa się, wydaje się raczej władcą, niż wojownikiem. Komisarz jest przyjęty uprzejmie, tylko zamiast by on wydobył z Bonapartego tajne zamysły i przesłał je do domu, Bonaparte zna po dwóch dniach tajne dyrektorów plany, które tamten chciał przed nim zataić. Clarc ustąpił poprostu wyższej potędze: to mąż przyszłości, — myśli i przechodzi na jego stronę. Wódz jednak otrzymuje potwierdzenie tego, co przeczuwał: że dyrektorowie uważają zdobycze jego za przedmiot zamiany w pokoju z Niemcami, że nie chcą Italji zachować, tem mniej zrewolucjonizować. Teraz wie o tem: więc przygotowuje wszystko, aby pokrzyżować plany swego rządu.

Ale potrzebuje go jeszcze. „Posiłków! Posiłków! Ale nie uważajcie tego za zabawkę, nie chcę ludzi na papierze, tylko rzeczywiście pod bronią... Moi najlepsi żołnierze są ranni, wszyscy oficerowie sztabowi i generałowie niezdolni do boju. Co świeżo przybywa, jest nieudolne i nie ufa sobie. Armja wyczerpała się i stopniała do garstki ludzi. W pośrodku Italji jesteśmy opuszczeni... Resztką walecznych, jaka pozostała, kroczy, wobec tak szczupłych sił, niechybnie ku śmierci. Może niebawem wybije godzina walecznego Augereau, nieustraszonego Masseny, Berthiera i moja. Co wówczas stanie się z tymi dzielnymi ludźmi? Myśl ta każe mi być ostrożnym: nie śmiem już wyzywać śmierci, wywołałaby ona upadek ducha w tych, którzy są przedmiotem mej troski.“

Czyż można zacząć chytrzej?

A jednak. Ma on i inne sposoby: jeśli nie grozi zagładą, to nęci darami. Niemal co miesiąc posyła zbiedniałemu,

NAPOLEON

między stertami zdeprecjonowanych papierów gnieżdżącemu się rządowi gotówkę, którą przy zawieszeniach broni ściąga od książąt i republik. Jest to pierwszy wódz, który posyła do domu pieniądze, zamiast ich żądać. Ale pozatem daje jeszcze małe napiwki dyrektorom: „Posyłam sto najpiękniejszych koni, jakie znaleźć mogłem, by zastąpić lichsze, które ciągną pańskie powozy.“

Gdy piszą mu, że wojska południowych prowincyj, których żąda, potrzebne są do służby wewnętrznej, wtedy odpowiada: „lepiej niech się czubią w Lyonie, byleśmy zachowali Włochy, niż przeciwnie.“ Gdy chodzi o to, by wszelką pracę dyplomatyczną pozostawił komisarzom, odpisuje: „Dla takich rzeczy musi być nie tylko jeden jedyny generał, ale nadto nikt i nic nie śmie mącić jego akcji... Pochód mój jest tak ściśle określony, jak bieg moich myśli... Przy pomocy słabszej armji musimy dokonywać wszystkiego: wstrzymywać wojska niemieckie, oblegać twierdze, zabezpieczać tyły, zagrażać Genui, Wenecji, Toskanie, Rzymowi, Neapolowi, wszędzie musimy być silni. To jednak wymaga całkowitej jedności kierownictwa wojskowego, politycznego i finansowego. Zawsze, gdy generał nie pozostaje wielkim centrem, narażacie się panowie na niebezpieczeństwo. Słów tych, przypuszczam, nie przypiszecie ambicji. Jestem niestety obarczony zbyt wielu zaszczytami, a zdrowie moje zachwiane jest do tego stopnia, że może będę zmuszony prosić was o następcę. Nie mogę już dosiąść konia, pozostała mi jeszcze tylko odwaga... Prowadzę dalej układy. Wojsk! Wojsk! Jeśli chcecie zachować Italię. Bonaparte.“

Im popularniejszy się staje, tem częściej prosi o zwolnienie, choć jest zupełnie zdrów i codzień umęcza konia. Biada, gdyby adwokaci paryscy przystali na tę prośbę! Umacniając władzę Francji w Italji, utwierdza własną w Paryżu: to jego nowa myśl. Acz nie pragnie wolności ludów, ani uważa Italji za dojrzałą do niej, wymusza utworzenie „Republiki Cisalpińskiej,“ wbrew woli panów z Paryża, wśród których przynajmniej Carnot pragnie wolności ludów, ale Italji radby użyć tylko jako zastawu.

Tutaj Bonaparte buduje poraz pierwszy z sił odśrodkowych organizm; będzie powtarzał ten akt twórczy w coraz szerszych



POTOK

zakresach: celem jego będzie stworzenie Europy Zjednoczonej. Obecnie skupia pół tuzina małych państw górno-włoskich, dyktuje konstytucję, zrzuca i osadza urzędników: wszystko to czyni, jak dyktator, ale w zasadach rozumnie, w szczegółach sprężyście. W świetnych proklamacjach obwieszcza im nową wolność, czy chcą jej, czy nie chcą; zato jednak każe też sobie zaraz płacić gotówką:

„Republika Francuzka, która zaprzysięgła nienawiść tyranom, ślubowała ludom braterstwo. Ta zasada konstytucji jest też zasadą armji. Despota, który tak długo ujarzmił Lombardję, wyrządził Francji wielką szkodę... Zwycięska armja bezczelnego monarchy musiała wśród zwyciężonego ludu siać przerażenie. Atoli armja republikańska, zmuszona z wrogami swymi, królami, prowadzić wojnę na śmierć i życie, ślubuje przyjaźń ludom, które wyzwoliła. Poszanowanie własności, człowieka i religji, oto co nas ożywia. Za to jednak winni Lombardowie nam, braciom swoim, służyć odpłatę... Lombardja musi popierać nas wszelkimi środkami. Potrzebujemy prowiantu, którego z Francji wobec tak wielkiej odległości sprowadzać nie możemy. Prawo wojenne zapewnia go nam, przyjaźń musi go spiesznie ofiarować. Nałożono na prowincje 20 milionów franków, potrzebujemy ich. Dla tak bogatych prowincyj nie jest to ciężar.“

Następnie zabiera wszystko, czego mu trzeba, z podatków, gruntów, obozów, arsenałów, dóbr rządowych. Przy każdym zawieszeniu broni żąda pieniędzy, wołów i obrazów. Gdy wie zgóry, że obrazy i posągi nie poprawią wprawdzie waluty, lecz podniosą samopoczucie Paryża, a właśnie opinji publicznej mu potrzeba. Z Italji dostarcza Bonaparte Louvre'owi w epoce wielkiego braku pieniędzy więcej kosztownych rzeczy, niż jakikolwiek król w swej świetności.

Ale równie niemiłosiernie, jak ściąga od Włochów pieniądze, postępuje z Francuzami, którzy niemi nieuczciwie zarządzają. „Armja zużywa pięć razy więcej, niż potrzebuje, pisze w pierwszych czasach, gdyż magazynierzy wystawiają fałszywe bony... Zbytek, przekupstwo i przemieszczenie są potworne. Jest tylko jeden sposób: komisja złożona z trzech osób, która przez trzy do pięciu dni będzie miała moc rozstrzelania każdego nieuczciwego zawiadowcy.“ Gdy racje siana wykazują

NAPOLEON

fałszywą wagę, wydaje mu się rzeczą „najwyższej doniosłości, by żaden z tych łotrów nie uszedł. Dość długo armja i kraj były łupem chciwości!“ Niezliczona jest ilość aktów walczących tylko z rabunkiem i grabieżą.

Potem, gdy nierząd wdziera się do obozu, wychodzi rozkaz: „Jeśli w dwadzieścia cztery godziny po odczytaniu tego rozkazu znajdują się jeszcze w armji kobiety bez pozwolenia, będą pomalowane na czarno i wystawione przez dwie godziny na widok publiczny.“

Natomiast surowość jego staje się bardzo ludzka, gdy chodzi o wytępienie barbarzyńskich zwyczajów ówczesnego wojownictwa: „Haniebny zwyczaj smagania mężczyzn, dla wydarcia im tajemnic, musi ustać. Przesłuchiwanie ludzi przy pomocy tortur prowadzi tylko do tego, że nieszczęśliwcy mówią to, co miło byłoby nam wiedzieć. Zabraniam posługiwania się środkiem, który potępiają ludzkość i rozum.“

VII.

Jako dyplomata wzmacnia on wszystkie środki dyplomatów: pochlebstwo i groźbę, kłamstwo i otwartość; przy sposobności może tu jeszcze grać też rolę żołnierza. Najrozsądniej zachowuje się w stosunku do Watykanu.

Dyrektorowie, jako prawi rewolucjoniści, pragną zburzyć państwo kościelne, siedzibę zburzonej religii; ten sukces moralny, ozłocony bogactwem Watykanu, czaruje ich bardziej, niż wszystkie graniczne państwa, które formuje Bonaparte. Przeto żądają od niego pochodzenia na Rzym. Teraz widzi on zbliżać się to miejsce, z którem od dzieciństwa fantazja jego kojarzyła moc, wielkość, sławę. Teraz mógłby sam uszczknąć laur z Kapitolu, jak Cezar, gdyż jego papierowych żołnierzy może zdmuchnąć.

Ale odmawia sobie tego. W papieżu widzi jedyne księcia, którego nie można ubezwładnić za pomocą armat: widzi ideę, widzi jej tysiącletni wpływ na Francję i Europę, zna moralną siłę męczeństwa i jest zdecydowany nie prowadzić - wojny z papieżem lub prowadzić ją tylko pozornie. „Wpływ Rzymu jest nieobliczalny, popełniono gruby błąd, zrywając z tą potęgą, wyciągnie ona z tego korzyść.“

POTOK

Potem ciągnie na południe, przekracza dosłownie Rubikon, lecz właśnie tam staje. On to ofiarowuje zawieszenie broni, gdyż jest silniejszy; taka i w przyszłości będzie jego technika. Ponieważ Bonaparte jest na tyle rozsądny, że wszystkie kwestje kościelne pozostawia otwarte, sędziwy papież przyrzeka wypłacić Francji kilka milionów i wydać 100 obrazów, wazy i posągi, po wyborze komisji. Tylko dwa przedmioty wymienia wódz imiennie: popiersia Juniusa i Marka Brutusów z Kapitolu. Rzymianin z Korsyki: przekroczył Rubikon, uszanował Rzym i nie wkroczył doń, ale zażądał, jako kontrybucji dwu popiersi, obu Brutusów.

Gdy papież później nie płaci i robi trudności, rusza drugi raz przeciw Rzymowi, lecz nie na Rzym. Wystarczy drobna potyczka dla upomnienia się o pokój, wojsk potrzeba mu niebawem na północy, nadto uciekający papież zabrałyby z sobą wszystkie skarby — a cóż wtedy pośle biednym dyrektorom do Paryża! Teraz nawet księżom francuskim, którzy odmówili rewolucji przysięgi cywilnej i szukali schronienia w Rzymie, udziela z własnej mocy przebaczenia, zjednywa sobie wszędzie wśród duchownych przyjaciół, przyrównywa obywatela-arcybiskupa do apostoła i podkreśla w kilku pismach do wysokiego kleru: „Nauka ewangeliczna polega na równości, dlatego jest dla nas najkorzystniejsza.“

Wreszcie przez posła uspokaja pragnącego uciec papieża: „Powiedz pan Ojcu Świętemu, że Bonaparte nie jest Attylą, a choćby nim był, to niech Ojciec święty pamięta, że jest następcą Leona.“ Taką historyczną postawę zachowuje wobec najstarszego tronu. Ale gdy nuncjusz ostatecznie zwleka z podpisem, wykształcony światowiec ustępuje w nim nagle żołnierzowi, który drze koncept i spala go w kominku: „Nie chodzi o pokój, monsignore, tylko o zawieszenie broni.“ Tamtych opada strach, on podwaja żądania i tym razem umie je przeprowadzić. Ale papież pisze do swego ukochanego syna list i posyła synowi rewolucji błogosławieństwo.

Nigdy nie otacza się tajemniczością, jak właśnie dyplomaci jego czasów. W godzinę po pierwszym swem zawieszeniu broni traktuje sprawę z całą swobodą historycznie: „Mój atak na zamek Cossaria był niepotrzebny, mówi pokonanym Piemontczykom przy stole. Natomiast ruch wasz z 17-go był bardzo trafny“.

NAPOLEON

Pod koniec drugiej wyprawy, okazuje się również mistrzem w poczuciu własnej godności i umiarkowaniu. Dopiero co właśnie, z początkiem marca, wyruszył z Lombardji, w końcu tego miesiąca znajduje się już w Styrii, o kilka dni marszu od Wiednia; jeśli teraz armja reńska wykaże się podobnemi zwycięstwami, to mogą cesarzowi Franciszkowi dyktować pokój. Ale właśnie teraz zatrzymuje się i ofiarowuje znów pokonanemu pokój. Coprawda, armji reńskiej jeszcze niema, Austro-Węgry zbroją się gorączkowo: powinienby groźnie czekać, to byłaby logika zdobywcy.

Ale Bonaparte jest mężem stanu. Dyrektorowie potrzebują przed nowym ich obiosem pokoju, a on przedewszystkiem potrzebuje dyrektorów. A gdyby on sam, on jedyny, on żołnierz, miał wreszcie dać Francji pokój, którego ona szuka od lat pięciu? Niepewne jest szczęście walk. Tylko szalony śmiałek kusi się o nie bez potrzeby. Znowu obalił nieprzyjaciela, odciął od jego armji reńskiej. Od roku boi się Europa nowego wodza: teraz przystoi mu gest pokojowy, aby świat nauczył się szanować nowego męża stanu. Bez dworskiej przemowy, na zupełnie równej stopie, posyła pobitemu dowódcy, bratu cesarza niemieckiego, list.

„Naczelnny wodzu! Nasi dzielni żołnierze prowadzą wojnę i pragną pokoju. Nie trwał ta wojna już sześć lat? Czyż nie zabiliśmy dość ludzi i nie zadali pogrążonej w żałobie ludzkości dość cierpień? Wszędzie podnosi się ona, wszyscy złożyli broń zwróconą przeciw Francji, tylko pański naród walczy dalej. Tę nową wyprawę poprzedzają złowieszcze znaki. Jakkolwiekby ona się skończy, każdy z nas zabije drugiemu kilka tysięcy ludzi, i przecież wkońcu musi dojść do układów, gdyż wszystko ma swój koniec, nawet najnamiętniejsza nienawiść. Czy Pan, stojący dzięki urodzeniu tak blisko tronu, wyższy nad drobne afekty statystów i rządów, nie zechciałby zasłużyć sobie na miano dobroczyńcy ludzkości, wybawcy Niemiec? Uważam za rzecz zupełnie możliwą, że uratuje pan swój kraj zapomocą broni. Ale także i wtedy Niemcy będą spustoszone. Gdyby słowa te mogły ocalić życie jednego człowieka, byłbym dumniejszy z korony zasługi obywatelskiej, niż ze smutnej sławy bitew.“

POTOK

Arcyksięciu list ten trafia do serca. Wysoko wykształcony, zdeklarowany wróg wszelkich wojen, pozostający tylko z poczucia obowiązku na stanowisku, czy zdoła on z takim dokumentem w ręku zmienić nastrój partji wojennej w Wiedniu i cesarza? Bo cóż będzie, jeśli nie zgodzą się? Bonaparte ogłosi niewątpliwie oba listy i będzie mógł znowu sławić przed Europą humanitarne ideje republiki, przeciwstawiając jej feudalny stan wojskowy cesarstwa. Wtedy będzie szerzył pozołę, powołując się na nasz upór. Już śle za listem część wojska, miasto Leoben jest już w jego rękach.

Przybywają posłowie cesarscy. Aż do stóp schodów wychodzi wódz na ich spotkanie, wyraża się o cesarzu i arcyksięciu z szacunkiem, i gdy ze względu na jego żądanie proszą o dziesięciodniowe zawieszenie broni, w ciągu którego Wiedeń mógłby się dalej zbroić, odpowiada zaproszeniem na kolację. Po uczcie godzi się na pięć dni.

Gdy nieprzyjaciel uspokaja się w Wiedniu, zaczynają niepokoić się dyrektorowie w Paryżu. Jakto? Ten generał chce wręcz sam przygotować Wielki Pokój? Wtedy wystarczy mu przybyć do Paryża, a zmiecie nas jednym palcem. Każą mu więc najuprzejmiej czekać na posłańca, który wyjechał do obozu. Tembardziej Bonaparte nagli partnera do pospiechu. Wie, jaką zdano o nim sprawę w Paryżu i zadaje dyrektorom taki cios biczem: „Ja proszę o spokój. Usprawiedliwiłem wasze zaufanie, we wszystkich swych przedsięwzięciach narażałem życie, okryłem się większą sławą, niż mi to potrzebne do szczęścia, teraz rzuciłem się na Wiedeń, pozostawiwszy za sobą równiny Italji, jak to uczyniłem już raz, aby szukać chleba dla armji, której republika nie mogła już wyżywić. Oszczerstwo daremnie stara się podsunąć mi niskie zamysły: moja karjera obywatelska, jak i wojskowa, pozostanie jedyna i prosta.“

Ironje, poza którymi piszący dąży do nieznaných celów.

Układy bez końca! O co? Oddacie nam Belgję i Lombardję i wywłaszczonym książętom dacie później odszkodowanie w państwie niemieckiem! Zasadę tę przyjmuje Habsburg, gdyż ani cesarzowi, ani żadnemu z książąt niemieckich nic nie zależy już na państwie niemieckiem. Niedomaga ono i stęka i przestarzałe zejdzie wnet do grobu. Toteż Francja

NAPOLEON

uczestniczy w grze i z drugiej strony Renu. Niewiadomo tylko, jak samego Habsburga odszkodować za stratę Lombardji.

Wtedy właśnie nadchodzą wieści z Wenecji o mordach i buntach przeciw naszym ludziom. Nareszcie można odegrać rolę mściciela! Tak, i Wenecja przestarzała się i zasługuje na zagładę. „Od czasu odkrycia Przylądka i wzniesienia się Tryjestu i Ankony upada ona,—pisze do dyrektorów dla uspokojenia ich moralnego, to jest dla dania im materiału dla prasy. — Trudno, by przetrwała cios. Tę nędzną, tchórzliwą, nie stworzoną dla wolności ludność bez ziemi i wody, musimy oczywiście pozostawić tym, którzy zawładną jej łądem. Wpierw odbierzemy jej okręty, uprzątniemy arsenał, uwięziemy działa, zamkniemy banki, zatrzymamy też Korfu i Ankonę.“ Dopiero tak osłabione Laguny przypadną Habsburgowi.

Ze starszymi jednak panami, którzy od stuleci, jako potomkowie silnych mężów z paru rodzin, rządili Wenecją i uczynili ją państwem reakcyjnym, załatwia się Bonaparte krótko: „Podszechuliście chłopów, — pisze podczas układow z Tyrolu do doży, — wszędzie piszą u was: Śmierć Francuzom! Setki żołnierzy padły już waszą ofiarą. Nie przeczcicie: wywołaliście te bunty! Czy myślicie, że w chwili, gdy znajduję się w sercu Niemiec, nie zdołam zdobyć poszanowania dla pierwszego narodu na świecie? Krew moich towarzyszków broni musi być pomszczona! Wojna lub pokój! Jeśli natychmiast... nie wydacie mi winowajców, wypowiem wojnę.“

Takiego używa tonu, chcąc zastraszyć kilku chwiejnych patrycjuszów. Gdy potem posłowie senatu zjawiają się w jego obozie, udaje wściekłego, wpada na nich: „Nie chcę już żadnej konstytucji, żadnego senatu! Dla Wenecji będę nowym Attylą! Nie chcę słyszeć o żadnych propozycjach! Nadaaa wam prawa!“ Potem, przy oddaniu miasta, 90-letni doża pada martwy. Jest ostatnim dożą Wenecji. Bonaparte nie zapomniał nigdy tej sceny.

Czyż uporał się wreszcie z Italją? Czyż nie posiadał wszystkiego i nie stoi ostatecznie u celu?

Niema celu, gdyż każdy krok otwiera nowe widoki. Wenecja jest tylko odskocznią dla wypłynięcia na pełne morze.

Oczarowały go wyspy, teraz otwiera się oczom jego Adrja; już leci dalej. Będąc przedtem w Ankonie, by wymusić

POTOK

pokój na papieżu, stał na brzegu, patrzył w dal, gdzie leżały wyspy Jońskie, Turcja i pisał: „W 24 godziny można dostać się stąd do Macedonji: nieoceniony punkt dla naszego wpływu na los Turcji.“ Czyż już jako brygadjer sztabu generalnego nie chciał tam dać nura? W Ankonie nawiązywał przez agentów stosunki z potężnymi baszami w Janinie, Scutari, Bośni.

Teraz, w Leoben, zabezpiecza sobie wyspy „Wenecji, każe obsadzić Korfu i Zante, „by zostać jednocześnie panem Adrii i wschodu. Państwa tureckiego nikt już utrzymać nie może, ujrzymy jeszcze jego upadek. Obsadzenie wysp Jońskich daje nam do wyboru popieranie Turcji lub zabezpieczenie sobie naszej części“.

Ze stanowiska polityki realnej zwraca się to wszystko przeciw Anglii, gdyż stare życzenie Francji zmierza do tego, by przez punkty oparcia na Morzu Śródziemnym odzielić Anglię od Indyj. Ale w Bonapartem środki te znajdują poraz pierwszy motor dla własnych celów: nie pragnie on Wschodu poto, by w Anglii pobić śmiertelnego wroga; myśli o środkach przeciw Anglii, by zdobyć wschód. Ponieważ fantazja wyprzedza zawsze jego czyny, Europa, której dopiero wszak rąbek pochwycił, zaczyna mu dziś już być za ciasna. Teraz mówi do Bourienne'a:

„Tylko na Wschodzie istniały wielkie państwa i wielkie przewroty, tam, gdzie mieszka 600 milionów ludzi! Europa jest kretowiskiem.“

VIII.

W wysoko sklepionej, barokowej sali o biało-złotej sztuka-terji, siedzi na długiej, zielonej, jedwabnej kanapie między dwiema dojrzałymi kobietami, 19 -letni porucznik, rozpieszczony i przymilny, jak paż. Jedna jest jego matką, ale gdy uśmiechniętemi oczyma strzela zalotnie do eleganckich oficerów, stojących dokoła, zdaje się przypominać sobie i innym raczej chwilę, w której się takich chłopców płodzi i dodaje bezstłownie, że Kreolki rozumieją się na tem najlepiej. Znać w tej sprawie jest piękny generał, który stoi poza nią, zaglądając jej w biust jeszcze głębiej, niż na to pozwala moda i próżność:

NAPOLEON

jest nim Massena, urodzony do ataku, za dziki i za mało wykształcony, by obmyślać cokolwiek, lecz w niebezpieczeństwie istne światło ratownicze dla wojska. Potrzebuje zawsze kilku kobiet, które wlecze z sobą i zawsze pieniędzy, kradnąc jedno i drugie, gdzie tylko może.

Wszystko, czego mu brak, posiada mały człowieczek z dużą głową, który rozmawia z damami, brzydkimi, o wzruszających dziwnych ruchach i teraz jakby pijany uczuciem ładnej Visconti, którą zdobył, nikt nie wie jak: to Berthier, szef sztabu generalnego, bez wytchnienia czynny, dziś zajęty administracją, jutro idący do szturmów, wielki badacz map, jeden z nielicznych, którzy uczyli się teorii.

Teatralnie wystrojony, w zielonym aksamitnym ubraniu, obracający olbrzymi kapelusz z piórami w rękę, Murat, syn proletariatu, jak większość panów tej osobliwej kwatery głównej, rozmawiając nieco na uboczu, śmieje się zbyt głośno, gdyż sprośny Augereau, chciwy, marnotrawny syn chłopski, opowiada mu nieprzyzwoitą anekdotę i on, któremu nie imponują armaty, ani książęta, wpada w przykre zakłopotanie, gdyż generałowa Bonaparte woła przez pół sali, że chce takie usłyszeć ten dowcip.

Ale Józef, który wie, jak się zachować, daje Muratowi, po którego nieokresaniu spodziewa się wszystkiego, znak, by na miłość boską milczał, gdyż jego siostra, Eliza, siedzi w niszy okiennej, a ponieważ nie jest tak ładna, jak inne, i musi nudzić się z mężem, czyha na wszystkie skoki rozmowy i opowiedziałyby to natychmiast matce, której i tak rozpusta Józefiny jest nienawistna.

Teraz słyhać z ogrodu śmiech i wołanie: to szczebiotliwy głos Pauliny. Wiecznie spragniona wysysa ostatnie dni przed ślubem z generałem, którego brat jej przeznaczył, i gdy jak teraz może się bawić w ciuciu-babkę z Hipolitem, cieszy się podwójnie, gdyż wie, że złości to Józefinę.

Zwolna wchodzi na galerję szef. Przemierzając pokój, dwie godziny przetrzymał był na nogach poetę Arnault'a z Paryża, wiedząc, czemu go wybrał: na pytania jego dotyczące armji i bitew, odpowiedział długim sprawozdaniem ze swych czynów, które tamten już rozpowszechnił. Teraz jednak skierował rozmowę na trwałe przesilenie w rządzie i w chwili, gdy

wchodzą do sali, kończy cicho, lecz z naciskiem, aby poeta zapamiętał: „Wątpię, czy można uchronić się od tego inaczej, jak uciekając się pod władzę jednego, jedyne go człowieka. Ale gdzie on?”

Gdy tylko wkroczył do sali, oficerowie powstają, przerywają rozmowy, z oczekiwaniem patrzą na 27 letniego męża, którego większość przewyższa latami, a wszyscy wzrostem; tylko paż siedzi dalej na kanapie: Eugenjusz wie, że opiekunka jego jest nieograniczoną panią domu.

Jesteśmy bowiem w Montebello, silnym zamku pod Medjolanem, gdzie Bonaparte spędza całą wiosnę i lato, całkowicie niemal jako mąż stanu, gdyż wojnę ukończył w Leoben zawieszeniem broni, brakło tylko jeszcze pokoju. Mógłby bawić w Paryżu, zbierać tam wszystkie hołdy, o których marzył jako młodzieniec, ale trzyma się zdaleka; dopiero gdy polityczne skutki jego zwycięstw skrzepną w spiżowe formy, gdy państwa utrwala się, gdy załatwi się z Italją, wtedy przyjdzie kolej na Paryż! Tymczasem rezyduje tu niemal pół roku, nie jak w głównej kwaterze, raczej jak na małym dworze.

Ale pod żadnym względem nie jest dorobkiewiczem, nie rości sobie praw do niczego, czego nie posiada, we wszystkim chce uchodzić za to, czem jest: za syna rewolucji, która ogłosiła równość. Choć powołał synów ludu na najwyższe stanowiska w swej armji, nie boi się spojrzeń swych wysokich gości, książąt Italji, gdy któryś z jego walecznych generałów potknie się w salonie. Również nie widzi powodu ukrywać jak parwenjusz swego pochodzenia, choć zmiana ojczyzny właśnie mogła kusić go do tego. Przeciwnie odsłania je szczerze: całą rodzinę, którą już zeszłego roku wezwał do Medjolanu, zaprasza teraz z oryentalnym gestem na swój zamek i każe ją czcić tym, którzy szukają tam jego łaski. Takich jest połowa Italji, gdyż nazwisko jego nabiera już mitycznej siły wybrańca, i obok tych, którzy pragną związać się z jego szczęściem, przyjeżdżają zdaleka ludzie prywatni, by przedstawić temu mądrymu mężowi swoje stosunki rodzinne i sprawy, i takim właśnie radzi chętnie.

Z trudem zdecydowała się dumna, surowa na punkcie obyczajów matka podać rękę Józefinie, której opinja ją gorszy, i choć on pani serca swego wszystko przebaczył i nic odmówić

NAPOLEON

nie może, zmusza ją jednak do trzymania matki w swem pobliżu i szanowania jej. Teraz gniewa się matka na nią jeszcze bardziej, niż z początku: kreolka ta każdemu prawi grzeczności, całuje każdą kobietę, a dzieci nie ma. Korsykanka, która sama miała trzynaścioro dzieci, czuje, że bezpłodność tamtej bezceści syna i jego rodzinę. Czyż nie czyta w oczach niejednego przeciwnika zadowolenia i szyderstwa z powodu tego, że wielki człowiek nie może płodzić dzieci? A jednak stara krew powiada jej, że to nie jego wina, lecz wyczerpanej użyciem kobiety.

Gdy ujrzała go znów, pierwszy raz po bitwach i zwycięstwach, uściskała syna, potem rzekła:

— Ale schudłeś jeszcze bardziej! Zabijasz się przecie!

„Przeciwnie, zdaje mi się, że żyję!“

— Tak, dla potomnych, ale teraz?

„Czyż to jest konanie?“

I na odjeździe, mówi jej: „Szanuj, matko, zdrowie. Bo jeśli umrzesz, nikt nie będzie już miał nade mną władzy.“ Jego korsykański zmysł rodzinny, widać, jest niemal tak silny, jak jego bezojczyste poczucie siebie.

Trzy siostry i trzech braci wraz z wujem Feschem robią w Montebello swoje. Czarująca, szesnastoletnia Paulina gniewa się na Józefinę, że ta, na życzenie Napoleona, udaremniła jej małżeństwo z miłości. Teraz ma wyjść za generała Leclerc i gdy odbywa się ślub w kaplicy zamkowej, pan zamku zmusza też starszą siostrę do wzięcia zaniedbanego ślubu kościelnego, tak bardzo chodzi mu o dobrą opinię Watykanu. Po uroczystości matka, która od wszystkiego trzyma się zdaleka, odjeżdża na Korsykę.

„Tę wyspę, tę prowincję“, którą Bonaparte teraz tak nazywa, jakby była byle czem, odbił w ciągu wyprawy, operując z daleka, Anglikom, którzy dzierżyli ją od czasu, gdy Paoli przyzwał ich na pomoc. Poleciał dwóm tuzinom ludzi wylądować wśród ciemnej nocy z kupą pieniędzy i broni, „dla dodania odwagi patriotom“ rozrzucić ulotne pisma, kazał wystąpić tam przyjacielowi i przeciwnikowi z dawnych czasów, Saliceti'emu i z odległości stu mil osiągnął to, co mu niegdyś trzykrotnie nie udało się osobiście.

POTOK

— Czyż to istotnie minęły dopiero cztery lata? — myśli signora Letycja, gdy lud, który skazał jej ród na banicję, wita ją teraz radośnie. — Czy to ta sama cytadela, o którą kusił się Napoleon? Teraz, ponieważ tak rozkazał, wprowadza się tam mąż Elizy, jako komendant, Lucjan jest oddawna intendentem tych wojsk. Jemu samemu jednak musi teraz wyspa ojczysta wydawać się zdaleka, jak zamek rodowy, trochę romantyczny i nienowoczesny, gdzie każe się mieszkać krewnym. Z uśmiechem czytał niedawno odręczne pismo, którym pretendent burboński, ofiarowywał mu tytuł księcia lub nawet „dziedziczne wicekrólestwo na Korsyce“, gdyby zechciał za niego walczyć.

W Montebello Bonaparte oddziela po raz pierwszy dwie formy życiowe, które księżę z urodzenia uczy się oddzielać od dzieciństwa.

Zamku, rzecz dziwna, nie oddaje pod straż Francuzom, lecz 300 polskim legionistom, którzy pod nim służą. Zarazem, odkąd w bitwach narażał się na niebezpieczeństwo dostania się do niewoli, utworzył sobie z największych i najlepszych żołnierzy straż przyboczną, złożoną z 40 ludzi, którzy zwali się *guidami* i którymi dowodził nieustraszony człowiek.

Na zamku otacza go wał ordynansów i kurjerów; gdyż ze wsząd przybywają teraz posłowie, lew św. Marka i klucze piotrowe świecą na obcych epoletach, widać Wiedeń, Livorno, Genuę. Potem wydaje wielkie i, wedle obyczaju tych krajów, także publiczne uczyty, pozwala ciekawym przypatrywać się z galerji i dba o to, by opowiadali w domu, że on pija wino krajowe, *nostrano*, jak oni.

Kto widzi jego służbowe stosunki, — potwierdzają to wszystkie opowieści, — zdumiewa się, jak ten 27 letni wódz nigdy nie wpada w zakłopotanie, jak pozostaje zawsze pełen godności, a jednak naturalny, jak ubrany jest zawsze najprościej; a jak jednocześnie umie wszystkich trzymać zdaleka. Jest niższy niemal od każdego, kogo przyjmuje; jednak nikt nigdy nie widział, by się sztucznie wypinał. Raczej każdy, kto z nim rozmawia, stoi lekko pochylony i przez ten mały ruch przyjmuje zgóry postawę petenta. W ten sposób teraz i przez całe życie wyciągał z swej przyrodzonej słabości korzyść, której ostateczne skutki psychiczne nie dają się wcale obliczyć. „Jeśli

NAPOLEON

ten człowiek, — pisze podówczas jeden z odwiedzających, — nie będzie miał szczęścia paść w polu, to w przeciagu czterech lat znajdzie się na wygnaniu lub na tronie.“ Piszący pomylił się tylko o trzy lata.

Jako uczeń swej epoki, wiedzący, jak się wykuwa nazwisko, miał przy swym boku zręcznego dziennikarza, pierwszego szefa prasy w historii, dla urabiania Bonapartemu wbrew dyrektorom opinii w Paryżu. Jako uczeń Plutarcha, wiedzący, kto w rzeczywistości przekazuje aktualne nazwisko potomnym, ściąga z Italji na swój zamek poetów i historyków, uczonych i artystów. Już w poprzednich latach, na kilka dni przed wjazdem do Medjolanu, pisał wśród pierwszorzędných spraw do pewnego wielkiego astronoma te zdumiewające słowa:

„Umiejętności, które przynoszą zaszczyt duchowi ludzkiemu, sztuki, które upiększają świat i przekazują potomności wielkie czyny, muszą zwłaszcza w państwach wolnych doznawać opieki. Wszyscy genialni mężowie, wszyscy wsławieni w świecie uczone są Francuzami, bez względu na to, do jakiego kraju należą.“ Dotąd musieli żyć w ukryciu, teraz panuje wolność myśli, niema nietolerancji, niema despotów. Niech gromadzą się dokoła niego i przedstawiają mu swe życzenia. Kto chce udać się do Francji, będzie tam przyjęty z wyróżnieniem, „gdyż lud francuski woli pozyskać wielkiego matematyka, malarza lub inną znakomitość, niż najbogatsze prowincje. Przeto, obywatelu, bądź pan pośrednikiem tych uczuć wobec wielkich mężów Medjolanu!“

Potem przydzielił do armji jednego z attache poselstwa, który, jak większość jego kolegów, nie miał o czem myśleć, ani co robić, dla rejestrowania wszystkiego, co państwa włoskie kryły w swych zbiorach: najlepszych rzeczy domaga się później w układach dla Paryża.

Teraz każe uczyonym kopjować dla konserwatorjum paryskiego wszystko, co zdobyć można w dziedzinie muzyki włoskiej, gdyż, jak pisze, „z wszystkich sztuk muzyka ma największy wpływ na namiętności, przeto prawodawca powinien ją najbardziej pielegnować. Głęboko odczuta symfonia mistrzowskiego pióra porusza niechybnie duszę i ma wpływ daleko większy, niż książka moralna, która przekonywa rozum, nie wpływając na nawyknięcia.“ Gdy zostaje członkiem In-

POTOK

stytutu, umieszcza ten tytuł na czele wszystkich służbowych pism naczelnego wodza i pisze: „Prawdziwa moc Republiki Francuskiej powinna odtąd polegać na tem, by nie powstała żadna nowa idea, któraby nie należała do niej.“ Żołnierz, — powie to w zaufaniu, — musi uważać swego wodza za mędrszego i bardziej wykształconego, niż on sam, i właśnie dla tego, nieco ciemnego dlań tytułu, ma szacunek.“

Wszystko to ukazuje nietylko męża stanu, ale i urodzonego władcę, cieniującego każdy gest, każde słowo, pisane, czy wypowiedziane, z myślą o legendzie, którą co do osoby swej wytworzyć chce w ludzie. Gdy zamkną się drzwi, i on znajdzie się wśród zaufanych, wtedy otwiera się serce.

„W osobowości jego, — mówi o nim już wówczas jeden z najmędrzych, — tkwiła moc, która imponowała wszystkim. Aczkolwiek... był nieraz nawet niezgrabny w postawie i ruchu, miał coś rozkazodawczego w zachowaniu, spojrzeniu i mowie. Każdy go słuchał. Występując publicznie starał się jeszcze wzmocnić to wrażenie. W bliższym obcowaniu był swobodny, dobronudzny, a nawet poufały, lubił żarty, które nie były nigdy obraźliwe, lecz wesołe i taktowne. Często brał udział w naszych zabawach. Pracował z łątwością, godziny jego były wtedy nieuregulowane, w chwilach odpoczynku był zawsze dostępny. Gdy jednak zamknął się w pracowni, każdy nieuzasadniony dostęp był zakazany, bez względu na stopień... Potrzebował bardzo dużo snu, jak wszystkie natury nerwowe o czynnym umyśle, często widziałem go leżącego 10—11 godzin w łóżku; gdy jednak trzeba było go zbudzić, znosił to łątwo i wypoczywał potem lub przedtem w przewidywaniu wysiłku. Miał cenną zdolność spania, gdzie chciał i jak często chciał. Lubiał mocne ćwiczenia cielesne, jeździł często konno, chociaż bardzo źle, zato jednak bardzo szybko.“

Rozmawia często, za przedmiot obiera politykę lub ogólne zagadnienia życiowe i gdy rozmowa utyka, proponuje opowiadanie historyj; gdy wszyscy milczą, opowiada sam, dosadnie i z humorem.

Daremnie zabiegają oń najpiękniejsze kobiety, on trwa przy Józefinie. Oczywiście nie tak szalenie, jak zeszłego roku, gdy go oszukiwała i zwodziła; ona to, ona sama przebarzkowała to namiętne oddanie się. Ale coś wzruszającego

NAPOLEON

przebija się teraz w jego tonie: zabiegliwość, uśmiech, prośba: „Jesteś smutna, pisał jej jeszcze z wyprawy, nie piszesz do mnie, czy chcesz wrócić do Paryża? Czy nie kochasz już swego przyjaciela? Myśl ta unieszczęśliwia mnie. Życie, słodka przyjaciółko, jest dla mnie nieznośne, odkąd wiem, że jesteś smutna. Może niedługo zawrę pokój z papieżem, wtedy niebawem znajdę się przy tobie.“ W trzy dni później: „Pokój z Rzymiem zawarty, Bolonja, Ferrara, Romanja nam oddane... Ale ani słowa od ciebie! Mój Boże, co przewiniłem?... Prawdopodobnie wiesz aż nazbyt, jak nieograniczoną władzę posiadasz nade mną! Na całe życie Twój.“

Teraz na zamku pod Medjolanem zaznaje poraz pierwszy stałego pożycia małżeńskiego, jednocześnie zachwyca go jej wdzięk w obcowaniu ze światem. Niekiedy urządza sobie mały festyn miłosny, wtedy jadą na Lago Maggiore i gdy wśród barokowych tworów kamiennych w gęstwinie rododendronów rozlega się namiętny głos bohaterki Scali, Grassini, śpiewającej *appassionato* Monteverdiego, on siedzi w cichem zamyśleniu i ujmuje rękę mniej poważnej towarzyszki.

„W powozie, — opowiadał jego adjutant, — pozwalał sobie na poufałości małżeńskie, co nas obu, Berthiera i mnie, często wprawiało w zakłopotanie. Ale naturalny jego sposób bycia zdradzał tak wielkie przywiązanie, że przebaczało mu się wszystko.“

IX.

Co mówi Paryż?

Od wczoraj siedzi tam strażnik. W gabinecie, gdzie dotąd siedzieli tylko adwokaci, w najtajniejszym pokoju działa mąż stanu. Potomek starej szlachty francuskiej, biskup, jako republikanin wygnany przez papieża, potem czekający w Ameryce: Talleyrand wrócił znowu i pochwycił część władzy. Izby, po nowych wyborach w większości 6wej prawicowe, dość długo lżyły dyrektorów: że wódz chce zrewolucjonizować Europę, że przeciąga wojnę w nieskończoność, że rabunek Wenecji jest hańbą. Może niejedno było aż nazbyt prawdziwe, ale przenikając z obozu gadającego do obozu

POTOK

walczącego, musiało człowieka mocy napełnić pogardą. Posłał izbom memorjał, który był raczej nauczką: „Prorokuję wam, — gromi, — i mówię w imieniu 80 000 ludzi: czas, w którym tchórzliwi adwokaci i nędzni pyskacze kazali tracić walecznych żołnierzy, minął!“

Wtedy posłał do dyrektorów Augereau, aby ich bronił, jak on sam czynił to dawniej, gdyż coraz bardziej rosnąca moc rojalistów i księży zagrażała nowemu ustrojowi republiki. Gdyby tylko jeden z dwóch braci burbońskich odważył się stanąć we Francji, byłby na czele wszystkich niezadowolonych w mig odzyskał tron. Ponieważ siedzieli w bezpiecznym ukryciu, dyrektorowie mogli ważyć się na mały zamach stanu. Teraz było ich pięciu, zamiast trzech i samodzielność ich rośnie.

Teraz, powołany po tym zamachu, siedzi przy sterze polityki zewnętrznej, poraz pierwszy, znawca. Z dali mierzy jedynego współzawodnika, a jako że rozpoznaje w nim człowieka jutra, choć nie widział go jeszcze na oczy, zajmuje w duchu natychmiast drugie miejsce, przynajmniej na początek i zyskuje zaufanie większego.

Gdyż Talleyrand jest we wszystkim przeciwieństwem Bonapartego: niepowołany do panowania, tylko do układów, pozbawiony zupełnie namiętności, prócz chciwości, zimny i przebiegły, zawsze nienaturalny i nieszczerzy, zawsze taki jak ten, którego w danej chwili potrzebuje: wysuwa chytrą głowę cynika, o wyczuwającym wiatr spiczastym nosie, ze złoconego kołnierza rewolucji i będzie ją wysuwał z cesarskiego, potem znów z królewskiego, i jeszcze poraz czwarty z szamerunku króla mieszczańskiego: przez lat 40 związany zawsze z panującą władzą, żadnej nigdy nie oddany, dlatego zawsze gotów do przejścia. Talleyrand kuleje. Przeto ojciec jego nie mógł go ubrać w uniform, tylko w sutannę, pod której osłoną wielki Richelieu niegdyś rządził krajem. On i tylko on dorasta odtąd Bonapartego i dorastać go będzie zawsze; nie pozbędzie się go nigdy pan losów, nawet wtedy, gdy nauczy się go nienawidzić; i gdy nareszcie obali go, to tamten upadnie właśnie w samą porę, by o danej godzinie z uśmiechem nad upadłym tymczasem panem, przejść do gabinetu jego wroga. Wśród ludzi runął Napoleon przez Talleyranda; wśród demonów tylko z własnej ręki.

NAPOLEON

Na dziś imponuje dalekiemu Bonapartemu jego szeroki umysł i całkowity brak wszelkich zasad. Bonaparte pojechał właśnie w tych dniach wrześnieowych do Udine, by zawrzeć ostatecznie pokój, który przygotował na wiosnę. W tym potomku starej szlachty, w tym znawcy ludzi z czasów rococo i zimnym nihilście, widzi już narzędzie, które mu będzie potrzebne. Dotąd szukał i znajdował tylko żołnierzy. Teraz, gdy został mężem stanu, potrzebuje i znajduje pierwszego męża stanu i układając się z Austrią, podaje nowemu ministrowi spraw zewnętrznych, w długim, by tak rzec, zaręczynowym liście, cały swój program państwowy.

„Budowanie ludu francuskiego, — pisze, — zaczęło się dopiero. Mimo nasze wysokie mniemanie o sobie... my, Francuzi, jesteśmy w polityce jeszcze bardzo ciemni. Nie wiemy nawet, co właściwie rozumieć należy przez władzę wykonawczą, prawodawczą i sądową... W takim państwie, jak nasze, gdzie cała władza wychodzi z ludu, gdzie lud jest sam suwerenny..., należałoby uważać władzę rządową w całym zakresie, jaki jej przyznaję, za prawdziwego przedstawiciela narodu, przedstawiciela rządzącego wedle konstytucji.“

— Tak szczerze mówi serce twe, Bonaparte? — myśli dyskretny adresat, czytając to w tydzień później i uśmiecha się.

„Niezmiernem jest nieszczęściem dla 30-miljonowego narodu, by musiał jeszcze w wieku 18-ym uciekać się do broni dla ratowania ojczyzny. Te gwałtowne środki są ciężarem dla prawodawcy, gdyż konstytucja dla ludzi musi być też obliczona na ludzi.“

— Tak wysoko? — myśli czytelnik. — Sprzykrzył sobie już sławę bitewną i chce być dyktatorem nowej konstytucji. — Potem czyta:

„Czemuż nie mielibyśmy zabezpieczyć sobie Malty?... Kazałem nie bez przyczyny skonfiskować dobra Rycerzy Maltańskich... Posiadając Maltę i Korfu bylibyśmy panami Morza Śródziemnego! Jeśli mamy Anglików zostawić na Przylądku, to musimy wziąć sobie Egipt. Z 25 000 ludzi i 8—10 okrętami linjowemi można ważyć się na wyprawę. Egipt nie należy do Sułtana. Radbym, by pan wywiedział

się, jakie wrażenie wywarłaby na Portę wyprawa egipska... Rozkład olbrzymiego państwa tureckiego, widoczniejszy z dniem każdym, każe nam myśleć o naszym handlu na wschodzie.“

Dyplomata o spiczastym nosie coraz wyżej podnosi brwi, czytając to w swoim gabinecie. Czuje, że tamten jest napewno genjuszem, może nawet djabłem. W parę tygodni czyta nareszcie:

„Jeśli za podstawę naszych czynów weźmiemy prawdziwą politykę, która jest tylko obliczaniem okoliczności i widoków, to na długi przeciąg czasu staniemy się wielkim narodem i rozjemcą Europy. Ba, będziemy dzierżyli w ręce wagę jednej części świata, i jeśli los zechce, to można w kilku latach dojść do wielkich wyników, które dziś tylko zgorączkowana, zapalna wyobraźnia przeczuwa w niepewnych liniach, lecz które zupełnie zimny, wytrwały, obliczający człowiek osiągnie rzeczywiście.“

X.

Jakże zwlekają ci dyplomaci niemieccy! Od tygodni siedzi się tu, układa do późnej nocy i wciąż jeszcze ci hrabiowie nie mogą zdecydować się na podpis, na który rozumny człowiek mógłby zdobyć się po dwóch godzinach! Wciąż oglądają się na swego cesarza w Wiedniu, nawet podczas układów nie brak symbolicznego tronu pod baldachimem, tronu, który jest dlań przeznaczony i przeto pusty. „Proszę kazać zabrać to krzesło, zanim rozpoczniemy, mówi wódz. Ilekroć widzę krzesło na podwyższeniu, przychodzi mi zawsze chęć usiąść na niem.“

Owe szumne preludja, które posyłał mrocznemu nowemu ministrowi, były tylko monologami niecierpliwca, który wydaje się już sobie pozbawionym wszelkiego talentu, gdy parę tygodni myśleć musi o jakimś jednym pokoju, choćby nawet Europa pragnęła go od lat. Dziś urywa się jego cierpliwość, może ostrzejszy ton coś wskóra: „Byłem zanadto przystępny, — gromi Austrjaków. — Powinienem był zadać wam dotkliwsze cięgi! Kradniecie mi cenny czas! Jestem tu zupełnie równorodny z książętami!... Zabawiacie mnie tu kongresem... Naszemi środkami możemy w dwa lata zdobyć całą Europę. Nie

NAPOLEON

twierdę, że taki jest nasz zamiar. Pragniemy obywatelom dać najrychlej pokój... Mówicie, panowie, że tę i ową macie instrukcję? Gdyby więc wasza instrukcja brzmiała, że teraz jest noc, czybyście też to twierdzili?“

W końcu, by ich nastraszyć, inscenizuje napad wściekłości, tłucze porcelanę i doprowadza wreszcie do pokoju, w którym każdy osiąga to, co on przed półrokiem przyrzekł w Leoben.

Gdy Europa dowie się o tem, odetchnie. Cóż jednak tymczasem dzieje się w duszy Bonapartego? W dzień po tym pokoju w Campo-Formio, którym skończyła się sześćioletnia wojna między Francją i Niemcami i który on sam zarówno wywalczył jak i zawarł, pisze do dyrektorów, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz: „Dla rządu naszego jest sprawą bezwarunkowo konieczną rychłe zniszczenie monarchji angielskiej. W przeciwnym razie musimy sami przygotować się na to, że czynny ten lud wyspiarski zniszczy nas korupcją i intrygami. Chwila sprzyja. Skupmy więc wszystkie siły dla podniesienia naszej floty, zniszczmy Anglję — a Europa legnie u naszych stóp!“

O tem mówi w publicznej proklamacji do samej floty: „Towarzysze! Ustaliwszy pokój na lądzie, zdobędziemy wolność mórz. Bez was moglibyśmy rozstawić imię francuskie tylko w zakątku kontynentu. Z wami przepłyniemy ocean i sława narodu napełni najodleglejsze krainy.“

Napęczniały olbrzymiemi planami, widząc znów przed sobą, w czystości nowych zamysłów, sławę, która na gościńcu jego czynów nieustannie znika za nim w kurzawie jego szalonych jazd: wraca spieszenie do Mcdjolanu i na swój zamek, by wydać ostatnie rozkazy co do Italji. Gdyż teraz z pergaminem pokojowym w ręku, chce stanąć w Paryżu! Tonem księcia, przemawiającego do swoich ludów, woła do nowej Republiki Cisalpińskiej:

„Jesteście pierwszym ludem w historii, który bez stronictw, bez rewolucji i bez kłótni osiągnął wolność. Daliśmy wam wolność, teraz umiejcie ją zachować!... Przejmijcie się uczuciem swej siły i godnością, która przystoi wolnemu mężowi... Gdyby Rzymianie użyli swej siły tak, jak Francuzi, dziś jeszcze orły ich zdobiłyby Kapitol, osiemnaście wieków niewoli nie hańbiłoby rodu ludzkiego! Gdyż dla

POTOK

umocnienia waszej wolności i jedynie w celu uszczęśliwienia was, dokonałem dzieła, które dotychczas spełnić mogła tylko ambicja i żądza mocy... Za kilka dni opuszczam was... Zawsze będę nosił w sercu najżywszą troskę o wasze szczęście i sławę waszej republiki.“

Czy to wojownik gra taką fanfarę? Czy poeta, który w poczuciu rozkoszy życia tryska słowami wprawiającymi w zapał cały lud? W tym samym czasie przechadza się on z jednym z dyplomatów tego kraju po parku w Montebello. Całą jego istotę pochłania oczekiwanie Paryża, słuchacz jest rozumny i dyskretny: nagle Bonapartemu w jednym z tych napadów szczerości, na jakie pozwala sobie czasem genjusz, wyrwywają się te zdania:

„Czy myśli pan, że odnoszę triumfy w Italji poto, by adwokatom z dyrektorjatu... dopomóc do wielkości? Lub czy sądzi pan rzeczywiście, że zależy mi na umocnieniu republiki? Co za pomysł: republika złożona z 30 milionów ludzi! Znaszemi obyczajami, z naszemi występkami! Francja zapomni niedługo o tem urojeniu! Francuzi potrzebują sławy i zaspokojenia swej próżności, ale o wolności nic nie wiedzą. Spójrz pan przecie na armję! Zwycięstwa nasze przywróciły już żołnierzowi francuskiemu jego prawdziwą naturę. Ja jestem dlań wszystkim! Gdyby dyrektorowie naprzykład chcieli mi dać dymisję, przekonaliby się, kto jest panem armji.

„Lud potrzebuje wodza, uświetnionego sławą i zwycięstwem, a nie teoryj i rządów, frazesów i mów ideologów. Dać mu zabawkę, to będzie się nią bawił i pozwoli sobą kierować, pod warunkiem, że zręcznie ukryje się przed nim cel ostateczny! U was w Italji można się jeszcze mniej ceremonjować... Ale jeszcze nie pora. Można ustąpić dopiero poruszeniu chwili, w ten sposób będziemy tu mieli dwie lub trzy republiki naszego rodzaju... Pokój nie leży w moim interesie. Jeśli zapanuje, a ja nie będę już stał na czele wojska, to będę musiał wyrzec się władzy i stanowiska, które sobie zdobyłem, i złożyć w Luksemburgu hołd adwokatowi. Opuszczam Italję, by we Francji odegrać tę samą rolę. Ale i ten owoc nie dojrzał jeszcze, Paryż jest niezgodny, jedna partja jest za Bourbonami, za których walczyć nie chcę. Kiedyś osłabię partję republikańską — w każdym razie nie na korzyść starej dynastji!“

NAPOLEON

To są Bonapartego prawdziwe plany. Ba, rzecz ma się tak, jak on teraz powiada: „Wszystko stało się, jak przewidziałem i jestem snadź jedynym człowiekiem, który się temu nie dziwi. Tak też będzie i w przyszłości: dotrę tam, dokąd chcę.“

Strumień wyznań toruje sobie drogę. Niewątpliwie, zaprzeczyłby każdemu z tych słów, przekazanych przez pamiętniki, gdyby odważono się je zacytować. A jednak to, co osiągnął, nie zadowala go zgoła! Gdy w powozie podróżnym siedzi z Bourienne'em i opuszcza po dwóch niemal latach Italję, mówi: „Jeszcze kilka takich wypraw, a zapewnimy sobie w potomności niezgorsze miejsce.“ A gdy przyjaciel twierdzi, że posiada je już dzisiaj, Bonaparte odpowiada ze śmiechem:

„Dobryś sobie, Bourienne! Gdybym dziś umarł, daliby mi po dziesięciu wiekach w historii powszechnej niewięcej, jak pół strony.“ -

XI.

Dziedziniec Luksemburski zmienił się dziś w amfiteatr, niedawno zdobyta broń i sztandary pyszną się wśród złoconych haseł rewolucji na starych murach, w których parowie Francji obracali się niegdyś dokoła Króla-Słońca. Zgromadzony Paryż lśni barwami, jakby to była majówka, a nie ostry dzień grudniowy, piękne intryganckie przyjaciółki władców usiadły na samym przedzie, aby zobaczyć go zbliska, tego małego człowieka o żółtej cerze, dla którego to wszystko zrobiono.

— Jest już tydzień w Paryżu i nie widać go wcale? Czemuż unika ten skromny mąż radosnych okrzyków swego ludu?

Trąby oznajmniają wjazd! Spójrzcie, wchodzi już pięciu tyranów na scenę!

Chór śpiewa hymn do wolności, tłum wpada w refren, potem robi się cicho: z drugiej strony na schodach słychać brzęk szabel i ostróg, z wszystkich okien, z dachów tłum wychyla się, gdyż pauza zapowiada wszystkim, że on nadchodzi.

W polowym uniformie, — czyż można być skromniejszym? — z miną poważną i powściągliwą, stąpa pewnymi krokami opróżnioną drogą do estrady, ze zwojem papieru w rękę, za nim trzech adjutantów. Za nieozdobną postacią o żołnierskim

POTOK

kroku idzie mężczyzna, cały pokryty złotemi haftami, w jedwabnych pończochach — powłóczy nogą. “W tej samej chwili huknął strzał: to pozdrawiają porucznika artylerji jego własną bronią. Zrywają się oklaski, wstrząsają dziedzińcem i pałacem, przenoszą się na place, gdzie tysiące czekają na odjazd. Potem wszyscy cichną. Talleyrand mówi świetnie, gładko, z argumentami, które nieliczni tylko rozumieją, sławi antyczną prostotę męża, mówi, jak ten zbawca ojczyzny pogardza blaskiem, jak służy duchowi — i kończy zwrotem: „Cała Francja będzie wolna, tylko on sam może nigdy; to jego los.“

Biją oklaski — ale czy wśród tych tysięcy, nawet wśród zaufanych, istnieje choć jeden, który pojmuje głęboką prawdę tego ostatniego zdania? Czy czuje kto śmiertelne ostrze?

Cicho, on występuje, co powie?

„Lud francuski musiał zwalczać swych królów, aby być wolnym... Religia, feudalizm, królestwo włądały po kolei przez dwa tysiąclecia Europą. Od dnia dzisiejszego datuje się era konstytucji demokratycznej. Dokazaliście tego, że rozszerzyliście nareszcie dziedzinę wielkiego narodu do jego granic naturalnych. Uczyniliście więcej: dwa najpiękniejsze kraje Europy, sławne nauką, sztuką i genjuszem, widzą ducha wolności dźwigającego się w pełni nadziei z grobów swych przodków. To są piedestały, na których wznoszą się dwa potężne narody... Mam zaszczyt wręczyć wam ratyfikowany przez cesarza pokój w Campo-Formio. Gdy kiedyś szczęście ludu francuskiego ugruntowane będzie na najlepszych prawach organicznych, wtedy wolna będzie także Europa.“

Wojskowy głos przebrzmiał. Mija niema chwila. Potem zrywa się burza oklasków. Czy tyczą się one mowy? Nie miała ona nic z czaru owych mów ludowych lub nadwornych, które w Paryżu rozlepia się na murach. Wszyscy są zdumieni, niektórzy stropieni, obawa i szacunek budzą się w sercach. Oklaski tyczą się nie mowy, lecz męża. Ten przemawiał na wielu frontach, nawet do tłumu na Korsyce, ale nigdy dotąd wobec towarzystwa, wobec polityków.

Była to mowa męża stanu. Może w pierwszej chwili, gdy jeszcze żaden komentarz nie zmaćcił ucha, nie rozumiał jej nikt prócz Talleyranda. Wszystko, co powiada o epoce, zachynającej się od dzisiaj, zdaje się zrazu fałszywe, Anglja,

NAPOLEON

Ameryka były oddawna demokracjami. Ale Francja walczyła niemal lat dziesięć o uznanie jej za nią; otrzymała je tu nareszcie, w tym pokoju z Niemcami, którego pergamin wódz trzyma w ręce i który oznacza pokój na kontynencie.

Ale rozwój nie był skończony: rzekł to w ostalniem, metafizycznym zdaniu mąż stanu, który tkwił w wodzu. Zdanie to rozumieli i dyrektorowie, na których gniewał się, ale Barras opanowywa się wnet, wygłasza entuzjastyczną mowę pochwalną, potem ściska poraz pierwszy i ostatni małego generała, którego żonę ściskał o wiele goręcej.

Niema jej w tej chwili, niema Józefiny i nikt nie wie, gdzie podziewała się w ostatnich długich tygodniach. Dopiero w miesiąc po nim przybyła wesoła, czarująca, trochę zmęczona. W Paryżu podejmuje rychło dawne życie i dawne miłości.

Tymczasem inna kobieta zbliżyła się do wodza, wcale ładna, ale za rozumna, by mogła mu się podobać. Była potężna, również i Talleyrand nie byłby bez niej został ministrem. Interesująca córka Neckera, baronowa de Stael, szturmowała listami Bonapartego: chciała go mieć koniecznie w swoim rydwanie, ale on opierał się i nie dał się zaprząć. I obecnie też, gdy wreszcie go poznała, wywinął się kilku grzeczniejszymi słowami, choć nie mógł przeszkodzić temu, że rozumna kobieta przeniknęła go głębiej, niż większość mężczyzn i wówczas już nakreśliła zajmujący obraz:

„Jego chuda, blada twarz jest wcale miła. Ponieważ jest niski, lepiej wygląda na koniu, niż pieszo. W towarzystwie jest niezgrabny, ale nie płochliwy. Jeśli uważa na siebie, ma w swem zachowaniu coś pogardliwego, jeśli jest naturalny, jest zwyczajny; lepiej mu do twarzy z pogardą... Gdy mówi, czaruje mnie jego wyższość, choć nie ma ona nic wspólnego z wyższością uczonych lub światowców. Gdy opowiada o swem życiu, zdradza dużo wyobraźni włoskiej... Ale wyczuwam zawsze głęboką ironję, której nic nie uchodzi, ani wzniosłość, ani piękno, ani nawet jego sława... Widziałam wielu ludzi znakomitych, wiele natur dzikich, ale wobec niego czuję osobliwy lęk. Nie jest ani dobry, ani szpetny, ani łagodny, ani okrutny. Ta niemająca sobie równej istota nie może ani budzić skłonności, ani jej odczuwać: jest on

POTOK

czemś więcej i czemś mniej, niż człowiek. Zachowanie, umysł, mowa, wszystko ma obce piętno i to jest jeszcze jeden sposób zyskiwania sobie Francuzów...

„Nienawidzi równie mało, jak kocha, dla niego istnieje tylko on sam, wszyscy inni są pozycjami w rachunku. Wielki to szachista, przeciwnikiem jego jest ludzkość, której chce zadać mata. Powodzenie zawdzięcza w równym stopniu tym zaletom, których mu brak, jak i tym, które posiada... Gdzie chodzi o jego interes, jest tem, czem sprawiedliwy winien być w stosunku do cnoty: gdyby cel jego był dobry, wytrwałość jego byłaby piękna... Pogardza narodem, którego oklasków szuka, ani iskra zapału nie tkwi w jego potrzebie wprawiania ludzkości w zdumienie... Nie mogłam w obecności jego nigdy swobodnie oddychać.“

Jeśli potraci się z tych słów to wszystko, co przyrządziła urażona duma wybitnej i pożądanej kobiety, to pozostaje niejedno, co budzi zastanowienie. Każdem zdaniem chce go pobić i w następnym poddaje się. Gdyby w swym rousseau'wskim świecie nie marzyła o abstrakcyjnej cnotcie i dobroci, z którą dyktator nie ma nic wspólnego, gdyby wogóle przewidywała cel, który oczywiście odsłonił się dopiero pod koniec jego kariery, to przypadłaby jej sława, że pierwsza poznała geniusza.

„Wyobraźcie sobie małego mężczyznę, — pisze jednocześnie pewien Niemiec do domu, — nie wyższego, jak Fryderyk Wielki, zbudowanego bardzo regularnie i delikatnie, ale krępego, z wielką głową, szlachetnym czołem, ciemnoszarymi oczyma, gęstymi, ciemno-brunatnymi włosami, nosem greckim, zwisającym niemal ku ustom pełnym ludzkości i wdzięku, i z mocną, nieco wysuniętą brodą. Ruchy jego są zawsze żywe, a jednak pełne umiaru i godności. Można widzieć, jak zbiega w dół z wysokich schodów w pięciu, czy sześciu susach, a jednak w ostatnim zeskoku staje w jak najwzjęczniejszej postawie. Jeśli nie wpatruje się w coś określonego, to patrzy niemal zawsze ku górze: czułem zawsze prawdziwą rozkosz, ilekroć spoglądałem w te piękne, głębokie, pełne uczucia oczy, tak surowe, a jednak tak dobre, jak oczy Fryderyka Wielkiego.“

NAPOLEON

XII.

W drodze do Paryża musiał zatrzymać się dni kilka w Rastatt, by dla wykonania układu pokojowego, opróżnienia Moguncji, pomówić z posłem cesarskim. Oczekiwany był, jak cudotwórca, z ciekawością i sceptycyzmem, wystąpił isticie, jak król, łajał i głaskał posłów, stosownie do swych planów i tym hrabiom austriackim dał w upominku po zegarku i sprzążce z brylantami do kapelusza; „obaj biedni posłowie, byli zdumieni, że mam tak dużo pieniędzy, bo z nimi było bardzo krucho.“

Ten orjentalny gest darzenia, wykazujący zarówno wdzięk, jak i pychę, pozostanie mu właściwy; objawiać się w nim będzie wiecznie darzący kalif, mieszanina pogardy dla człowieka i szlachetności, pozwalająca głęboko wnikać w jego wewnętrzną strukturę. Jeśli jednak chodzi o odpłacenie prawdziwych usług, to ten sam człowiek, który w niebezpieczeństwach poprostu wymaga najwyższego czynu, dziękuje tak dostojnym gestem, jak gdyby był rycerzem, a świat tylko areną honoru. Gdy teraz, na pamiątkę tak licznie zdobytych chorągwi, wręczają mu sztandar z pod Arcole, posyła go generałowi Lannes i pisze:

„Pod Arcole była chwila, gdy niepewność zwycięstwa wymagała całej dzielności dowódców. Okryty krwią i trzema straszliwymi ranami, opuścił pan wtedy punkt opatrunkowy, postanowiwszy zginąć lub zwyciężyć. Ustawicznie widziałem pana w pierwszych szeregach walecznych. Pan to pierwszy na czele oddziału zuchów przekroczył Adde. Panu należy się zaszczyt przechowywania tej chwalebnej chorągwi, którą grenadjerzy pańscy okryli sławą.“

Oczywiście zna on działanie każdego słowa na Paryżan i jeśli w takich sprawach występuje publicznie, to losem jego jest, w nienawiści i zemście, detronizacji i skazaniu, też ukazywać się publicznie. Tego żąda rzemiosło.

Na razie oblicza swój występ w ten sposób, by cały Paryż z wszystkimi jego przeciwnikami i całą prasą mówił: co za skromna wielkość! Musi uczestniczyć jeszcze w dwóch uroczystościach: jedną urządza dlań Talleyrand. Bonaparte odwiedził go niezwłocznie pierwszego dnia po powrocie. Jeszcze

POTOK

zaden z nich nie odkrył ostatecznych swych planów: ale Bonaparte natychmiast ustalił wobec tego potomka praszlachty swe osobiste stanowisko: „Jest pan bratankiem arcybiskupa z Reims, który żyje u Bourbonów, — rzekł w pierwszej półgodzinie. — Mam także wuja, który jest archidjakonem i wychował mnie. Wiadomo panu, że na Korsyce znaczy to tyle, co biskup we Francji.“ W ten sposób przygwaźdza wszelki przesąd spadkobiercy wobec parwenjusza i odbiera mu jedyną wyższość, do jakiej ów mógł w sercu rościć sobie prawo. Tak silnie odczuwa w nim odrazu przeciwnika w grze.

Teraz żyje z przybyłą nareszcie do domu żoną, z braćmi i kilku przyjaciółmi, odwiedzającymi go w jego *retiro*, małym domku, który Józefina niegdyś wynajęła i który on tymczasem kupił; chodzi często po cywilnemu, jeździ bez świty, unika wszelkiej partji, dopuszcza wszystkich do siebie, a gdy oklaskują go w teatrze, cofa się w głąb łoży. Jest to ten sam człowiek, który niedawno jeszcze utrzymywał pod Medjolanem dwór książecey. „Jeśli zobaczą mnie trzy razy w teatrze, to przestaną zwracać na mnie uwagę, — mówi w zaufaniu. — Czy myślą, że mi to pochlebia? Ten sam tłum tłoczyłby się tak samo, gdybym wstępował na szafot!“

Owszem, uczonych zaprasza chętnie, uczestniczy w większości posiedzeń Instytutu, obejmuje nawet referaty, dyskutuje po obiedzie z Laplace'em o matematyce, pokazuje „mu nowe metody włoskie wpisywania koła, spiera się z Chenierem o sztukę poetycką, nawet o metafizykę (jeśli trzeba).

Ale jednocześnie śledzi w milczeniu każdy ruch coraz bezsilniejszych dyrektorów, trzyma się zdaleka od tych skrytych wrogów, każe braciom mieć ich na oku, wywiaduje się o sile i słabości stronnictw, myśli, co czynić. „Paryż nie posiada pamięci. Jeśli pozostanę długo bezczynny, będę zgubiony tu, gdzie sława wypiera sławę. Nie wolno mi tu zostać.“ Często przechadza się tam i sam po ogrodzie, z rękoma na grzbiecie, i myśli:

— Zawczasem. Niech najpierw skończy się gospodarka tych ludzi. Zostać kolegą, dyrektorem, teraz, gdy słupy coraz bardziej próchnieją? Dobrze, że nie mam jeszcze czterdziestki, jak wymaga prawo. Wyobraźnia! Tymczasem trzeba zająć wyobraźnię tłumowi! Czem? Kontynent zażywa

NAPOLEON

pokoju. Współzawodników nie trzeba się bać, najniebezpieczniejszy, Hoche, na szczęście nie żyje. Był także kochankiem Józefiny, bo i pięknym był chłopem. Jak łatwo to zniosła, zdaje się być niewierna z natury. Carnot usunięty, Moreau pobity, oczywiście Augereau, obecnie wódz nad Renem, nienawidzi mnie z zazdrości, trzeba uszczuplić jego stanowisko. Starzy Korsykanie też nie wzrastają w siły; wszak niedawno kobieta, która ostrzegła mnie, że grozi mi otrucie, została nazajutrz zamordowana; więc istnieją przysiężenia. Zawczasie. Jeszcze raz trzeba wyjechać.

— Do Anglii? Gdyby to wówczas ci głupcy nie byli zmarnowali floty! Ileż memorjałów posłało się od czasu Toulomi! Toteż w tych pięciu latach wojny morskiej przegraliśmy z pół tuzina bitew. Wylądować! Gdybyż wylądowanie było możliwe! Ktoby pobił Anglję, byłby panem. Trzeba wyjechać na wybrzeże, przestudjować wszystko, a jeśli nic zrobić się nie da, wrócić nad Morze Śródziemne: tam tylko, na wschodzie można działać zupełnie spokojnie, stamtąd można drażnić ciekawość Francuzów. Tylko Egipt, tam istnieje ślad Aleksandra, — tam można pobić Anglję!

Po długich przygotowaniach generał objeżdża wybrzeże północne, liczy, wgląda we wszystko, wypytuje wszystkich, nawet rybaków i przemysłników. Gdy wraca, niezapowiedziany, Józefina przeraża się, ale on nie spostrzega tego, nie wie również, że szybka jej ręka wysyła bilet do sekretarza jej dawnego kochanka. Cóżby to rzekł on, któremu w polu stu szpiegów wydawało tajne listy, gdyby tego wieczora przeczytał: „Bonaparte wrócił dziś w nocy. Proszę pana, wyrazić Barrasowi mój żal, że nie mogę być u niego na wieczery. Powiedz mu pan, by o mnie nie zapomniał. Pan zna lepiej, niż kto inny, moje położenie... La Pagerie-Bonaparte.“

Aczkolwiek tak podkopane jest to małżeństwo, w które on przecie wierzy, choć tak dwuznaczna jest nienawiść i nieufność bezsilnego dyrektora Barrasa w stosunku do potężnego wodza, to jednak Józefina buja najswobodniej wśród towarzystwa, między buduarami kobiet i sypialniami mężczyzn, gdyż niewątpliwie lubi i Bonapartego, przed którego nazwiskiem jednak w takich chwilach stawia swoje nazwisko panięńskie, jak gdyby była jeszcze panią swego wyboru.

POTOK

Zaraz nazajutrz pisze Bonaparte dla tego samego Barras'a, który go dziś przeklina, i dla innych dyrektorów, wielkie sprawozdanie, które zaczyna się: „Mimo wszystkie wysiłki będziemy dopiero za lat kilka górą na morzu. Wylądowanie w Anglii jest najśmielszym i najtrudniejszym przedsięwzięciem, możliwym tylko przez zaskoczenie... Na to potrzeba długich nocy, więc zimy. Wyprawa tedy byłaby możliwa dopiero w przyszłym roku. Ale wtedy mogą łącznie wystąpić przeszkody na stałym lądzie. Wielka chwila stracona byłaby może na zawsze.“

Po tej zdumiewająco jasnej rezygnacji następuje coś bardziej zdumiewającego, mianowicie plan, w jakoby jednak sposób rzecz dała się wykonać: w rzeczywistości osiem wypraw morskich, od Hiszpanji do Holandji, przyczem wszystkie polityczne warunki i następstwa wzięte są pod uwagę. Skoro jednak brak okrętów i pieniędzy, należy podjąć raczej wyprawę przeciw handlowi angielskiemu, przedewszystkiem do Egiptu, skąd można wrócić w jesieni, by skierować się przeciw samej Anglii.

Skoro tylko dyrektorowie usłyszeli słowo „Egipt“, przyrzekli mu zgodę, komendę i wszelką pomoc: byle niebezpieczny ten człowiek znajdował się jak najdalej! Najlepiej, gdyby go tam zabito.

Plan nie jest nowy, wynurzał się od lat, toteż Talleyrand propagował go wskutek listu Bonapartego, pisząc oczywiście w swem sprawozdaniu: „Na wodza tej wyprawy nie potrzeba osobliwego talentu strategicznego.“ Czy była to chęć zatrzymania Bonapartego w kraju, czy złośliwość? To pewna, że utalentowany wódz, czytając o wiele później tę kartkę, dopisał tylko jedno słowo: „Warjat!“ Tymczasem redaguje sam swą nominację na szefa armji wschodniej: pełnomocnictwo i polecenie wzięcia Malty i Egiptu, wyparcia Anglii z Morza Czerwonego, przebicia przesmyku Sueskiego, by w ten sposób zapewnić Francji posiadanie tego morza.

Gorączkowo zabiera się do przeprowadzenia tego przedsięwzięcia. Oddawna obznajomiony jest z problematem. Morze Śródziemne jest jego ojczyzną. Jako dziecko widział na herbie Korsyki głowę murzyna, ciągle z wybrzeży Afryki wracali żeglarze, potem odebrał floty Genui i Wenecji, był

NAPOLEON

już w stosunkach z Tunetańczykami i Grekami, z Albańczykami i Bośniakami. Nad wszystkim jednak płonął duch Aleksandra, który tam planował centr światowego państwa.

W tych tygodniach oczekiwania poraz pierwszy łączą się uroczyscie we wnętrzu Bonapartego pierwiastki jego istoty: pragnienie jego bezgranicznej wyobraźni i plan duszy, podążającej tylko za najwyższymi wzorami starożytności, stają się przedmiotem, który obliczający mózg rozkłada, rozbiera, rozważa, potem przemienia, znowu rozważa i stopniowo doprowadza do równowagi z rzeczywistością. Teraz, gdy zbior się do wyprawy do Egiptu, Bonaparte usiłuje w wielkim stylu połączyć rachmistrza z marzycielem i nie spostrzega, że pozostaje reszta nieobliczalna. Bohaterska wyobraźnia każe mu zapomnieć, że nie żyjemy już w czasach starożytnych, że kalifowie i zdobywcy nie posiadają dziś już milionów niewolników, lecz ludy aż po Afrykę budzą się do życia. Już teraz przygotowuje sobie Bonaparte ogromny, nierozwiązalny konflikt i im bardziej będzie się w nim wikłał, tem uporniej będzie się starał go rozwiązać.

Już teraz genjusz ten, powstały o dwatysiącoteczia zapóźno, zakreśla koła fatalności i ręką półboga rysuje samemu sobie linje losu.

XIII.

„Jadę na Wschód, — pisze do brata, — z wszystkimi środkami, dającymi rękojmię powodzenia. Jeśli Francja będzie mnie potrzebowała, ... jeśli rozpłonie wojna i będzie źle prowadzona, wtedy wrócę do kraju i będę pewniejszy opinji publicznej, niż teraz. Jeśli natomiast republika będzie w wojnie szczęśliwa, jeśli powstanie nowy wódz, jak ja, na którym można budować: dobrze, wtedy oddam światu na wschodzie może jeszcze więcej usług, niż on.“ A gdy Bourienne pyta, jak długo tam zabawią, odpowiada: „Sześć miesięcy, albo sześć lat.“

Jeszcze w ostatniej chwili los pragnie go ostrzec. W Rastatt Austria odmawia lewego brzegu Renu, w Wiedniu Bernadotte prowokuje już teraz niemal nową wojnę. Czyż nie powinien

zostać? Ale teraz napierają dyrektorowie, wszystko zaszło zbyt daleko: on musi ruszyć i gdy pewnego dnia majowego, okrągło w dwa lata po jego wjeździe do Medjolanu, 400 żeglarzy z portu tulońskiego odbija na morze, a Józefina żegna dłonią męża, zatroskana snadź bardziej o syna Eugenjusza, i gdy potężna machina zaczyna się obracać wedle skinienia jej pana, dopiero wtedy poznają wodzowie cel podróży i wszyscy stoją na pokładzie „Orientu“, przy wielkim maszcie, obok ośmioletów, i tylko on jedyny nie spoziera wstecz, lecz patrzy na południowy wschód.

O tej samej godzinie Nelson i brytyjscy admirałowie stoją na pokładzie swych okrętów i nateżają przez lunetę całą siłą wzroku, by odkryć ślad zniechęconego przeciwnika, który w tych dniach musi ruszyć, jak mniemają, ku Sycylii. „Gdzie go znaleźć? Wczoraj eskadra Nelsona rozproszyła się w burzy, i trzeba jej dni, by się odnaleźć, ale w tej samej porze burza, która zatrzymała Bonapartego na dzień w Toulonie, ratuje Francuzów. Tym sposobem przybywają przed Anglią na Maltę, zajmują jednym zamachem ważną wyspę, i gdy kot przybywa na miejsce, myszy już niema. Nelson gna do Egiptu, nie znajduje nikogo, gdyż prześcignął nieprzyjaciela, potem do Syrii: nic! Do Sycylii: nikogo! „Djabeł ma djable szczęście,“ klnie Nelson i złożyczy sobie i wrogowi.

Tymczasem Bonaparte spędza te cztery tygodnie żeglugi, dla uniknięcia choroby morskiej, przeważnie w łóżku. I w tem tkwi symbol: czy cierpiący na chorobę morską wódz zniszczy kiedykolwiek potęgę morską? Tym razem uchodzi, ale ponieważ niespokojny ten duch nic może próżnować z otwartymi oczyma, każe sobie czytać.

Gdyż na pokładzie tej floty istnieje coś więcej jeszcze, prócz 2000 dział: cały uniwersytet żegluje na wschód. Astro-nomowie, geometrzy, mineralogowie, chemicy, antykwariusze, budowniczości mostów i dróg, orjentaliści, ekonomiści, malarze i poeci: 175 uczonych cywilów wiezie w setkach skrzyń aparaty i książki. Gdyż szef chce wszystko zbadać w tym bajecznym kraju, by stworzyć dla Francji kolonję, a sobie zdobyć sławę afrykańską. Żołnierze nazywają uczonych w marynarskim skrócie „osłami“, Bonaparte jednak ochrania ich, i karcii spojrzeniem i przekleństwem każdego oficera,

NAPOLEON

który okazuje swe niezadowolenie z powodu „próżniaków.“ On sam ich wybrał i pamiętał o każdym szczególe, aż do czcionek arabskich, których odmówić mu chciała drukarnia państwowa, myślał o wszystkim, zwłaszcza o bibliotece, którą okręt admiralski wiezie do Egiptu. Czytanie romansów dobre jest dla oficerów, których wyśmiewa, gdy ich na tem pochwyli; jemu samemu towarzyszy zawsze jeszcze Werter i Ossjan: namiętności. Ale w tej podróży nie czytał ich już.

Gdyż jeśli Bourienne mu czyta, to zawsze coś z podróży do Egiptu, które pozbierano zewsząd, nawet z Rzymu; albo z Plutarcha, Homera, z Arrianusa wypraw Aleksandrowych, z Koranu, który obok Biblii i Montesquieu konsekwentnie znajduje się w dziale politycznym.

Po obiedzie odbywa chętnie posiedzenie „Instytutu“, nazwy tej używa żartobliwie, ale w debatach jest zupełnie poważny: podaje temat, wyznacza dwóch przeciwników, przemawiających za i przeciw; matematyka i religia to dwa ulubione tematy tego ducha, który był zawsze rachmistrzem i zawsze fantastą. Oto sławny Monge, którego ceni nad innych i to od długich już lat, człowiek o ostro zakrzywionym nosie, cofniętem czole, silnej brodzie; obok niego Desaix, którego Bonaparte dopiero teraz sprowadził sobie z armji reńskiej, mąż o grubym nosie i grubych wargach, nieco z murzyńska dobrej twarzy, a niewiadomo który z nich ma rozumniejsze oczy: matematyk, czy strategik. Oto Kleber o śmiałej głowie, wcielenie odwagi i stanowczości, obok Laplace'a, który poważnie i ociężałe spogląda z pod daszka nad oczyma i obok Bertholleta o głowie baraniej; Kleber wymyśla na geometrję, lecz gdy uczony chce bronić ducha, Bonaparte daje mu znak, by się nie trudził i wskazuje z uśmiechem na Berthiera, który w kącie zasnął nad „Cierpieniami Werthera.“

Rychło robi się goręcej. Szeł do późna leży na pokładzie, by oddychać nocnym powiewem. Zaufani siedzą kołem, rozmowa toczy się o zamieszkałości planet. Wszyscy przytaczają rozumowe argumenty za i przeciw. Rozmowa schodzi na stworzenie wszech rzeczy i ci synowie rewolucji, uczniowie Voltaire'a, generałowie i profesorowie godzą się co do tego, że wszystko stało się w sposób jak najrozumniejszy i dla wy-

tłumaczenia kosmosu nie trzeba trudzić Boga, tylko dzielnego badacza przyrody. W milczeniu leży Bonaparte. Nagle mówi, podnosząc ręce do gwiazd:

„Mówcie, panowie, co chcecie —, ale kto zrobił to wszystko w górze?“

XIV.

Zwolna jedzie Bonaparie konno przez piasek pustyni ku Sfinksowi. Spojrzenie kamienne i spojrzenie żelazne spotykają się z sobą. Obaj zachowują milczenie. On myśli:

— Tu stał Aleksander. Tu stał Cezar. Od powstania tego posagu kamiennego dzieliło ich dwa tysiące lat, jak mnie od nich. Niezmierzone państwa, święte słońcu, rozciągały się wokół Nilu. Miljony słuchały Jednego. To, o czym marzył, budowali niewolnicy tysiącami rąk. Nie było niemożliwości. Król był synem bogów. Ponieważ był potomkiem pierwszego zdobywcy, słuchali go wszyscy. Ponieważ ów pierwszy zdobywca nazwał się królem i synem boga, wierzyli w to wszyscy. Tu można było powiedzieć człowiekowi: jestem waszym bogiem i wierzyli w to wszyscy. Europa jest kretowiskiem.

Wnet potem, o kilka mil dalej, szykuje swe wojsko do bitwy, gdyż 8000 Mameluków, najlepszych jeźdźców na świecie, stoi w pogotowiu, by zniszczyć obcych. Wyjeżdża przed front, wskazuje na Piramidy w oddali i woła: „Żołnierze! 40 wieków spogląda na was!“ Gdy Mamelucy wypadli z swych szańców, witają ich działa, obóz ich rychło wpada w ręce Bonapartego; rzucają się ku Nilowi, żeglują i puszczają się wpływ, a ponieważ wiadomo, że noszą zawsze złoto przy sobie, walka toczy się jeszcze kilka godzin na brzegu i w wodzie, dopóki zwycięzcy nie zdobyli części złota. Potem zmusza Mameluków do ucieczki.

W Kairze umie pozyskać sobie paszów i szejków ich sposobem: oświadcza, że Turków i sułtana kocha i czci, tylko zwalcza Mameluków, którzy są ich wrogami. Stosunek z nimi jest dlań czemś naturalnem; półorjentała, Śródziemnomorzec, nie dziwi się, gdy w dwudziestokrotnych przemowach bije się tuzin pokłonów, gdy w układach używa się pełnego godności, ciężkimi porównaniami naszpikowanego języka, by tylko

NAPOLEON

kłamać ceremonijalniej, niż to czyni wytworny pośpiech europejskich dyplomatów. We wszystkich formach naśladowuje ich obyczaj. Jeszcze z pokładu dyktował tłumaczowi list do paszy egipskiego, zaczynający się tak:

„Ty, który powinienbyś być najwyższym z bejów, a który tymczasem, jak widzę, jesteś pozbawiony władzy i szacunku w Kairze, będziesz błogosławił moje przybycie. Wiesz już zapewne, że nie przybywam poto, by przedsięwziąć cośkolwiek przeciw Koranowi i Sułtanowi... Przyjdź mi więc z pomocą i przeklnij bezbożne plemię bejów!“

By wiarę swą zbliżyć do wiary Allaha, zaczyna jak kuglarz żonglować Trójcą. Obwieszcza, że pokonał papieża i Rycerzy Maltańskich i uznaje Boga także w Koranie, potem jednak przyzywa ich przeciw lądującym właśnie okrętom następującymi argumentami: „Jeden Allach i Mahomet prorok jego! Do Dywanu w Kairze, obranego z pośród najmędrszych, najuczestniejszych, najświetlejszych mężów! Pozdrowienie Proroka niech będzie z wami!“ Pozwoli wylądować okrętom, by potem naraz wymordować załogę, „co będzie wspaniałem widowiskiem dla Kairu.“ Na pokładzie znajdują się też Rosjanie, nienawidzący tych, którzy wierzą w jednego Boga, jak wy i ja, ale „niebawem poznają, że istnieje tylko jeden Bóg zwycięstwa, który zawsze walczy łaskawie po stronie dobrych.“

Z tego bigosu wyznań, kończącego się bardziej po pogańsku, niż on sam zdaje się spostrzegać, dobywa zawsze i później na światło niechrześcijańską Francję, jako środek polityczny, ponieważ religią swoją zbliża się ona do Mahometanów. Wszędzie powołuje się, jako na podstawę swego myślenia, na Koran, który niedarmo znajduje się w dziale politycznym. Gdy zsadza z urzędu w Kairze pewnego niebezpiecznego kadiego, czerpie zobowiązanie do tego z Koranu, gdyż „od Boga pochodzi wszelkie dobro, on użycza nam zwycięstwa... Wszystko, co przedsięwzię, musi się udać! Wszystkim, którzy zwa się mymi przyjaciółmi, dzieje się dobrze. Kto jednak przechodzi do mych wrogów, ginie.“

Ach, gdybyż ten człek był urodził się przed czterema tysiącami lat, byłby zwyciężył samą sugestją! Teraz nie wierzą

mu nawet ci brunatni hultaje! Gardzi tymi, których sławi takimi superlatywami, ale jednocześnie grozi strasznymi karami tym, którzy krzywdzą krajowców: „Ludy, które napotkamy, — głosi pierwszy rozkaz dzienny, — inaczej traktują kobiety, niż my. Atoli, kto im gwałt zadaje, jest i tutaj potworem. Grabież wzbogaca niewielu, hańbi wszystkich, niszczy źródła pomocy i ściąga na nas nienawiść tych, których przyjaźni wymaga nasz interes.“ Nikomu nie wolno wejść do moszei, nawet grupy nie powinny gromadzić się u bram. Przez pochlebstwo i groźbę, przez tolerancję i intrygę, przez Allaha i miecz: wszelkimi środkami orjentały wymusił sobie Bonaparte w ciągu kilku tygodni powagę.

Nareszcie może się czuć panem na wschodzie. Czy jest jednak szczęśliwszy?

Z Paryża przyszedł list do Junot'a, mówiący o Józefinie. Gdybyż był, jak sto innych, wpadł w ręce Anglików! Przy najmniej nicby się nie wiedziało! Ale Junot poczuwa się do obowiązku zaznajomić szefa i przyjaciela młodości z jego treścią: Generałowa spotkała Hipolita, — którego on wygnał z armji, a ona umieściła u pewnego dostawcy wojskowego i potem straciła z oczu, — u nauczyciela najmodniejszych tańców, stara miłość obudziła się, gdyż on ma zawsze najpiękniejsze biodra i najlepsze dowcipy, ponadto jest teraz bogaty. Ona kupiła tymczasem piękną majątność pod Paryżem, choć za nią nie zapłaciła, i teraz młody dandys mieszka i rządzi w Malmaison, u pięknej generałowej.

Chodząc wciąż tam i zpowrotem po wybrzeżu z Junot'em, małżonek blednie, mięśnie twarzy mu drgają, kilkakrotnie uderza się ręką w czoło, nagle odwraca się ku Bourienne'owi, który siedzi przed namiotem: „Nie jest mi pan wcale oddany! Te kobiety! Ta Józefina! Powinien pan być mnie o wszystkim powiadomić! Junot to prawdziwy przyjaciel! Józefina — a ja jestem oddalony o 600 mil! Że też mogła mnie tak oszukiwać! Ale biada tym dudkom i gachom, zniszczę ich wszystkich! Rozwiodę się! Tak jest, oficjalny, sensacyjny rozwód! Napiszę natychmiast! Wiem wszystko! Jeśli jest winna, wtedy dowidzenia! Brukotłukom bulwarowym nie chcę służyć za pośmiewisko!“

NAPOLEON

Bourienne stara się go uspokoić, wreszcie mówi o sławie, która jest przecie ważniejsza. „Ach, cóż mi sława! Nie wiem, cobym dał za to, żeby wiadomość Junot'a była fałszywa: tak bardzo kocham tę kobietę!“

Ale ponieważ Anglicy wszystko przejmują i publikują, może pisać do brata tylko napomknieniami. Czy to ta mglistość nadaje listowi jego czar, jakiego nie posiada żaden inny? *Taedium vitae* geniusza stojącego u swego szczytu. W dzień po triumfalnym, męskim sprawozdaniu pisze do Józefa:

„Egipt jest krajem najbogatszym na ziemi w zboże, ryż, jarzyny i mięso. Barbarzyństwo dochodzi tu do najwyższego stopnia. Niema tu pieniędzy, nawet na żołd dla żołnierzy. Za dwa miesiące mogę być we Francji. Kładę ci na serce mą sprawę, mam zmartwienie domowe, zaślona pękła zupełnie... Ty jedyny zostajesz mi na świecie. Przyjaźń twa jest mi cenna. Dla dopełnienia mej nienawiści do ludzi, brakowałoby tylko tego, bym stracił i ciebie, abyś stał się mym zdrajcą. Smutna to rzecz wszystkie uczucia dla jednej jedynej osoby jednoczyć w jednym jedynym sercu, ty zrozumiesz! Staraj się, bym po powrocie znalazł domek wiejski w pobliżu Paryża lub w Burgundji. Pragnę spędzić tam zimę w zupełnym odosobnieniu. Mam wstręt do ludzkości. Potrzeba mi spokoju i samotności. Wszelka wielkość nudzi mnie. Uczucie me jest stargane. W 29-ym roku życia sława wy-daje mi się niczem. Wyczerpałem wszystko. Pozostaje mi już tylko być zupełnym egoistą. Dom w Paryżu pragnę zachować i nie pozostawię go nikomu, ktokolwiekby to był! Mam tylko tyle, ile mi trzeba do życia. Dla ciebie nie byłem nigdy niesprawiedliwy, przyznać to musisz, choć czasem pragnąłem nim być. Ty rozumiesz. Ucałuj swą żonę i Hieronima. Bonaparte.“

Tak to cynizm i nienawiść do ludzi, zemsta i uroszczenie złały się tu poraz pierwszy w melodię smutku. Odkąd w 17-ym roku życia napisał ów melancholijny w dzienniku swym ustęp, nie przemawiał tym tonem. Serce człowieka, pełne oddania, mimo wszystkie zawody ciągle ufające, zda się poraz pierwszy przebite nawskroś. Wtedy oczywiście

wszystko jest niczem, zdobycz, sława, wyprawa Aleksandrowa! Gdy doznało się zdrady w jedynym punkcie, gdzie się na nią nie zasłużyło, gdzie się ufało z zapałem młodzieńczym, czemu wtedy jest wielkość? Zaczyna od ryżu i jarzyny, kończy samotnością i przesytem. Cóż pozostaje mu jeszcze prócz brata? Wyczerpałem wszystko.

XV.

Cios ożywia go.

Wraca z wycieczki w pustynię, wchodzi do namiotu Marmonta, na wszystkich surowych twarzach maluje się zmieszanie. Co się stało? Flota zniszczona. Wczoraj, pod Abukirem, Nelson, który wrócił, natarł na nią, zatopił lub zabrał wszystkie okręty prócz czterech.

W milczeniu stoją mężowie dokoła. Wszyscy, nawet grenadjer stojący przed namiotem na straży, wiedzą, co ta klęska znaczy. Napoleon błędnie, ale wlot pojmuje, że jemu jednemu nie przystoi tracić ducha. Przeto po krótkiej przerwie wypowiada te wspaniałe słowa: „Jesteśmy więc zdani na sam Egipt. Dobrze. Trzeba wnieść głowę ponad fale, wyglądają się one. . . Może będzie nam przeznaczone zmienić oblicze wschodu. Albo tu zostaniemy, albo opuścimy kraj, tak wielcy, jak starożytni“.

Okropna zmiana losu! Co mówi Paryż? Bonaparte nie jest dowódcą floty i nie był obecny, ale powaga jego musi doznać wstrząśnienia. Pod czyją osłoną wrócimy do domu? Na tureckich okrętach? Ale czy teraz sułtan pozostanie nadal spokojny. Czy wahając się między Rosją i Francją nie odwróci się od zwyciężonego? Dalej Anglja! Wszystkie 13 okrętów wojennych zniszczone! Ileż lat będzie potrzeba, najmniej dziesięciu, by sprostać Anglji na morzu! Jeden jest Allah, ale za jakąż chmurą zniknęła ma gwiazda?

Nie, nie moja gwiazda! Gdyż zdając teraz sprawę z klęski, nie osłania niczego, dowodzi jednak w piśmie urzędowem szeroko, jak to fortuna, chcąc go oszczędzić, czekała z Nelsonowym powrotem dopóty, aż zdobył w Egipcie grunt pod nogami.

NAPOLEON

Tygodnie niepewności! Nowy nastrój w życiu Bonapartego, bezczynne czekanie, aż depesze, przynajmniej listy lub gazety, wyjaśnią nowe położenie w Europie. Jeśli Anglja będzie czujna, to wogóle żaden list nie przedostanie się przez morze. poraz pierwszy w życiu zapytuje siebie ten człowiek: cóż pocznę, by zabić czas? Gdyż zarządzanie całą armją, tłumienie niepokojów, rozbudowa starych twierdz wydaje mu się już próżniactwem. Jaki tego skutek? Staje się nerwowo, fantastyczniejszy, niż przedtem. Bourienne uspokaja go: „Poczekajmy, co zrobi dyrektorjat.“

— Ach, wasz dyrektorjat, to kupa łajna! Nienawidzą mnie, dadzą mi tu zginać!“

Gdyby można jeździć konno! Ale jest za gorąco w pełnym uniformie, który nosi ciagle, odkąd próba ze strojem arabskim źle wypadła. Gdy wyjedzie i wróci, nie znajdując depesz, wpada zaraz w zadumę:

— „Zgadnij, Bourienne, o czem myślę... Zobaczą raz jeszcze Francję, największą ambicją mą byłaby piękna wyprawa w kotlinę bawarską! Tam chciałbym wygrać wielką bitwę i pomścić Francję za Hochstadt. Potem zamknę się na wsi, będę żył w ciszy i zadowoleniu.“ Jak to w nim znowu wre, jak się żarzy! Jakże ten niespokojny duch tęskni w dolinie padańskiej do wschodu, teraz w Egipcie do Bawarii, a ciagle myśli w bitwach.

Teraz, gdy buja w powietrzu, może pozbawiony wszelkiej możności powrotu do ojczyzny, teraz, gdy żadne serce nie ciągnie go już do dalekiej Europy, nawiązuje stosunek z nieprzyjaciółmi Anglji, szachem perskim i sułtanem Maissuru w sprawie drogi etapowej do Indyj. Wyprawa Aleksandra przybiera wyraźniejsze kształty. Lecz gdy potem poddaje sen swój ścisłemu obliczeniu, cofa się w zwątpieniu: „Gdyby tu pozostało tylko 15 000 żołnierzy, a miałbym ponadto jeszcze trzydzieści, mógłbym ważyć się na wyprawę do Indyj.“

Choć wszystko to pozostaje w sferze myśli, są to najszczerśliwsze Bonapartego godziny: przemyśliwa niezmierne plany! „Tylko w Egipcie, — pisze w cztery lata później, — czułem się wolny od cugli uciskającej cywilizacji, wtedy widziałem środki urzeczywistnienia wszelkich możliwych marzeń. Widziałem się, po założeniu nowej religji, jadącego, w drodze

do Azji, na słońcu, w turbanie na głowie, z nowym Alkoranem w ręce, zredagowanym wedle mego pomysłu. Chciałem zjednoczyć doświadczenie dwóch światów w jednym przedsięwzięciu, skorzystać z nauk historii, zaatakować potęgę angielską w Indjach i przez to zwycięstwo nawiązać znów łączność z Europą.“

Czy mówi to poeta? Czy też zdobywca świata jest tak pokrewny poecie? Jak romantyk, nazywał się w Egipcie sułtanem El Kebir, był zawsze kawałem sułtana. Jest to jego trzecie nazwisko, fantastyczne, jak ta wyprawa.

Tymczasem podniecona wyobraźnia, gniew na niewierną żonę, klimat i zbyt długi spokój, wszystko to prze go do miłości. Bierze sobie ładną, fjołkwooką, złotowłosą żonę porucznika, która w przebraniu męskim wkradła się w Toulonie na okręt, pikantną modystkę, nieślubną córkę kucharki; męża wysyła w sprawie służbowej do Francji i niebawem gra ona z wdziękiem i zuchwalstwem rolę małej Kleopatry, prezyduje przy stole, wyjeżdża z wodzem i gdy Eugenjusz, syn jej rywalki, jako adjutant jechać musi za powozem, jest to rzecz przykra, więc otrzymuje urlop.

O skandalu swej matki wie więcej, niżby chciał wiedzieć: sam Bonaparte oświecił go. Co za położenie! Kobietka, dobrze po trzydziestce, podaje na pośmiewisko nazwisko czczonego, jako bohater narodowy, męża, oszukując go otwarciem z fircykiem i paskarzem, niewiele starszym od jej syna. Ten syn, adjutant ojczyma, musi jechać za powozem, gdy nieograni czony pan armji, pasza kolonji, obwozi swą młodą metresę po ulicach stolicy. Mała modystka, która wolałaby może ładnego adjutanta, szczerzy w uśmiechu białe zęby, mniema, że wdziękami swemi zaćmiewa kreolską hrabinę i sławi nowego ducha równości. Ale Napoleon Bonaparte stoi pośrodku i żąda od młodej kobiety tylko dziecka.

Jeśli ona wreszcie obdarzy go dzieckiem, na którego on czeka od lat, wtedy—powiada—ożeni się z nią, gdyż rozwiedzie się stanowczo. Tak głęboko tkwi w tej duszy pragnienie potomstwa. Niech matka będzie sobie dzieckiem proletariatu, jak ci generałowie dokoła: byle tylko dziecko było w sobie prawowite, z krwi i kości Bonapartych, Równie silne, jak poczucie równości wszystkich, którzy coś zdziałać umieją,

jest jego poczucie prawowitości. Dziedzicność władzy królewskiej skończyła się. Zaczyna się dziedzicność dzielności. Tu tkwi mylny wniosek.

Po pewnym czasie mówi cierpko do jednego z zaufanych: „Ta gęś nie umie robić dzieci!“ Gdy ona dowiaduje się o tem, unosi się szyderczo: „Jak gdyby to była moja wina!“ Bonaparte słyszy to i chmurzy się. Nie ma przeciwdowodu, prócz poczucia swej produktywności, jaka nigdy przed nim nie ożywiała śmiertelnika.

Gdyby temu duchowi, który obejmuje świat, natura odebrała możność rozmnażania się, pozbawiłaby go podstawy wszelkiej dzielności: poczucie własnej wartości załamałoby się.

XVI.

W Instytucie jest wódz tylko równym wśród równych, nigdy w debatach nie usiłuje zastąpić argumentów rangą, a przecież i tu chodzi też często o praktyczne zagadnienia armji, trzeba filtrować wodę nilową, budować wiatraki, wyszukiwać surowce dla prochu. Raz, gdy się rozgniewał, odpowiada Berthollet spokojnie: „Nie masz racji, przyjacielu, gdyż mówisz grubiaństwa.“ Jeden z lekarzy okrętowych sekunduje mu. „Widzę, woła Bonaparte, że trzymacie się razem. Chemja jest kuchnią medycyny, a ta jest sztuką skrytobójców!“ Lekarz odcina się: „A jakżeby pan, obywatelu generale, określił sztukę zdobywców?“ Wszystko to znosi, w kole uczonej republiki, dyktator, któremu nikt zresztą nie śmie się sprzeciwić.

Przez całe tygodnie rozkaz dzienny kończy się: Żadnych wieści z Francji; wszystko jęczy, waha się, wątpi. Tylko podróżujący uniwersytet dokonywa tymczasem wspaniałych prac; prawie we wszystkim Bonaparte bierze udział, zrazu ucząc się, potem doradzając, zawsze na drugim miejscu. Czas oczekiwania staje się czasem studjów. Zaczynają się doniosłe, geometryczne i geograficzne, opracowania kraju; bada się poraz pierwszy w wielkim stylu ryby nilowe i minerały Morza Czerwonego, rośliny Deltę i składniki piasku pustynnego, studjuje się sposób wyzyskania sody jeziornej i mułu

POTOK

nilowego, przyczyny zarazy i straszliwej jaglicy, która połowę Egiptu przyprawia o ślepotę, drukuje się słownik i gramatykę, odgrzebuje świątynie górnoegipskie, odnajduje się źródło Mojżesza. Pewnego dnia przynosi jeden z oficerów inżynierji z Rosette (Rechid) płytę granitową, na której poraz pierwszy napis egipski przetłumaczony jest na język grecki: znaleziono klucz do hieroglifów.

Nic jednak nie przykuwa tak uwagi wodza, jak kanał Sueski. W długich podróżach pustynnych, narażony stale na niebezpieczeństwa arabskich zamachów, szuka śladów antycznego kanału, bada możliwości nowej trasy i wszystko, co notuje, potwierdza w pół wieku potem Lesseps. Nie czyni tego, jak awanturnik, któremu się nie wiecie, lecz jak zdobywca świata, który stara się rozdzielać części świata i łączyć morza.

Nareszcie wiadomość! Kupcy przemknęli się na małych fregatach przez linje angielskie; stawiono ich przed nim i przyciśnięto. Zniszczenie floty zmieniło wszystko: Sułtan sprzymierzył się teraz z Rosją, wraz z nim wypowiedział wojnę Francji i wieść głosi jednocześnie, że wódz jego Achmed Pasza nadciąga z Syrji. Kair, podniesiony tą wieścią na duchu, powstaje. Armaty zmuszają go do uległości. Głowy buntowników tkwią na tykach dla przestrogi. „To poskutkuje. Łagodnością nic tu nie wskóram.“

W gruncie rzeczy wodzowi przynosi to więcej ulgi, niż strachu: nareszcie Turek rusza przeciw niemu; będzie można zmusić go do walki i pobić.

Ale głębsze wzruszenie zataja nawet przed zaufanymi. Gdy opuszczał Francję, by zagarnąć Egipt, myślał o Indjach, dla których zdobycia potrzeba było stacji indyjskiej. „Posiadając okręty, można przebyć Ocean; jeśli się ma wielbłądy, to pustynia przestaje być przeszkodą.“ Obliczył, że piętnastu miesięcy wymagać będzie zdobycie i obwarowanie Egiptu, wraz z uzbrojeniem i przygotowaniem wyprawy indyjskiej, którą odbyć zamierzał z 40.000 ludzi, tyłomaż wielbłądami i 120 działami; wielkie posiłki w okrętach, działach i żołnierzach zamówione były we Francji, dla poparcia na morzu jego wojsk lądowych.

NAPOLEON

Wszystko to zniszczył dzień klęski pod Abukirem: teraz był brzeg blokowany przez Anglików, posiłki niemożliwe, sułtan nieprzyjacielem, duch Egiptu wrogi. Mimoto wódz, który zwykł był wszystkie swe plany zmieniać wedle okoliczności, zamierzał obrócić wszystko na swoją korzyść. Pozwolić Turkom i Anglikom przybyć wspólnie i wylądować? Rzecz śmiertelnie niebezpieczna! Więc atakować, aby nie zginać! Turkom odebrać wszystkie magazyny i porty, uzbroić chrześcijan syryjskich, podburzyć Druzów! Gdy padnie twierdza Akkon, zmieni się i nastrój Kairu. W czerwcu będziemy w Damaszku, posuniemy przednie straże do Tauru, wyruszymy z 26.000 Francuzów, 8000 Mameluków i 18.000 Druzów na wschód, Desaix nadciągnie wprost z Egiptu. Wtedy sułtan będzie raczej milczał, a ponieważ szach perski, i sułtan uwolnią już drogę przez Bassorę i Schiras, będziemy, jeśli Allah pozwoli, w marcu nad Indem.

Znów tworzy Bonaparte z potrzeby marzenie wieków. Rusza do Syrii.

Pochód, niemal bez dróg. Niekiedy przebywa 70 kilometrów w 15 godzinach, zawsze nocą, bez wody, prawie zawsze w przedniej straży. Gdy pada Jaffa, poddaje się 3.000 żołnierzy. Co z nimi począć? Zachować ich? Jego własni żołnierze cierpią niedostatek, trzebaby też tysiące swoich dla pilnowania. Odesłać do domu? Niema okrętów. Wymienić? Wróg nie ma jeńców. Puścić wolno? Wtedy wzmocnią najbliższą twierdzę Akkon. Cóż więc czynić? Odbywa naradę wojenną.

Wszyscy są za zabiciem jeńców. Czyż wróg niedawno nie ściał jednego z naszych parlamentarjuszów? Wojska obrzyłyby się, widząc, że gwoli tym ludziom uszczupla się im chleba. Bonaparte waha się. Trzy dni namyśla się, wreszcie przystaje. Jeńców prowadzą do morza i zabijają. Wielu krytyków wojskowych, zwłaszcza niemieckich, aprobowało ten czyn jako nieunikniony.

Tylko Akkon stoi jeszcze w drodze, tam znajdują skarbiec nowej broni, — potem dalej na północ! W tygodniach tych odradza się wielkie marzenie: teraz, gdy zmuszony jest, od czasu wypowiedzenia wojny przez Turcję, do walki na śmierć i życie, gdy jest odcięty, wszystko jest możliwe, bo wszystko-

stało się konieczne. Ale zapędza się trochę! bo w mózgu jego powstaje i taki warjant: „Potem ruszę, mówi wówczas do jednego z zaufanych, na Damaszek, będę pomnażał swą armję, im dalej będę się posuwał; obwieszczę ludowi zsadzenie tyrańskiego paszy z tronu, pociągnę z niezmiernymi, uzbrojonymi masami na Konstantynopol: obalę Turcję i założę nowe wielkie państwo. Tak zapewnię sobie nazwisko u potomności. Może wrócę potem przez Adrjanopol lub Wiedeń do kraju, zniszczywszy wpiery dom Habsburgów.“

Ciągle te same wizje, tylko wzmożone, gdyż położenie żąda odeń wszystkiego.

Staje pod Akkonem. Twierdza nie jest wielka, ale nowocześnie uzbrojona: bronią ją angielscy oficerowie i kanonierzy. Odparty szturm pierwszy, drugi i trzeci. Jednocześnie zjawiają się angielskie okręty wojenne, grożąc.

Wtem nadchodzi bezpośrednia wiadomość z Paryża, pierwsza po ośmiu miesiącach! Nareszcie! Ale cóż czyta! Talleyrand nie pojechał do Konstantynopola dla wejścia w układy. Czyż chytrzec schował się? Toteż oczywiście musiało dojść do wojny, dlatego leżymy teraz przed tą kupą kamieni! Republika prowadzi wojnę z Neapolem i Sardynją. Moreau, Augereau, współzawodnicy, mają wysokie dowództwa. Pocóż, u djabła, leżymy tu w gorącym piasku? Do szturm! Czyż rozbić się o ten nędzny wał? Kto dowodzi twierdzą?

Kolega z paryskiej szkoły wojennej, który jako emigrant wszedł do służby angielskiej: Bonaparte musi go dziś zwalczać. Czemuż się nie przebije? Obleganie nie jest jego rzeczą, cierpliwość i spokój w celu ogłodzenia nieprzyjaciela obce są temu wciąż naprzód pracemu duchowi, jego gwałtownemu tempu. Nigdy sam nie oblegał: twierdze i kobiety bierze się szturmem, albo nigdy. Ponieważ nie umie prosić, służyć, ubiegać się, nie może też czekać. Teraz czas nagli, nie możemy czekać. Do szturm!

Wtedy wojska zaczynają sarkać, nawet wśród oficerów zaznacza się coś, jakby początek buntu: niech Kleber prowadzi, jest ludzki i łagodny.

Bonaparte siedzi w namiocie, oblicza. Straszna godzina! Czyż Anglja ta będzie wiecznie niezwyciężona, nawet na lądzie, nawet tu na wschodzie? Oblegać miesiącami? Nie-

podobieństwo! Europa rozbrzmiewa szczękiem wojennym. Zawrócić, nie zostawszy zwycięzcą? Nigdy niezaznana chwila, nowe uczucie, — ale tak być musi, trzeba przedsięwzięcie pozostawić w kształcie torsu. Z powrotem do Egiptu! W tem, że Akkon powstrzymał jego pochód do Indyj, tkwi tylko połowa prawdy. Czy byłby, mimo nagłałe wiadomości, mimo Italję, po upadku twierdzy maszerował na Indje, to rzecz niepewna i nie dająca się zważyć. Owa jednoczesność jest symboliczna: Francja walczyła pod Akkonem i nad Padem przeciw tej samej koalicji monarchów; uratować mógł ją tylko Syn rewolucji. Wbrew swemu zwyczajowi nie jedzie przodem, lecz bawi jeszcze całe godziny aż do nadejścia nocy na jednym z wzgórz, przyglądając się niezwyciężonej twierdzy z jakimś gniewnym smutkiem.

Okropny odwrót, bez dróg, bez wody, z zarazą w tylnej straży. Czyż los może powalić Bonapartego zarazą w piasku pustynnym? Spokojnie odwiedza wódz chorych w szpitalu, dodaje ducha, gdzie może. Tym jednak, którzy już dogasają w męczarniach, trzeba stanowczo dopomóc do śmierci. Z królewskim poczuciem odpowiedzialności, każe 50 zakaźnie chorych, których lekarz określił jako straconych, otruć opium. Lekarz odmawia, i niewiadomo napewne, czy kto inny nie spełnił rozkazu. „Byłbym, powiada później, w takich okolicznościach kazał otruć własnego syna.“

2000 chorych, 6000 zdrowych wlece się przez pustynię. Co czterech ludzi dźwiga jednego z ciężko chorych. Brak koni dla chorych? Cały sztab będzie maszerował pieszo! Gdy nazajutrz stajenny pyta go, jakiego konia chce dosiąść, on uderza go prętem. Wreszcie ukazuje się Kair. Daremnie próbuje się zwieść lud egipski przy pomocy wjazdu ze zdobytymi chorągwiami, proklamacyj i marszów.

Co mówi Paryż? I co jemu powiedzieć? Nie obsadziliśmy Akkonu, opuściliśmy kraj, gdyż grasowała tam zaraza. W łonie Instytutu mianowana jest komisja, która ma tego dowieść. Jeden z lekarzy powstaje i odmawia temu fałszerstwu swego nazwiska, w obecności stu uczonych. Z gniewem wódz ustępuje i przez długie jeszcze lata będzie popierał tego odważnego męża.

Teraz naciągają Turcy od morza, aby go zniszczyć. Znów wszystko postawione na jedną kartę. Znowu jest w Abu-

kirze, w rok po bitwie morskiej, ale teraz pozwala im wylądować. Potem swą mniejszą o połowę armją bije na głowę nieprzyjaciela. Gdy Murat spotyka go w końcu bitwy, chwytą go w ramiona: „Generale, jesteś wielki jak świat, ale świat jest dla ciebie za mały!” On sam pisze do Kairu: „Zapewne słyszał pan o bitwie pod Abukirem: jest to najpiękniejsza bitwa, jaką kiedykolwiek widziałem! Z wysadzonej na ląd armji nieprzyjaciela, nie uszedł ani człowiek.“

W tym czasie zwraca uwagę jego wśród Mameluków, których przyjął do służby, wysoki, piękny człowiek: niebieskooki Gruzin, sprzedany pięciokrotnie, jako niewolnik, Rustam. Cóż maluje się w tych oczach, w tych rysach? Wierność. I darowuje mu ozdobną szablę, każe mu odtąd sypiać u swych drzwi i przez 15 lat nie puści Rustama od swego boku.

Teraz, po zwycięstwie, nawiązuje stosunki z admirałem angielskim, stojącym na morzu, rzekomo dla wymiany jeńców. W rzeczywistości pragnie tylko wieści: każda gazeta droższa mu teraz od korony! Udaje się je wyłudzić. Adjutant przynosi je do obozu. Wódz śpi. „Oto wieści. Złe wieści.“ Wódz siada: „Co się stało“?

„Scherer pobity, straciliśmy Italję niemal zupełnie.“ Wysskakuje z łóżka, przerzuca kartki, czyta — jak opowiada adjutant — przez całą resztę nocy, przerywając sobie wciąż wybuchami gniewu. O świcie każe wezwać szefa swej floty, zamyka się z nim na dwie godziny, potem wyjeżdża do Kairu.

„Jestem zdecydowany wrócić do Francji“, mówi przy zamkniętych drzwiach zaufanemu Marmontowi. „Zamierzam zabrać pana z sobą. Armje nasze w Europie są pobite, Bóg wie, dokąd doszedł dziś nieprzyjaciel. Italja stracona. Cóż zdziałają owi nieudolni ludzie stojący na czele spraw? Nie-rozum, korupcja! Ja sam dźwigałem ciężar i przez ustawiczne zwycięstwa zapewniałem istnienie rządowi, który beze mnie nie byłby się utrzymał. Ledwo odjechałem, runęło wszystko. Jeśli wyruszę natychmiast, to Paryż dowie się o moim powrocie jednocześnie z wieścią o nowem zwycięstwie. Obecność moja przywróci wojskom zaufanie do siebie, a obywatelom wiarę w lepszą przyszłość.“

— W moją przyszłość, myśli, gdy tamten wyszedł. — Opuścił armję, powiedzą. Pod Kleberem będzie jej lepiej. Przy-

NAPOLEON

byłem, by założyć kolonję. Oto ona, Turek pobity. Tylko z Francji mogę przysłać pomoc, ale tylko ja mogę ją przysłać. Do zyskania tu nie mam nic, wszystko zaś na polach bitwy Europy. 30 lat! Ileż dni jeszcze brakuje? Niepomyślny wiatr do Toulonu, mówi admirał, Morze Śródziemne pełne okrętów angielskich. Mongolfjera nie zanieś mnie aż do Paryża! Tam bije serce świata. Trzeba się odważyć.

XVII.

Ze zgaszonymi światłami jadą skroś noc obie małe fregaty, które odebrali niegdyś Wenecji. Na „Muiron“ przechrzczył wódz okręt, którym teraz jedzie: na pamiątkę owego porucznika, który pod Lodi ocalał go i padł. W piętnaście lat później uczci pamięć tego imienia jeszcze wzniosłej. Koło Cap Bon przejazd jest najniebezpieczniejszy. Żeglują dosłownie wpoprzek Anglików, których poznać po światłach. Do licha, że też kończy się Mistral! Jak posępni i beznadziejni siedzą wszyscy na pokładzie w tę noc sierpniową, w mrocznym świetle gwiazd. Karty! On gra, oszukuje, cieszy się, że nikt nie spostrzeżę tego, nazajutrz rano opowiada to, śmiejąc się złośliwie, i oddaje skradzione.

Jakże inaczej wyglądała żegluga przed 15 miesiącami. 400 okrętów — a teraz dwa. Połowa armji stracona. Wprawdzie bajeczny kraj jest jeszcze w rękach Francji, ale na jak długo? Gdzie nadzieje co do Anglii! Cóż zostało z planu wyładowania w Dover! Nie więcej, jak z marzenia o Indjach! Czyż nie musiał się wykraść z obawy przed buntem? Nawet Kleber otrzymał dowództwo dopiero po jego odjeździe. Ostatni rozkaz dzienny brzmiał sucho i krótko. Pocziwi cywile wysłani zostali do Egiptu Górnego, aby Monge i Berthollet, wtajemniczeni, którzy znajdują się dziś na pokładzie, nie wygadali się. Tylko ci poeci! Jeden z tych hultajów zwietrzył coś, zakradł się w tajemnicę na fregatę, której celu przecie nikt nie znał! Niechże jedzie razem: potrzebuje się tych ludzi, są to pośrednicy sławy. Ostatnie zwycięstwo zapewnia nam dobry nastrój w Paryżu.

Tygodniami żeglują dwie fregaty wśród codziennego niebezpieczeństwa. „Cóżby pan zrobił, gdyby nas Anglicy złapali? Przyjąć bitwę? Niepodobieństwo. Poddać się? Tego nie zechce pan tak samo, jak ja. Więc pozostaje nam tylko w danym razie wysadzić się w powietrze.“ Wszyscy milczą. Monge, siedzący koło generała, blednie. „Zrobić to polecę panu,“ dodaje z złośliwym uśmiechem. Gdy w kilka dni potem dostrzeżono okręt i mylnie wzięto go za angielski, uczony znika. Później znaleziono go u drzwi składu prochu.

Tak wielka była władza Bonapartego.

Sześć tygodni na Morzu Śródziemnym: wtem wyspa wynurza się z błękitu październikowego poranka, na widnokręgu unosi się znana linja gór. Komendant porównywa kartę, szuka punktu, w którym się znajdują, Bonaparte zbliża się: „To Korsyka.“ Czyż nie wyda teraz rozkazu, by płynąć ku niej pełnemi żaglami? Przeciwnie, każe wpierw wywiedzieć gię, czy wyspa jest jeszcze francuska. Coraz silniej gna wiatr fregatę do brzegu, gwałtownie trzeba zarzucić kotwicę. Chwilami myśli:

— Jeszcze francuska? Niegdyś pytałem za każdym przybyciem, czy jest już francuska. Ile to czasu temu? Sześć lat. Wtedy miałem lat 24. Opanowanie tej wyspy zdawało się wówczas wielkim celem. Tymczasem Italja leżała mi u stóp, słuchał mnie Egipt, uśmiechał się Paryż. Wszystko szło naturalnym sposobem. Wiatr staje się coraz silniejszy. Jaka będzie odpowiedź? Teraz dają znak chorągwie: przystań wolna. Wyspa bezdomnego stała się znów ojczyzną.

Gdy lądują i całe Ajaccio, te tysiące ludzi, które go niegdyś kłęły, tłoczą się w porcie, by go zobaczyć, on sceptycznymi oczyma patrzy na ciżbę i gdy stawia stopę na lądzie, a wielu go „tyka“ i każdy chce mu być krewnym, bez wzruszenia ściska te ręce. Tylko gdy nagle głos jakiś woła: „*Figlio! Caro figlio!*“ a on poznaje swą starą mamkę, Kamillę, tęgą, ledwo pięćdziesięcioletnią chłopkę, wtedy jedynie wzrusza się w sercu.

Znalazłszy się w domu ojczystym, który matka przywróciła do dawnego stanu i dopiero niedawno opuściła, Napoleon wzywa doświadczonych ludzi: Wieści! Wieści! U kominka ojcowskiego dowiaduje się, co w ostatnich trzech miesiącach

NAPOLEON

stało się z jego tworam: tam, gdzie przed trzema laty zwyciężał, Medjolan, Mantua, niemal cała Italja stracona, Genua jest ledwo do utrzymania, Massena napierany przez Szwajcarję! Anglja wylądowała w Holandji! Co zrobić, co najpierw robić? Do Nizzy! Natychmiast zająć ją! Szybkiemi zwycięstwami odzyskać wszystko! Ale co? Dwaj dyrektorowie gwałtem usunięci? Czyż wstrząśnięty rząd da się utrzymać tylko taką chytrością? Generał Moulin jest dyrektorem? Któż to jest ten generał Moulin? A któż jest drugim zastępcą? Sieyes? Zanosi się na nowy zamach, może nawet zamach stanu. Do Paryża! Na pokład! Weźcie szalupę na linę!

Dwa dni w kierunku Toulonu. Już ukazuje się w zmierzchu brzeg. Wtem obserwator melduje pojawienie się okrętów angielskich. Zawróć! rozkazuje admirał. Naprzód! gromi go Bonaparte. W razie potrzeby do szalupy i wiosłami do łądu! Raz jeszcze gwiazda jego oślepia wroga, który myli się co do nadstawienia żagli, przejeżdża tuż mimo niego, potem zapada noc. Nie da się do Toulonu? To do Frejus! Rafy nieznane? Rafy są wszędzie! Naprzód, znalazłszy się po siedmiu tygodniach tuż przy brzegu Francji, trzeba się ważyć!

Czyż Włoch kocha ten kraj, którego teraz dotyka nogą? Jest to dlań tylko skrzypka, na której umie grać lepiej, niż na wszystkich innych instrumentach tej ziemi.

Rano obiega nazwisko Bonapartego po małym miasteczku Frejus. Czemuż gromadzą się wszyscy w stu łodziach u przystani? Czemuż lud wydaje radosne okrzyki? Czegóż to dokonał w Afryce, że mieszkańcy tego miasta prowincjonalnego witają go jak triumfatora? Jakiś urzędnik przebąkuje coś o kwwarantannie. „Raczej zaraza, niż Austriacy, którzy są już tak blisko!“ woła tłum, i hucznie ciągną powóz jego przez miasto.

— Tak źle z Francją? — myśli mąż w powozie, kłaniając się tłumowi. — Czy nie zdaje się, jakby mnie oczekiwano? Nie powinienem był przybyć ani później ani wcześniej. Teraz chwila właściwa.

Pędzi dalej. Nieprzerwanie zasypuje pytaniami każdego, kogo spotka, przez osiem dni, gdyż zostaje w Aix, gdzie dochodzi go odpis starego, nigdy nieotrzymanego listu z Paryża: „Dyrektorjat oczekuje pana, generale, pana i walecznych, którzy są z panem.“ Oto panika rządzących, którzy szukają

wybawcy! Co będzie najmądrzej? Zaczekać jeszcze dni kilka, naprzód napisać, potem przybyć. „Egipt, pisze do Paryża, zabezpieczony jest od wszelkiej napaści i należy całkowicie do nas.“ Dopiero w końcu lipca otrzymał rzekomo wiadomości „i tej samej godziny wyjechałem. Nie wolno mi było myśleć o niebezpieczeństwie, miejsce me było tam, gdzie obecność ma zdawała się najkonieczniejsza. W tem poczuciu byłbym się i bez fregaty owinał w płaszcz i wszedł do pierwszej lepszej łodzi... Pod Kleberem zostawiłem Egipt w najlepszych rękach, kraj był już cały pod wodą. Nil był piękniejszy, niż kiedykolwiek od 50 lat.“

Tak mądrego gońca śle do Paryża, aby panowie wiedzieli, kto przybywa. Droga staje się *via triumphalis*, grzmią działa. W Valence poznaje w tłumie biedną właścicielkę kawiarni z pokojem bilardowym i daje jej upominek ze wscho-du. W Lyonie musi chcąc nie chcąc stracić dwie godziny, pośpiesznie napisano uroczystą sztukę: „Powrót bohatera.“ Ale żadna z tych oznak czci nie świadczy tak dobitnie o bezprzykładnem już wtedy działaniu jego nazwiska, jak to, że jeden z najlepszych deputowanych, Baudin, na wieść o jego powrocie wydał okrzyk radości i padł martwy na ziemię: tak silny bił odeń blask, że mógł zabić człowieka.

Paryż zbliża się. Wódz nie przestaje nasłuchiwać. Tylko o to, co dotyczy go jako człowieka prywatnego, o Józefinę, nie śmie pytać nikogo. Czy jest już rozwiedziony? Gdzie są bracia? Od wczoraj wiadomo już o tem w Paryżu: czemuż żaden nie wyjeżdża na jego spotkanie? A ona? Czyż będzie mimo wszystko czekała z uśmiechem w swym zwierciadlanym pokoju? Szary brzask wgląda do powozu, oto strażę celne, oto zewnętrzne bulwary, teraz pojazd skręca w małą uliczkę, tam leży dom. Kto stoi samotnie w drzwiach?

Matka.

XVIII.

„Wylądowanie Bonapartego jest jednym z tych zdarzeń, w które się zrazu nie wierzy. W okamgnieniu wieczorem rozeszła się wieść w teatrach i towarzystwach, w najobszerniejszej nawet knajpie pito na jego powrót. Gdyby zdumiewający ten

NAPOLEON

człowiek nie był wszystkim blisko znany, trzeba by to uważać za sen... Wszyscy pozdrawiają go z niecierpliwością, gdyż każdemu przywraca nadzieję. Wierzimy wszyscy, że sława, pokój i szczęście muszą iść za nim.“

To można było czytać nazajutrz w pismach, a nadto codziennie mnóstwo prawdziwych i fałszywych szczegółów o jego postawie i wyglądzie, minie i ubraniu. Nawet przeciwnicza prasa, która się nie łudzi, łączy z nim swe nadzieje: „Jego wyprawa do Egiptu nie udała się, ale cóż to szkodzi? Wystarczy mu, że ją przedsięwziął, oczywiście trudno nam wiedzieć, dokąd zmierza jego śmiałość. A jednak wszystko, na co się ważył, zdaje się znowu dodawać nam ducha.“ Wszystko go wita, plany jego umacniają się.

Tylko żona znikła. Gdy na obiedzie w domu Gohier'a, pierwszego z pięciu dyrektorów, otrzymała wiadomość, przestraszyła się tak, jak gospodarz domu. Oboje mieli z różnych powodów nieczyste sumienie: pod nimi grzmi wulkan. Barras, którego i w tym czasie darzyła, zda się, sporadycznie względami, doradzał jej dawno rozwód z zaginionym niemal awanturnikiem i jednocześnie małżeństwo z ładnym Hipolitem. Listy nie nadeszły nigdy: czy je przejęto, czy nie były wysłane, niewiadomo. Tylko z wrogiej postawy szwagra wnioskowała, na co się zanosi: trzeba było zapobiec temu. Właśnie wieść o jego wielkim zwycięstwie nad Turkami zelektryzowała Paryż. Czyżby jednak nie należało pozostać w bezpiecznej przystani? Zarówno chwiejna, jak lekkomyślna, kokietowała w ostatnich tygodniach z myślą o pojednaniu; bo, że się to ostatecznie jej uda, mówiły jej zwierciadła, i mężczyźni.

Teraz jednak, przy stole, opanowywa się, opanowywa się niemniej i Gohier, uśmiechają się, tracą się na cześć powrotu, ona spieszy do domu, zabiera z sobą wszystko, co ją może upiększyć, już toczy się powóz przez bramę miejską, ona zaś myśli: — Pośpiechem trzeba wziąć nieprzyjaciela, czyż to nie jego tajemnica? Zanim dojdą go jeszcze złe języki, ona przejedna go w tej kilkudniowej i kilkunocnej podróży!

Ale mija się z nim w drodze, dowiaduje się, że przejechał; wraca spiesznie, ale traci trzy drogocenne dni, w ciągu których tymczasem rodzeństwo, które pośpieszyło doń, kładzie mu



w uszy wszystkie jej skandaliczne postęпки. Wprawdzie zaufani ostrzegają go, że, jako zdradzony mąż, przez rozwód ośmieszysz się w oczach Paryża. Ale on oświadcza stanowczo: „Nie, ona pójdzie sobie. Cóż mnie obchodzą plotki! Na trzeci dzień przestaną już mówić o tem.“ Jednocześnie każe złożyć u odźwiernego jej kufry, kosztowności, aby nie przestąpiła progę domu. Czyż można wyraźniej bać się swej słabości?

Ona przybywa, przełamuje łańcuch pierwszych straży, wdziera się do twierdzy. On zamknął się. Ona woła i prosi pod drzwiami. Gdyż im głośniejsze w tej podróży imię jego z ust ludu dochodziło do jej uszu, tem większe budziły się w niej nadzieje, tem bardziej malała resztkę jej dumy. Ale cytadela jest nie do wzięcia. Ostatecznie zbiera do ostatniego ataku wojska pomocnicze: Hortensja i Eugenjusz muszą pomóc: błagają, wołają, płaczą. Tak mija noc.

Czyż śmieszna ta scena, której motywy wszyscy rozumieją, zbałamuciła tego wielkiego znawcę duszy ludzkiej? Czyż Bonaparte dał się wystrychnąć na dudka kobiecie?

Oto wróciwszy po roku, z głową pełną planów zdobycia sobie ludu, leży i myśli: — Oszukali mnie wszyscy: rząd, stronnictwa, koledzy starali się wyłączyć nieobecnego od władzy, która zagrażała ich władzy. Nikt nie tęsknił za mną, gdy stracili mnie z oczu, z pewnością nawet i bracia. A ta kapryśna istota, której eleganckich skłonności nie hamowałem nigdy, miałaż spędzić ten rok w żałobie, oczekiwać obyczajnie męża, którego powrót stawał się coraz niepewniejszy? Jeśli jestem obecny, jest uroczą. Jeśli zawrę wtem korzystnym położeniu zawieszenie broni, to przyjęte będą me wszystkie warunki, jednocześnie będę mógł zastosować wszystkie ubezpieczenia na przyszłość. Co za piękny głos! Na wdzięku nie mogła też stracić, gdyż inaczej miałyby mniej wielbicieli. Jakaż gąską była wobec tej Kreolki owa mała porucznikowa, a jednak nie zdobyła się na dziecko! Gdzież znajdę kobietę doskonalszą, jako kochanka i żona, od Józe-finy“ A czyż nie urodziła dwojga dzieci?

Otwiera drzwi i bohaterskiem milczeniem umarza raz na zawsze wszelkie skargi, które cisną mu się na usta. I tu decyduje się raz i decyduje się całkowicie. Nazajutrz ona spowiada się z dwóch milionów długu. On płaci je w milczeniu,

NAPOLEON

Niemile czują się bracia, jeszcze przykrzej siostry „w dawnej skórce“, jak mówi Paulina, ale nikt nie śmie rzec słowa.

Nie czas też na debaty. Szybko następują po sobie wypadki. Bracia tymczasem nie próżnowali. Józef, dawniejszy poseł w Rzymie, stał teraz, jako deputowany, w Paryżu na straży. Lucjan jest przewodcą opozycji, choć jako człowiek 24-letni nie osiągnął jeszcze granicy wieku; świetny to mówca, groźny w debatach, zapaleniec i aktor, błądzący z ambicji, ale zbyt zuchwały, by coś zbudować. Właśnie pracował z Sieyemsem nad własnym zamachem stanu, brakło tylko wielkiego żołnierza, któryby porwał za sobą wojska. Teraz, gdy się zjawił, Lucjan zamilczy swe własne życzenia. Jeśli zapóźno jest dla niego samego, będzie nienawidził brata. I on jest Bonapartym wielkiego formatu.

Niebezpieczny, nigdy nieprzenikniony, przebiegły jest nowy szwagier Józefa, Bernadotte, mężczyzna o zuchwałym nosie i dziko-chytrych rysach. Zrazu nie przyszedł go wcale przywitać; teraz, gdy Bonaparte mówi o rozpaczliwym położeniu republiki, powiada: „Załatwi się ona z nieprzyjaciółmi zewnętrznymi i wewnętrznymi!“ i przytem spogląda nań przenikliwie, jakby sam był Bonapartym: dwa władcze spojrzenia krzyżują się. Bonaparte, zawsze panujący nad sobą, wraca politycznie do tematu, mówi o niebezpieczeństwach, potem ostro zwraca się przeciw klubowi Jakobinów. Bernadotte: „Pańscy bracia założyli go!“

Napoleon, miarkując się raz jeszcze: „Tak, generale! Wolałbym żyć w lesie, niż w państwie, które nie daje bezpieczeństwa“.

Bernadotte szydę: „Mój Boże, jakiegoż bezpieczeństwa brak panu?“ Teraz Bonaparte chce rzucić się na niego, ale Józefina staje między nimi. A jednak ona to właśnie tajemnie rozdzieliła obu. Gdyż Bernadotte ożenił się z ową Dezyderją, której Napoleon niegdyś pożądał, ale nie dostał jej wczas i porzucił ją; tego nie może sobie i jemu wybaczyć. Przez całe życie Bonaparte będzie się starał bezlikiem darów załagodzić w tej kobiecie boleść młodzieńczą, której ona sama napół była winna. Gwoli niej wynosi on coraz wyżej Bernadotte a, który go ciągle oszukuje.

To wszystko, co odmalowują przed jego oczyma bracia, znawcy ostatniego roku paryskiego: ten obraz anarchistycznej

korupcji i gwałtowniczej beziły, zmienia szybko jego prze-
czucie w postanowienie czynu. Zmniejszyć liczbę możno-
władców, przedłużyć czas urzędowania, uczynić z płaskowyzu
rządu szczyt: triumwirat na lat 10, oto jego najbliższe żądanie.

W Luksemburgu wszyscy czują się nieswojo, odkąd po-
wrócił: każdy z pięciu dyrektorów niedowierza jemu i czterem
innym. Kto jest z wodzem? Sieyes trzyma się razem z Lu-
cjanem, Barras z Józefiną, Gohier z jednym i drugą. Ku
czemu cięży Ducot? Czy można liczyć pewno na generała
Moulin? Wódz posłał mu zaraz po przybyciu damascenkę
z djamentami: nie przyjąć było niepodobieństwem.

Tak szepcą sobie dyrektorzy. Niedawno, gdy złożył im
wizytę, czyż wyglądał na generała? Nie byłże podobny do
awanturnika? Cywilne ubranie z zielonym surdudem, w ręce
okrągły kapelusz, do tego szabla mamelucka: widać, że chce
oślnić Paryż jako pasza. Za to głowa jest teraz gładka,
długie włosy znikły: widać, chce pozyskać Paryż przez udaną
prostotę. Ale dziś przybywa znowu: jako generał na koniu,
z świetną świtą. Cały Paryż gapi się. Ten przepych nie wróży
nic dobrego, a kiedy teraz siedzi przed swymi pięciu zwierzch-
nikami i wypytuje ich, czyż nie ma się wrażenia śledztwa?

Czemuż dajecie sobie imponować! — wyrzucają przyjaciele
dyrektorom. Cała sprawa egipska chybiła! Kaźcież go po-
prostu zaaresztować zato, że opuścił armję! On knuje coś
złego.

Bonaparte przyjmuje tymczasem przewodców Jakobinów
i agentów Bourbonów, radzi każdemu, kto go pyta, nie mówi
nikomu, co myśli, zachowuje się, jak wytworny człowiek,
który długo bawił w podróży i ze znudzonym spokojem teraz
odbiera od krewnych sprawozdanie z ich zatargów. Bawi
już dwa tygodnie w Paryżu. Napięcie rośnie. Sprawy pań-
stwa nie ruszają prawie z miejsca, gdy Pięciu mających
rządzić intryguje tymczasem, obie izby z powodu nieładu
straciły wszelką powagę, nowa konstytucja chwieje się w
wietrze dnia, ale nikt nie wie napewne, skąd on wieje. Kto
posiada władzę w państwie, to jest, kto posiada armję? Ge-
nerał Moulin? Generał Bonaparte?

Gdy niewiadomo, co jutro zajdzie między nim i rządem,
on wygłasza w Instytucie odczyt o antycznym Kanale Sues-

NAPOLEON

kim i demonstruje granit z hieroglifami. Dnia 1-go listopada wielki obiad państwowy na cześć zwycięstwa Masseny. Gdzie Bonaparte? Nie lubi widocznie czcić kolegi.

Tego wieczora siedzi u brata Lucjana z abbe Sieyes'em. Tego najmędrszego z dyrektorów zetknął z nim nareszcie Talleyrand. Równie wielcy ambicją i bystrością rozumu siedzą naprzeciw siebie, nowoodkrywca konstytucji i nowoodkrywca władzy. „Stworzyłem wielki naród,“ mówi Bonaparte. „Bo stworzyliśmy wpierw naród,“ odpowiada Sieyes.

Teraz omawiają szczegółowo plan zamachu: w dzień ściśle określony rozgłosi się wieść o sprzysiężeniu Jakobinów, by przestraszone izby przenieść z Paryża do St. Cloud. „Dla bezpieczeństwa“ odda się Bonapartemu naczelne dowództwo nad garnizonom paryskim. Sieyes i Ducot zgodzili się. Trzech innych dyrektorów zmusi się namową, groźbą i pieniędzmi do ustąpienia. Barras weźmie pieniądze. Ale Gohier? Załatwicz się z tem krótko! — Rozpędźcież poprostu izby siłą! — radzi Lucjan. — Ale Bonaparte zostawszy sam w nocy, myśli:

— Przemoc! Jakże szalonym było się jeszcze przed czterema laty! Wszak widzi się, dokąd wiedzie gwałt! Sztuka w tem, by zachować pozór zupełnej legalności. Bez armat i krwi, bez aresztowań i stronnictw: oto tajemnica idealnego zamachu stanu. Inaczej wystarczy na rok i potem znowu dziura, śmiertelnie znużona jest ta republika, po dziesięciu latach rewolucji. Dość długo broniła się ta Amazonka: teraz nie chce nic więcej, tylko silnego mężczyzny, któryby nią kierował. Jest gotowa.

— Czy też ten Sieyes jest pewny? Jak dla mnie, myśli za dużo to jego cofnięte czoło. Od dziesięciu lat tworzy konstytucje, jest przecie tylko ideologiem, który szuka tęgiego generała, aby go potem odepchnąć. Gdym się nie zjawiał, wziął sobie Moreau. Wezmę sobie obu. Pewni bezwzględnie są: Berthier, Bourienne, Murat, Marmont, Leclerc. Czy Lucjan jest wierny? Na razie. Bernadotte? Jego zły wzrok był szczyry. Mimo to on nie ruszy się. A Talleyrand? Ponieważ jest niebezpieczny, trzeba go mieć przy sobie. Moulin? Trzeba się śpieszyć: za dużo jest generałów w Paryżu. Baczność!

Następnego wieczoru nowe obrady z Talleyrandem w jego domu, rozmawiają, planują, robi się późno. Nagle hałas przed

domem, jeźdźcy, patrol zatrzymuje się na dole. „Bonaparte zbladł i zdaje mi się, że ja także,“ opowiada później Talleyrand. Obaj sądzą, że teraz będą aresztowani, gaszą światła, śpieszą drobnymi krokami przez galerję, by widzieć lepiej: nic. Scena uliczna. Odetchnęli z ulgą. Czemuż jednak dyrektorowie nie każą rzeczywiście uwięzić podejrzanych mężów? Nazwisko Bonapartego jest już za wielkie.

Dnia 6-go wielki bankiet w Luksemburgu dla Bonapartego i Moreau. Moreau zajmuje honorowe miejsce, tak mało ufają tamtemu gospodarze. Ale on każe uczciwemu słudze podawać sobie tylko chleb i jaja, tak mało ufa swym gospodarzom. Po półgodzinie opuszcza ucztę, by omówić ze swoimi upadek mężów, od których właśnie wraca. Następnego wieczoru spotykają się u niego Talleyrand, Roederer, Sieyes, ponadto zaproszeni są ci, których pragnie się pozyskać: Jourdan i Bernadotte. Po obiedzie pyta Jourdan'a, co robić? W tem prostem pytaniu tkwi dowód ogólnego kryzysu: dwóch generałów, którzy nigdy nie rozmawiali poufnie, spotyka się, patrzy na siebie. Co robić? pyta jeden. Drugi dotyka miecza. Teraz pozyskuje się chwiejnych. Zapada postanowienie zaczęcia działań za 48 godzin. Wiernym wyznacza się zadania: Murat, Lannes, Marmont zawiadomią oficerów trzech rodzajów broni, Berthier — sztabowców.

Lucjan podejmuje się dobrze przewodniczyć Radzie Pięcuset, której prezydentem został na ten miesiąc wybrany, widocznie na cześć brata. Zarówno prezydent Rady Starszych zostaje wtajemniczony, woźni otrzymują wskazówki, o kim w zaproszeniach na posiedzenie mają zapomnieć. Po mianowaniu go komendantem, odda Bonaparte Tuilerje Lannes'owi, pałac Bourbonów Muratowi. Gohier'a zaprosi Józefina na ósmą rano na śniadanie i to z żoną. Na południe zapowiada się Bonaparte do Barras'a na obiad: sposób uśpienia jego czujności. Bernadotte'a obrabia jego szwagier Józef, aby przynajmniej siedział cicho. Roederer pisze proklamację, syn jego załatwia potajemnie skład i druk u znajomego drukarza.

— Czyż nastrój Brutusa był też tak mało podniosły? — myśli Bonaparte. A przecież i my chcemy kogoś zamordować: anarchję. Nowa epoka, nowe stulecie, zaczęte temi brzydkimi środkami, w tak małostkowej grze! Biwak jest czystszy!

XIX.

Mrocznie mgli się ranek jesienny w małych uliczkach, zaświtał 9-ty listopada: 18-ty brumaire'a. Przed domem Bonapartego ruch, konno, powozami zjawiają się oficerowie. Narzeczcie będzie się bić? Większość zna go z Italji. Dom jest za mały, czekają w ogrodzie, przestępują z nogi na nogę, rozważają szansę, żywo, wesoło, jak nad Renem. We wszystkim trzeba zachować pozór, aby nikt nie powiedział, że o 6-ej rano jest się już w uniformie. Wszystko idzie dobrze. Wysłañcy stwierdzają wykonanie programu: na siódmą rano zwołano obie izby, lecz z ominięciem niewygodnych mówców. Gdy pierwsi wtajemniczeni przyjaciele znaleźli się na miejscu, przeprowadził Lucjan u Pięciuset, a jego kolega u Starszych, w ciągu dziesięciu minut, w głosowaniu mianowanie Bonapartego komendantem Paryża.

Oto już zjawia się posłaniec z opieczętowanym listem! Wszystko jak najlegalniej! Szybko staje jako generał przed wiernymi. Wszystko odbywa się, jak w obozie. Potem przejeżdża z wielką świtą przez miasto, w oczach zdumionego tłumu, który pozostaje jednak politycznie obojętny. Pułk dragonów z wyprawy włoskiej przyłącza się na Bulwarze Magdaleny bez rozkazu swego komendanta; inni komendanci idą za Ducot'em i Marmont'em, który wcześniej zaprosił ich do siebie, i gdy chcieli wymówić się brakiem koni, kazał im podać konie, które wypożyczył z ujeżdżalni.

Napełnia się ogród Tuileryj. Wielu pozostaje na koniach, Bonaparte zsiada i wchodzi do sali Starszych. Czyż chce przemawiać w tej mrocznej, nieznannej sali, przed ludźmi, którymi pogardza? Czemuż nie złoży poprostu przysięgi na konstytucję, którą właśnie chce zniszczyć? Mówi z trybuny:

„Republika ginie... Zrozumieliście to i wydaliście prawo, które ją uratuje. Niech nikt nie szuka w przeszłości przykładów, któreby mogły powstrzymać waszą działalność. Nic w historii nie dorównywa końcowi 18-go wieku, i nic w tym końcu nie dorównywa tej chwili... Pragniemy republiki, zbudowanej na wolności i równości. Będziemy ją mieli. Z pomocą wszystkich przyjaciół wolności uratuję ją. Przysięgam wam to w imieniu mojem i mych towarzyszy broni!“

— Przysięgamy! huczy echo przez otwarte drzwi sali. Panom robi się duszno. Towarzysze broni? On jednak z ulgą opuścił salę. Te adwokackie oczy, te wszystkie okulary, te chuderlawe człowieczki! Czyż nie spostrzega, że przemawiał w tonie parady i że ton nie podobał się?

Na dworze słowo i głos brzmi inaczej, gdy z konia wzywa swe wojska do ratowania republiki. Wtem nadchodzi wiadomość od Lucjana, który tymczasem Radę Pięciuset odroczył do jutra. Ale cóż to? Gwardja dyrektorów nadciąga? Przyjaciół, czy nieprzyjaciół? „Sieves przysyła pana?“ Komendant przeczy. Obaj uśmiechają się.

Bo tymczasem błady Sieves stoi u bramy Luksemburga. Od dwóch tygodni mądry abbe brał lekcje jazdy, zamierzał konno, na czele swej gwardji, przyłączyć się do korpusu nowego kolegi i wobec całego świata, może nawet publicznym uściskiem z koni, stwierdzić swoją równość. Teraz gwardja znikła, komendant, bez rozkazu, powiódł ją do Tuileryj: przystała do szybszego jeźdźca. Bardzo niepokaznie i markotnie nadjeżdża Sieves w powozie, a z nim uległy dyrektor Ducot. Skoro więc wtajemniczony wystrychnięty został na dudka, cóż będzie z trzema innymi?

Moulin myśli po żołniersku, ocenia siłę przeciwnika w Tuileryjach na 8000 ludzi, dowiaduje się przez adjutantów, że wszystkie miejskie punkty oparcia są w rękach Bonapartego: więc oddaje się pisemnie „do rozporządzenia.“

Nieprzytomnie wypada uczciwy Gohier z domu. Wprawdzie nie posłuchał zdumiewającego zaproszenia na pierwsze śniadanie, tylko posłał żonę, która teraz, coś niby zakładniczka, pije herbatę z Józefiną, gdy Bonaparte oszukuje jej męża, ale nie z jego kochanką, tylko z Francją. Po pierwszych wiadomościach, posyła Gohier do kolegów, naznacza posiedzenie, nikt nie przychodzi; trzech jest już przy przeciwniku; Barras każe oświadczyć, że kapie się.

Potem, gdy Talleyrand, poseł losu, wchodzi do Barrasa, ten goli się; zdaje się dziś zajęty wyłącznie pielęgnowaniem ciała. Ale gdy drugi augur spojrział nań dwukrotnie, ustępuje, prosząc tylko o straż bezpieczeństwa. Sekretarza jego, który przyniósł tę odpowiedź, gromi Bonaparte publicznie w ogrodzie: „Coście zrobili z tej Francji, którą pozostawiłem

NAPOLEON

wam w takiej świetności! Dałem wam pokój, a zastaję wojnę... Coście zrobili ze 100 000 Francuzów, którzy byli towarzyszami mej sławy! Nie żyją! Tak dalej być nie może! W ten sposób dojdziemy za trzy lata do despotyzmu! Ale my chcemy republiki zbudowanej na równości i wolności, tolerancji i moralności!“

Mały sekretarz drży. W rzeczywistości jest Bonaparte zupełnie zimny, jednak wypada mu, wobec kilkuset otaczających go ludzi, udawać wściekłego; niech to rozniosą, tym sposobem za dwie godziny będzie o tem wiedział cały Paryż..

Wtedy przybywa Gohier. Ma jeszcze odwagę, ostrzega możnowładcę wśród jego wojsk przed gwałtem, przypomina mu jego obowiązek względem dyrektorjatu.

„Niema już dyrektorjatu! — krzyczy nań zgóry Bonaparte. — Republika jest w niebezpieczeństwie, pragnę ją uratować. Sieyes, Ducot, Barras ustąpili.“ Wtedy przynoszą list od Moulin'a. „Czy nie jest pan spokrewniony z Moulin'em. Nie? Oto i on ustępuje. Niech się pan nie ociąga wziąć jako ostatni dymisję.“

Stary uparcie obstaje przy swem prawie. Wróciwszy do Luksemburgu, widzi wnet siebie i swych przyjaciół pod strażą pięciuset ludzi, dopóki wszystko nie minie. Barras czeka niespokojny w swym domu na odpowiedź. Gdyby się Bonaparte dziś zemścił? Józefina jest kapryśna. Ale wtedy wraca Talleyrand, ze strażą bezpieczeństwa i woreczkiem złota, co do którego nie da się ustalić, czy otrzymał go Barras, czy zachował Talleyrand jako zapłatę za poselstwo.

Tak to pięć głów republiki pozbawionych zostało przez Bonapartego władzy. Ale to był dopiero pierwszy dzień, jutro w St. Cloud będzie trudniej. Niespokojny wieczór w domu Bonapartego: Lucjan wie wszystko, był wszędzie, woła słusznie wzburzony: „Wszystko trzeba było załatwić jednego dnia! Zostawiono im za dużo czasu! Wśród Pięciuset krzyczą już, że ich oszukano. Jutro jest wszystko niepewne! Trzeba poprostu rozpedzić izby przy pomocy wojska, a najgorszych aresztować!“

Tak, zawikłania jutro są możliwe. Bernadotte chciał, by klub Jakobinów wysunął go jako przeciw-generała. „Hultaje

byli za tchórzliwi!“ Obcych generałów trzeba przytrzymać! Daremnie napierają na Bonapartego jego zaufani, on trwa uparcie przy pozorze prawowitości:

„Powiedzianoby, że boję się generałów. Nikomu nie wolno wołać, że jesteście nieprawowici. Żadnych partyj! Żadnego gwałtu! Cały lud musi przez głosowanie swych deputowanych być związany z rozstrzygnięciem! Żadnej wojny domowej! Co zaczyna się wojną domową, skończy się haniebnie!“

W nocy jednak kładzie, na wszelki wypadek, nabite pistolety obok łóżka.

XX.

Nieskończone szeregi powozów, ekwipaże i karety, jeźdźcy i piechury, ciągną rano do St. Cloud, jak na paradę. Również Bonaparte jedzie, by nie prowokować nikogo swą swiata; postanowił sobie w tej sprawie przestrzegać form konstytucji do ostatniej chwili. Bo cóż wczoraj stało się sprzecznie z prawem? Czyż izby nie mają prawa usunąć się dla bezpieczeństwa z okręgu miasta, dać Paryżowi nowego komendanta? Czyż dyrektorowie nie mają prawa podać się do dymisji? A czyż niebezpieczeństwo jakobińskie, które dało powód do tego, jest zmyślane? Dziś w publicznym głosowaniu izby zmienia konstytucję, wyznaczają prowizorycznie trzech mężów, których po rzymsku zwać się będzie triumwirami lub raczej konsulami. Potem izby odroczą się, wszystko prawnie.

Deputowani nie są tego zdania. Jak nisko płynące chmury snują się po dolinach tego opuszczonego zresztą zaniku: debatuja, protestują, a ponieważ dla posiedzenia improwizowane sale nie będą gotowe przed pierwszą, mają czas wzmóc nastrój bojowy.

W małym pokoju, zwróconym frontem do parku, czekają, konsulowie od rana: Sieyes i Ducot przeważnie siedzą, lecz trzeci przemierza nieustannie tam i sam pokój, łowiąc w przechodzie meldunki swoich. Myśli: — Przekłete tempo cywilów! Naprzód potrzebują całego przedpołudnia dla ustawienia kilku ław, potem znów po jednemu składają przysięgę, którą nasi rekruci chórem wygłaszają w dwie

NAPOLEON

minuty. Niegodna rzecz czekać w nędznym tylnym pokoju na to, co w swych salach postanowią ci adwokaci!

Tymczasem radzą na górze w sali Apollina Starsi, na dole w oranżerii Rada Pięciuset. Gdy po złożeniu przysięgi przychodzi nareszcie do obrad, którym na dole przewodniczy Lucjan, opozycja wskutek trafnych argumentów zyskuje coraz więcej gruntu, wskazuje na groźną siłę wojskową przed oknami i gdy woła: „Nie chcemy dyktatury! Ten Cromwell chce nas zakuć w kajdany!“ pozyskuje sobie niemal całą salę. Nadchodzą coraz gorsze meldunki do tylnego pokoju, teraz zaczynają niepokoić się nawet oficerowie: „Rozpędzić! Na dworze stoi wojsko!“

Ale odpowiedzią Bonapartego jest zimne spojrzenie, bierze szpadę, idzie po schodach do sali senatu. Kiwając głowami, patrzy po sobie kilku zaufanych, kroczących za nim: Czy chce znów mówić, jak wczoraj, zamiast strzelać? Ze zdumieniem, lecz z ciekawością oddaje mu prezydent mównicę. Czy powiedzie się dziś lepiej, niż wczoraj? Czy będzie dziś mówił rzeczowo, a nietylko o sobie samym?

„Wczoraj siedziałem spokojnie w Paryżu, gdyście mnie wezwać kazali... Dziś obsypujecie mnie obelgami... Od czasu mego powrotu ubiegają się o mnie wszystkie stronnictwa... Rada Starszych musi się szybko wypowiedzieć. Nie jestem intrygantem. Znacie mnie. Czyż nie dałem dość dowodów swego przywiązania do ojczyzny?... Czyż mam drzeć przed podżegaczami, ja, którego nawet wielka Koalicja pokonać nie mogła? Jeśli jestem podstępny, nikczemny człowiekiem, niech każdy z was stanie się Brutusem!“

Niepokój. Uśmiechy. Poco mówi? Nie zdaje sobie sprawy, gdzie jest, gdyż ciągnie dalej: „Niech cała Francja wie to, o czym myśmy się dowiedzieli... Wszystkie partje chcą z przesilenia tego ciągnąć korzyści... Każda chciała przeciągnąć mnie na swoją stronę. Ja jednak zwróciłem się do Izby. Jeśli będziecie zwlekali i wolność zginie, to kiedyś odpowiedzialni będziecie przed światem i potomnością!“ Coraz zawilsze, niejaśniejsze stają się jego zdania, Starsi otaczają katedrę, przerywają mu, żądają nazwisk, nagle on się odwraca i wskazuje w kierunku drzwi na wojska, których wcale nie widać, zda się, pragnie wycofać się z honorem:

POTOK

„Jednak wy, koledzy moi, których widzę zjednoczonych w tem kole, zwróćcie swe bagnety, któremi zwyciężyliśmy wspólnie, przeciwko mej piersi! Jeśli jednak wystąpi taki przez Anglję opłacony mówca i waży się rzucić generałowi waszemu słowo: Wyjęty z pod prawa, niech roztrzaska go natychmiast piorun bitew! Bóg wojny i Bóg szczęścia są ze mną--- ---“

Czyż huczny śmiech nie pogrzebie w tej chwili mówcy wraz z jego zamachem stanu? Nareszcie Bourienne przeciska się do niego, bierze go za ramię i szepce: „Przestań pan, generale, pan nie wie, co mówi!“ Bonaparte idzie szybko za nim i opuszcza salę. Zaprzyjaźniony deputowany stara się załagodzić szybko, co się da.

Na dworze odetchnął swobodniej. Co to było? Jakaż to chmura tłoczyła mu mózg? W zamęcie bitew zachowywał zimną głowę, z której padały decyzje, okrągłe, świetne i chłodne, jak kule marmurowe. Czemuż odmawia ona posłuszeństwa teraz, gdy chodzi o wszystko?

Ponieważ on musi rozkazywać i nie umie prosić. Wprawdzie umie pochlebiać, grozić, zwlekać, kłamać, jak żaden ze starych dyplomatów, z którymi zawierał układy, ale zawsze jako równy z równymi, z poczuciem: jeśli nie wymogę tego na tych przeciwnikach, to do armat! Wszystko zniesie ten duch, tylko zabiegać nie umie, uznawać nad sobą prawa, którego sam nie stworzył. Pragnie porządku, legalności, — ale nie takiej, co przed nim była!

Czuje z góry, że siłami olbrzyma doprowadzi ten kraj po chaotycznym dziesięcioleciu do ładu państwowego, nikt nie będzie upośledzony przez urodzenie i ubóstwo, gdyż wszyscy mają to samo prawo do działania. Tu jednak siedzi kupa adwokatów, zużyta i skorumpowana od lat dziesięciu, pokrajana na stronnictwa, okopcona dymem polityki partyjnej i tych to on ma prosić, zaklinać, aby raczyli jemu, i na razie nawet nie jemu samemu, użyzyć łaskawie władzy, którą on oddawna posiada i która niecierpliwie czeka na dworze, by wybuchnąć!

On, który w Instytucie przestawał milcząco z uczonymi, ucząc się i pytając, rozumie tak mało nastrój tych korporacyj, że już teraz uważa sprawę za wygraną i posyła Józefinie wia-

NAPOLEON

domość, jak dobrze wszystko się dzieje, dodaje swoim odwagi i spieszy zaraz na dół, by Radzie Pięciuset dać podobne widowisko. Dobrze, że przezorni przyjaciele przydają mu kilku ludzi, czterech olbrzymich grenadjerów, na których ramiona liczyć można.

Na czele tych ludzi, których wobec jego parlamentarnego zamiaru nie wolno mu było żadną miarą wziąć z sobą, zjawia się z kapeluszem i szpicrutą w rękę, przed Radą Pięciuset. „Bonaparte!“ W okamgnieniu zwracają się wszyscy ku drzwiom. Jakobini wołają: „Precz z tyranem! Broń w sali! Ubić go!“ Kilka wielkich postaci rzuca się na niego, od-piera go pięściami, grenadjerzy biorą go między siebie, ich ramiona i bary chwytają ciosy Jakobinów. Wśród hałasu jedni przewalają się przez drugich, kłębowisko jest coraz dziksze, — w ten sposób krok za krokiem piątka dociera do drzwi. U wyjścia, otoczony swoimi, stoi przez chwilę nie-przytomny, niezdolny przemówić słowa; szybko opanowująca się i staje w tylnym pokoju.

W bitwach włoskich stał Bonaparte niejednokrotnie w naj-pierwszym szeregu, pod Lodi wyciągnięto go z kłębowiska. Tu jednak poraz pierwszy tkwił dosłownie w ciżbie, w której ani strzelać ani żgać nie wolno. Scenę tę u końca swej kariery przeżyje raz jeszcze. W tej chwili wyciągnąć szpadę było dlań niepodobieństwem, musiał uważać przeciwników za nieu-zbrojonych, choć nie wszyscy nimi byli; również byłby przez to zniszczył zupełnie zasadniczą myśl swego zamachu stanu.

Wkońcu porzuca ją. Pięści tych ludzi, których ciosów zdołał właśnie uniknąć, zmiażdżyły jego doktrynę: dopuszczono się na nim gwałtu, wściekły biega po pokoju tam i sam; duma jego zraniona; w gniewie rozdziera sobie paznokciem policzek, który krwawi.—Krew? W tej chwili odzyskuje chłód. Cóż może być lepszego nad tę krew! Usiłowane morderstwo w izbie! Trzeba pokazać wojskom, jak ci hultaje ważyli się pokaleczyć komendanta Paryża! Złudzenie, że przeciwnicy pierwsi pogwałcili prawo, uwalnia go od jego zasady.

Tymczasem na sali walczy zań Lucjan. „Wyjęty z pod prawa! Banita!“ rozlegają się ryki. Lucjan stara się dzwonkiem i głosem przegłuszyć wrzawę. Daremnie. Żądają głosowania nad wyjęciem Bonapartego z pod prawa, — a każdy

POTOK

wie, co to w Paryżu czasu rewolucji znaczy! Nie“ mogąc już nic osiągnąć, Lucjan, udający przedstawiciela prawa, składa z świetnym gestem przewodnictwo i togę, wypada na dwór: „Czas ostateczny!“

Brata znajduje już przy wojskach. Ten zbladł, gdy doniesiono mu w pokoju o banicji, potem podbiegł do okna i krzyknął w dziedziniec: „Do broni!“ Następnie szedł nadół, dosiadł konia, ale zaraz spostrzegł, że tętno wojsk bije za spokojnie; jeszcze nie są do pozyskania. W parku zapada już mrok. Wtedy nadchodzi Lucjan, dosiada konia, jedzie z bratem przed front. Z za bramy przygląda się dwóch mężczyzn, siedzących w bezpiecznym powozie, zdecydowanych dziś uciec, jutro rządzić, stosownie do wyniku: dwaj konsulowie na jutro. Wszystko zdaje się bez głowy.

Wtedy jedyny Lucjan umie wyzyskać chwilę. Ten nowicjusz umie lepiej przemawiać do frontu, niż jego brat do deputowanych:

„Żołnierze! Jako prezydent Pięciuset oświadczam wam, że w sali kilku w sztylety uzbrojonych Jakobinów terroryzuje większość! Łotrzy ci, opłacani przez Anglię, poważyli się waszego generała, którego zamianowała izba, ogłosić banitą! Usiłowano dokonać na nim morderstwa! Spójrzcie na tę ranę! Przed temi sztyletami muszą obronić nas wasze bagnety, by można w spokoju radzić o dobru kraju! Za deputowanych uznacie tylko tych, którzy wraz ze mną staną w waszem kole! Kto tam zostanie, tego wypędźcie z sali!“

Z zaciśniętymi wargami przysłuchiwał się brat jego: Teraz on sam woła: „Kto stawiać będzie opór, tego zabijcie! Za mną! Ja jestem bogiem wojny!“—Lucjan, który boi się nowej mowy, syczy doń: „Na miłość boską, milcz!“

— Niech żyje Bonaparte! — wołają wojska, które widzą w braciach połączenie władzy cywilnej i wojskowej. Ale nikt się nie rusza. Wszystko stracone, jeśli teraz nie pójdą! Wtedy Lucjan wpada na ostatni sposób: ruchem teatralnym wrywa jednemu z oficerów szpadę i przytyka ją do piersi brata: „Oto przysięgam wam, że przebiję własnego brata, jeśli poważy się kiedykolwiek narazić na szwank wolność Francji!“

Frazes ten porywa wojska. Wlot każe Murat bębnić marsz generalski, wzywa oddział żołnierzy ze sobą i woła grzmiącym

NAPOLEON

głosem: „Dzieci, wyrzucie tę całą zgrają z sali!“ Nareszcie śmieją się! Z pochylonemi do ataku bagnietami, ale nie żgając nikogo, z wesołością i śmiechem wypierają z sali najwaleczniejszych deputowanych, którzy jeszcze pragną się bronić, wszystko kłębi się w zmierzchowym świetle kończącego się dnia, czerwone togi, berety i czapki gwardji; ostatni uciekają przez okno.

Jednocześnie nieoceniony Lucjan biegnie do Rady Starszych, przesadza bez miary, co stało się jego bratu, wymusza wśród paniki mianowanie trzech konsulów i odroczenie się do nocy. Potem przewodcy zasiadają w małej gospodzie do stołu, gdyż wszyscy są głodni.

Późną porą siedzą jeszcze najwierniejsi w spustoszonej sali St. Cloud, trzydziestu ludzi, przedstawiających tej nocy lud Francji, postanawia przy świecach to, czego od nich żądają, i kiedy setka elegantów, ładnych kobiet i gładkich mężczyzn, przygląda się szyderczo nocnej ceremonji, kiedy wszyscy są weseli, towarzystwo bez obawy, proletariusz daleki od strzałów, nieznużony Lucjan celebrowe i tutaj z godnością tę polityczną mszę i każe trzem konsulom, o drugiej godzinie w nocy, wśród bicia bębnow, powtarzać za sobą przysięgę. Niech żyje republika! woła kilka znużonych głosów.

O godzinie trzeciej jedzie konsul z Bourienne'em zpowrotem do Paryża, przez całą drogę patrzy milczący przed siebie. Dopiero w domu, u Józefiny, otwiera usta: „No, Bourienne, z pewnością gadałem dziś wiele głupstw?“

— Dosyć, generale.

„Te osły pobałamuciły mnie zupełnie. Nie umiem mówić na zgromadzeniach.“ Ale potem, zamiast powiedzieć co! o zamachu stanu, o jego olbrzymich skutkach, gdyż jutro będzie rządził całą Francją, myśli tylko o osobistej nieprzyjaźni: toczy go robak.

„Ten Bernadotte! Chciał mnie zdradzić! Jego żona — jego żona ma wielki wpływ na niego. Czy nie byłem dla niego dość uprzejmy? Pan widział. Boli mnie, że schlebiałem temu człowiekowi. Musi wynieść się z Paryża. Tylko w ten sposób mogę się na nim zemścić... Dobranoc, Bourienne! Zresztą jutro będziemy spać w Luksemburgu.

KSIEGA TRZECIA

R Z E K A

*O czym stulecia śniły jeno mętnie,
On to przewidział jasnowidza okiem.
Wszystko, co małe, nurt spłukał doszczętnie,
Morze li z ziemią są sednem głębokiem.*

GOETHE

I.

Dokoła wielkiego owalnego stołu siedzi z dwudziestu mężczyzn, młodych i starych, o odważnym i badawczym spojrzeniu, prawie wszyscy w zwykłych surdutach, bez peruk i koronek, wedle mody roku 1800, nieliczni w uniformach bez złota i orderów: praktycy i teoretycy, ludzie z biura i ze wsi, z pola i z laboratorium, tylko jednym złączeni i wcześniej dojrzały: ciężkim doświadczeniem dziesięcioletniej rewolucji, dla której zakończenia zeszli się tutaj. Otaczający ich zimny przepych Tuileryj, w których królowali ostatni Bourboni, złoto-czerwony blask jedwabów i kobierców nie godzi się z ich mieszczańską rzeczowością, gdyż blask świec, załamujący się w szlifie pryzm, przypomina swą srebrną grą czasy światła i barw.

Również i dyrektorowie zastawiali w królewskich komnatach swym pięknym przyjaciółkom uczytą żywota, pozostali jednak w Luksemburgu, gdzie przed nimi obradowali parowie Francji; Tuilerje zdawały się pełne przekleństw i upiórów. Dyktator przełamał czar: w dwa miesiące po zamachu wprowadził się z dwoma innymi konsulami do starego pałacu; magicznie pociągało go to miejsce. Ale raczej groteskowy, niż uroczysty był wjazd, gdy w siedem lat po uwięzieniu ostatniego króla, przybył tu pierwszy obywatel i Paryżanie mieli się z czego śmiać, widząc z pod źle naklejonych listw papierowych wyglądające numery wynajętych powozów, trywialny dowcip historii. Podobnie improwizowany, jak ten symboliczny wjazd, był i nastrój konsula: „Więc jesteśmy w Tuilerjach, rzekł do przyjaciela i rozejrzał się naiwnie i ciekawie dokoła. Teraz chodzi o to, aby tu zostać.“

Niejeden z siedzących dokoła owalnego stołu czekał tu w pudrowanej peruce, w koronkowym żabocie i ciżemkach, z drzeniem, czy i kiedy Jego Królewska Mość go przyjmie. Potem siedziało się przy podobnym stole w Luksemburgu, ale był to stół w ciągłym ruchu; nieustannie wychodziły ustawy,

rozporządzenia doraźne, postanowienia wyjątkowe, dekrety przejściowe następowały jedne po drugich, trzy konstytucje powstały i padły, szybko, świetnie, nietrwale, jak raca. Całe to dziesięciolecie, w którym nowe myśli chciały zmienić się w rzeczywistość, podobne było w Paryżu do jednej jedynej, rozmigotanej światłami, rozdygotanej bębniami nocy: był to obóz wojskowy bez frontów, bez bitew, z wmarszami i odmarszami stronnictw, zgiełkliwa walka dawnego porządku i nowych pragnień, oświetlona pochodniami śmiałych idei, huczący zamęt tępych nadziei i kosookiej żądzy panowania, olbrzymia bachanalja wolności, równości i oszustwa, — a ponad tem wszystkim Rousseau spoglądał z chmur przerażonemi oczyma i szyderczo uśmiechał się Voltaire, oni, którzy kilku książkami wytworzyli to wszystko.

Nagle zapanowała cisza. Odkąd mały człowiek w znoszonym zielonym surducie generalskim przyduje owalnemu stołowi, aby wraz z radą państwa kierować i państwem, pochowały się partje do swych nor, zadowolone lub gniewne, w każdym razie oniemiałe. Osłabiona klubami i korupcją, terrorem i demagogją, Francja, miłosnemi podrózkami znużona awanturnica, wraca pod jedyne silne ramię, które będzie nią władało.

Aby być człowiekiem, którego szukała Francja, wystarczało Bonapartemu chcieć, walczyć o to nie potrzebował. Mógł to być tylko człowiek ładu, tylko taki, który nigdy nie był u władzy, który nie należał do żadnego stronnictwa, a jednak był w łaskach u ludu: więc tylko żołnierz i zwycięzca. Gdyby Moreau posiadał więcej poczucia siebie i zręczności, mógł być rywalem; inni wielcy generałowie pomarli lub siedzieli w cieniu, cywilnych konkurentów nie było. W gruncie rzeczy Bonapartemu po jego czynach wojennych władza państwowa przypadła łatwo i byłaby przeszła na niego zupełnie bez walki, gdyby nie obstawał uparcie przy zachowaniu formy legalności, co nie udawało mu się aż do śmieszności.

A jednak właśnie w tem sztucznem utrudnieniu tkwi znak i rękojmia jego politycznych zdolności. Choć tak pewnie włada mieczem, widzi jasno granicę władzy miecza. „Czy wie pan, mówi podówczas, co podziwiam najwięcej na świecie? Niezdolność gwałtu do zorganizowania czegokolwiek. Istnieją

tylko dwie potęgi na świecie, duch i miecz. Z czasem jednak miecz zawsze pokonany bywa przez ducha.“ Że ten pierwszy wódz swojej epoki nigdy, ani teraz, ani później, nie wali zbrojną pięścią w stół, ani w Paryżu, ani w układach o zawieszenie broni, o pokój lub przymierze, to ukazuje geniusza politycznego, który w mieczu ceni zawsze tylko jedną z swych broni. Teraz i jeszcze przez półtora dziesięciolecia ucho jego nie ogłuchnie nigdy od szczęku oręża, zawsze nasłuchiwać będzie opinii publicznej, głosu ludu, głosu, który nie słucha żadnego obliczenia, który jest nieczuły na liczbowe myślenie tego matematycznego ducha i który tem potężniej porusza fantastyczną jego stronę.

Ponieważ Bonaparte głębiej ufa duchowi, niż szpadzie, dąży bardziej do ładu i pokoju, niż do wojny i zdobyczy. Historia tego dziesięciolecia dowiedzie tego.

Ład oznacza dla niego równość, ale żadną miarą nie oznacza wolności: tylko jedno z tych dwojga dóbr rewolucji wciąga do swej dyktatury, ale tego jednego — z wyjątkiem kilku wahnień — będzie strzegł do końca, choć pozór przemawia silnie przeciw niemu. Ale wolność? Co to jest wolność? „Zarówno człowiek dziki, jak i cywilizowany, potrzebuje pana i mistrza, czarodzieja, który wyobraźnię jego trzyma krótko, poddaje go surowej dyscyplinie, bierze na łańcuch, nie pozwala mu kąsać nie w porę, daje baty i prowadzi na polowanie: obowiązkiem jego jest słuchać, nie wart jest niczego lepszego i nie posiada żadnych praw!“ Te groźne słowa gardziela ludzi zdradzają tylko połowę jego tajemnych myśli. Gdyż jednocześnie uznaje we wszystkich epokach, państwach, urzędach swego panowania jedynie człowieka dzielnego, daje mu moc nad tysiącami, tak jak sam tylko dzielnością i pilnością, przez wrodzoną i nabytą wyższość, osiągnął władzę nad milionami. Atoli jest synem rewolucji i w tem znaczeniu zostanie nim, niezależnie od wszelkich form swej władzy.

W tem tkwi część jego tajemniczego działania. Im bardziej rozszerza dokoła siebie zakres swej władzy, tem pewniej czują się wszyscy w systemie, który każdemu człowiekowi dzielnemu spełnia jego życzenia, poręcza stanowisko, wpływ, bogactwo, gdyż ten, który wszystkim kieruje, wznosił się z pomiędzy nich. Wykazał to zaraz przy pierwszym kroku.

NAPOLEON

Prezydenta państwa, którego w swym projekcie podsuwał mu Sieyes, i który miał tylko reprezentować i podpisywać, skreślił jednym żołnierskim słowem: „Precz z tą tuczną świnią!“ Zamiast niego występuje Pierwszy Konsul, z pełną władzą, ale też z mnóstwem pracy, jako naczelny wódz, kierownik polityki zagranicznej, mianujący wszystkich ministrów i posłów, radców i prefektów, oficerów i sędziów. 30 mianowanych senatorów wybiera swych kolegów, nie ma jednak tak samo prawa stawiać wniosków prawnych, jak zgromadzenie prawodawcze i trybunał, które właściwie ustanowione zostały tylko poto, by zapewnić politycznym głowom trybunę, a senatorom przez wysokie płace świetne życie.

Choć wszystko zależy od jednego, to jednak uzależnia on od siebie tylko mężów, nie nazwiska, gdyż żadne urodzenie, uroszczenie czy stronnictwo nie prowadzi do pierwszych stanowisk w państwie i wojsku, ani też do drugich i dziesiątych: tylko dzielność i zdolność. Ta sama zasada stworzyła Radę Państwa.

Tem gronem najmędrszych głów, z rozumnych względów i z własnej woli, otacza się dyktator. Oto wielki Laplace, którego, dla uczczenia Instytutu, mianuje natychmiast ministrem spraw wewnętrznych, dopóki badacz od mechaniki państwa nie wróci znów do mechaniki nieba. Oto Roederer, urzędnik i dziennikarz, jeden z najniezależniejszych wśród wszystkich, którzy zetknęli się z Napoleonem w przeciągu lat 20, człowiek, który przechował najcenniejsze rozmowy. Oto Trouchet, jeden z najznakomitszych prawników epoki, a wszyscy są obywatelami i przemawiają tak do siebie, rojaliści i jakobini, panuje tu równość, bo panuje tu tylko rozum.

Gdy obywatelowi-konsulowi przedstawiają urzędowe sprawozdanie z posiedzenia, on oświadcza: „Ważną jest rzeczą zdawanie sprawy z sądów powag prawnych, to sprawia wrażenie; ale co myślimy my, żołnierze i groszorozy, jest obojętne. Często w gorączce mówiłem rzeczy, których niesłuszność poznawałem zaraz potem i nie chcę wydawać się lepszy, niż jestem.“ Gdy spostrzeża, że ktoś mówi po jego myśli, powiada: „Panowie nie jesteście tu poto, by być mojego zdania, lecz aby wyjawić swoje. Potem porównam je z mojem i zobaczę, które jest lepsze,“

RZEKA

Te posiedzenia, które często zaczynają się dopiero o dziewiątej wieczorem, gdyż konsul aż do tej pory załatwiać musi najpilniejsze sprawy dnia, przeciąga on niekiedy aż do piątej rano. Jeśli przytem jakiś radca stanu pada z nóg, jeśli zaśnie nawet minister wojny, wtedy on potrzasa nimi i woła do nich: „Czuwajmy, obywatele! Dopiero druga. Musimy zarobić na nasze płace.“ Coprawda, on, pierwszy przy tym stole, jest też jednym z najmłodszych, liczy dopiero lat 30. Ale w trzech wyprawach wojennych nauczył się dbać o setki tysięcy. Czy zarząd armją, która od Alp przez morze ciągnęła aż na pustynię, nie jest najlepszą szkołą rządzenia państwem? I tam trzeba było troszczyć się o chleb i pieniądze, o prawo, karę i nagrodę, o spokój, posłuch i ład.

Jeszcze w noc zamachu powołał dwie komisje dla przygotowania księgi praw: to był pierwszy czyn jego dyktatury! Chaos wynikał z braku praw. Aż do wybuchu rewolucji nie było we Francji jednolitego prawa, potem je obiecano, ale jeszcze teraz, po jedenastu latach, nie istniało. Pierwszego lata wyznacza trzech znakomitych prawników, w cztery miesiące potem gotów jest projekt kodeksu cywilnego, zwanego później Kodeksem Napoleońskim, teraz idzie pod obrady w radzie państwa. W półtora roku później izba głasuje już nad prawami.

Wszystko w tej księdze praw, która po stu latach z górą jeszcze obowiązuje we Francji, a aż do r. 1900 obowiązywała we wszystkich zdobytych krajach, aż po Niemcy, i której zasady dziś jeszcze rządzą niemal wszystkimi mieszczańskimi prawami Europy: wszystko, co w tym kodeksie działa w sposób nowy i moralnie rozstrzygający, jest prawem rewolucyjnym. Ta księga, nad którą dyktator przez długie miesiące radził szczegółowo i w wielu punktach spornych kształtował je w sposób rozstrzygający, uwolniła silne zasady rozumu od płynnych zarysów rewolucji, kazała doświadczonym głowom przedestylować je beznamiętnie i tak oczyszczone powstało prawo ludzkie. Tu niema już dziedzicznego szlachectwa, tu wszystkie dzieci jednako uprawnione są do dziedziczenia, wszyscy rodzice zobowiązani do utrzymywania dzieci, żydzi są zrównani, ślub cywilny istnieje dla wszystkich i jest rozwiązalny.

NAPOLEON

Nad tym punktem, jak nad wszystkimi zagadnieniami prawa rodzinnego, jego korsykański zmysł rodzinny, znający człowieka, zastanawiał się najdłużej: „Wiemy, że cudzołóstwo nie jest zjawiskiem rządkiem, lecz jest zjawiskiem częstym, jest sprawą kanapy... Te kobiety, które dla kosztowności lub wierszy, dla Apollina i dziewięciu Muz, łamią małżeństwo, potrzebują hamulca.“

Jego zmysł ładu jest stanowczo za małżeństwem; osobiście przeprowadza on nawet to, że kobiety powinny mężom swym towarzyszyć na zesłanie, „bo jakże można tego zabronić kobiecie, która przekonana jest o niewinności męża! Lub czyż ma ona z powodu swego przekonania stracić swe prawo małżeńskie, swój tytuł małżeński i stać się jego konkubina? Iluż mężczyzn dopuściło się winy tylko przez swe żony i czyż należy tym, które spowodowały ich nieszczęście, zabronić podzielenia go!“ Chwali też zwyczaj rzymski uroczystego oświadczenia przy weselu, że żona z pod opieki ojca przechodzi pod opiekę męża: „Byłoby to bardzo dobre dla Paryża, gdzie kobieta robi, co jej się podoba; nie wyrze to wrażenia na wszystkie, ale jednak na niektóre.“

Przeto jest wprawdzie za rozwodem, ale i za utrudnieniem rozwodu: „Cóż stanie się z najściślejszym węzłem, który nawiązuje natura, jeśli nagle ludzie staną się sobie obcy? Jeśli nie utrudnimy rozwodu, to jakaś młódka dla mody, dla wygody, dla mieszkania, weźmie sobie mężczyznę, który jej wcale nie odpowiada. Prawo musi przestrzegać przed tem... Istnieją właściwie tylko trzy zdecydowane powody do rozwodu: zamach na życie, cudzołóstwo i impotencja.“

Wszystko to są plastyczne myśli doświadczonego znawcy duszy ludzkiej, któremu jednak matematyczne jego zdolności dają jednocześnie możność podsumowywania faktów pod pojęcia: więc jest to mózg stworzony do obmyślenia praw, jako że teoria i praktyka, dzielność i sceptycyzm utrzymują go w równowadze. Myśli jego o dawnej niewierności i obecnej wierności Józefiny, jej żywe, niekiedy trwożne zainteresowanie w tych właśnie paragrafach — tak twierdzą uczestnicy — uwydatniają walkę toczącą się w duszy tego prawodawcy; bo kiedy on już rozmyśla, czy rozwód z bezdziejną nie stanie się kiedyś kwestją państwową, niepokoi ją

RZEKA

ta sama myśl i zwraca jej wpływ w kierunku utwierdzenia małżeństwa w prawie, które on sam co do siebie starał się rozluźnić.

Taksamo też uczucie osobiste skłania go do omijania skandalu i ratowania honoru. Odrzuca on wyrok sądowy w sprawach małżeńskich, zastępuje go wzajemnem porozumieniem, właśnie dla zachowania zasłony: „Jest to znak, że rozwód jest potrzebny. Sąd ogłosi go nie przeto, że istnieje porozumienie wzajemne, lecz jeśli ono istnieje.“ Raczej ukryć pod tą formułą złe traktowanie, występki, cudzołóstwo; rodzina — dodaje zwolennik rodziny — powinna w radzie swej postanowić rozwód, sędzia powinien go tylko poświadczyć.

Dlatego też wprowadza nowy półrozwód, rozdział od stołu i łoża, zawsze jednak po tajemnej zgodzie, gdyż ludzie tylko wtedy, gdy milczeli publicznie, mogą się znów kiedyś pojednać, — a właśnie to, utrzymanie życia rodzinnego, jest jego celem, do którego zmierza jako twórca ładu i anty-rewolucjonista w znaczeniu państwowem. To żądanie społeczne odczuwa on tak żywo, iż twierdzi, że gdyby nie czynił tego rozwód, to prawo musiałoby karać cudzołóstwo kobiet. Wobec takiej powagi idei zasadniczej podwyższa też wiek małżeństwa, który rewolucja określiła jako rok 13-ty i 15-ty, i żąda lat 15 i 21.

Dzieciom przyrzeczone jest wszystko, co później stulecie powoli uzupełni. Pod opieką ojcowską męczyzny, z którego małżeństwa się urodziły, są już zabezpieczone, zanim ujrzały światło dzienne. Coprawda „może ojciec nie uznać dziecka, jeśli był już przedtem przez miesięcy 15 — tę cyfrę wymienia — poza krajem i walczył pod Marengo“, ale jako człowiek zacnego rodu, jako światowiec, kończy: „Cześć prawdzie, ale poco poświęcać cześć małżonki, skoro to nikomu nie przynosi korzyści! Jeśli więc małżonek żywi wątpliwość co do dat, powinien mimo to milczeć: interes dziecka ma pierwszeństwo.“

Gdy proponują ograniczenie prawa pełnoletnich dzieci do utrzymania, sprzeciwia się: „Czyż wolno ma być ojcu wypędzić 15-letnią córkę? Czy wolno mu, wobec 60.000 franków rocznej renty, powiedzieć swemu synowi: Jesteś dość duży, idź i pracuj?... Ktoby ograniczył ten obowiązek, napro-

RZEKA

wadziłyby dzieci na myśl sprzątnięcia ojca.“ Pragną dalej, wedle tempa rewolucyjnego, umożliwić adoptację przez sam akt notarialny. On sprzeciwia się temu:

„Nie jest to zwykły akt prawny. Tylko przez wyobraźnię dają ludzie sobą kierować, inaczej byłiby zwierzętami. To jest właśnie błąd nowszego prawodawstwa, że nie przemawia ono do wyobraźni ludzi. Żołnierz nie pozwala się zabić za pięć groszy dziennie lub za marny order, — tylko ten, kto chwyci go za serce, może go zapalić! Notariusz nie osiągnie za 12 franków tego skutku; na to potrzeba nam aktu prawodawczego. Co to jest adoptacja? Naśladowanie natury, rodzaj sakramentu: dziecko z krwi i kości pewnego człowieka przechodzi wolą społeczeństwa w ciało i krew drugiego. Czyż może istnieć wznioślejszy akt? Wszczepia on w dwie istoty naturalną miłość, której nie znały. Skąd więc musi zejść ten akt? Jak piorun, z góry!“

„Na posiedzeniach tych, powiada Roederer, pierwszy konsul wykazywał uwagę i ścisłą analizę, które mógł przez dziesięć godzin poświęcać jednemu przedmiotowi lub różnym przedmiotom, bez wpływu wspomnienia lub uprzedzenia na omawianą sprawę.“

Oto siedzi pełen szacunku dla logiki i siły myślowej 80-letniego Troughé'go, ten zaś podziwia analizę i poczucie słuszności 30-letniego Konsula, który przy każdym zarządzeniu zadaje dwa pytania: „Czy to sprawiedliwe? Czy to pożyteczne?“ Niezmordowanie zapytuje o dawniejsze rozwiązania, zwłaszcza, co Rzymianie i Fryderyk Wielki za prawo uznali.

Przy stole tym nietylko toczą się obrady nad 37 prawami, konsul zadaje też pytania z różnych dziedzin: „Skąd weźmiemy chleb? Skąd weźmiemy nowe pieniądze? Jak stworzymy nowe bezpieczeństwo. Żądając od wszystkich ministrów dokładnych sprawozdań, przeciąża ich zdolność roboczą, lecz udaje, jakby nie widział ich przemęczenia, i gdy wracają do domu, zastają jeszcze jego odręczne listy, żądające odpowiedzi do jutra rana. „Wszędzie stoi na czele, — pisze jeden ze współpracowników, — rządzi, zawiaduje, układa się, swą dobrze uporządkowaną głową pracuje 18 godzin dziennie. W ciągu trzech lat rządził więcej, niż królowie przez



RZEKA

lat sto.“ Z każdym rozmawiał w jego fachowym języku, więc nikt nie mógł — jak twierdzą — wymawiać się tem, że go nie zrozumiał: techniczna dokładność jego pytań zdumiewa nawet najtwardszego rojalistę.

Nigdy nie zawadzająca pamięć, oto artylerja, którą broni forticy swego mózgu. Po urzędowej podróży inspekcyjnej zdaje Ségur sprawę o wszystkich fortyfikacjach na wybrzeżu północnem. „Czytałem pańskie sprawozdania o sytuacji, mówi pierwszy konsul, są słuszne, ale z czterech armat w Ostendzie zapomniał pan o dwóch na owej szosie, za miastem.“ Ségur wyraża swe zdziwienie, sprawdziwszy to, gdyż chodzi o tysiące wszędzie rozproszonych dział, z których o dwóch zapomniał.

I olbrzymia maszyna, która przez lat dziesięć stała lub działała chwilami, wchodzi powoli w prawidłowy ruch. W sprawozdaniach z lat ostatnich wszystkie prowincje skarżyły się na brak bezpieczeństwa, czystości, porządku, luidor, wart niegdyś 24 franki, kosztował przeszło 8000, frank dyrektorjatu spadł natychmiast także, nowi bogacze wykupili dobra państwowe, klasztory, majątki rycerskie, nikt nie płacił podatków. Cóż robi nowy dyktator?

Już w dwa tygodnie po zamachu założył w każdej prowincji urzędy dla wymiaru podatków, gdyż „bezpieczeństwo i własność, mówił, istnieją tylko w takim kraju, w którym kwota podatkowa nie zmienia się co roku. W dwa miesiące później powstał Bank Francuski, w następnym roku nowy zarząd ceł, katastru, lasów; resztę dóbr państwowych, zamiast przemarnować je, jak jego poprzednicy, obraca na wykupienie renty państwowej, renta podnosi się z 7 na 17, on zaczyna spłacać długi i odsetki, wznawia izby handlowe, reguluje giełdę, tępi spekulację żyjącą z bezwartościowego pieniądza, przełamuje oszustwo dostawców armji, przedsiębiorców wojennych i oficerów, ratuje tą sanacją przemysł, który spadł na $\frac{1}{4}$ do $\frac{1}{2}$ swej możności.

Cóż jest tym czarodziejskim lekiem?

Nieugięta, nieprzejednana energia na czele interesów, możliwie jak najwięcej charakterów tego pokroju, pełnych dzielności, pilności i odwagi na czele ministerstw, prowincyj, prefektur, żadnych odziedziczonych lub wyłudzonych syne-

NAPOLEON

kur, tylko tęgie siły, bez względu na urodzenie czy partję. Wszystko aż wdół do burmistrza jest przez górę mianowane, przez górę płacone, „hierarchja, sami pierwsi konsulowie na małą skałę,“ jak on sam powiada.

Polityczne przeciwnictwo nie istnieje. „Nie może nastąpić żadna reakcja, — przepowiada — gdyż nie posługiwałem się ani kredytem, ani ramieniem żadnej partji i przeto nikomu nie jestem winien wdzięczności... Tych głów, które niedawno były wykonawcami zbrodni, używam dziś do wznoszenia nowej społecznej budowli. Są wśród nich dobrzy robotnicy, bieda tylko z tem, że wszyscy chcą być budowniczymi. To czysto po francusku: każdy uważa się za zdolnego do rządzenia krajem!“ Starając się zadowolić wszystkie partje, oddaje dwa najponętniejsze portfele dwu politycznie wrogim sobie, lecz w równej mierze uzdolnionym łajdakom, których charaktery odsłonią się później bogato i o których wtedy oczywiście będzie mógł powiedzieć: „Jakiż rewolucjonista nie ufałby porządkowi, gdzie Jakobin Fouché jest ministrem policji? I jakiż szlachcic nie mógłby żyć pod Talleyrandem, jako ministrem wojny? Jeden stoi po mej prawicy, drugi po mej lewicy. Otwieram szeroką ulicę, gdzie zmieszczą się wszyscy.“

Wszyscy prefekci i generałowie otrzymują nakaz: żadnych już klubów, żadnych partyj. „Proszę tłumaczyć gwardjom narodowym i obywatelom możliwie często, że choć kilku ambitników czuje jeszcze potrzebę nienawiści, to wodze państwa znajdują się w rękach silnych, przyzwyczajonych do pokonywania przeszkód.“ A wielki manifest, który wydaje w niewiele tygodni po zamachu, by zalecić ludowi nową konstytucję, kończy się prostymi i dumnymi słowy: „Rewolucja wróciła do zasad, od których zaczęła. Skończyła się“.

II.

Nie skończyła się wojna.

„Wróciwszy po 18-miesięcznej nieobecności do Europy, zastaję wojnę rozgorzałą między Francją i Waszą Cesarską Mością. Lud francuski powołuje mnie do zajęcia pierwszego

RZEKA

miejsca w państwie.“ Tak to, zaraz po zamachu, dumnie jak monarcha, osobiście, jakby już przed podróżą był pierwszym mężem w państwie, i z całą wrodzoną godnością, której w niemałej mierze zawdzięcza swe szczęście, zaklina cesarza niemieckiego, zanim znów przeciw niemu wystąpi. To jest jego technika, w ten sposób zrzuca winę na przeciwnika. Ten jednak nie rusza się. Plan Bonapartego jest dawno pożyty, trzeba mu go tylko wykonać.

Przedewszystkiem otacza się gwardją, w której każdy mężczyzna musi mieć za sobą cztery wyprawy: ni mniej, ani też więcej, jak wódz. Potem, wysławszy Moreau nad Ren, przygotowuje samemu sobie przygodę w Italji. Gdyby przybył wzdłuż wybrzeża, jak przed czterema laty, oczekiwano by go tym razem. Trzeba wymyślić coś nowego! Na oczach szpiegów austriackich zbiera z najmłodszych roczników kilka bardzo nędznych korpusów, musztruje je i znosi z milczącym uśmiechem szyderstwo gazet wiedeńskich. Tymczasem przysposabia 32 000 ludzi, nie więcej, ale najlepszych, do śmiałej wyprawy, o której nikt nie ma pojęcia, jak wówczas o egipskiej. Czyż Hannibal nie przeszedł przez Alpy? Czyż nie rozkazał górcom ustąpić? Dziś trzeba wlec armaty! Ogołoście z lasów góry, wydrążcie drzewa, by można było ułożyć w nich rury!

I tak, wiosną po zamachu, wspina się armja na Wielkiego Sw. Bernarda, poraz pierwszy po dwóch tysiącoleciach. Starzy mnichowie w schronisku nie mogą pojąć tego cudu. Pasterz, który wiedzie muła obcego wodza i zwierza mu swe życzenia i troski, otrzymuje wnet potem z nieznaney ręki zagrodę, jak w bajce. Mistyczność tej wyprawy przejmuje nawet żołnierzy, współzawodniczą z zapałem we wleczeniu armat. Idą za swym dawnym dowódcą, idą do tej samej Lombardji, która wtedy otwarła się przed nimi, jak Ziemia Obiecana, tajemnica, szybkość wzmagają siłę sugestywną tej wyprawy. Wróg nie przeczuwa nic do tego stopnia, że wódz nieprzyjacielski pisze przyjaciółce w Padwie, że nie zachodzi żadna potrzeba wyjazdu. W 12 godzin później Bonaparte wkracza tam.

Ale wielki cios, zda się, nie udał się mu. Gdy w połowie czerwca na równinie wydaje Austriakowi rozstrzygającą bitwę, odpierają go przeważające wroga siły, Desaix nie przy-

NAPOLEON

bywa z przyrzeczoną rezerwą, już zdaje się, że całe wojsko ucieka, wódz nerwowo na skraju drogi smaga kurzawę, gdy pobita armja przeciąga mimo: „Stać! Czekać! Rezerwy nadchodzą! Jeszcze godzina!“ Wszystko ucieka mimo. Czy tak ucieka szczęście? Nareszcie zjawia się Desaix, wpada na stropionego zwycięzcę, dragoni idą do ataku, wróg ustępuje: bitwę pod Marengo, którą Bonaparte przegrał o piątą, wygrał o siódmej Desaix, ale pada i nie ogląda już zwycięstwa, które odniósł.

Z raną w duszy zostaje Bonaparte na polu bitwy. Najlepszy z jego generałów nie żyje, co gorsza: Desaix był zwycięzcą, Bonaparte był w gruncie rzeczy pobity. Może pociesza go to, że on sam ułożył wyprawę i plan bitwy, który tamtego przyzywał o oznaczonej godzinie, może przychodzi mu na myśl, że tę wielką bitwę, która rozpoczyna i jednocześnie kończy wyprawę, wygrał nie inaczej, jak 18-go brumaire'a: przegrał, a wygrał kto inny!

A jednak nie można ani w tym, ani w tamtym wypadku twierdzić tego stanowczo. Gdyż o milę od miejscowości, w której tego wieczora dyktuje Bourienne'owi sprawozdanie z bitwy, leży na mapie punkt, w którym przed czterema miesiącami zatknął igłę, ze słowami wygłoszonymi do tegoż zafanego: „Tu zamysłam ich pobić“.

Nie czas na porównania. Do ostatniej godziny, dopóki miał Alpy za plecyma, mąż stanu, tkwiący w wodzu, kazał układać się z Wiedniem, „bo wojnę i układy prowadzić trzeba jednocześnie.“ Teraz pisze, jeszcze na polu bitwy, do cesarza Franciszka list drugi:

„Chytrłość Angliji zniweczyła skutek, jaki mój zarówno prosty, jak szczerzy, krok musiał wyrzucić na sercu Waszej Cesarskiej Mości. Wynikła wojna. Tysiące Francuzów i Austrjaków przestało istnieć... Możliwość dalszego ciągu takich okropności porusza me serce tak bardzo, że postanowiłem raz jeszcze napisać wprost do Waszej Cesarskiej Mości... Na polu bitwy pod Marengo, pośród tych wszystkich cierpień, otoczony 15.000 trupów zaklinam W. C. M., by dał posłuch uczuciu ludzkości. Mnie, który jestem bliższy widowni wojny, niż W. C. M. przystoi ostrzec Go stanowczo. Serce pańskie nie może w dali być tak bardzo przejęte, jak moje tu na miejscu.

RZEKA

Dość sławy przypadło w udziale pańskiej broni. Władza pan licznymi państwami... Pozwól W. C. M. obdarzyć nasze pokolenie wczasem i pokojem. Jeśli przyszłe pokolenia będą tak szalone, aby się bić, to po kilku latach wojny zmądrzeją i będą żyły w pokoju.“

Ten długi list, z którego przytoczono tu tylko kilka zdań głównych, genialny, jak plan bitwy, bogaty w skutki, jak zwycięstwo, ukazuje poraz pierwszy w pełnym świetle jego pragnienie pokoju. Napisze on jeszcze pół tuzina podobnych listów po rozstrzygających zwycięstwach. Czyż tedy Bonaparte jest pacyfistą?

Wcale nie, ale nie jest rębajłą, nerwy jego były zawsze wrażliwe na obraz pola bitwy, głowa jego była sceptyczna wobec samych zwycięstw i choć rzeczą tak zwykłą i miłą jest mu życie obozowe, w którym zresztą nie wzrósł, choć tak drogą szachowa gra wodza: to jednak przeważa w nim mąż stanu. Odkąd się w nim obudził, wtedy, gdy na tej samej równinie, poraz pierwszy i na równi z królami i państwami, ćwiczył się w innem szachowaniu, w grze układów, upodobał sobie grę ducha. Nigdy nie wyrzeknie się miecza, nigdy nie da stępić się jego ostrzu. Ale znany jest i uznany, jako bohater Europy w tym względzie: że posiada jakby złoty puhar i nie chce go co roku narażać.

Wie także, że wprawdzie Francja potrzebuje sławy, ale teraz potrzebuje spokoju. Przedewszystkiem potrzebuje jego, ale on ma za plecyma wrogów. Teraz, jako dyktator, nie może jak wówczas, być latami nieobecny. Z tak różnorodnych względów pisze do cesarza ów list, który, jako pochodzący z pod pióra zwycięzcy na placu boju, nie ma chyba sobie równego. Potem śpieszy do Medjolanu.

Co mówi Paryż?

Czy jest wreszcie zadowolony? Czyż nie jest podobny do Józefiny, której można rzucić do stóp wszystkie skarby świata, ona jednak wszystko przyjmuje wyniośle i zawsze żąda więcej? Paryż nie zachwyca się zgoła swym nowym panem. „Przez lat jedenaście, pisze Roederer w swym dzienniku, budził się z myślą: kiedyż wreszcie pozbędziemy się tyranów? Teraz pyta się każdego rana: Wszystko dzieje się dobrze, ale cóż stanie się z tą pracą, którą zaczynamy, z tym kapitałem,

NAPOLEON

z tym domem, z temi drzewami, z tem wszystkim, jeśli człowiek ten zginie?... Był powołany nie jako generał, lecz jako mąż stanu. Zwycięstwa jego ściągnęły na siebie wszystkie spojrzenia, ale dopiero jego talenty państwowe obudziły wszystkie nadzieje. Tak, z niespokojną życzliwością patrzył nań Paryż. Jeden jedyny przeczuwa przyszłość i śle pismo na pole walki:

„Generale, wracam z Tuileryj, nie będę próbował odmalować panu zapału Francuzów i podziwu cudzoziemców... Czy potomność uwierzy w cuda tej wyprawy? Jakież wróżby poprzedzają przyjazd pański! Nie było nigdy cesarstw, któreby nie były zbudowane na cudach. A tutaj cud jest prawdą.“

Napoleon uśmiecha się i myśli: — Ten Talleyrand jest rzeczywiście czemś więcej, niż pochlebca, jest wróżbiarzem! Ale dlaczego nazywa rzeczy, o których myślę dopiero, już imionami? Czyż gra rolę Rzymianina i chce skusić Cezara? Przecie tuż obok leży inny list paryski.

Policyjne sprawozdanie Fouché'go: Talleyrand zaprosił niedawno kilku zaufanych, by naradzić się, co będzie, jeśli konsulowi coś się przydarzy lub jeśli będzie pobity. Właśnie w ciągu tej kolacji spadła wiadomość o Marengo! — A to się musiał przestraszyć! — myśli Bonaparte. Resztki sumienia drgnęły. Oto są przyjaciele, oto zaufani! W ich tak zwanej trosce tli tajemne pragnienie, by pozbyć się pana!

Czy uśmiech szyderyczy, czy zmarszczka smutku pojawia się na tę wieść na jego ustach? Ostatni czas wracać! Ale wtedy na scenie Scali, którą dnia tego odwiedził, ukazuje się piękna Grassini, której wówczas opierał się tak statecznie. Dziś oczarowała jego uszy, jego oczy i urażona tylko, że nie powołano jej wcześniej, dostaje się wspaniała Włoszka zdobywcy Włoch. Nie omieszka też zabrać jej do Opery paryskiej, czy jako śpiewaczkę, czy jako kochankę, trudno dociec.

Ponieważ wróg pobity jest i w Niemczech, dojdzie w Lunceville do świetnego pokoju, uznającego całą granicę Renu i przywrócenie Republiki Cisalpińskiej. Czyż można w kilkutygodniowej wyprawie osiągnąć więcej? Koledzy i inni fałszywi przyjaciele gotują się, by przyjąć go, jako bohatera, zapytują go z góry w sprawie tej uroczystości. „Przybędę do Paryża niespodzianie, odpowiada ze złośliwą dwuznacznością, i nie życzę sobie ani łuków triumfalnych, ani żadnej innej

RZEKA

ceremonji. Mam o sobie zbyt dobre pojęcie, bym miał cenić taki szych. Niema innego triumfu poza publicznom zadośćuczynieniem“.

Nieco później pisze jeszcze skromniej, jeszcze dumniej: „Przyjmuję gotowość wystawienia mi pomnika, niech oznaczają plac. Ale pozostawmy zbudowanie go przyszłemu stuleciu, jeśli ono potwierdzi mniemanie, które panowie co do mnie żywicie“. Już dzisiaj przeczuwa całe obrazoburstwo, gdy po niespełna dwudziestu latach ci dzisiejsi wielbiciele będą orły jego strącali w proch!

Wróciwszy, dyktator wszystkimi siłami stara się dokoła o pokój. Prześciga samego siebie, bo tak samo zresztą, jak szybkimi marszami i potężnymi ciosami wymuszał kraje, wymusza teraz mądrymi układami przyjaźń ze starymi wrogami: w dwa lata po ujęciu przezeń cugli, ma Francja pokój z Austrią, Prusami, Bawarją, Rosją, Neapolem, Hiszpanją, Portugalją, — i wreszcie także z Anglią. Gdyż wkrótce, po śmierci nieubłaganego Pitta, korzysta ze sposobności mianowania rozumniejszego Foxa i zaprasza go do Paryża; Fox wraca do domu, oczarowany sławnym Angłożercą.

Dziesięciu prawowitych, więc hołdujących prawowitości władzy, książąt uznaje republikę, którą zwalczali lat dziesięć. Francja, przed dwoma laty budowła zagrożona wstrząsami wewnętrznymi i ciosami z zewnątrz, jest dziś pierwszą potęgą na kontynencie.

Tak, teraz jako pierwszy konsul — a nie jako generał i nie jako cesarz — doprowadza Bonaparte rewolucję do zwycięstwa: pośrodku Europy, którą, poza Szwajcarią, rządzą całkowicie królowie i książęta, stwarza on nie tylko pokój nowych idei z dawnymi potęgami, lecz bez sprzeciwu zmusza swe państwa pograniczne, Holandję i Włochy Górne, do przyjęcia konsularnej konstytucji i nie przeszkadzają mu już ani Austrija ani Anglija, gdy jednym ruchem ręki przyłącza jeszcze Piemont, Genuę, Lukkę i Elbę. Jednocześnie, przy wielkim frymarku o odszkodowanie dla książąt z lewej strony Renu, najstarsze domy książęce Niemiec cisną się do niego, który ograbił ich z ich krajów i ucza go gardzić całkowicie urodzeniem i dziedzictwem, szlachectwem i koronami.

Istnieje tylko jedna szczyba, którą on zapełni.

NAPOLEON

Na początku rewolucji Chrystus zastąpiony został rozumem, ba, niechrześcijański ten pomysł zyskał największą popularność. Sam Bonaparte odrzucił go odrazu, już przed czterema laty w Italji uczynił dla papieża wszystko, czego Paryż chciał mu odmówić, zajmował zawsze rozumne i rycerskie stanowisko w stosunku do duchowieństwa i wiedział dlaczego. Teraz spieszy pogodzić swe państwo po dziesięcioletniej nieprzyjaźni z Kościołem. Nie przeto, że jest wierzącym: „U Turków byłem Mahometaninem, teraz będę katolikiem“. Czuje on, że ta najstarsza z potęg nie da się pokonać ani mieczem ani umysłem, trzeba się z nią poprostu godzić, by z niej korzystać. „Katolicyzm utrzymał przy mnie papieża, — powiada później, — i wobec mego wpływu i mej władzy w Italji nie tracę nadziei, że później czy wcześniej pokieruję nim wedle swej woli. I jakież wtedy dopiero będę miał wpływ! Co za środek wobec Europy!“

By rozpocząć to najryzykowniejsze w Paryżu przedsięwzięcie, posuwa się wobec biskupów tak daleko, że zniża się do rzędu filozofów,—najgorszej rzeczy, jaką zna: „I ja jestem filozofem i wiem, że człowiek w żadnym państwie nie może uchodzić za cnotliwego i uczciwego, jeśli nie wie, skąd przyszedł i dokąd idzie. Do tego nie może doprowadzić nas prosty rozum, bez religji stąpa się po omacku w ciemności. Religja katolicka daje człowiekowi pewne uświadomienie co do jego początku i końca“. Ze zdumieniem słucha Rzym głosu tej mowy; ale któryż mądry nie znajdzie w Watykanie mędrszego od siebie? Bo gdy kardynał Consalvi przybywa do Parysa dla układów, a konsul podczas pierwszej publicznej audjencji pragnie nastraszyć go surowością, mądry ten książę Kościoła z uśmiechem stawi mu czoło. Co za widowisko dla Talleyranda, który stoi przytem i milczy! Atoli tym razem umowa dochodzi do skutku, celibat, wybór biskupów przez Rzym i stare prawa kościelne są wprowadzone na nowo, pozostaje tylko płacenie pensyj przez państwo i tem samym jego rozstrzygający wpływ.

Wielka uroczystość w Notre-Dame ma przypieczętować sprawę, konsul, który zamierzał przybyć z dostojnikami tylko na Tedeum, zgodził się i na wysłuchanie mszy, tylko pod tym warunkiem, że nie będzie musiał całować sakramentu i „robić

RZEKA

innych szopek, które człowieka ośmieszają.“ Kiedy ubiera się na tę uroczystość, pyta stojącego obok brata: „Idziemy dziś na mszę. Co powie nato Paryż?“

— Ludzie będą patrzyli na widowisko i wygwizdzą je, jeśli się im nie spodoba.

„W takim razie każę gwardji wyrzucić ich z kościoła!“

— A jeśli grenadjerzy zaczną też gwizdać?

„Tego nie robią. Moi wężale uszanują Notre-Dame tak samo, jak moszeje w Kairze. Będą patrzali na mnie i gdy zobaczą, że ich generał zachowuje się poważnie i przyzwicie, będą robić to samo i powiedzą: taki jest dzisiaj przepis!“

III.

Grunt drzy wciąż jeszcze. Za osiem lat mógłby jakiś rywal wyprzeć wybranego na lat dziesięć konsula: zależy on od wyborów, od łaski ludu, której szuka i którą pogardza. I cóżto za stanowisko wobec obcych dworów? Jeśli jest się tylko prezydentem, jak tam w Ameryce, to nie ma się pełnej powagi. I daje znak senatowi.

Senat stale powolny, gdyż żyje z niego, stawia wniosek, by już teraz zapewnić pierwszemu konsulowi dziesięć lat następnych, po upływie pierwszych. Ten doznaje zawodu, posuwa tę myśl dalej, uzyskuje formułę „dożywotnio“, jednocześnie jednak odwołuje się mądrze, jak Cezar, do „ludu“, od którego jedynie pochodzić musi wszelka władza. W głosowaniu pada cztery miliony głosów na niego, przeciwko kilku tuzinom śmiałych oponentów. Prawa jego są rozszerzone: zawiera teraz sam układy z obcemi państwami, mianuje sam senatorów, którzy znów mogą rozwiązywać izby i osiąga prawo wyznaczenia swego następcy. Gdy wobec takiej władzy porównywa się do innych głów państwowych Europy, z których wszystkie noszą korony, pociesza się naiwną sofistyką: „Odtąd jestem równy innym suwerenom, gdyż oni są nimi też tylko dożywotnio!“

Nie wszystkie miliony, które za nim głosowały, są za nim. Nawet w Paryżu okazały wjazd do Luksemburgu budzi tak

NAPOLEON

mały poklask, że konsul potem wpadł na ministra policji: „Czemu pan nie przygotował odpowiednio umysłów?”

Fouché: — Jesteśm wciãz jeszcze starymi Galiami, którzy, jak powiedziano, nie umieli znosić ani wolności, ani ucisku.

„Co to ma znaczyć!”

— Źe Paryżanie, obywatelu-konsulu, w ostatnich krokach pańskich widzą utratę wszelkiej wolności i dążenie do władzy absolutnej.

„Ani sześć tygodni nie rządziłbym spokojnie, gdybym był tylko cieniem a nie panem!”

— Niech pan będzie ludzki, silny i sprawiedliwy, odpowiada lis, który nie był nigdy niczem z trojga, a szybko zdo- będzie pan wszystko zpowrotem.

„Opinia publiczna jest kapryśna. Poprawię ją“. I odwraca się doń po tem kategorycznym zdaniu plecyma.

Taka dwie minuty trwająca rozmowa wystarczyła Bonapartemu do powzięcia decyzji. Zwalnia Fouché'go, nie dlatego, że boi się zbiegłego księdza, którym pogardza, lecz rozwiązuje całe ministerstwo policji i podporządkowuje je ministerstwu sprawiedliwości, „by dowieść Europie mej pokojowej polityki i prawdziwej miłości Francuzów dla mnie.“ Do takich powiedzeń trzeba się przyzwyczaić, to płaszczyk jego polityki. Samego Fouché'go, aby go usunąć, mianuje senatorem i gdy ten z funduszu rezerwowego wylicza mu się z 2¹/₂ miliona, Bonaparte okazuje zdziwienie i daje mu połowę „w dowód osobistej przychylności.“ W przedpokoju Fouché uśmiecha się i dodaje w głowic do sumy tej to, z czego się nie wyliczył.

Tak postępuje konsul z niebezpiecznym znawcą. Opinię publiczną umie głaskać. Ustawiczna troska, by nie musieć być wdzięcznym żadnej partji, ani żadnemu człowiekowi, skłoniła go przy mianowaniu do zapytania ludu w sposób formalny, jak po zamachu: w tem właśnie widzi rękojmię, że rewolucja skończyła się. „Zwrócenie się do ludu jest podwójnie korzystne, bo nietylko potwierdza przedłużenie mej władzy, ale też wyjaśnia jej źródło: inaczej byłoby ono pozostało dwuznaczne.“ W oświadczeniu tem tkwią zarodki niebezpiecznego jego stanowiska pomiędzy rewolucją a prawowitością: problemat ten niepokoić go będzie do końca. Bonaparte nigdy nie opanuje go zupełnie.

RZEKA

Jeśli, jak wódz rzymski, żąda dla siebie samego władzy w państwie, to nie czyni tego, jak tamten przeto, że jest dzięki broni najpotężniejszy, lecz że jest najdzielniejszy. Dlatego nie bierze władzy od armji, która go kocha, lecz od ludu, któremu jest obcy: chce być tyranem, w wielkiem znaczeniu antyku lub króla pruskiego, ale chce nim być na podstawie demokratycznej, wedle wolnego postanowienia ludu, który ma przenieść na niego swą władzę. Wprawdzie wadzi on słabość takiej fikcji, ale duch epoki narzuca mu ją. Zasadę przewrotu, by władzę oddawać talentowi, nie dziedzi-cowa, może jednak Bonaparte bez obawy cytować na swoją korzyść, gdyż któż w państwie ma więcej talentu, niż on! Ale zamiast zadowolić się źródłem tej władzy — od nominacji, poprzez zwycięstwa i umowy pokojowe, aż do faktycznego ujęcia cugli —, maćci to wspaniałe źródło przez głosowanie ludowe pod przymusem moralnym i mniema nawet w dodatku, że je wyjaśnia! Jeśli Bonaparte ratuje rewolucję, toć przecie zabija republikę.

Myśli te nie wypływają z zimnej polityki, lecz z jego antycznego nastroju duszy. Jest to ten sam nastrój, który go ciągnął na wschód, ten sam, który podczas zamachu stanu wprawia go w pomieszanie w obliczu Izby. Należysz do mężów Plutarcha, rzekł pierwszy człowiek, który poznał się na młodzieńcu. Demokratycznego w znaczeniu ludowładztwa nie ma nic w Bonapartym. Brakło mu czasów takich, jak starożytność, gdy genjusz nie musiał oszańcowywać się izbami, gdy z własnej mocy rozkazywał i panował, — albo też Azji, gdzie dziś jeszcze rozkazuje jednostka. W pracowni swej w St. Cloud ustawia dwa popiersia: Scypjona i Hannibala. Poza cesarzem rzymskim lub kalifem, nic innego nie odpowiadało jego istocie. Będzie dążył do obu celów władzy.

Narazie stara władza zabiega o niego. Wnet po zamachu stanu zwrócili się doń Bourboni z naiwną otwartością; brat świętego króla, obecnie hrabia Prowansji, w przyszłości Ludwik XVIII, zwrócił się do syna rewolucji, żeby jako uczciwy znalazca za wysoką nagrodą zwrócił mu zgubioną koronę; i uczynił to trzykrotnie. Dopiero na ostatni list odpowiada konsul:

„Panie, list pański otrzymałem i dziękuję za zaszczytne głowa, które w nim znajduję. Nie powinien pan życzyć sobie

NAPOLEON

swego powrotu, gdyż kosztowałyby on 100 000 żywotów ludzkich. Niech pan poświęci swój interes spokojowi i szczęściu Francji, historia podziękuje panu za to. Na nieszczęścia rodziny pańskiej nie jestem nieczuły... Z przyjemnością przyczynię się do wygody i spokoju pańskiego zacisza. Bonaparte.“ W tej dwornej układności, osładzającej całą ironję, znajdujemy, zdawałoby się, prawowitego księcia, niezgrabnego parwenusza natomiast po stronie owego Bourbona, gdyż rzeczywiście ani takt, ani wychowanie nie pouczyły go, że przeciwnika trzeba badać ostrożnie, nie zaś kompromitować się publicznie szeregiem pozostawionych bez odpowiedzi listów.

Zgoła inaczej przyjmuje konsul rojalistów z Wandei: pragnie ich pozyskać. Nie poznali go zrazu, gdy po długim czekaniu ujrzeli wreszcie zbliżającego się ku nim złowieszczonego człowieka, w starym zielonym surducie, z zaniedbanymi włosami.

„Przejdźcie pod moją chorągiew, rząd mój będzie rządem młodości i ducha!... Biliście się walecznie za waszego księcia... Ale książęta sami nic nie uczynili dla sławy. Czemuż to nie było ich w Wandei? Tam było ich miejsce!“

— Polityka zatrzymała ich w Londynie, mówią panowie szlachta.

„Więc powinni byli skoczyć do łodzi rybackiej!“ — zawołał namiętnie i, jak opowiadają“ tamci „głosem, który zdawał się wychodzić z głębi żołądka.“ Tak, panowie hrabiowie, z głębi żołądka! W tym zwrocie tkwił kawał historii, jeszcze gorącej, jeszcze świeżo odczuwanej: tak wolno mówić tylko najśmielszemu, który w wąskiej fregacie na burzliwym Morzu Śródziemnym przedzierał się poprzez flotę nieprzyjacielską, by osiągnąć wybrzeże władzy. Czy słyszycie, jak schlebia i grozi ten młody czarodziej, który swoją część świata przewraca do góry nogami?

„Czem pan chce być? Generałem czy prefektem? Pan i pańscy ludzie, możecie zostać, czem zechcecie, jeśli przędziecie do mnie! — Niczem? Więc hańbą jest nosić surdut, który nosi Bonaparte?... Jeśli nie zawrzecie pokoju, ruszę na was z 100 000 ludzi i spalę wasze miasta!“

— Wtedy, mówi hrabia z mocą, zniszczymy pańskie kołumny w tyraljerce.

RZEKA

„Pan mi grozi!“ — woła „straszliwym głosem“; ale po rzeczowej odpowiedzi, uspokaja się znowu. Hrabiowie odchodzą zniechęceni, bez wyniku; zmieszał ich jego obcy akcent i jego „wściekła wyobraźnia, która wikła wszystko tak, że nie można nadażyć i wiele trzeba zgadywać.“

Lecz jednocześnie przyciąga Konsul wielu emigrantów i rozbraja ich, zapewniając im byt: 40 000 rodzin wraca natychmiast. Jednocześnie przyjmuje Jakobinów, choć ci „metafizyką swoją zniszczą dwadzieścia rządów.“ Wielkiego demokratycznego środka czuje się pewny, gdyż środek pewny czuje się pod nim, gdyż Paryż nie jest już podobny do obywatelskiego obozu, gdyż konsul, jak ojciec kraju, czyni wszystko, co wypłoszyć może nędzę społeczną.

Z orędzi do władz:

„Gdy nadejdzie zimno, jak w r. 1789, należy w kościołach i halach palić ogień, by ogrzewać tłumy ludzi.“ — „Zima sroży się, mięso drożeje, musimy stworzyć pracę dla Paryża. Prowadzić dalej roboty nad kanałem rzeczki Ourcq, na Quai Desaix, brukować ulice boczne“ itd. — „Właściwie trzebaby uwięzić wszystkich żebraków, ale to byłoby barbarzyństwem i niedorzecznością. Trzeba ich aresztować, by im dać pracę i chleb. Potrzeba więc więcej przytułków dla każdej prowincji.“ — „Jest wielu szewców, kapeluszników, krawców i siodlarzy bezrobotnych. Zarządzić, by dziennie robiono 500 par butów.“ Zarazem pisze do ministra wojny, by poczynić nadzwyczajne zamówienia na uprząż dla artylerji i jednocześnie do ministra spraw wewnętrznych: „Musimy stworzyć pracę, zwłaszcza w tym miesiącu przed świętami. Proszę uczynić zamówienie, by w maju i czerwcu 2000 robotników z St. Antoine robiło stołki, komody i fotele... Oczekuję jutro pańskich propozycyj, ażeby zacząć natychmiast.“

Czyta zarządzenie, że nikomu nie wolno wejść do ogrodu Tuileryj w surducie roboczym, przekreśla je i wydaje wyraïne pozwolenie. Czyta, że chcą zamknąć czytelnie: „Tego nie écierpię! Na własnej skórze doświadczyłem dobrodziejstwa istnienia ciepłego pokoju, gdzie znaleźć można gazety i ulotne pisma dnia. Nie mogę innych, będących w tem samem poloteniu, pozbawiać tej pomocy.“ W Théâtre Français każe

NAPOLEON

w niedziele wyprzedawać tanio cały parter, „by lud mógł z niego korzystać.“ Zabrania jaskiń gry w całym kraju, bo „są one ruiną rodzin, cierpieć je znaczyłoby dawać zły przykład.“

Przez nową ustawę szkolną stwarza dla całego kraju szkoły ludowe i wydziałowe, licea, fachowe szkoły wyższe, w tem 6000 miejsc wolnych, z czego trzecią część dla synów ludzi zasłużonych. Po trzech latach posiada Francja 4500 szkół ludowych, 750 szkół realnych, 45 liceów. Zaszczyca Instytut, wybierając trzecią część swych senatorów z jego środowiska. Każę ministerstwu sumarycznie przedstawić sobie „dziesięciu naszych najlepszych malarzy, dziesięciu naszych najlepszych rzeźbiarzy, kompozytorów, architektów, jakoteż nazwiska innych artystów, których talenty zasługują na poparcie“ i zamawia wielkie malowidła ścienne o motywach z jego bitew. Ba, w tej wyśrubowanej do racji stanu estetyce jest nawet zdanie: „Skarżą się, że nie mamy literatury? To wina ministra spraw wewnętrznych!“

Gdy on w ten sposób stara się zaspokoić wszystkie zawody dobrobytem, gdzież to w tym ambitnym narodzie podziewa się sława? Ponieważ nie mamy ani wojny, ani dworu, cóż począć z swemi próżnościami? Więc wymyśla order Legii honorowej.

Oczywiście pozyska się sobie zwolenników, gdyż kto wypowiedział uroczystą przysięgę zwalczania każdej próby, mającej na celu powrót porządku feudalnego, ten nie tak łatwo stanie przeciw Bonapartemu. Nie jest to również klub dla oficerów, przy zakładaniu go był Bonaparte raczej za każdym, kogo zalecała prawdziwa zasługa. Przeto Wielkim Kanclerzem mianuje badacza przyrody i kiedy głosy w Radzie Państwa zaznaczają ostrzegawczo pokrewieństwo tych spraw ze sprawami usuniętymi, może odpowiedzieć z wielką powagą:

„Wątpię, czy istniała kiedykolwiek republika bez odznaczeń; choć nazywają to dziecinną zabawką, to jednak chwyta się na to dorosłych mężczyzn. Do trybunów ludu nie mówiłbym tak, w radzie mędrców i mężów stanu muszę. Nie wierzę, że lud francuski kocha wolność i równość, charakter jego nie zmienił się w ciągu tych dziesięcioleci. Ludzie ci wciąż jeszcze są próżni i lekkomyślni, jak ich przodkowie, wrażliwi tylko na jedno uczucie, cześć. Dlatego potrzebne

RZEKA

są odznaczenia... Żołnierza przekupuje się sławą i żołdem... Dziś istnieje nowy pieniądz, innej wartości, jak pieniądz zwykły. Źródło jego jest niewyczerpane. Ten tylko pieniądz może być wynagrodzeniem czynów, które uchodzą za wyższe od wszelkiego wynagrodzenia.“

W tak ważkich słowach doszukać się można trzech źródeł, któremi są: pogarda dla ludzi, poczucie ludu i krytyka cudzoziemca, który obrał sobie nową ojczyznę.

IV.

W wigilję Bożego Narodzenia jedzie konsul do Opery, za nim w drugim powozie Józefina z córką; w ciasnej ulicy stoi wóz ciężarowy bez koni; orszak przystaje; usuwają wóz; woźnica jedzie dalej: łądwo przejechał, eksploduje na owym wozie machina piekielna. Zabija około 20 ludzi, przechodniów, ale nie tyka ani konsula w pierwszym, ani jego bliskich w drugim powozie. Ambicja woźnicy, który chciał na czas zajechać, ocaliła go. Konsul, wchodząc do łoży, mówi do otoczenia: „Ci hultaje chcieli wysadzić mnie w powietrze. Proszę mi dać libretto.“ Grają Haydna nowe „Stworzenie, “konsul zdaje się zupełnie spokojny.

Ale, gdy rozbrzmiewa muzyka, która zwykle wypłasza zeń wszelkie myśli i plany, dziś mózg jego szaleje z wściekłości, docieka przyczyn, a zwłaszcza skutków. Co to byli za „hultaje,“ czy radykali z lewicy, czy z prawicy, to go mało obchodzi, wie on, że wrogów śmiertelnych ma wszędzie. Jakiego stronnictwa dziś potrzebuje: oto pytanie. Dla niego, jako męża stanu, pytanie to nie istnieje. Gdyby atentat się udał, miałby dla Francji skutki nieobliczalne; konsul jest zdecydowany skutków nieudanego zamachu nie umniejszać; postanawia całe zagadnienie władzy rozwiązać zapomocą tego szczęśliwego trafu i to natychmiast.

Gdy bowiem nazajutrz rano korporacje składają mu życzenia, i wszyscy twierdzą zgodnie, że mogli to uczynić tylko rojalści, przysięga oburzony, że myślą się wszyscy: „To byli septembryści, intelektualści, ci podoficerowie rewolucji, którzy posiadają śmiałość wyobraźnię i więcej wykształcenia,

NAPOLEON

niż tłum, ale z nim żyją i podszczuwają robotników!“ Gdy potem w radzie stanu proponowane są specjalne sądy, kodycyłe, obala to wszystko w namiętnej, świetnej mowę:

„Nieprawda, moi panowie! Albo nie robić nic i darować winowajcom, jak August — albo przedsięwziąć wielkie środki, które zabezpieczą wreszcie ład społeczny... Tu nie wystarczy zwykły proces karny, sprawę tę należy rozstrzygnąć, jak przystoi mężowi stanu... Musi popłynąć krew! Należy rozstrzelać tyluż winnych, ilu niewinnych zginęło na ulicy. Potem trzeba 200 ludzi z gromady tych wściekłych wilków pochwyć i skazać na zesłanie. Ludzie ci czekają zawsze na chwilę, by rzucić się na swoją zdobycz. Tym to metafizykom zawdzięczamy wszystkie cierpienia!“

Stary Trouchet kiwa głową: winni są emigranci i Anglicy, których ręka jest wszędzie i tu także.

„Jakto! — woła mąż stanu namiętnie. — Czyż mam zsyłać szlachtę i księży? Wandeja jest spokojna, a sług najbardziej rozpowszechnionej religii nie skazuje się na banicję. Będę musiał pożegnać wszystkich członków rady państwa, gdyż, poza dwoma, czy trzema, wszyscy wierzą w zamach rojalistów... Czy uważa się nas za dzieci? Mamie tłumaczyć, że ojczyzna jest w niebezpieczeństwie? Czyż Francja od czasów rewolucji była kiedy w lepszym stanie, czyż armja była bardziej zwycięska, kraj spokojniejszy? A to lubię, jeśli ludzie, których nigdy nie widziano w gronie prawdziwych przyjaciół wolności, nagle tęsknią do niej... Nie myślcie, że uratujecie się, mówiąc: broniłem patryjotów w radzie stanu. To możecie opowiadać w eleganckich salonach, ale nie w radzie złożonej z najświetlejszych mężów Francji!“ Urywa nagle posiedzenie. Czy rozumieją go radcy?

Niema w tem oburzeniu śladu obrażonej woli życiowej, ta bowiem szukałaby rzeczywistego sprawcy i zemściłaby się na nim. Wszystko jest polityką. Kogo przestraszyć wewnątrz kraju? Kogo uspokoić zagranicą? Tak pyta i wedle tego działa konsul. Również osobiście czuje się zabezpieczony tylko drakońskimi środkami: „Dopiero wtedy, gdym kazał zesłać przewódców wielkich miast, powiada później, zacząłem sypiać spokojnie. Nie boję się żadnego spiskowca, który wstaje o dziewiątej, by włożyć czystą koszulę!“

RZEKA

Jednocześnie wprawia go we wściekłość bezimienna broszura, którą przepuścił minister spraw wewnętrznych, p. t.: „Cezar, Cromwell i Bonaparte,“ i która domagała się monarchji dziedzicznej. Kto waży się denuncjować tłumowi jego tajemne myśli i to w tonie zalecającym! Gdy jeden z zaufanych mnie ma, że pismo to zawczasie odsłania jego plany, nie przeczy. Ale te dwa atentaty na jego ciało i jego ducha, mają srogie następstwa dla wolności. Piątą część trybunatu i Izb, acz pod osłoną paragrafu usunięto, Constant, Chénier i inni zdecydowani demokraci wyrugowani, 61 gazet na 73 zamkniętych, każda broszura, każde widowisko poddane cenzurze. Gdy rada stanu przypomina mu wolność prasy, odpowiada:

„Czy sądzi pan, że w tera położeniu można pozwalać na zgromadzenia?... A czyż każdy dziennikarz nie jest mówcą, czyż abonenci jego nie tworzą prawdziwego klubu?... Oszczerstwo podobne jest do tłustej plamy, zawsze pozostawia ślady... W Anglii inna sprawa, tam rząd jest stary, tutaj nowy! Coraz gorzej pisanoby o mnie, naprzykład, że z obawy przed otruciem nie jadani całymi dniami!... Stronnictwa trzyma się w ryzach tylko wtedy, gdy nie mają już pola bitwy.“

Zasady słuszne, środki celowe, — ale wolność ducha stoi żałobnie u drzwi i patrzy nieruchomo na władzę.

V.

Człowiekiem, który przepuścił, może napisał ową broszurę i w ten sposób mocno zaszkodził pierwszemu konsulowi, był ten sam mąż, na którego ramionach on wzniósł się do góry, który go faktycznie uratował, jego brat Lucjan. Ten najzdolniejszy z jego czterech braci, o sześć lat młodszy, doszedł do wysokich szczebli ambicji w wieku młodszym, niż Napoleon, aczkolwiek dzięki jego nazwisku, i żąda dla siebie szczebla najwyższego. W cieniu genjusza, pod jego opieką, ba, z powodu jego miłości cierpi młodszy bardziej, niż później skutek jego gniewu. Zawsze ma scenę z dnia zamachu przed oczami, zawsze czuje się królotwórcą względem brata, więc jakże ma go słuchać!

NAPOLEON

A przecież powinien. Wkrótce po owym dniu został ministrem spraw wewnętrznych, to jest organem zasilanym przez mózg centralny. Czyż nie musi on wszystkiego, co od tego szefa przychodzi, obracać naprzód w rękach, rozstrząsając, czy nie możnaby tego zrobić lepiej? Będąc wrogiem Józefiny, staje się wrogiem jej zaufanych: więc przeciwnikiem Fouché'go, który, gdy zajdzie coś takiego, jak publikacja owej broszury, wygodnie zwała winę na ministra spraw wewnętrznych.

Lucjan, z natury pozbawiony skrupułów i amoralny, jak jego brat, ale bez jego śmiało ważącego rozumu, podobny doń, ale o rysach niemal zbrodniczych, stale mrugający i uśmiechnięty, jest pod każdym względem odbiciem Napoleona, któryby był o stopień więcej awanturnikiem, a o kilka stopni mniej mężem stanu. W 25-ym roku życia potężny a już zgorzkniały, przez złość czuje tem większy pociąg do przygody. Naprzód żeni się z córką oberżysty, potem sprzedaje monopole, spekuluje zbożem, żyje rozrzutnie zamiast pracować, kupuje najpiękniejszy zamek w okolicy, urządza go, przebudowuje, urządza znowu, wydaje zbyt-kowne uczyty, gra sztuki teatralne, pisze wiersze: wszystko to w półświadomym zamiarze zaćmienia brata.

Musiało dojść do kłótni, do zerwania: Lucjan powiada szefowi swemu w twarz, że w zamachu stanu zwyciężył tylko dzięki niemu. Tamten, który w gniewie najchętniej skazałby go na wygnanie, zwalnia go tylko z paryskiego urzędu, by położyć kres jego skandalom pieniężnym, mianuje go posłem w Madrycie, gdzie zręczność jego działa skutecznie przeciw Anglii i gdzie jednocześnie nowe miliony wpływają do jego kieszeni. Owdowiawszy, wraca niebawem, żeni się z swą kochanką, piękną nielepszą sławą, niż niegdyś Józefina. Z powodu tego kroku pierwszy konsul wpada wprost we wściekłość: potrzebne mu było z jego strony małżeństwo polityczne.

Również Józef, éwiatowiec i „bonhomme,” zaczyna wraz ze wzrostem rangi i majątku, których brat mu przysparza, łączyć się ze sceptykami, akcentuje stosunki z panią de Staël i jej kołem, wyraża się krytycznie o konsulu. Być posłem w Rzymie nie wystarcza mu już, stanowisko prezydenta Republiki Włoskiej lub kanclerza senatu odrzuca; nie może zapomnieć, że jest najstarszy, czuje się głową rodziny.

RZEKA

Ludwik chwieje się jeszcze, tkwi w nim poeta, przez długie lata kocha się w krewnej Józefiny, — jednak wcale nie w jej córce, którą ona ostatecznie za niego wydaje, — i po wielu jeszcze latach będzie opiewał to uczucie. Najmłodszego, Hieronima, dobrodusznego i lekkomyślnego, kształci brat z ojcowską surowością: „Posyłam panu obywatela Hieronima Bonapartego, który ma czas nauki spędzić w marynarce. Jak panu wiadomo, trzeba go trzymać ostro. Niech pan wymaga od niego najdokładniejszego spełniania obowiązków.“

Również siostry, które zasypuje złotem i zaszczytami, są niebardzo wdzięczne i żądają tylko coraz więcej. Oto Eliza, która z Lucjanem, swym ulubieńcem, bawi Paryż swemi szaleństwami, występuje w różowych trykotach na scenie amatorskiej, póki ich konsul nie zgromi: „To niesłychane! Gdy ja zamęczam się, by przywrócić obyczajność i przyzwoitość, moi bracia i siostry pokazują się niemal nadzy na scenie!“ Gdy jednak odwróci się, śmieją się za jego plecami i robią, co im się podoba. Karolina, która wychodzi za Murat'a, wikła już teraz jego i krewnego Bernadotte'a w kłopoty przeciw konsulowi, które nie wyjdą na światło, ale dojdą do jego wiedzy, tak, że ze zgrzytem oświadczy, iż Murat zasłużył na rozstrzelanie.

Paulina, która ku małemu żalowi swemu straciła męża w wyprawie kolonialnej, obecnie z drugiego małżeństwa księżna Borghese w Rzymie, jest teraz i pozostanie w swej cynicznej niewinności najlepsza dla brata, i gdy ten, bolejąc nad jej bezgraniczną rozwiązłością, napomina ją, czyni to zawsze w tonie pobłażliwym! Fesch, wuj, niegdyś duchowny, potem dostawca armji, bierze teraz udział w polityce siostrzeńca, który każe go mianować arcybiskupem, a nawet kardynałem. Wszyscy wyzyskują możnowładcę, by zdobyć przepych i złoto, ozdobić swe życie i używać wszystkiego, z czego jego samego ograbia nadludzka praca.

Tylko matka trzyma się zdała. Choć z Józefiny jest równie mało zadowolona teraz, jak dawniej, choć pozostaje Korsykaną i nie zmienia swego narzecza, on wzywa ją zaraz po zamachu stanu, by zamieszkała przy nim w Tuilerjach. Ona odmawia, zostaje w domu Józefa, i gdy na pierwszej wielkiej paradzie, odbywającej się na dziedzińcu zamkowym, zjawia

NAPOLEON

się na balkonie wśród najwyższych urzędników państwa, odziana jest cała w prosty czarny strój, a jednak dumniejsza, niż strojna obok niej Józefina. Ona jedyna nie dowierza przepychowi, zmienne koleje życia nauczyły ją wiele i jeśli kto sławi wobec niej wielkiego jej syna i jego potęgę, ona odpowiada w swej błędnej francuszczyźnie: „*Pourvou que cela doufe!*“

Skąd wynikają te dramaty rodzinne, z których jedne skończą się krotochwilnie, inne tragicznie?

Z serca Napeleona. Gdyby był zwykłym parwenjuszem, byłby, naglony przez swoich o udział w jego szczęściu, niechętnie lub w formie łaski, w każdym razie w skrytości i zdała od swego działania, trzymał ten tuzin mężczyzn i kobiet, by ukryć pochodzenie, którego pod względem narodowym wyprzeć się musiał. Jakto? Oto matka dyktatora francuskiego, której dość otworzyć usta, by przypomnieć wszystkim nacjonalistom jego obce pochodzenie. Oto siostra męża, stojącego na równi z królami, a wyprawiająca największe szaleństwa w oczach monarchistycznej części świata, szczęśliwej, gdy może wskazać na złe obyczaje w otoczeniu parwenjusza! Bracia, którzy uprawiają dalej korupcję, na której zniszczenie wyruszyła rewolucja! I wszystko to w Paryżu, klasycznym mieście ironji i krytyki!

Ale niedość, że cierpi ich, on ściąga ich wciąż nanowo do urzędów, zaszczytów, zastępstw.

Źródłem tego jest przede wszystkim krew włoska, zwłaszcza wyspiarska, która, przesiąknięta obyczajami patriarchalnymi, pilnuje i strzeże wyższego stanowiska rodu i jego nienawiści i zemsty względem innych domów: tradycje starsze, niż w wielu domach królewskich, i jak w tych, wyrosłe raczej z dumy i ambicji, niż z pożądania dóbr.

Z tym wrodzonym zmysłem dla krwi swych bliskich styka i krzyżuje się pragnienie zdobywcy zachowania dla rodu tego, co pozgarniał dzięki genjuszowi i szczęściu. Los, istotnie tragiczny, bo uwarunkowany najgłębszym uczuciem jego duszy, a więc nieuchronny, czyni właśnie tego człowieka bezdzietnym. Kobieta, ku której pchnęła go namiętność, która przedtem urodziła dwoje zdrowych dzieci, jest teraz w drugim małżeństwie bezpłodna, i słabość ta, bez której dzieje Europy

RZEKA

przybrałyby inny obrót, jest jawnie następstwem tej samej sztuki miłosnej, tego samego wyrafinowanego wyuzdania, którymi zdobyła Bonapartego i czarowała przez chwilę. Gdyż, kiedy się z nim spotkała, była dopiero po trzydziestce, on zaś później z innymi kobietami spłodził trzech synów. Potrzeba mu prawowitego dziedzica, choćby dziedziczki. To, że Józefina zawiodła go w tem jednym, czego od niej potrzebował, zaważyło rozstrzygająco na losie jego dzieła.

Mogłoby przy takiej pełni władzy być inaczej?

Już pierwszego roku Roederer porusza ten wielki temat: — Kto będzie Bonapartego następcą? pytają rojaliści. Jeśli pan umrze jutro, co stanie się z nami? Musi pan nam oznaczyć naturalnego dziedzica.

„To, co pan mówi, nie jest mocną polityką.“

— Francja byłaby spokojniejsza, widząc pańskiego naturalnego następcę.

„Nie mam dzieci.“

— Mógłby pan jakieś adoptować.

„To nie odpowiada niebezpieczeństwu chwili. Widzę tylko to wyjście, że senat zamianuje męża, który mnie ma zastąpić. Wybór ten może znać tylko trzech senatorów i ja. Ale kogo!“

— Powinien pan wybrać 12-letniego chłopca.

„Czemu dziecko?“

— By było mężem z pańskiej szkoły, którego pan będzie mógł wychować i pokochać.

Wreszcie konsul, przyciśnięty do muru, wykrzykuje doń zdanie: „Moim naturalnym dziedzicem jest lud francuski!“

Nie mówi tego starzec, lecz trzydziestoletni, na dziesięć lat tylko obrany urzędnik: tak wyraźnie widzi już teraz przed sobą monarchję. Ale wtedy odstrasza go jeszcze niebezpieczeństwo chwili. Gdy później poszukuje dokoła dziedziców, znajduje tylko swych braci. Za wszystko, czem ich obdarza, powinni mu dać dziedzica, którego on nie posiada, a jednak chce przynajmniej wyhodować z krwi bonapartowskiej. Stąd gniew na Lucjana: nie dlatego, że żeni się z kobietą o złem imieniu, tylko z kobietą bez imienia, domaga się jego rozwodu, by ożenić go po książęcemu.

Ten jednak broni się, raczej dla zemsty na wszechmocnym bracie, niż ze skłonności dla kobiety, którą zresztą

NAPOLEON

kocha: bo czegoż nie poświęciłby ambitny Lucjan, aby samemu stanąć na szczycie władzy! Gdy po burzliwej scenie Bonaparte wchodzi do pokoju Józefiny, głos jego drży wzburzeniem przy słowach: „Skończyło się! Wypędziłem Lucjana!”

Stąd jednocześnie trwająca lata walka z Ludwikiem, w którym Józefina widzi ratunek swego własnego rodu: nie znosi on jej córki, Hortensji, ona go jeszcze mniej i kocha innego, jednak matka wymusza małżeństwo i rzeczywiście syn z tego stał się ulubieńcem Napoleona i upatrzony jest na dziedzica. Natychmiast siostry rozpoczynają intrygi, rozsiewają pogłoskę, że Napoleon sam jest ojcem. Cała spójność tej rodziny, której szczęściu zazdrości cała Europa, pada w gruzy z powodu tego problemu. Nawet matka stoi po stronie przymusowo ożenionego, jak i drugiego, wskutek uporu wygnanego syna, jedzie za Lucjanem do Rzymu. Tam jest szczęśliwa, zdała od płomiennej gwiazdy zrodzonej z jej łona, tam może żyć jako Włoszka bogata, wśród najpierwszych rodzin rzymskich, podejmowana po królewsku przez samego papieża.

A gdyby tak rozwiódł się z Józefiną? Siostry, które nieawidzą „starej“, czynią, co mogą i sprowadzają mu urocze kobiety. On, który w miarę jej starzenia się, żyje z nią coraz spokojniej i potrzebuje jej przyjaźni, nie jest już oczywiście zbyt wybredny i bierze po kolei kilka ładnych aktorek, potem tę lub ową „lektorkę“ swej siostry za metresę, na kilka wieczorów, kilka nocy.

Georges, która boi się go, jak wszystkie, spotyka „miłego, pobłażliwego człowieka“, który bawi się z nią, chowa się, pomaga jej się rozbierać, ulega jej „dziecinnym kaprysom“, ale Józefiną, choć tak jej na imię, nie nazywa jej, chrzci ją w ojczystym swym języku Giorgina i kiedy każe jej opowiadać swe dzieje, uważa pilnie i kiwa potakująco głową, bo już przedtem wywiedział się i cieszy się, że ona nie kłamie.

Niekiedy służba widuje konsula wieczorem wchodzącego w pończochach krętymi schodami do pięknej Duchatel, delikatnej, smukłej blondynki, w jego ulubionym typie. Tę damę dworską swej żony wciąga chętnie wieczorem do gry w karty, mówi przytem o sprawach erotycznych, gdy zaniepokojona Józefina od drugiego stołu stara się pochwycić jego

RZEKA

słowa. Dama dworska wychodzi, on idzie za nią, zastaje ją w umówionym pokoju, małżonka nie może dłużej wytrzymać, idzie za nimi, dzwoni do drzwi: wtedy on wściekły staje przed nią, nazajutrz jest mowa o rozwodzie, ale jej uroczę łyzy zmieniają szybko jego zamiar.

Atoli te amorosa są tylko przygodne, stale jest on obarczony pracą i jednocześnie przezornie zdecydowany unikać występów królów, ich marnotrawstwa dla faworyt, przedewszystkiem wpływu faworyt na sprawy. Dla gry miłosnej postarzał się przedwcześnie i wstrząsające wrażenie sprawiają słowa jego w liście przyjacielskim: „Stare me serce, zna dziś ludzi.“

Józefina, teraz stale niespokojna o niego, jak niegdyś on o nią, myśli o sukniach, kapeluszach, kosztownościach, trwoni więcej, niż ostatnia królowa i jest tak dalece panią swawolną, że teraz jeszcze, jako pierwsza dama w kraju, opowiada swym pokojówkom, kiedy konsul odwiedził ją w nocy. On przebacza jej wiele. Gdy Józefina siada niekiedy na krawędzi łóżka znużonego męża i wspaniałym swym altem czyta mu to lub owo, on wzrokiem dziękuje przyjaciółce. Ba, ten mąż przewrotu ma zachowawcze skłonności i jeśli nigdy nie rozstaje się z jakimś generałem, z jakimś urzędnikiem, jakże miałby się rozwieść z żoną, którą kocha z jej błędami!

W wygodnem Malmaison, gdzie w roku wyprawy Egipskiej zdradzała go z swym Hipolitem, on ściga się z Eugenjuszem, Hortensją, Bouriennem, Rapp'em i kilku literatami i gdy upadnie, śmieje się z innymi. Potem powozem jedzie do Paryża i mówi:

„Teraz mogę znów sobie nałożyć żelazną obrozę“.

VI.

„Bonaparte nie pisze niemal nigdy; chodząc po gabinecie, dyktuje dwudziestoletniemu młodzieńcowi, Ménévalowi, który — jedyny — ma dostęp do pokoju tego i trzech innych. Ménéval nie jest człowiekiem, z którego możnaby coś wy dobyć i niktby się na to nie ważył. Ale notatki, tyżące się planów głównych, wpisuje pierwszy konsul sam. Tę... niezwykłe sta-

NAPOLEON

rannie prowadzoną tekę zamyka sam, jedyny klucz nosi przy sobie. Opuszczając gabinet, musi Ménéval tekę tę włożyć do przyśrubowanej do podłogi skrzyni. Tekę tę można wykraść, ale należy wiedzieć, że na Ménévala i dozorcę, który sam sprząta gabinet i pali w piecu, padnie podejrzenie, dozorca musiałby więc uciec... Wszystkie tajemne zapiski dotyczące się jego operacyj wojskowych muszą się tam znajdować, a ponieważ potęgę jego można uprzątnąć ze świata tylko wtedy, gdy zburzy się jego plany, to kradzież tej teki zniszczyłaby wszystko.“

Kto to pisał? Agent burboński? Lub może nawet zdrajca z otoczenia konsula?

Wcale nie: pisał to dwudziestoletni młodzieniec, nazwiskiem Ménéval, a dyktował mu to jego pan, pierwszy konsul, chodząc po gabinecie. List jest notą dla prowokatora, którego na rozkaz Bonapartego przysłać ma minister sprawiedliwości, by zbliżyć się tym sposobem do angielsko-burbońskich agentów i gdy ich dostanie w swe ręce, odkryć ich spisek. Podaje wiele szczegółów ministrowi, który ma wszystko wykonać: jak dotrzeć do tego królowi wiernego dozorczy, który sprząta i pali w piecu, co ten ma za psotę swą dostać, gdzie ma podczas ucieczki nocować: istny mały plan wyprawy wodza przeciw samemu sobie.

Ma dość powodów mieć się na baczności. Są to niespokojne miesiące zimowe, kiedy zamyka się koło podejrzeń, które stu szpiegów zebrało w Londynie, Wandei a nawet w Paryżu. Czy przychwycić ich teraz? pytają ciągle. Czekać, brzmi odpowiedź. Gromadzi powoli coraz więcej. Wreszcie ma dowody w ręce: najskrajniejsze skrzydła jego przeciwników, jakobini i rojaliści, spiknęli się, by wspólnie zniszczyć wielkiego wroga. Pichegru, przyjaciel Bourbonów, i Moreau, giermek republikanów, obaj zwalczający dyktaturę, zjednoczyli się. Obaj generałowie są jego rywalami. Teraz chwycić ich!

Odkryte sprzysiężenie sieje postrach po Europie: wszyscy prawowici książęta podziwiają jego przezorność, pokładają jednak więcej nadziei w jego wrogach, których liczba musi być większa, niż twierdzi Monitor. Ministrowie angielscy skompromitowani! Wielki Moreau w więzieniu! Długo wahał się Bonaparte, czy go uwięzić: tego towarzysza sławy ceni zbyt wysoko. W dzień aresztowania posyła, wzburzony, kilka-



RZEKA

krotnie po wieści. Czy przypomina sobie? Niespełna cztery lata temu przeląkł się sam w domu Talleyranda, gdy w nocy jeźdźcy przed bramą napędzili mu strachu przed aresztowaniem. Proces jest przykry, Moreau jest obciążony, on jednak nie waży się go zniszczyć, ułaskawia go, skazując na wyjazd do Ameryki. Pichcgru powiesił się w więzieniu. Trzynastu innych — straconych. Jeden z nich zdradził w śledztwie, że i jeden z Bourbonów należał do spisku.

Konsul wyteża słuch: ksiązę burboński? Talleyrand podkreśla, że oddawna ksiązę d'Enghien siedzi tuż u granicy. Czy chce badać przez lunetę, co dzieje się we Francji? Czy istotnie siedzi się tak beczynn timer po stronie badeńskiej tylko po to, by kochać siostrzenicę pewnego kardynała? Czyż poto jest się wnukiem wielkiego Kondeusza, Bourbonem i żyje się z angielskich pieniędzy? Może to on wiedział o sprzysiężeniu, przynajmniej zna agentów, którzy przebiegają Niemcy południowe. Tak, on jest tym podejrzanym księciem, na jego przykładzie trzeba pokazać, że złożona z tronu rodzina przestaje wreszcie macić spokój Francji i sen jej pana!

W długiem piśmie zarządza konsul zamach na miasteczko badeńskie z drugiej strony Renu, liczba łodzi, racje chlebowe obliczone są z dokładnością, jakby szło o oblężenie Mantui. 300 dragonów wjeżdża do Baden, porywa księcia, który w cztery dni później w Paryżu dostaje się do twierdzy: wszystko dzieje się w tajemnicy.

Papiery nie obciążają go, dwaj zaufani przestrzegają konsula. Ale Talleyrand, który zawsze jednocześnie myśli o swej przyszłości, domaga się sądu wojennego i surowości, gdyż przewiduje stąd dla pana swego poważne skutki moralne, których pragnie. Brat jego, Józef, widzi niebezpieczeństwo, chwyta generała za porte-epée, przypomina mu wielkiego Kondeusza, z jaką to czcią witali go podczas odwiedzin w szkole wojennej, cytuje jeszcze wiersze, które wygłaszali jako kadeci, — i mianożby teraz zgładzić jedyne go wnuka?

„Ułaskawienie jego jest rzeczą postanowioną, odpowiada konsul, ale to nie wystarczy; czuję się dość silny, by mieć go pod swemi chorągwiami.“

Józef, wróciwszy do swej posiadłości, uspokaja panią Staël i innych gości.

NAPOLEON

Tego samego wieczora księżę, o trzy lata młodszy od swego przeciwnika, niewsławiony tylko wskutek okoliczności, które tamtego tymczasem uwieczniły, staje odważnie i rycersko przed dwunastu oficerami sztabowymi; członek rady państwa jako oskarżyciel zadaje mu przez konsula ułożone pytania:

— Czy rokował pan z agentami angielskimi? — Nie. — Czy nie miał pan, w razie udania się spisku Pichegru, wpaść od Renu do Alzacji? — Nie. — Czy pobierał pan pensję angielską? — Tak. — Czy chciał pan wstąpić do służby angielskiej? — Tak, aby wyzwolić moją ojczyznę. — Więc oddał się pan do rozporządzenia Anglii, by podnieść broń przeciw Francji? — Kondeusz może tylko z bronią wrócić do swej ojczyzny! —

Księżę skazany zostaje na śmierć i o brzasku następnego dnia, w postawie walecznego oficera, stosownie do stanu swego, rozstrzelany.

Wyrok ten jest pod jednym względem sprzeczny z prawem: nie należało żadną miarą sprowadzać księcia z za granicy. Gdy stanął raz na francuskiej ziemi, musiał wedle istniejącego prawa skazany być na śmierć, jako ten, który — wedle własnego wyznania — pragnął w otwartej walce obalić obecną formę państwową. Z tem zastrzeżeniem, które oczywiście obronić się nie da, wyrok był sprawiedliwy.

Atoli był on, jak Talleyrand później o sprawie tej poraz pierwszy powiedział, Setki padają w rewolucjach niewinniej, niż ten księżę, który, choć nie należał do spisku, byłby z radością powitał zamordowanie samozwańca i — jak sam powiedział — z mieczem w ręku wszedł do Paryża. Nikt nie mówiłby o tych kulach i o trupie tego młodego oficera, gdyby to nie Bourbon, nie symbol właśnie przepojonej księżęcością Europy, padł z woli rewolucji. To też czyn ten był wyzwaniem dla tuzina tronów książęcych i dla milionów europejczyków, którzy wierzyli w łaskę bożą władnącą na tych tronach. Stał się on sygnałem przeciw dyktatorowi, który nigdy nie należał do rządów terroru i w tych siedmiu latach, jako wódz i mąż stanu, nie popełnił żadnego gwałtu.

Gdy w dzień po tym czynie kilku niemych i przygnębionych gości siedzi przy stole, gdy Józefina przemilcza swój strach,

a konsul falujące swe myśli, nagle on powiada: „Przynajmniej zobaczą teraz, do czego jesteśmy zdolni. Spodziewam się, że odtąd zostawią nas w spokoju.“ Po obiedzie chodzi po pokoju i roztrząsa przed milczącym gronem swoje powody, swój nastrój. Wszyscy słuchają, gdy on, wciąż chodząc, z dziwnem przejęciem mówi o genjusz, o mężu stanu, przedewszystkiem o wielkim Fryderyku, którego tak bardzo szanuje:

„Wolnoż mężowi stanu być czułym? Czyż nie jest on postacią odosobnioną, zawsze samotną, a jednak też zawsze związaną z światem? Jego lunetą jest polityka, nie śmie mu ona nic zmniejszać ani powiększać. Obserwując poważnie rzeczy, musi on jednocześnie poruszać w ręce nici. Często wóz jego zaprzężony jest w nierówne konie: osądźcie, czy wolno mu szanować pewne uczucia, które zresztą dla społeczeństwa są tak ważne!... Ileż razy musi robić coś, co zda się nie mieć nic wspólnego z całością... Spróbujcie tylko wyprzedzać zawsze swój czas, zamiast ganić, rozszerzcie swą wyobraźnię, — a przekonacie się, że owe wielkie postacie, które uchodzą za gwałtowne i srogie, są tylko politykami! Znają one same siebie, osądzają się najdokładniej i jeśli są rzeczywiście zręczne, to umieją też opanowywać swe namiętności, gdyż mogą obliczyć dokładnie ich skutki.“

Nagle urywa ten publiczny monolog, który pozwala głęboko wnikać w jego duszę i każe odczytać akty, tyjące się spisku.

„Oto mamy nieomylnne dowody, woła, że ci ludzie pragnęli wywołać nieład we Francji i w mojej osobie zabić rewolucję! Musiałem bronić jej, pomścić ją! Księżę spiskował, jak inni i dlatego postąpiono z nim, jak z innymi... Wszyscy ci szaleńcy starają się zabić mnie, bez korzyści dla siebie, gdyż na mojem miejscu ujrzeliby tylko rozdrażnionych Jakobinów... Ach, ci Bourboni! Gdyby mieli istotnie powrócić, idę o zakład, że pierwszą rzeczą, którąby się zajęli, byłaby etykieta. Ba, gdyby byli zjawili się na polu bitwy, okryci krwią i kurzem, jak przeciw Henrykowi Czwartemu! Ale listem datowanym z Londynu i podpisanym „Ludwik“, nie odbija się królestwa. A jednak list taki kompromituje kilku nieostrożnych. . . Przełałem krew, musiałem, może przeleję jej jeszcze

NAPOLEON

więcej: ale bez gniewu, poprostu dla tego, że konieczny był upust krwi. Jestem mężem stanu, jestem rewolucją francuską i będę umiał jej strzec!“ Nagle zwalnia wszystkich obecnych.

Oto jego nastrój, jego pobudki, widoki i kulisy jego urazy. Ale jeszcze nie jego ważkie wnioski.

VII.

W tydzień po wyroku przeciw księciu d'Enghien zjawia się u konsula komisja senatu z dziwnym, podwójnym projektem: założenia trybunału państwa i zarazem monarchji. W ten po cichu zaimprovizowany sposób postarał się o życzenie ludu. Czyż może być coś logiczniejszego i prostszego? By rozwiązać wszystkie strachy, zapewnić głowę państwa przed spiskami, potrzeba na wszelki wypadek trybunału państwa i dziedzica.

Jak wszystkie postanowienia jego życia, tak i teraz przedczesne zdecydowanie się na cesarstwo wyrasta z okoliczności. Ani tu, ani w żadnym innym rozstrzygającym punkcie jego życia nie odsłania się plan życiowy, któryby się rozwinał systematycznie. W każdym razie ciągnąc do Italji, nie widział przed sobą korony Medjolanu, czy Francji, raczej w wielkim, zygzakowatym locie jego życia krajobraz rozszerzał się w sposób naturalny, przed oczyma jego otwierały się coraz większe przestrzenie, lądy i morza, im wyżej się wzbijał; tak to sprawdzała się na nim jego własna maksyma: „Nie daleko zajdzie, kto już na początku wie, dokąd dąży.“ Zdumiewająca forma zasadnicza jego działania, improwizacja, odbiera mu tylko mglisty blask mistycznego bohaterstwa; pozostawia mu w szczegółach ścisłość przygotowania i wraca mu w całości ową swobodę i niewinność, które wzmacniają geniusza.

Czy ta igraszka cesarska była błędem? Co go podnieca?

Przedewszystkiem fantastyczna strona jego istoty, która tu poraz drugi oślepia rachmistrza; tak było w Egipcie, tak będzie poraz trzeci w Rosji. Ideał jego pcha go do tego kroku. W tym starym świecie zbudził się i wzrósł, mając obrazy antyczne przed oczyma duszy, ku ich formom prze nieodbitcie

RZEKA

jego rozkazodawcza natura. Ta poetyczna istota, która od punktu do punktu przedzie swe własne życie jako legendę i każdą bitwę w wieczór po bitwie odczuwa już w sposób historyczny, ten fantazją pędzony motor, to oko ludzkie, które zawsze spogląda wzwyż i wobec swych czynów wyczuwa zgóry zawsze potomność i sławę; wszystko to razem potrzebowało dla siebie symbolu, którego nikt nie posiada, który tylko przed tysiącem i dwoma tysiącami lat jaśniał nad Europą.

Ale potrzebuje go zarazem tkwiący w nim matematyk, rachmistrz wielkości, znawca i gardziel ludzi, który wymierza każdy efekt. Potrzebuje go mąż stanu, dla zachowania swego kraju bez ciągłych wojen. Wreszcie, — i to może najnamiętniej, — człowiek przywiązany do rodu i krwi, który mniema, że nic nie posiada, patrząc na nagrodę awanturnika, która przeminie wraz z nim.

„Tytuł króla jest zużyty, przypomina stare idee i uczyniłby ze mnie spadkobiercę; nie chcę od nikogo pochodzić i załeżeć. Tytuł cesarski jest większy, jest jeszcze trochę niejasny i działa na wyobraźnię.“ Oto razem zmieszane w jednym zdaniu dzikie i gorące, chytne i zimne motywy jego duszy.

Czy widzi on niebezpieczeństwa, czy je prześlepia? Jakie są jego odtrutki? „Co to jest tron? Kawał drzewa obity kawałkiem aksamitu!“ powie niejednokrotnie jako cesarz. Ale on wie, że na ten kawałek aksamitu i drzewa, — jak na legię honorową, — łapie się dorosłych mężczyzn, to też wszystko, co otacza koronę, będzie brał głębiej, poważniej, niż oni: tron jest środkiem polityki, czyli sztuki postępowania z ludźmi. W świecie, w którym trudno znaleźć kongenjalnego brata, może człowiek prywatny, poeta czy filozof, wznosić gołą głowę do nieba; ale mężowi stanu potrzebne są oznaki owej władzy, w których tępy świat jedynie władzę uznaje.

Ale czyż ten człowiek, umiejący wszystko z góry obliczyć, nie widzi niebezpieczeństwa tkwiącego w symbolu złotej obręczy? Czyż nie rozumie, że lud od tysiącleci wierzy w pokrewieństwo bóstwa z koroną? A jeśli rozumie, jakże bez poślizgnięcia pogodzi tę złudę z politycznym cynizmem? Jeśli korona ta jest darem jego genjuszu, to jakże można ją przekaaać komuś, kto nie posiada genjuszu?

NAPOLEON

A jednak każe sobie, zwyczajem cesarzy rzymskich, zabezpieczyć prawo adoptacji. On, który przekonał się na własnym duchu, że duch jest zawsze autochtonem, on, który własnymi oczyma patrzył, jak władza dziedziczna tonęła w krwi i kurzu i którego serce przyświadczało targnięciu się na głowę królewską, on, który dziś jeszcze Bourbonom zarzuca nie ich pochodzenie, lecz tylko tchórzostwo, każące im siedzieć w mysich dziurach: on sam, Napoleon Bonaparte, który ma poczucie swej jedyności na przestrzeni tysiąclecia, który dokoła siebie zaszczyca i obdarza jedynie zasługę, odwagę i talent, on, uczyłowieczony symbol przewrotu, — wierzy na stanowisku, które w szalonym pędzie zdobył przed ośmiu laty, wierzy, iż zdoła uwiecznić swą krew tylko dlatego, że to krew jego!

Więc poto poznał Plutarcha i dzieje cesarów, poto studjował wielkich królów Francji, Anglii, Prus i nauczył się gardzić ich dekadencją, by teraz o tym jedynym, najwyższym urzędzie kazać rozstrzygać znowu urodzeniu! W tym i jedynie tym punkcie, on, człowiek nawskroś nowy, chce powiązać nowość ze starzyzną, ażeby, jak kiedyś wyzna w zdaniu tragicznej głębi, „dojść do owej harmonji, którą obmyślałem dla spokoju świata samotny, pod przymusem tylko mej osoby i mego wzniesienia się. Dlatego zarzucałem wszędzie kotwice ratunkowe na dno morza“.

Ale tuż obok tak bohaterskich słów, któreby wystarczyły same, by postawić go obok bohaterów Plutarcha, mieszkają proŝtotliwe, mieszczańskie uczucia. Gdy bowiem zaufany Roederer tłumaczy mu, ażeby gwoli dziedzictwu pojął inną kobietę za żonę, woła w wielkiem wzburzeniu:

„Rządziłem zawsze dotąd tylko sprawiedliwie. Może ród leżałby w mym interesie. Jakżeż mam jednak oddać dobrą żonę tylko dlatego, że stałem się większy! Byłaby poszła za mną na wygnanie i do więzienia. I teraz? Nie, to nad moje siły. Mam w piersi serce ludzkie, moją matką nie była tygrysyca“. Po jej śmierci, owszem, byłby gotów. Ale jakżeż to wyobraża sobie najlepszą sukcesyjność? „Moi bracia wyrosli w skromnych warunkach, jak i ja, ale nie wzniesli się dzięki samym sobie. Aby rządzić Francją, trzeba urodzić

RZEKA

się wśród wielkości, przyzwyczać się od dziecka do pałaców i gwardyj — albo trzeba być człowiekiem zdolnym samego siebie odróżniać od innych.“

W tej ostatniej myśli tkwi już złowieszczy błąd, który później urośnie w fatalność.

Zrazu wszystko odbywa się chłodno, bezbarwnie, trzeźwo, jak dwukrotnie przedtem: znów żąda, chcąc pozostać ponad partjami, oświadczenia się ludu i ci sami Francuzi, którzy dwanaście lat temu uprzętnęli nietylko króla, lecz i koronę, przywracają ją znowu, blaskiem i sławą jej obrazu bardziej ożywieni, niż przed dwoma laty przy przeniesieniu stałej władzy na tego samego konsula. W ciągu kilku dni załatwione są wnioski w Izbach, przeciw którym w senacie głosuje tylko trzech wrogów osobistych, w trybunacie jednak osobisty wielbiciel, Carnot, jedyny obstaje przenikliwie przy myśli o wolności. Potem, w pewien dzień majowy, konsul każe wniosek ludu i konstytucję przedstawić sobie w St. Cloud i tego samego dnia ogłosić: krótko, handlowo, jakby to był tylko nowy paragraf.

Nie udaje też nigdzie wiary w mistyczne, czy choćby ludowe źródło swej władzy. Oto w kilka dni po swem wyniesieniu, siedzi po obiedzie w niszy okiennej, okraciem na krześle, z brodą opartą na poręczy i przysłuchuje się długo w milczeniu rozmowie swej żony z panią Rémusat, która nam to opowiada; potem wstaje, zwraca się naprzód do szlachetnie urodzonej damy i udając pocziwca, dowcipkując i śmiejąc się, uchyla nagle, z tą swobodą, która zadziwia jego współczesnych i potomnych, zasłonę, rozwija motywy, roztacza, jakby w obliczu historii, swe myśli:

„Więc wzięła mi pani bardzo za złe śmierć księcia? Pani lubi jeszcze wspomnienia, moje sięgają tylko czasu, gdy zacząłem czemś być. Czemże jest dla mnie jakiś książę d'Eng-hien? Emigrantem, ważniejszym, niż inni, co wystarcza, by zadać mu cios. . . Dwa lata temu dostała mi się władza w ręce w tak naturalny sposób... Bądź co bądź, książę zmusił mnie do skrócenia krzysu. Zamierzałem prowadzić w ten sposób konsulat jeszcze dwa lata, choć forma ta była w sprzeczności ze stanem rzeczy. Francja i ja bylibyśmy jeszcze czas jakiś szli swoją drogą, gdyż miała ona zaufanie do mnie,

NAPOLEON

chciała wszystkiego, czego ja chciałem. Po tem jednak sprzyśnieniu, które miało poruszyć całą Europę, trzeba było przekonać ją o jej błędzie...

„Partje, które pragnąłem pogodzić, Rojaliści i Jakobini, nie tracą ducha, dopóki uważają kogoś za lęklivego. Zrozumiałem więc, że nie da się stworzyć paktu między nimi, ale da się stworzyć pakt z nimi na moją korzyść... Teraz zamilkli. Powstają jeszcze przeciw mnie republikanie, te przewrócone łby, które myślą, że można budować republikę na dawnej monarchji, i Europa będzie patrzyła na to spokojnie... Wolałem cesarstwo od dyktatury, gdyż człowiek usprawiedliwia się przez to, że osiada w znanej dziedzinie...

„Zobaczy pani niebawem, jak etykieta dworska przyciągnie emigrantów: językiem starych nawyków pozyska się szlachtę. Wy Francuzi lubicie monarchję, jest to jedyna odpowiednia dla was forma. Idę o zakład, panie de Rémusat, że czuje się pan stokrotnie lepiej, odkąd nazywa mnie pan *Sire*, a ja panu *mówię Monsieur*... Zawsze trzeba podtrzymać waszą próżność, surowość republiki zanudziłaby was na śmierć... Wolność jest tylko pozorem, równość waszym konikiem drewnianym, lud jest zadowolony, że ma władcę człowieka, który wyszedł z pośród żołnierzy... Dziś mam armję i lud za sobą. Ktoby wśród takich warunków nie umiał rządzić, byłby bardzo głupi.“

Nagle urywa, przybiera surową minę i daje panu de Rémusat błahy rozkaz oschłym tonem absolutnego władcy.

W takich chwilach spowiedzi, w takich kwadransach, gdy, milcząc, słuchając, patrząc, widzimy, jak ten éwieżo-upieczony, 34-letni cesarz, w starym zielonym surducie, siedzi okrakiem na krześle, jak zukosa spogląda na pokój, potem przechadza się tam i sam, wypowiada skryte myśli i nagle w jednym jedynym ruchu gasi wszelką poufałość; w takich przejmująco bliskich scenach, pełnych naturalności i zamysłu, zdania się losowi i oporu przeciw terażniejszości, — słysząc coś więcej jeszcze, niż on w pozornym zapomnieniu o sobie pragnie okazać, odzywają się wszystkie półtony: lekka pogarda dla rodowej szlachty, a jednak tajna chęć podobania się jej, zmienność programów zależnie od okoliczności, zdrowy

RZEKA

cynizm w stosunku do szaleństwa ludzkiego i znowu zupełna obcość tego cudzoziemca, która właśnie czyni go zdolnym do rządzenia piękną Marjanną, z grzeczną surowością.

Oczywiście i tutaj widzimy tylko połowę motywów, gdyż wobec takich uszu wypowiada się on tylko w zakresie politycznym. Ale, w rzeczywistości, w początku tej epoki jest to silny motor i zdaje się, że Bonaparte nie mógł zrazu przyjąć trzeźwej zmiany tytułu: „Brat mój nie chce nic słyszeć o swoim nowym tytule; pisze do pani Staël, że nie zmienił się i wydaje się sobie przez to bardzo wielki. Wielki jest ten, kto nawet przypuścić nie może, że takie puste miana, będące tylko koniecznością systemu, mogłyby zmienić w czemkolwiek stosunki przyjacielskie, rodzinne, lub towarzyskie. Odkąd traktują mnie jako Cesarską Mość, nie zauważył nikt w domu, bym zmienił się w czemkolwiek.“

Ważnem zdarzeniem jest tylko to, że poraz trzeci zmienia nazwę. Nic to, że najwyższe osobistości krajowe zjawiają się na pierwszym przyjęciu dworskim, że nazywają go *Sire* a Józefinę *Madame* i że szlachta, która już przed piętnastu i dwudziestu laty na tej samej posadzce mówiła *Sire i Madanie*, składając wznowiony wreszcie ukłon dworski, czuje żywsze bicie serca: w zachowaniu jego, ubraniu, postawie nie ma nic innego, jak było wczoraj.

Ale proklamacje, tysiące listów, not, dekretów, które ręka jego od lat ośmiu podpisywała szczątkowem „Bonaparte“, podpisuje on odtąd imieniem, którego nie słyszy już niemal od lat dziesięciu, którem nie podpisywał się nigdy od lat dziecinnych i które nerwowa jego ręka ścieśni znów niebawem w jedną literę. Józefina nazywała go zawsze tylko nazwiskiem wodza, bracia i siostry mówią mu oddawna Wy (co wprowadził nie on, lecz Józef i co zresztą odpowiada zwyczajowi). Tylko matka nazywała go tak jeszcze niekiedy w chwilach rzadkiej poufności, ale wymawiała w swej mowie: Napolione.

Głębokie znaczenie tkwi w nowości tego imienia, którem, wraz z nigdy dotąd niebywałym tytułem, podpisuje się poraz pierwszy w życiu:

Napoleon I., Cesarz Francuzów.

NAPOLEON

VIII.

Z pierwszemi krokami zaczyna się dylemat. „Cesarz wedle konstytucji Republiki“ czytamy na monetach: paradok8 ten będzie on włókł za sobą jeszcze cztery lata i w lipcu, w rocznicę Bastilji, będzie święcił wybuch rewolucji w stroju cesarskim. Gest ten mógłby być wzniosły, ale jest tylko polityczny, gdyż dzień wyzwolenia „odłożony“ jest już na niedzielę, a niebawem zniknie zupełnie; wraz z nim zaś i nowa rachuba czasu, która stopniowo przekształca się znów w dawną.

Wszystko przyłącza się doń, niebawem z mężów, którzy przed 12 laty głosowali za straceniem króla, 130-tu piastuje urzędy cesarskie. Tak to zmieniły się wyobrażenia w głowach Francji. Ale Europa, — widząc, jak owe formy, a z niemi powoli i treść, o które tyle krwi pociekło, odchodzą do muzeum historii. — czyż Europa nie musi się uśmiechać?

Przedewszystkiem uśmiecha się stara szlachta, którą śmierć księcia napowrót odepchnęła do Frondy. Przedmieście St. Germain, które cesarz obserwuje tak bystro, jak przedmieście proletariuszów, St. Antoine, opowiada historyjki o nowym panu ich Tuileryj, gdyż teraz dopiero, gdy sam zwany jest *Sire*, jak ostatni z Bourbonów, zwraca on na siebie całkowicie lornetki, jako ceł wszelkiej krytyki. Jemu samemu, wobec wrodzonej godności nic stać się nie może, jako generał panował już w Medjolanie dlatego tylko, że tam był. Ale jego bliscy w swej naiwnej ciekawości, w dziecinnej zazdrości, plotkując o wszystkim, co dzieje się w pałacu, ściągają na siebie szybko szyderstwo, które opinja w Europie przenosi na ich pana.

Odtąd Anglja obok swoich agentów utrzymuje szereg pismaków, którym wierzy się, cokolwiek zmyślą dowcipnie i już karykaturzyści przedstawiają małego porucznika, jak u wielkiego Talmy uczy się kroków cesarskich: on, który sensu i ruchów w rolach królewskich Corneille'a uczył często Talmę. Jakżeż inaczej bronić się ma Europa przeciw tej w prawdę zmienionej legendzie? Zmienia więc fałszerstwem w krotochwilę to, co tu w całej jaskrawej powadze zaczyna być tragikomedją.

Albowiem cesarz zdaje sobie sprawę, że potrzeba mu teraz dworu, a ponieważ wszystko robi rzeczowo, w tym względzie

RZEKA

jednak nie ma o niczem pojęcia, więc powołuje fachowców *ancien régime'u*: teraz stary marszałek dworu straconego króla musi odłożyć na bok pióro poetyckie, w którym szukał ucieczki i ująć na nowo w ręce batutę ceremonjału. Józefina, za którą zrazu kroczy tylko kilka dam dawnego dworu, ogląda się nieporadnie, ilekroć chodzi o cesarskie ułożenie trenu. Gdzież jest garderobiana Marji Antoniny? Żyje i posiada pensjonat w Paryżu? Wydobyć ją z zapomnienia! I oto przychodzi i w tych samych komnatach, przed temi samemi zwierciadłami owija fałdzisty tren około kreolskich nóg, które znały zgoła inne tańce od tańców jej biednej królowej.

Ze ścisłością i powagą, jakby chodziło o sztab generalny nowej armji, organizuje cesarz swój dwór. Lepiej, niż ktokolwiek inny, zna próżność tych spraw: „Wiem, że mnóstwo ludzi pisze przeciwko temu. Nawet pan, panie Roederer, nie jest skłonny przyznać mi trochę sprytu! Powinien pan przecie wiedzieć, dlaczego nowym marszałkom przyznałem tytuł *Monseigneur*: tylko dlatego, by godności cesarskiej zapewnić tytuł *Majestat*. Na nim nie może wywierać swego złego humoru nikt, kto sam nosi wysoki tytuł.“ W tak chytre sprzeczności wikłają go już pierwsze kroki.

Obaj ekskonsule, — jedyni, których nowy cesarz usunął, — zostają: jeden wielkim kanclerzem państwa, drugi wielkim podskarbinem państwa; Talleyrand, jako pierwszy podkomorzy, wnosi w stary dom stare maniery. Jakże łatwo było teraz cesarzowi na najbardziej wysunięte urzędy dworskie wybierać tylko panów i damy z czasów królewskich! On jednak wybiera synów proletarjuszy i mieszczan, którzy wynieśli się wraz z nim, Berthier'a, Murat'a, Lannes'a, Ney'a, Davoust'a: czternastu generałów, wzrosłych w piekarni i stajni, jako kelnerzy, chłopcy okrętowi i włóczędzy, musi u dworu wymienić swe sławą okryte uniformy na kapiące złotem figuryнки marszałków Francji, jednocześnie sprawować urzędy, nosić koronki i trzewiki ze sprzążkami, uczyć swe żony głębokiego ukłonu, stania na parkietach i siedzenia na sztywnych krzesłach, drapania o drzwi zamiast pukania: wszystko po to, by Europa widziała na własne oczy, że ten cesarz, który był porucznikiem, ostatniego porucznika wynosi na świetne stanowisko tylko dla jego zasługi. Oto Marmont,

NAPOLEON

który postrzelane swe ramię musi zawsze nosić na temblaku, stoi odziany w aksamit, jedwab i złoto, ale jego chwalebnie rozpruty rękaw szydzi z ozdobnego kroju jego spodni.

Z zupełnym taktem wyłącza cesarz z dawnego ceremonjału dwie rzeczy, które hańbiły człowieka: podawanie koszuli przy *lever* i ucałowanie ręki.

Ale jakżeż ma odżyć czar dworu rokokowego, gdy źródłem wszystkiego jest żołnierz? Wprawdzie na kilkugodzinnem posiedzeniu zapada postanowienie, jakie barwy na polowaniu mają mieć na sobie cesarzowa i ich wysokości (to jest krewni), ale potem, gdy trzeba zabić jelenia, a cesarz myśli właśnie o czemś innem, wtedy nikt nie waży się strzelić zamiast niego i w ten sposób inne powołania tego strzelca ratują jelenia. Ceremoniał „odbywał się jakby na odgłos bębna, wszystko działo się jakby przyśpieszonym krokiem, pośpiech i lęk, którym przejmował wszystkich, tłumiły wdzięk i przyjemność. Życie dworskie było zimne i nieme, raczej smutne, niż dostojne. Ponieważ wszyscy czynili, co musieli, wydawaliśmy się sobie zawsze jak maszyny, usadowione na nowych, złoconych fotelach.“

Wśród dam nudzi się cesarz, z naiwną rzeczowością zadaje pytania, ile mają dzieci i czy je same karmiły, stara się być grzeczny, potyka się, bo myśli zgoła o czemś innem; w gronie dam w St. Cloud powtarza bez końca: „Jak gorąco!“

Zato, ktokolwiek należy do dworu, staje się bardzo bogaty. Każdemu z tych dostojników daje niezmierne dochody roczne, i oszczędza tylko na kilku panach ze starej szlachty, których obarcza złośliwie obowiązkami w formie urzędów i pracy. Większość posiada miliony, gdyż „ambicja jest głównym bodźcem ludzi; człowiek dokonywa czegoś, dopóki dąży wwyż. Stworzyłem senatorów i książąt, by podniecić ambicję i uczynić ich przez to zależnymi ode mnie.“ W ten sposób działa jednocześnie zapomocą zaszczytów i pieniędzy i stwarza sobie coprawda nie przyjaciół, ale zwolenników.

Zna bowiem wartość pieniądza i jeśli we wszystkich wielkich przełomach zadziwia improwizacją, to z drugiej strony widzimy ze zdumieniem w jego karjerze stale czynny, na wskroś mieszczański rozum. Jeśli każe państwu płacić mu 25 milionów

RZEKA

rocznie, ściśle tyle, ile ostatni król, to król wydawał 45, on zaś oszczędza 12. I pozatem nie kosztuje dwór, mimo przepych, ani czwartej części tego, co za Bourbonów, i Francja, która przecież musi za wszystko płacić, zawdzięcza to troskliwości i umiejętności pana, który niegdyś dawał sobie radę z 90 frankami gaży miesięcznej i dziś jeszcze może twierdzić, że mając 1.200 franków rocznie i konia, wyżyje wygodnie.

Niczego nie zmienia w swym paryskim trybie życia; każe się budzić o siódmej, o dziewiątej jest pierwsze przyjęcie; przez cały dzień sekretarze notują to, co dyktuje w tempie rozmowy; wszystko musi dziać się szybko, a jednak dokładnie; a jeśli w nocy nie śpi, Ménéval musi być pod ręką i pisać, czem pana natchnie duch nocy. Obiad jego trwa 20 minut. Cesarz nie spostrzega prawie, co je. Wśród całego świetnego otoczenia, on ma zawsze najniepokąźniejszy surdut i najskromniejszy wygląd, i gdy podczas wielkich uroczystości ma wystąpić w hiszpańskim stroju, to wścieka się przy ubieraniu i po paradzie czuje się wyzwolony. Wszedłszy do odnowionego St. Cloud gani to wszystko, są to „komnaty dla wypieszczonej młodej damy; brak temu powagi.“

Nie jest od niczego zależny; ani pościel, ani jadło, ani oświetlenie nie musi być takie, a nie inne; nawet szczypta tabaki, którą ma zawsze w ręce, jest raczej zabawką. Jedyne rzeczy, bez których cesarz nie może się obyć, to ogień na kominku, gorące kąpiele, woda kolońska, Chambertin i dwukrotna codzień zmiana bielizny.

Józefina trwoni. Jej 700 sukien i 250 kapeluszy, które wykazuje spis zawartości szaf, jej kamienie, szale, fryzury kosztują miliony i choć cesarz pragnął, aby roztaczała przepych, którego on sam unika, patrzy jednak nieraz z ukosa na fantastyczne rachunki.

Również bracia i siostry trwonią. On daje im wszystko, oni zaś są niezadowoleni. Śmieszny wyścig zaczyna się między temi pięciu parami — bo Lucjan jest wygnany — i Józefina, której zbiorowo nienawidzą. Z sześciu wysokich dygnitarskich urzędów z bajecznemi płacami, cztery daje braciom, pasierbowi i szwagrowi Muratowi. Ponieważ bracia zostali Cesarskimi Wysokościami, podejmują siostry zbiorowy krok, by poskarżyć się na swe upośledzenie, bo oto Hortensja, żona

NAPOLEON

Ludwika, jest Cesarską Wysokością, one zaś „niczem.“ Wtedy on spogląda na nie i odpowiada istotnie historycznym dowcipem: „Słuchając was, możnaby sądzić, że Jego Cesarska Mość świętej pamięci nieboszczyk nasz ojciec zostawił nam koronę i państwo!“

Możnaby tak sądzić. Bo kiedy on ustępuje przez dobroduszość, która mu zresztą jest obca, kiedy przez długie lat dziesięć rozdaje godności i pieniądze, korony i kraje między to rodzeństwo, które mu nie dziękuje, nie słucha go i bródzi mu ciągle, zapytujemy się znowu, co **za** dziwne oslepiają go przesady. Duma jego jest zbyt wielka, by poufalić się, jego poczucie własnej godności zbyt samotne, jego karjera — zbyt bezprzykładna: motywy jego i tutaj trzeba poczęści wyczuwać niejasno, poczęści zimno rozważać.

Oczywiście wyobraźni tego półorientały pochlebia możność rozdawania teraz dżademów, jak dotąd darowywał szpady i tabakierki; ale jednocześnie rachmistrz ten stara się powierzać swe pieczęci tylko ludziom, na których może budować. Cóż jednak silniejszego nad krew? Nawet towarzyszom broni nie ufa tak, jak swoim, — a jednak dozna tylko niewdzięczności, by na końcu dowiedzieć się, że zdradza go własna siostra. Ponieważ w tym jedynym punkcie narusza zasadę równości, wybór najdzielniejszego, ponieważ powołuje braci i brataników na najwyższe urzędy i do dziedziczenia, przeto nie może im dać swobody działania, którą zresztą w ramach zlecenia pozostawia każdemu generałowi. Traktując ich jak wszechmocny minister, kierujący małoletnimi książętami, jątrzy ich i rozgorycza siebie i innych.

Już teraz Józef jest pełen szyderstwa, każe córce Cesarską Mość tytułować konsulem, rezonuje w kołach demokratycznych, wzbrania się zostać ministrem, bierze jednak dwa miliony apanażów, jako cesarzewicz i Luksemburg, który mu brat oddaje. Postawa ta ostatecznie doprowadza cesarza do pasji, powód jest drobny, ale wspaniale wybucha serce jego wściekłością; rzadko spotkać można ognistsze poczucie swej wartości po trudnem wzniesieniu się w górę, niż w tej poufnej skardze.

„Co Józefowi strzeliło do głowy? Czy myśli on, że poto został księciem, by przesiadywał z moimi nieprzyjaciółmi i w bru-

RZEKA

natnym fraku i okrągłym kapeluszu spacerował po Paryżu? Poświęciłem wszystkie swe osobiste uciechy, by zostać tem, czem jestem. Miałem równie dobrze, jak każdy inny, możliwość błyszczenia w towarzystwie! Mogłem równie dobrze, jak każdy inny, bawić się floretem, ale tem wszystkim nie można rządzić. Czyż myśli może spierać się ze mną o władzę? Ja mieszkam na skale!...

„Czy wie pan, co poważył się niedawno powiedzieć do mnie w obecności dwóch panów? Że nie należy żonę mą koronować, gdyż byłoby to sprzeczne z jego interesami; w ten sposób bowiem dawałoby się pierwszeństwo przed jego dziećmi dzieciom Ludwika, które stałyby się przez to wnukami cesarzowej! Waży się mówić o swoich prawach i interesach, wobec mnie! Jest to zranienie mnie w najczulszym punkcie! Mógłby równie dobrze powiedzieć, że spał z moją kochanką lub ma nadzieję uzyskać to od niej. Tak, moją kochanką jest władza! Zdobyć jej kosztowało mnie zbyt wiele, bym pozwolił ją sobie wydrzeć lub miał ją z kimś dzielić!“

Takie złomy wyrzuca z siebie wulkan, nagle, wśród rozmowy o błahych rzeczach. A jednak rozmowa to nie błaaha. Z goryczą mówi o rodzeństwie i przeciwstawia im Eugenjusza i Hortensję, „którzy zawsze stoją po mojej stronie i gdy matka ich trapi się, że podoba mi się jakaś ładna dziewczyna, mówią do niej: No, on jeszcze jest młodym człowiekiem, nie masz racji; oczywiście, posiada on błędy, ale pomyśl, jak wiele przecie zrobił nam dobrego.“

Ale nic nie przeszkadza mu ciągle posuwać braci naprzód. Józefa zmusza do wstąpienia do armji, gdyż ten wszystko inne odrzuca. „Niech zdobędzie stopień wojskowy, tęą ranę i dobrą sławę; dam mu tylko najłatwiejsze rzeczy do zrobienia; w ten sposób może wygrać bitwę, a wtedy stanie na czele wszystkich dowódców.“ Wygląda to na wychowywanie zwyrodniałego syna przez wielkiego ojca.

Ludwik upaja się wierszami, zostaje szefem gwardji cesarskiej, aby coś reprezentować, wolno mu jednak podczas wojny siedzieć w domu; Murat trwoni pieniądze z Karoliną, jada tylko na złocie, „ażeby zaś jego żonie, a mojej własnej siostrze coś wyłuszczyć, potrzeba mi mów dłuższych, niż w radzie państwa... Wiecznie myślą tylko o mojej śmierci!

NAPOLEON

Zła to rzecz, stawiać mi zawsze moją śmierć przed oczy... Gdybym nie znajdował odrobiny szczęścia w mem życiu domowym, byłbym bardzo nieszczęśliwy! Czemu podejrzewają ciągle moją żonę? Cóż ma ona więcej od nich? Ma djamenty i długi... Dobra to kobieta, nie zrobiła im nic złego! Chętnie bawi się trochę w cesarzową, klejnotami, sukniami, z upodobaniem właściwem jej latom. Nie byłem nigdy ślepy w miłości. Ale jestem sprawiedliwy; będzie koronowana, choćby mnie to kosztowało 200 000 ludzi!“

Tak walczy ciągle z rodziną, którąby mógł rozbić w puch, a z którą jednak nie może się rozstać.

Jedna tylko postać pozostaje nieprzekupna, nie żąda niczego i trzyma się zdała. „Matka nasza jest zdania, pisze Lucjan z Rzymu, że pierwszy konsul źle czyni, biorąc koronę Bourbonów, dręczą ją złe przecucia, których mi nie zwierza. Lęka się, że ludzie fanatyczni mogą cesarza zamordować.“ — Gdy dumna ta kobieta, piękna jeszcze w wieku lat 50-ciu, w przecuciu, które budzi w niej znajomość świata, trzyma się zdaleka, milczy i ostrzega w najciaśniejszym kole, w Tuilerjach łamią sobie głowy nad tem, jaki przyznać jej stopień i tytuł, czy ma siedzieć po prawicy cesarza, czy ma poprzedzać książąt. Potem wzywają „*Madame Mere*“ do Paryża.

Jednak ona nie słucha. Nie przybywa, używa pozorów, wreszcie energicznym rozkazem wezwana na koronację syna, rusza w drogę, podróżuje jednak bardzo powoli i nieobecna jest na największej uroczystości, jaką świat kiedykolwiek zaszczycił śmiertelniczkę-matkę. Ona słucha, czyta, o czem zdumiony świat rozgłasza wieści, jednak mówi tylko : „*Pourvou que cela dourel*“

IX.

Atoli jej opiekun, papież był uleglejszy i znajduje się już w drodze do Paryża. Cóż mu pozostawało innego? Wielmoża prosił, trzeba utrzymać go w dobrym nastroju konkordatowym. I czyż nie chodzi tu o ukoronowanie Włocha? „Ostatecznie — powiedział na rozstrzygającym konklawe jeden z kardynałów, — mamy to zadośćuczynienie, że mścimy się

RZEKA

na Galiach, pozwalając panować nad tymi barbarzyńcami włoskiej rodzinie.“ Tak bardzo uważany jest dziś jeszcze za cudzoziemca! Dlaczegoż jednak sam nie przyjeżdża do Rzymu? Jeśli nie dość mu było namaszczenia, o które od Karola Wielkiego starali się cesarze zachodu, — to pocóż mu papieża, skoro czuje się mocny w swym Paryżu?

I w tym względzie stara się połączyć nowe ze starem, przemilcza zrazu szczegóły i prosi papieża tylko „o nadanie namaszczeniu i ukoronowaniu pierwszego cesarza Francuzów najwyższej sankcji religijnej.“ Całemi tygodniami trwa wzajemna wymiana pism, tylko ceremonia pozostaje jeszcze ciemna.

Ze ściśniętym sercem, w niezbyt błogosławiącym nastroju, zbliża się do Paryża Pius VII, papież, który poraz pierwszy pozwolił się wezwać jak sławny lekarz. Gdy cesarz wita go u bramy miasta, nie widzi ojciec święty ani ugięcia kolana, ani ucałowania ręki, jako oznak poddania. Chwiejność wiary w tem sceptycznym mieście czyni go powściągliwym, okazują mu mało czci.

Tylko Józefina jest wcieloną pokorą: zwierza mu się, że nie jest poślubiona cesarzowi ślubem kościelnym, więc wedle rozumienia papieża jest niepoślubiona i stara się wyzyskać jedyną sposobność do takiej nierozzerwalnej formy małżeństwa, które jej, bezdzietnej, wydaje się zawsze niepewne. Tedy papież, o ile ją ma koronować, żąda ślubu i istotnie, na dwa dni przed uroczystością, stary wuj Fesch z Korsyki, odziany w purpurę, łączy w kaplicy zamkowej dwoje małżonków, którzy, osiem lat temu, aby się zejść, nie potrzebowali ani księdza, ani urzędników. Niema przytem żadnego świadka, nikogo, aby nikt nie mógł uśmiechnąć się z powodu tej komedji, w której zawsze jeden oszukuje drugiego, bo i wuj nie wie jeszcze, co będzie.

Dnia 2-go grudnia promienieje Notre-Dame od świec i klejnotów, zdaje się być raczej paradną salą, niż kościołem. Wszystko przygotowane zostało w ciągu tygodni, nawet berło Karola Wielkiego przedstawia cesarzowi chytry dyrektor muzeum w formie imitacji, bada się stare pergaminy z czasów Króla-Słońca, aby koronacja tego rewolucjonisty podobna była w każdym szczególe do prawowitej. Ségur wywiedział

NAPOLEON

się wszystkich nakazów etykiety, Isabey wypróbował cały ceremoniał na lalkach, stary zamek, Paryż, Francja wszystko przejęte jest gorączką.

Cesarz jest w dobrym humorze, rano przymierza sam żonie koronę. W wielkim orszaku jadą wszyscy do katedry. Okryty pewnego rodzaju antycznym płaszczem cesarskim kroczy on do głównego ołtarza, prowadząc cesarżową, która nie-miłe wrażenie chwili łagodzi swym wdziękiem. W kole kardynałów siedzi papież. Rozbrzmiewa modlitwa i organy.

Gdy nadeszła oznaczona chwila i wszyscy czekają na ukłonienie tego męża, którego nigdy żadne oko ludzkie nie widziało ugiętym, on, ku najwyższemu zdumieniu tysięcznych spojrzeń, ujmuje sam obręcz, odwraca się ku kościołowi plecyma do papieża i stojąc prosto, jak przez całe życie, koronuje się sam w obliczu Francji. Potem koronuje klęczącą żonę.

Tylko papież wiedział o tej jego woli i, zawiadomiony w ostatniej chwili, nie miał odwagi zagrozić wyjazdem. Teraz mógł tylko namaścić i pobłogosławić oboje grzeszników. Ale i korony chrześcijańskiej nie widzi na głowie cesarza, jeno mały pogański wieniec ze złotych liści wawrzynu. Wszyscy świadkowie tej sceny opowiadają, że był blady, lecz piękny, niby August, do którego rysów odtąd z mistyczną potęgą rysy jego zaczynają się upodobniać.

Tak to Napoleon w tej symbolicznej godzinie obrócił w szyderstwo wszystkie prawowite formy, które naśladował i ośmieszył papieża, który mu tego nigdy nie darował. Naraz rozwiewają się burbońskie obłoki, znika posmak naśladownictwa i parodji i na stopniach świątyni staje rzymski cesarz-żołnierz, którego przed tuzinem lat nikt nie znał, który potem nie dokonał żadnych cudów, tylko czynów i który złotym laurem tych czynów teraz sam się koronuje. Ale płaszcz jego zdobi ałota pszczoła, symbol czynności.

Że w dniu tym przepełniało go tylko poczucie samotwórczego losu ludzkiego, o tem świadczy kilka refleksów.

Gdy siedział na tronie, ozdobionym jego literą N., z wawrzynem na głowie, naprzeciw papieża, rzekł do stojącego obok brata, tak cicho, że tylko on mógł słyszeć: „Józefie, gdyby to ojciec nasz widział!“ Słowo to, przejmujące do głębi w tej chwili, gdyż zresztą nigdy nie mówił o ojcu, przenika głęboko

wstecz w mrok natury; pełna prostota, naturalna niewinność jego kariery zwraca jego myśli właśnie teraz ku początkowi; wspomnienia walk rodowych na wyspie, dumy i ambicji rodzin, każą mu pamiętać dziś o pniu, z którego wyrósł.

Pragnie on zawsze rzeczy samej, nie pozorów, to też i ta zdumiewająca godzina nie onieśmiela go, gdyż pragnąc szepnąć coś wujowi-kardynałowi, który przy mszy stoi tuż przed nim, trąca go berłem lekko w plecy, — i gdy wszystko skończone i on sam z Józefiną idzie do stołu, mówi z ulgą: „Chwała Bogu, że już po wszystkim! Wolałbym być dzień bitwy!“ Potem każe jej przy ich skromnym obiedzie zachować koronę na głowie, jakby byli poetą i aktorką, gdyż uroczym przedstawią mu się jego mała kreolka, jako cesarzowa. Temi naturalnymi gestami demaskuje całą maskaradę i z ulgą patrzymy, jak syn rewolucji wyśmiewa swe własne cesarstwo.

Ale jak potężnie oświeśla tę wolność, przemawiającą z tych drobnych rzeczy, wyznanie, w którym on tego wieczora wobec jednego z zaufanych czyni sceptycznie-patetyczny rachunek: „Nie, mój Decrés, zapóźno przyszedłem na świat, nie ma już nic wielkiego do zrobienia... Przyznaję, że odbyłem piękną drogę, ale jakaż to różnica w porównaniu z dawnymi czasami! Weźmy na przykład Aleksandra! Zdobywszy Azję, ogłasza się synem Jowisza, i cały Wschód wierzy w to, z wyjątkiem jego matki, Arystotelesa i kilku pedantów ateńskich. Gdybym dziś ogłosił się synem Ojca przedwiecznego, wygwizdałaby mnie każda przekupka ryb! Niema już nic wielkiego do zrobienia.“

Powiedziane to było w kilka godzin po koronacji cesarskiej, szczerze i słusznie. Czy zrozumiecie teraz, co ciągnęło go stale na wschód i znowu ciągnąć będzie? Ponad wszelką miarę obsypana i obarczona łaskami jest ta dusza; nic nie może wystarczyć jego dążeniu, odkąd poznał, jak łatwo ludzie słuchają tego, kto sztuką i czynem zdobywa sobie posłuch. Cóż jego, najsilniejszego, obchodzi oświecenie Voltaire'a, co Rousseau! Jakże może życzyć sobie ludowładztwa, demokracji, skoro zna słabość jej instynktów i całą nieczystość jej przewodców! Rozprzestrzeniać się, nieść swoje imię coraz dalej i dalej, pozostawić po sobie w księdze dziejów więcej, niż owe pół strony, o której mówił jeszcze przed paru laty,

NAPOLEON

małym, złotym listkom na głowie poświęcić życie, pozbawione rozkoszy, wczasu, wytchnienia: oto wszystko, dla czego jeszcze warto żyć.

Gdy w tych dniach przedstawiają mu projekt pieczęci cesarskiej, na której widzi spoczywającego lwa, przekreśla rysunek i pisze na boku własnoręcznie: „Orzeł w locie.“

X.

Ale z niesamowitą mocą wydziela się z kręgu złotej obręczy niebezpieczny fluid uczucia: „My z łaski bożej“ i roztacza swe fale wokół mózgu wybranego męża. Daremnie stara się on inaczej tłumaczyć i wyszydzać moc tysiącoleci nagromadzoną w tej koronie: opanowywa go ona i będzie go, choć tylko czasami, wypierała z jego samotwórczego państwa. Gdy w pół roku po owej uroczystości wkłada sobie w Medjolanie na głowę żelazną koronę Lombardów — gdyż wraz z Republiką francuską pragnie i państwa kresowe zmienić w monarchję, — wówczas wygłasza grzmiącym głosem w tumie starą formułę Karolingów: „Bóg mi ją daje. Biada temu, kto się jej tknie!“ Tu wygłasza tylko polityk to, w co nie wierzy i słusznie czyni. Ale nigdy nie będzie umiał z równą świeżością rozwiązać wyczuwanej sprzeczności, jak w Notre-Dame.

Przedewszystkiem nowe położenie wymaga nowych pęt dla ducha. Ministerjum policji zostaje nietylko wznowione, ale Francja jest podzielona na cztery odcinki, w których najwierniejsi radcowie stanu przy pomocy armji agentów czuwają nad nastrojem kraju, gdyż pragnie on „posiadać statystykę moralną.“ Na czele stawia znowu Fouché'go, a jako że i Talleyrand osnuwa go coraz ciaśniejszemi węzły, cesarz wpada w sidła obu wielkich intrygantów, których podwójną grę między Bonapartym i Bourbonem zna i napróżno stara się unicestwić drugim systemem strażników nad strażnikami.

Niemielemi postaciami są ci dwaj eks-księża, których on nienawidzi, którzy jego nienawidzą, i których jednak w całej karjerze pozbyć się nie może. Fouché, z głową nic nie mówiącą o wieku i rodzinie, jest bladey, zimny, pergaminowy, niemy

RZEKA

i gdy pod przesywającymi oczyma kołysze się na jego piersi cała mizerja orderów i koronek, to wydaje się on mumją w stroju dworskim.

Talleyrand nie sprzeniewierza się w niczem staremu szlacheństwu, na kulawca lecą najpiękniejsze kobiety; posiada on czar kuli, która ciągle się toczy, wszędzie jest jej szczytowy punkt życia, żadne miejsce jej powierzchni nie oznacza góry, gdyż każde jest górą stosownie do jej położenia. Twierdzenie, że pana swego zdradzał tylko gwoli Francji, osłabia jego niezmierna chciwość i przekupność. Na razie służy mu jeszcze, atoli nie ufają sobie wzajem już od początku. Jeden jedyny raz poświęcił Talleyrand coś dla Napoleona: pewnego wieczoru cesarz podczas podróży omawiał z nim sprawy, leżąc w łóżku i gdy nagle zasnął, minister siedział aż do rana na krześle, rzekomo dlatego, aby go nie zbudzić. Atoli taki rys oddania i współczucia jest całej istocie jego tak obcy, że za motyw wziąć można ciekawość znawcy człowieka i wolno go posądzić o to, iż miał nadzieję, że może uda mu się złapać marzącego na czemś nieznanem.

Ale Napoleon nie marzy nigdy. Ponieważ gardzi ludźmi i nigdzie nie uznaje przystojnych pobudek, musi przez całe życie potężną ilość dzielności obracać na usypianie niebezpiecznych nerwów w ciele społecznem podarunkami lub na niszczenie ich karami.

Po kilkanaście razy każdego roku pada nazwisko pani Staël, której osobę i dzieło on usuwa z Paryża z zaciętością, graniczącą z podziwem. A jednak ta sama kobieta powiedziała o nim: „Gdy przemawia do kobiet, wzrok jego nabiera nieskończonej delikatności.“ W całej Europie odpadają teraz odeń szermierze wolności duchowej: lord Byron, który mu złożył hołd, Beethoven, który cofa dedykację swej Symfonji heroicznej i z niemile sprzecznymi uczuciami musiał cesarz czytać hołd zwariowanego cesarza Pawła, który już pierwszego konsula chwalił jako tłumiciela rewolucji.

Od czasów Marengo usiłowania jego zmierzają do pokoju na kontynencie: przez cztery lata utrzymywał go wszelkimi sposobami, teraz monarchia miała przegnać ostatni gniew zjednoczonych książąt, duchowo zawsze jeszcze wrogich Francji, zwłaszcza gdy w rachuby jego weszła śmierć dwóch

NAPOLEON

mężów. Car został zamordowany i po tym wrogu Anglii nastąpił młody, idealistycznie usposobiony syn, wychowany przez oświecicieli francuskich, sprzyjający demokracji, jako idei, miękki, niejasny, pragnący lepszym zostać władcą; to też młody Aleksander porozumiał się z Anglią, gdzie po krótkim rządzeniu i po śmierci Fox'a, przelotne dążenie do pokoju ustąpiło starej zazdrości względem Francji. Anglja nie opróżniwszy spornej Malty i postawiwszy nagle nowe warunki dodatkowe, złamała pierwszą pokój. Na nowo grozi pod kierownictwem Anglii koalicja Europy, która pragnęła Bourbonom dopomóc do odzyskania władzy, gdyż wyniesienie się talentu dawało niebezpieczny przykład ich własnym ludom.

Toteż na rok przed koronacją zaczyna się na nowo wojna z Anglią i skończy się dopiero z końcem Napoleona. Nie jest to wyprawa, raczej stan wojenny, jako taki właśnie dla tego wodza niemożliwy do rozstrzygnięcia i ukończenia. Anglja ma pod dwoma względami wyższość nad swymi współzawodnikami, zwłaszcza zaś nad Francją: jest wyspą i znajduje się wszędzie. W niej to zawsze czujny zmysł historyczny Napoleona widzi nowe państwo Aleksandra, które także z wysp i półwyspów ojczystych rozpościerało się ku Azji i Afryce, dopóty nienaruszalne, dopóki tworzyło całość; o nią rozbija się wyobraźnia tego nowego orjentały.

O nią rozbijają się też obliczenia rachmistrza. Jeśli bowiem w dniu bitwy pod Abukirem przewidywał dziesięć lat dla odbudowania floty francuskiej, to do dnia tego minęło ledwo lat pięć, potęga zaś Anglii tymczasem wzrosła. Podczas krótkiego pokoju przewieziono na okrętach angielskich wojska nieudanej wyprawy egipskiej do ojczyzny, przyznano Anglii Przylądek i inne kolonje, we własnym jednak kraju obracano wszystkie siły na cele pilniejsze, niż nowa flota.

I czemże w gruncie rzeczy był dla cesarza okręt! Że był mocen dosłownie narysować działo i odlać, każdą śrubę sam zastąpić, każde koło i każdy dyszel bagażowego wozu sam naprawić; że czas i koszt nowego podkucia szwadronu znał równie dokładnie, jak zdolność wytwórczą piekarni polowej: to właśnie dawało mu przewagę rzeczową, podtrzymywało wszędzie obawę przed kontrolą, którą podejmował każdej

RZEKA

chwili na papierze i w polu, podtrzymywało zarazem szacunek dla przestronnej wiedzy szefa i zapewniało mu ściśle przeprowadzenie wszystkich wojskowych planów.

Z okrętem jednak trzeba się zrość, jak z armatą, a choć admirałowie opowiadają ze zdumieniem, jak szybko i w tej dziedzinie orjentował się, pytając i rozkazując, to jednak w sędzie tym tkwi krytyczna życzliwość fachowca dla genialnego dyletanta. On wie o tem, a ponieważ brak mu wielkiego admirała niemniej jak wielkiej floty, on zaś aż dotąd nie oddał nigdy żadnej wyprawy w ręce innego, więc wynajduje nowy rodzaj wojny, by Anglję jednak pobić: pragnie wybrzeże od Hamburga aż do Tarentu zamknąć dla okrętów angielskich i w ten sposób w wojnie handlowej zniszczyć naród handlowy. Jednocześnie myśli znów o inwazji, bo dopiero uzyskawszy grunt na wyspie, uczułyby się znów wodzem, to znaczy dosłownie w swoim żywiole.

Znowu, jak przed wyprawą do Egiptu, studjuje teraz w Boulogne możliwości odjazdu i wylądowania i choć żaden z owych ognistych obrazów, w których podoba sobie jego wyobraźnia i zwycięża jego sztuka liczenia, choć żadna z jego bitew nie przedstawiała mu się nigdy jako malowidło, tutaj nad morzem staje się on raczej amatorem, niż fachowcem, poraz pierwszy platonicznym obserwatorem. Wśród całego zasobu jego listów poufnych niema ani jednego zdania, pokrewnego temu, jakie pisze z wybrzeża do Józefiny, gdy w nocy podczas burzy zerwała się z kotwicy kanonierka: „Było to wspaniałe widowisko: strzały na alarm, ogniami obozowemi pokryte wybrzeże, wściekłe, pieniające się morze i ludzie miotani przez całą noc niepewnością i trwogą! Lecz między wiecznością, oceanem i nocą unosił się dobry duch: wszyscy zostali uratowani i położyłem się spać z uczuciem, że przeżyłem romantyczno-epicki sen — sytuację, w której mógłbym być mniemać, że jestem zupełnie sam.“

Co za widowisko, ale też tylko widowisko! Głószy jakby oszajcane wybuchają tu pierwszy raz po piętnastu latach z jego duszy. Napoleon staje się romantyczny. Jakże przejmujący i znamieny jest dopisek tego artysty, który naraz czuje się ograbiony z twego materiału, z ludzi i zda się bać trochę — czego można się Ukko dotłuchać — tego nieznanego staaii, że j«et zupełnie sam.

NAPOLEON

Obcy żywioł kusi go do błędu. Gdy mimo nadciągającej burzy zarządza przegląd floty, admirał Bruix wzbrania się go przygotować, cesarz wraca, nic nie zastaje, wzywa admirała: przerażająca scena!

„Czemu nie spełnił pan mego rozkazu?”

— Wasza Cesarska Mość wszak widzi, co się dzieje: czyż wobec takiej pogody można narażać niepotrzebnie życie dzielnych ludzi?

Cesarz zbladł w kole zdrętwiałych oficerów:

„Panie, wydałem rozkaz. Skutki nic pana nie obchodzą. Słuchać!”

— Sire, nie mogę usłuchać.

Straszliwa pauza. Cesarz chodzi tam i sam, z szpicrutą w groźnie zaciśniętej ręce, i choć jej nie podniósł, admirał cofa się o krok, kładąc dłoń na rękojeści szpady. Skamieniała grupa.

„Opuści pan w ciągu 24 godzin Boulogne i wyjedzie do Holandji. Konradmirale Magon, wykona pan nakazany manewr.“

Parada floty, wichura, burza, dwadzieścia szalup przewraca się, walka marynarzy z falami. Cesarz wskakuje do pierwszej łodzi, by ratować, wszyscy idą za jego przykładem. Nazajutrz morze wyrzuca 200 trupów na brzeg ojczysty.

Wypadek, jedyny w życiu Napoleona, jako błąd, jako okrucieństwo, jako nieposłuch oficera, jest ostrzegającym symptomem. Ale jest i znak trzeci.

Rok przedtem przybył do Paryża wynalazca angielski i zaoferował marynarce dwa nowe modele: okręt poruszany parą, zamiast wiatru i wiosła, i łódź podwodną ostrzeliwującą nieprzyjaciela pewnego rodzaju torpedą. „To szarlatan!” powiada Napoleon o Fultonie, robiącym próby na Sekwanie i rzuca całą sprawę w ką. Gdyby przedstawiono mu model działu zenitowego, albo telegrafu polnego, byłby kupił tego człowieka.

Napoleon nie zwycięży Anglii, gdyż na tym jedynym punkcie brakło mu wiary w zwycięstwo; musiało jej braknąć, gdyż jego samopoczucie na tym jednym punkcie nie było władcze,

RZEKA

gdyż tłumiała je własna rzeczowa niepewność i miejscowa niedosiężność nieprzyjaciela. Ba, na lądzie! Gdyby można było tę wyspę pochwycić na lądzie! Przeto wyraża znów teraz, jak przed pięciu laty, zamiar wyruszenia później przez Herat do Indyj. Ale do tego potrzeba spokoju i czasu.

Na razie pragnie tylko utrzymać pokój, którego od lat wymagają jego władza i sztuka. Zaraz po koronacji pisze w tej myśli jednego dnia do sześciu królów, do każdego wedle jego charakteru, obliczając wrażenie aż do szczegółów stylu i podpisu. Oto czytamy w piśmie do szacha perskiego:

„Z mej szerokiej sławy wiadomo Ci zapewne, kim jestem i co zdołałem, jak wyniosłem Francję ponad wszystkie ludy zachodu, jak interesuję się książętami wschodu... Orjentalowie są pełni odwagi i ducha, ale nieznanostwo pewnych sztuk i zaniedbanie dyscypliny stawia ich wobec żołnierzy północnych w gorszym położeniu... Napisz mi o swych życzeniach, a odnowimy nasze przyjacielskie i handlowe stosunki... Dan w moim cesarskim pałacu Tuileryj... w pierwszym roku mego panowania. Napoleon“. We wschodnim nagłówku jednak znajduje się tytuł, który nigdy nie istniał i który ma jasno stwierdzić tylko jego tożsamość ze sławnym generałem z Egiptu, gdyż czytamy tam: „Bonaparte, cesarz Francuzów.“

Obok pisma tego widzimy list do króla Anglii, wysłany w toku wojny, godny podziwu w swej sztuce wzruszania i jednocześnie politykowania: „Czyż taka ilość krwi, przelanej bez jakiegokolwiek celu, nie oskarża sumienia rządów? Nie hańbi mnie uczynienie pierwszego kroku. Sądzę, iż dowiodłem światu, że nie boję się wojny i jej kaprysów. Serce me wprowadzie tęskni do pokoju, jednakże wojna nie stała nigdy na przeszkodzie mej sławie. Zaklinam Waszą Królewską Mość, by nie pozbawiał się szczęścia obdarzenia świata znowu pokojem! Proszę nie zostawiać tego cennego zadośćuczynienia swym dzieciom! Nigdy chwila nie sprzyjała bardziej uciszeniu wszelkich namietności. Gdy minie, dokąd doprowadzi wojna? Wasza Królewska Mość zyskał w ostatnim dziesięcioleciu więcej obszarów i skarbów, niż posiada cała Europa. Czegóż W. K. M. może jeszcze oczekiwać po wojnie!“

Jakżeby sam się uśmiechnął, gdyby przeciwnik równym prawem przeciwstawił mu ostatni argument! Toteż apel

NAPOLEON

pozostaje bezowocny, ani Anglja ani kontynent nie chcą cierpieć tej władzy, ani jej parwenjusza cesarza, znów grozi nowe, czwarte przymierze książąt przeciw republice.

Po latach pokojowych, w których czuł się względnie zadowolony, często nawet wesoły w Malmaison, jak opowiadają jego bliscy, musi nanowo się zbroić i uznać z rezygnacją, że „natura i siła rzeczy każe dalej prowadzić tę walkę przeszłości z przyszłością, gdyż ta ciągła koalicja naszych przeciwników zmusza nas pobić ją, by nie być zniszczonymi“. Jest to prawda, bez pychy i goryczy: on sam o ile nie stworzył tej natury rzeczy, to ją utwierdził, gdyż jeśli pierwsza za rewolucji wojna Francji była tylko obroną kraju przeciw królom, to następne wojny stały się, dzięki waleczności tej armji ludowej i genjuszowi jej wodzów, same przez się wojnami adobyczem.

Jeśli jednak jest się wyzwanym przez dwakroć powalonych przeciwników, — jakież dziw, że plany realne, nadążające zawsze tylko z daleka nieograniczonej wyobraźni, same zaczynają rozszerzać granice! W tem stuleciu i tu na zachodzie byłby cesarz utrzymał spokój przez dalsze dziesięciolecie, by może w Azji zmierzyć się z Anglją; dopiero gdy ciągła myśl Europy o odwecie zaczyna go bóść, powstaje w nim plan państwa europejskiego. Podjęte tu będzie porażenie i po dziś dzieła ostatni dzieło najwyższej, zbawczej mocy i runie!

Najwyższa myśl polityczna Napoleona wypływa więc z obrony osobistej. Teraz, gdy tworzy się nowa przeciw niemu grupa, zmienia się porażenie pierwszy jego ideał: przed duszą jego oczyma, które przez długie lata widziały tylko postać Aleksandra, wynurza się Karol Wielki. W uroczystym pochodzie odwiedza cesarz w Akwizgranie jego grób. „Nie będzie prędy spokoju w Europie, powiada wówczas do zaufanych, dopóki nie znajdzie się ona pod jednym naczelnym zwierzchnikiem, pod cesarzem, który będzie zaliczał królów do swych urzędników i swym generałom wyznaczał królestwa ... nadając wszystkim jednocześnie urzędy dworskie. Jeśli uzna się ten plan za naśladownictwo starego ustroju państwowego, — to trudno, niema nic bezwzględnie nowego!“

RZEKA

To powolne przesunięcie się jego ideału, zasilane natchmiasz wyobraźnią historyczną, ma niezmierzone skutki. Gdyż właśnie dlatego, że to dążenie Karolingów oznacza dlań już wyrzeczenie, śpieszy ku niemu, jakby chodziło o prowincję. Ten pośpiech, z jakim stara się skupić razem państwo Karola Wielkiego, jest w nim nowością i świadczy o gorączce, która gna go do nowych celów, przed osiągnięciem dawnych.

XI.

Na północy stoi od wiosny jego armja, gotowa do owego wiecznie odkładanego lądowania w Anglii. Gdy teraz w jesieni nowe natarcie Austrii stają się zagrażającą pewnością, odwraca ruchem postanowionym w dwóch dniach, przeprowadzonym w dwóch tygodniach, całe wojsko na wschód i przebywa Ren szybciej, niż dociera wieść o jego pierwszym poruszeniu. Wyruszając z wybrzeża dyktuje Daru'owi całkowity plan przeciw Austrii; „porządek i trwanie marszów, punkty zetknięcia się kolumn, natarcia, poruszenia i błędy nieprzyjaciela, wszystko to przewidział w tym dyktacie na dwa miesiące przedtem i z odległości 200 mil.“

Austria miała dość powodów do ruszenia się. Na gałce berła, które dzierzył nowy król Włoch, wyryty był lew we-necki; to i odebranie Genui było groźnem ostrzeżeniem Habsburga, by nie ważył się poraz trzeci przechodzić Alp. Tym razem musiał szukać rozstrzygnięcia tylko w Niemczech. Anglja nie szczędziła pieniędzy i w końcu nieprzejrzana potęga Rosji znalazła się znowu w przymierzu, jak wówczas, gdy Bonaparte bawił w Egipcie, a koalicja zwyciężała. Nowy car zdawał się mocno zdecydowany rozwiązać stare uprzedzenie Europy do Rosji i zmieniając rolę, wydobył miecz przeciw tyranowi zachodu. Znana też jest już teraz bitewna technika Napoleona: tym razem pobije się go jego własnym systemem.

Ale genjusz nosi w piersi nowe metody zwycięstwa. W lotnych marszach obchodzi Austryjaka, zanim ten mógł się jeszcze dobrze zorjentować, zamyka go w Ulm swym żelaznym pierścieniem i zmusza do kapitulacji całą armję, której nawet

NAPOLEON

jeszcze nie dopuścił do strzału. „Osiągnąłem swój cel, zniszczyłem armję austriacką zwykłemi marszami. Teraz zwrócić się przeciw Rosjanom. Są zgubieni“.

Ton stał się skąpszy, jak to zwykle dzieje się z biegiem powodzenia. „Wysilałem się więcej, niż było trzeba, przez tydzień byłem co dzień mokry do nitki i marzłem w nogi.“ Wśród kapiących od złota marszałków, którzy pierwszy raz pokazują się obczyźnie w swym przepychu, on sam, przyjmując kapitulację twierdzy Ulm, stoi przy ogniu obozowym w uniformie zwykłego żołnierza, w szarym, na łokciach i na połach osmalonym płaszczu, w pognieconym kapeluszu bez kokardy, z rękoma założonemi na plecach. Niema na nim ani śladu purpury.

Znowu, jak w dzień bitwy pod Marengo, ofiarowuje pokój, posyła jeden z owych osobistych listów ostrzegawczych do pobitego cesarza, znowu z tą szczerością, która irytuje dyplomatów europejskich: „Zrozumie W. C. M., że mam prawo i słusność, jeśli korzystam ze swego szczęścia i wraz z pokojem zastrzegam sobie rękojmię przeciw czwartej koalicji z Anglją... Każdej chwili byłbym szczęśliwy, mogąc spokój swych ludów złączyć z przyjaźnią W. C. M., której niech wolno mi będzie spodziewać się, mimo wielką ilość i siłę mych wrogów w pańskim otoczeniu.“ Jednocześnie maszeruje na Wiedeń.

Nagle wśród pośpiesznego pochodu uderza weń cios: w dwa dni po jego zwycięstwie na lądzie, — jak dowiaduje się teraz, — Anglja zniszczyła pod Trafalgarem flotę niemal zupełnie, 18 okrętów straconych, Nelson padł, admirał francuski w rękach nieprzyjaciela. Czyż ma się powtórzyć godzina, gdy zaskoczyła go wśród pustyni wieść o klęsce pod Abukirem? Odwagi! Wówczas położenie było stokrotnie cięższe. Dziś nie dzieli nas żadne morze od Paryża, nie potrzeba nam okrętów. I ze zdwojonym pośpiechem maszeruje na Wiedeń, który nieprzyjaciel oddaje mu bez bitwy.

Ale na wieść o Trafalgarze Franciszek umacnia się w sobie, Aleksander jeszcze bardziej, obaj zabiegają o Prusy, to przeciąga układy, napróżno Napoleon stara się olśnić cara przyrzeczeniem Turcji, w Brnie bawią się w chowanego, przyczem jeden stara się omamić drugiego i zdezawuowany jest przez

RZEKA

własnego pełnomocnika. Jedynie cesarz improwizuje ideę polityczną: na dwa dni przed przygotowującą się, rozstrzygającą bitwą, pisze do Talleyranda, układającego się w Brnie:

„Byłbym skłonny pozostawić Wenecję elektorowi salzburkiemu, a Salzburg domowi austriackiemu. Wezmę Veronę... dla królestwa włoskiego... a elektor mógłby się też zwać królem Wenecji, jeśli ma ochotę...

„Elektorstwo bawarskie zostałyby wyniesione do godności królestwa... Oddam artylerję, magazyny i twierdze, niech mi zapłacą tylko pięć milionów... Jutro nastąpi prawdopodobnie bardzo poważna bitwa z Rosjanami. Zrobiłem wszystko, by jej uniknąć, gdyż jest to niepotrzebny rozlew krwi. Wymieniłem z carem kilka listów i przekonałem się z nich, że jest to dzielny człowiek, tylko wprowadzony w błąd... Niech pan napisze do Paryża, ale nie o bitwie, to zaniepokoiłoby mą żonę. Niech pan sam będzie spokojny, znajduję się w silnym położeniu i żałuję tylko niepotrzebego prawie rozlewu krwi, którą kosztować będzie bitwa... Napisz pan do domu, biwakuję od czterech dni w obozie mych grenadierów i piszę tylko na kolanie, dlatego też nie mogę wysłać dużo listów.“

Taki jest nastrój cesarza na dzień przed jego najsławniejszym zwycięstwem. Obliczając na mapie każdą wieś morawską, szerokość każdego strumienia, stan każdej drogi i walcząc przeciw zimnu przy ogniu obozowym swej gwardji, myśli o ministrach w Paryżu, czekających na jego rozkazy, o żonie mogącej się niepokoić, jednocześnie szkicuje przy ognisku, w przeciągu pół godziny, nowy plan obrony czterech czy pięciu państw, kilku nowych koron, odszkodowania wojennego i twierdz, wszystko to oświetla blado dwukrotnie akcentowana skarga na daremny rozlew krwi, niby słońce dnia grudniowego, które właśnie wstaje. Czyż dziw, że taki człowiek bije prawowitych książąt, którzy tymczasem siedzą przy uczcie dworskiej?

Dowiadując się wieczorem o ruchu nieprzyjaciela, klaszcze w dłonie i woła, jak podaje jego adjutant, „drząc z radości“ „Wpadają w sidła! Wydają się na łup! Do jutra wieczorem armja ta będzie zniszczona!“

NAPOLEON

Potem siedzi w chacie chłopskiej z swym sztabem, je, zostaje wbrew przyzwyczajeniu po obiedzie przy stole, pobudzony, zamyślony: mówi długo o istocie tragedji. Potem przechodzi do Egiptu: „Wtedy, ba, — gdybym wtedy zdobył Akkon, włożyłbym sobie turban na głowę, ubrał wielką mą armję w szerokie spodnie, narażając ją tylko w najkonieczniejszym wypadku, uczyniłbym z niej mych nieśmiertelnych, święty bataljon. Wojnę z Turcją skończyłbym przy pomocy Arabów. Greków i Ormjan. Zamiast bitwy w Morawji wygrałbym bitwę pod Issusem: byłbym został cesarzem wschodu i przez Konstantynopol wrócił do Paryża.“ Ostatnie słowa, pisze świadek, wygłaszał z uśmiechem, jakby chciał zaznaczyć, że dał się porwać jednemu z swych snów.

Czy scena ta nie jest sama snem? Czyż istotnie sto lat minęło dopiero, odkąd śmiertelnik pędem półboga przemknął przez nowoczesną Europę i narzucił jej swe własne rysy? Czyż wszystko to nie pochodzi z czasów homeryckich, gdy pojedynek dwóch książąt rozstrzygał o losie pokoleń? Zupełnie jak w naszych książkach dziecinnych, siedzi w stęchłej lepiance, na nieznaney równinie, niski, trzydziestokilkaletni mężczyzna, w zasmolonym surducie, w lepkiej koszuli, wkłada kilka kartofli z cebulą w głodne usta i kiedy zamierza naza-jutrz jedną bitwą wskrzesić na nowo cesarstwo Karola Wielkiego, które spało lat tysiąc, niezmierna wyobraźnia jego sięga wstecz w pustynie Azji, gdzie legła mu w drodze kupa kamieni, — chwyta się tamtego, nieudanego planu i marzycielskimi myślami podąża za postacią Macedończyka aż do Gangesu.

Świta: rok temu, na stopniach ołtarza w Notre-Dame kładł sobie na czoło złoty wawrzyn. W płomiennej proklamacji przypomina swym wojskom ów dzień i kończy obietnicą, że dziś nie będzie narażał się na ogień.

Nigdy przedtem historia nie zapisała takiego słowa wodza: wszyscy pochopnie zapewniali, że będą na czele armji uragać śmierci. Napoleon, z dwudziestu bitew znany dobrze grenadierowi, który widzi w nim jedyne, przez szczęście wybranego wodza, waży się pierwszy ofiarowywać ludziom jako nagrodę szczedzenie swej własnej osoby.

Potem bije cesarz swych obu wrogów i darzy pustą nieznaną równinę na lat tysiąc sławą swego imienia: równinę Austerlitz.

RZEKA

„Żołnierze! — woła nazajutrz do zwycięzców, jestem z was zadowolony. Zwijcie swe dzieci mem imieniem, a jeśli które z nich okaże się nas godnem, to przekażę mu swą własność i ogłoszę je moim następcą!“ Oto stary patos dla armji. Do żony pisze całkiem prosto: „Pobiłem armję rosyjską i austriacką. Jestem trochę zmęczony, tydzień biwakowałem pod gołem niebem, wśród bardzo chłodnych nocy. Dziś leżę w łóżku, w bardzo pięknym pałacu księcia Kaunitza, włożyłem czystą koszulę, pierwszą od tygodnia... i mam zamiar po spać z dwie, trzy godziny.“

Tak poprostu odbyło się to legendarne zdarzenie i tylko nową pieśnią w tej rapsodji jest fakt, że, gdy nazajutrz pobity cesarz niemiecki prosi małego porucznika z Korsyki o rozmowę w zaniku swego hrabiego, szybki, wiecznie galopujący mały pędziwiatr jest już daleko i teraz przyjmuje go w wiatraku, wychodzi dwornie na jego spotkanie i mówi: „Niestety, Sire, muszę go przyjąć w tym jedynym pałacu, jaki zamieszkuje od dwóch miesięcy.“ Co za samopoczucie żołnierza wobec dziedzica, co za pełne wdzięku szyderstwo w ustach męża, czującego za sobą swój pałac w stolicy, która na wieść o olbrzymiem zwycięstwie niebawem napełni się chorągwiami i pieśniami.

Ale wytworny dziedzic, o starym subtelnym rozumie, zgrabnie paruje, gdyż odpowiada: „Sire ciągnie z tego takie zyski, że Mu tu chyba podobać się musi.“ Uśmiechają się do siebie obaj i badają się wzajem z boku, gdyż dotąd walczyli z sobą lat dziesięć, ale nigdy nie widzieli się na oczy. Obaj w równym wieku, obaj w połowie trzeciego dziesiątka lat życia doszli do władzy, tylko biegunowo różnemi drogami, — a jednak żaden z nich nie przeczuwa w tej chwili, jak zbliży ich kiedyś z sobą i jak oddali od siebie żądza pokoju jednego i żądza zemsty drugiego.

„Wczoraj miałem u siebie na biwaku cesarza niemieckiego, gawędziliśmy dwie godziny... Odwołał się do mej wspa-
niałości. Ja jednak broniłem się, a ten rodzaj walki nie był dla mnie trudny... Postanowiliśmy zgodnie bardzo szybko zawrzeć pokój... Bitwa pod Austerlitz jest najpiękniejsza z wszystkich mych walk. 45 chorągwi, przeszło 150 dział, sztandar gwardji rosyjskiej, 20 generałów, 30 000

NAPOLEON

jeńców, przeszło 20 000 zabitych: straszliwe widowisko!“ Czyż kiedykolwiek dumny okrzyk zwycięzcy kończył się osobiwiej? Z jaką rozkoszą on pławi się w liczbach — i nagle zjawiają się zabiści! A jednak odtąd zaczynają się mnożyć i to w bardzo odczutyh, prostyh formach, przytłumione głosy o przelewie krwi.

W układach pokojowych walczy minister przeciw swemu panu: „Jak łatwo, pisze mu Talleyrand już nazajutrz po bitwie pod Austerlitz, byłoby teraz zniszczyć Habsburgów. Wzmocnijmy ich raczej, dajmy im silne stanowisko w systemie Francji!“ Ale cesarz wymusza pokój w Preszburgu, w którym państwo niemieckie zostaje rozbite, Austria znika z Niemiec i Włoch. Co przywiduje mu się w duchu?

Europa: związek państw pod przewodnictwem Francji. Rosja jest Azją, Anglja jest wyspą na morzu. Kontynent trzeba zjednoczyć, jako średnie i mniejsze państwa, uszeregowane w sposób demokratyczny, pod orłami Francji. Tu, po bitwie pod Austerlitz, przybiera nowy pomysł określone formy: najwyższy cel Europejczyka, zjednoczenie Europy, leży odtąd w jego mocy.

Z ideą tą nie wyruszył sam, jak wszystko, co on potęgował, naprowadziły mu ją okoliczności. Wojen, które przywiodły go na próg tej nowej myśli, nie prowokował, od czasu Marengo pragnął pokoju. Nie można było wówczas spodziewać się po Austrii, by go przyjęła. Wznawiając atak, postępowała logicznie w swym prawowitym kierunku: Habsburg i rewolucja nie mogli w Europie rządzić obok siebie. Austerlitz rozstrzygnęło porażkę drugi ten spór. Teraz następczała się możliwość ponownego złączenia zmartwychwstałej Europy Karola Wielkiego. Ale ani króle i cesarze, którzy byli tylko pokonani, nie zaś przekonani, ani on sam, który wszystko zdobywał mieczem, a nie przekonaniem, nie mogli kroczyć drogą ducha ku zjednoczeniu Europy. Stosownie do własnej przeszłości był Napoleon zmuszony stworzyć te Stany Zjednoczone przemocą. Dopiero w dziesięć lat później zrozumiał, jak fałszywymi do tego wielkiego celu dążył drogami.

Zrozumiał to zapóźno, pozbawiony mocy, w wielkim epilogu swego wygnania.



XII.

„Proszę powiedzieć papieżowi, że mam oczy otwarte, proszę powiedzieć mu, że jestem Karolem Wielkim, mieczem Kościoła, jego cesarzem i chcę, by mnie jako takiego traktowano.“

Tak groźnie pisze do Rzymu. Skoro musi się już stosować do tego kretowiska, to niechże go ono słuca. Nowy ton określa od czasu Austerlitz i Preszburga jego postawę. Już tutaj, z pokonanej Austrii, ogłasza gromkie swe rozkazy w stylu, którego nie znali dotychczas ani on ani Europa. Królowa Neapolu, ostrzegana przezeń od lat, pozwoliła wjechać okrętom angielskim. Rozkaz do armji: „Dynastia Bourbonów przestała rządzić w Neapolu.“ Jednocześnie list do brata Józefa: „Sądzę, iż powiedziałem już Waszej Mości, że chcę królestwo neapolitańskie włączyć do mojej rodziny, aby jak Szwajcaria, Holandja, Italja i trzy królestwa niemieckie należało do moich państw związkowych lub właściwie do cesarstwa francuskiego.“

Gdyż teraz zaczyna urzeczywistniać istotnie owe dictum, że jedyny cesarz powinien rządzić Europą i królów mieć za wasali. Paryż, który z radością wita swego zwycięskiego pana. staje się stolicą kontynentu. Cesarz wrócił w najlepszym usposobieniu: „Ta wyprawa utuczyła mnie. Zdaje mi się, że gdyby wszyscy książęta Europy zjednoczyli się przeciwko mnie, wyrósłby mi śmieszny brzuch.“ W takim humorze przetrzuca się właśnie z przebytej przygody w nową i daje jej swobodny tok.

W przeciągu kilku miesięcy organizuje następujące państwa: Józef zostaje królem Neapolu, książęta bawarski i wirtemberski zostają królami, książę badeński wielkim księciem; jedna z córek domu bawarskiego zastrzeżona jest dla Eugenjusza, jeden z badeńskich książąt dziedzicznych dla siostrzenicy Józefiny, jedna z córek domu wirtemberskiego dla jego najmłodszego brata; szesnaście państw południowych i zachodnich Niemiec zjednoczone jest w Związek Reński, jako wasalstwa cesarza, obowiązane do płacenia danin i dostarczania wojska, i tych szesnaście książąt niemieckich pcha się z hołdem do Paryża, by zarobić coś na tym wielkim handlu,

NAPOLEON

tuzin małych księstewek zostaje przekreślonych, lenna państwowe stworzone eą dla Tallejranda, Berthier'a, Bernadotte'a.

Jednocześnie pisze krótko i węsłowato: „Holandja jest bez egzekutywy. Musi ją dostać. Dam jej księcia Ludwika. Zrobi się układ... Rzecz dla mnie postanowiona, to, albo wcielenie do Francji... Ani chwili do stracenia.“ Czemu ani chwili? Zależna jest oddawna, brak tylko królewskiego wasala, a cała jej zależność widoczna jest w rozdziale datywu i akuzatywu: że on jej, Holandji, da swego brata. Holendrzy nie chcą? Więc będą połknięci, wybór krótki. Ludwik nie chce, klimat, zdrowie? „Lepiej jest umrzeć na tronie, niż żyć jako księżę francuski.“ Hortensja musi być królową, Józefina pali się do tego, Holendrzy muszą uczynić uroczystą propozycję, cesarz przyjmuje ich łaskawie w Tuilerjach. Ale tak daleko posuwa teraz swą ironję i pogardę, że po audjencji każe małemu bratankowi, synowi nowego króla Ludwika, opowiedzieć wobec dam dworu bajkę: o żabach, które szukały króla.

Cóż to? Teraz skarżą się i intrygują siostry? Czyż nie ma już żadnych królestw do rozdania? Przykra rzecz, tedy trzeba wyzwolić przynajmniej parę wielkich księstw! Karolina zostaje z Muratem wielką księżną Klivji, Eliza wielką księżną Toskany, a piękna Paulina Borghese płacze, że jest tylko księżną Guastalli: „Co? Tylko wieś? I ja mam być jej księżną?“ Ale pociesza się rychło w oceanie djamentów i kochanków.

Nikt nie dorósł do nowej roli. Król Józef porównywa w pierwszej proklamacji miłość swych, wczoraj jeszcze nieznanach, poddanych dla niego z miłością Francuzów dla ich cesarza, ośmiesza siebie, a cesarza doprowadza do wściekłości. Król Ludwik wzdycha z powodu pęt, które nałożyć musi handlowi swego kraju w walce z Anglją i przysyła zamiast wojsk długie listy ze skargami do cesarza. „To jest już istotnie niepotrzebne utrudzanie mnie, — wpada jeden majestat na drugi. — Wszystko każe wnosić o ograniczonych ideach Waszej Mości i jego małem zainteresowaniu... Niechże W. Mość przecie nie mówi ciągle o biedzie i nędzy!... Tylko baby skomlą i jęczą, mężczyźni postanawiają coś... W.

RZEKA

Mość rządzi swym krajem za łagodnie... Muszę zupełnie sam ponosić koszta wojny... Postaraj się W. Mość mieć wojsko złożone z 30 000 ludzi. W. Mość inyśli zawsze tylko o sobie, co nie jest ani dobre ani wielkoduszne... Więcej energii!“

Eliza, która rządzi swym mężem, nadaje Toskanie konstytucję, odbywa przegląd wojska, zmienia co kwartał swych faworytów i doprowadza cesarza, naśladownictwem jego stylu, przynajmniej do śmiechu: „Lud mój jest zadowolony, opozycja zniszczona, Sire, rozkazy W. C. Mości wykonane. Z senatu jestem bardzo zadowolona, okazuje szacunek dla mej władzy.“ Murat za ślepą gorliwość podobnego rodzaju spotkał się z klasyczną krytyką cesarza: „Widziałem dekrety W. Mości, które nie mają żadnego sensu. W. Mość stracił naprawdę wszelki rozum!... W. Mość chciałby tylko rządzić!“

Paulina zaś każe się rękoma Canovy uwiecznić w materjale, który przetrwa wszystkie państwa Napoleona.

Tymczasem mały Hieronim, w Ameryce, dokąd przybył jako marynarz, ożenił się na własną rękę z mieszczańką. Cesarz, który ma więcej koron, niż rodzeństwa, i nie może wyrzec się żadnego brata, jest wściekły, wydaje przez matkę zakaz, każe w Lizbonie otoczyć okręt, który ma wysadzić parę na ląd. Hieronim przysięga młodej żonie przy pożegnaniu dozonną wierność, ulega szturmowi gróźb i obietnic cesarskich, porzuca żonę. by zostać Cesarską Wysokością, admirałem i może królem. Dama jednak daremnie stara się wylądować w Europie i wydaje w Anglii dziecko na świat. Tam spotka niebawem towarzysza losu, wygnanego szwagra Lucjana, który później przenosi się tam z żoną i dziećmi, dobrze przyjęty przez Anglików. On pisze wiersze. Epopeję. Jaki jej tytuł?

Karol Wielki.

Jedyny z nich człowiek pilny i poważny, wierny i przeważnie rozumny, to pasierb Eugenjusz. Cesarz kocha go, chwali publicznie, gdzie może, i gdy tamten został teraz wicekrólem Italji i małżonkiem księżniczki bawarskiej, pisze doń: ..Pracujesz za dużo, drogi synu. To dobrze dla W. Mości, ale posiadasz młodą żonę, która jest teraz przy nadziei... Czemuż nie bywacie przynajmniej raz na tydzień razem w wielkiej łoży? Można spełnić swe obowiązki w krótkim

NAPOLEON

czasie... Prowadzę takie samo życie, jak W. Mość, ale mam starą żonę... i mam też więcej spraw!“ Ale synową, po której oczekuje bezwzględnie męskiego potomka, gdyż syn Hortensji posiada także tylko dwoje oczu, upomina, „by nie powiść córki. Receptę podam W. K. M.: codzień trochę czystego wina, ale W. K. M. mi nie uwierzy.“ A kiedy ona potem wydaje jednak na świat córkę, pisze: „Jeśli się zaczniesz od córki, ma się tuzin dzieci!“

W pogotowiu ma ten wielki stylista o każdej porze wszystkie tony, którymi pragnie straszyć lub pochlebiać, nagradzać, pobudzać, karać, namawiać, i wszystko to rozsiewa, w toku wszelakich interesów, w kole rodziny, która stale jest przeciw niemu w opozycji.

Poważnie i w takim odosobnieniu, na jakie jej syn pozwala, żyje matka teraz w Paryżu, czujna, pośrednicząca wśród całego tego zamętu. Przeznaczył jej Trianon, dał milion renty, nikt nie rozumie, poco ona oszczędza, wnet uchodzi za skąpą i jest też skąpa, bo „my Korsykanie, powiada, przeżyliśmy wiele rewolucyj, wszystko to może się skończyć i co wtedy stanie się z memi dziećmi? Lepiej, gdy przyjdą do matki, niż do obcych, którzy przecie opuszczają ich!“ Niekiedy przyjmuje wizyty, zawsze z wrodzoną godnością i w sposób bardziej królewski, niż to czynią niektóre z jej koronowanych dzieci. Gdy ktoś spiera się o cenę pereł szklanych, które ona naszywa, ona uśmiecha się: „Nie, nikt mnie nie otumani, nie udaję księżniczki, jak moje córki.“ I będąc matką cesarza, królów i książąt, skarży się, że nie ma żadnego zaufanego człowieka i rozgrzewa się dopiero podczas gry w *reversi* ze starymi przyjaciółmi, lub gawędzi wieczorem ze starą służącą „o szczęśliwych, dawnych czasach...“ „Wszyscy nazywają mnie najszczęśliwszą matką. W rzeczywistości żyję ciągle w niepokoju: na każdą wieść drzę, że cesarz padł na polu bitwy.“

Każdej niedzieli, dobrym, patrycjuszowskim obyczajem, jada w południe u dzieci w Tuilerjach. Cesarza słucha niezawsze, a kiedy musi, nie przebacza mu tego. On czuje, że jest za dumna na ten stosunek i gdy spojrzy w lustro, musi uznać rosnące coraz bardziej podobieństwo swe z nią w czole, ustach, oczach, rękach. Niekiedy droczy ją:

RZEKA

„Nudzi się W. Miłość u dworu? Proszę spojrzeć na swe córki. Nie należy nic składać, tylko wszystko wydawać.“

— W takim razie musiałyby mi W. C. Mość dawać dwa miliony zamiast jednego, bo muszę oszczędzać, mam taką naturę.

Rozpoznaje pochlebców, jak i on, przestrzega cicho, gdy trzeba; nie żąda niczego dla siebie, ale żąda często dla Korsykanów, którzy przychodzą do niej wszyscy, i dla prastarych przyjaciół domu osiaga, co może. Wreszcie wypowiada jeden jedyny raz serdeczne życzenie: aby Ajaccio było zamiast Corte stolicą Korsyki! Jest to rodzaj jej dumy rodzinnej. Cesarz spełnia jej życzenie dekretem. Rozumie ją dobrze, i po jej wyjściu, powiada: „Moja matka jest stworzona do rządzenia królestwem.“

Tylko dla Lucjana nie może nic osiągnąć. „Jego kocham najwięcej, powiada, gdyż najgorzej mu się dzieje.“ Ale cesarz pozostaje nieubłagany: „Teraz musi każde uczucie przywiązania ustąpić racji stanu. Uważam za krewnych tylko tych, którzy mi służą. Kto się wraz ze mną nie wznosi, przestaje należeć do mej rodziny.“

XIII.

W swej pracowni paryskiej miał Napoleon jedynego niemego świadka swej działalności: Fryderyka Pruskiego w bronie.

Wzrósł wraz z sławą ostatniego wielkiego wodza, był porucznikiem, gdy król umarł; jak wszyscy generałowie tych czasów, kształcił się na jego nowej formie sztuki wojennej. Dla tego wojska, którego nie znał, miał teraz jeszcze szacunek, choć następny król pruski prowadził je bez sławy przeciw szeregom francuskim. Znał dobrze głupotę i słabość Fryderyka Wilhelma III; a jeśli jednak starał się zawsze wciągać go do swych związków i wyzyskać przeciwieństwo Prus w stosunku do Austrii i Rosji, to dlatego, że żył w nim zawsze cichy respekt dla tej jedynej obcej armii w Europie, która w zeszłym stuleciu okryła się sławą. Dopiero, gdy prze-

NAPOLEON

konał się, -że Prusy okazują się nie ze swej najsilniejszej, lecz z najsłabszej, politycznej strony, szacunek jego znika,

Jeszcze zeszłego roku, jeszcze przed Austerlitz ofiarowywał Prusom przymierze. Po Trafalgarze, gdy Franciszek i Aleksander zabiegali o nie i gdy one mogły przeszkodzić bitwie pod Austerlitz, słaby król nie zdecydował się ani za, ani przeciw, starając się zawsze zarabiać neutralnością. Teraz, gdy cesarz silniejszy jest, niż kiedykolwiek, chwytą się Prusak pierwszych pozorów, by zbroić się przeciw niemu: zeszłego roku pod Ansbach przemaszerował cesarz przez terytorjum pruskie.

W rzeczywistości pobudza króla nastrój demokratów, strach przed gniewem nacjonalnym, zwłaszcza zaś niepewność co do wierności kilku żądnych wojny generałów. W Norymberdze pewien księgarz został przez sąd wojenny skazany na śmierć i rozstrzelany za to, że rozpowszechniał paszkwil przeciw armji francuskiej w miejscowościach, w których ta stała stosownie do umowy. Wyrok był formalnie słuszny, oburzenie wywołane nim było słuszniejsze, bo było moralne. Cesarz widział to, i chcąc uniknąć wojny, zaproponował obustronne cofnięcie wojsk i kazał oświadczyć przez posła, że jeśli wojska w Westfalji przeszkadzają królowi, to wystarczy, by to oświadczył. Poczem pisał sam do króla: „Niezwruszenie trwam przy naszym sojuszu... Jeśli jednak W. K. M. da mi odpowiednią swą do poznania, że odrzuca ten sojusz i zawierza tylko potędze swej broni, wtedy byłbym oczywiście zmuszony przyjąć wojnę, atoli mimo wszelkie walki i zwycięstwa pozostanę ten sam. Ponieważ uważam tę wojnę za okrucieństwo, proponuję również i wtedy pokój.“

Ale pocichu ciska przeciw Prusom złe słowa, wahające się między gniewem i pogardą; nie chce poprostu wierzyć, „by Prusy były tak zwarjowane... Gabinet ich jest nikczemny, ich władca słaby, dwór opanowany przez młodych oficerów, którzy porwaliby się na wszystko.“

Jeszcze na dwa tygodnie przed swem wyruszeniem, nie wierzy sam w tę wojnę.

Myli się: szlachta tego wojska, które pod Fryderykiem pobiło Francję, ale potem przez nią było pobite, pragnie zrehabilitować się, obywatele dają się porwać uczuciom nacjo-

RZEKA

nalnym, chcą „ważyć się na wszystko,“ liczą i oglądają się na obrończynię. Królowa pruska jest namiętną zwolenniczką wojny, odkąd sprzymierzony teraz car sprawił na niej w Berlinie wrażenie mężczyzny, jakim król nie był. Aleksander w dzień po Austerlitz cofnął się poprostu do swego państwa, by czekać lepszej sposobności. Nastęrczyła się teraz.

Tajemnego niepokoju — mówi Talleyrand — doznaje Napoleon, musząc dobyć miecza, lśni przed nim wojenna sława Fryderyka, nigdy jeszcze nie bił się ze sławną armją. „Sądzę, że będziemy mieli więcej do roboty, niż z Austriakami.“ Tem spieszniej więc na drugi brzeg Renu! W tydzień po rozpoczęciu pochodu, bije nieprzyjaciela poraż pierwszy: pod Saalfeld padł najlepszy z Prusaków, ksiązę Ludwik Ferdynand, pierwszy kwiat w pierwszej burzy.

Zamieszanie panuje u Prusaków, wnosi je z sobą król. Zamiast, jak radzi generał jego Scharnhorst, zaatakować przed dwoma tygodniami, niezdecydowany władca czeka. Zamiast pozostawić naczelne dowództwo księciu Brunświckiemu, który je sprawuje, król nadaża w ostatniej chwili i teraz „niewiadomo, czy kwaterę główną zwać królewską, czy książęcą,“ ksiązę, mając rozkazywać, słucho króla, arimja ze względów na rangi podzielona zostaje na trzy korpusy, gdyż „panujący“ ksiązę Hohenlohe nie może przecie walczyć pod rozkazami księcia. Jeszcze raz nieprzyjaciel wyciąga rękę: na dwa dni przed walną bitwą, cesarz, z pełną wiarą w zwycięstwo, pisze znowu:

„Nie chcę ciągnąć zysku z zaślepienia doradców W. K. Mości, którzy W. K. Mości pozwolili popełnić w polityce błędy, wprawiające w zdumienie całą Europę... Więc zaczęła się wojna... Poczóż jednak mamy kazać poddanym naszym zabijać się wzajemnie? Nie cenię żadnego zwycięstwa, które okupić trzeba krwią wielu mych dzieci. Gdybym stał u początku swej kariery i musiał bać się niepowodzenia w bitwach, wtedy te słowa moje byłyby nieodpowiednie. Ale, Sire, będzie pan zwyciężony. Poświęci pan spokój swych dni, życie swych poddanych, nie mogąc podać powodu dla zrzucenia z siebie odpowiedzialności... Nie mam nic do zyskania od W. K. Mości, nie chcę nic od niego, ani nic nie chciałem. Wojna ta jest niepolityczna! Czuję, że może listem

NAPOLEON

tym urażam subtelność władcy, ale okoliczności nie pozwalają na żadne względy. Mówię, jak myślę... Wróc W. K. Mość spokoj sobie i swym krajom! Chociaż nie znajdzie W. K. Mość już we mnie sprzymierzeńca, znajdzie jednak zawsze męża, ... pragnącego najgoręcej nie przelewać nigdy krwi w walce z książętami, którzy nie są przeciwni jego przemysłowi, handlowi i polityce.“

Ludwika, która podążyła za nim do głównej kwatery, kobieta o instynktach bardziej pokojowych, niż ścierpieć może ambicja tych generałów, wtóruje ich szyderczym argumentom, że jest to tylko trwoga przed własną klęską. Czyż nie czuje ona w tej chwili, że los postawił ją wśród tych ludzi, by podziała na słabego małżonka w myśl tych ludzkich słów? Nie! Napoleon jest tylko „z błota wyrosłym potworem piekielnym“ i jutro musi paść!

„Sprawy moje mają się dobrze, — pisze tymczasem powtór do żony, — wszystko dzieje się tak, jak się spodziewałem. Król i królowa są w Erfurcie. Jeśli ona chce widzieć bitwę, może mieć tę okropną przyjemność. Czuję się świetnie. Choć robię dziennie 20—25 mil, jednak już przytyłem. O ósmej kładę się i wstaję o północy, przyczem myślę czasami, że ty o tej porze nie leżysz jeszcze w łóżku.“ Ostatniej nocy nie śpi już. Gdy o godzinie trzeciej ktoś z bliskich radzi mu spać, woła: „Niepodobna! Mam moje plany tu (głowa), ale jeszcze nie na moich mapach!“ Poczem rozwija szybko cały plan. „Zrozumiał pan... Siadaj pan na konia i wyszukaj mi stanowisko, z którego mógłbym panować nad polem bitwy. O szóstej będę na miejscu.“ Rzuca się na łóżko polowe i natychmiast zasypia.

Gdy tejże samej nocy w pruskiej kwaterze głównej meldują o niespodziewanym zwrocie Francuza, odracza się narady do jutra rana. O tym czasie cesarz objechał już swój front, zagrzał gwardję, przypomniał Austerlitz.

Potem bije Napoleon Prusaków pod Jena, o tejże samej godzinie Davoust zwycięża pod Auerstädt.

Gdy waleczny książę Brunświcki otrzymuje śmiertelną ranę, niema nikogo, ktoby ważył się objąć komendę, wszyscy tracą głowę, wojsko Wielkiego Fryderyka pierzcha w ucieczce przez Saksonję na wschód.

RZEKA

„Droga przyjaciółko, zrobiłem dobry manewr przeciw Prusakom. Odniosłem wczoraj wielkie zwycięstwo, zdobyłem 20 000 jeńców, około 100 dział i chorągwie... Od dwóch dni biwakuję. Dzieje mi się świetnie. Bądź zdrowa, miej się dobrze i kochaj mnie.“

W Weimarze spotyka rządzącą księżnę. Księżę Karol August, od dwudziestu lat zwolennik wojny i Prus, i wbrew radzie swego najstarszego ministra usposobiony zawsze wrogo przeciw cesarzowi, musiał, jako generał pruski, uciec z pod Jeny, nikt nie wie dokąd, również i dwór uciekł z Weimaru: pozostała tylko księżna i minister Goethe. Cesarz, ujrawszy ją, mówi: „Żal mi W. Ks. Mości. Jakże mógł księżę!“... Ale ku jego zdziwieniu, gdyż jest zawsze przeciw rządzącym kobietom, a zwłaszcza przeciw niemieckim, odpowiada mu księżna z taką jasnością, prostotą i godnością, przedstawia długą przyjaźń księcia z Prusami tak dumnie i mocno, że on zdumiewa się, staje się grzeczny, wraca wieczorem, wdaje się z nią w długą rozmowę i poprzysiągłszy zniszczenie jej dynastji, obiecuje, że księstwu nic się nie stanie. Czemu?

Gdyż kobieta ta nie mieszała się nigdy do polityki, i teraz nie udaje żadnego znawstwa w tych sprawach, lecz z prostej przyjaźni dla nieobecnego męża, w książej postawie przemówiła za swym krajem bez pochlebstwa i gniewu, na owej granicy między dumą i szacunkiem, która przystoi zwyciężonym księżtom. Jeszcze po latach przypomina cesarz sobie i innym tę kobietę, która swem zachowaniem ocaliła kraj i dom.

W Berlinie spotyka drugą. Hrabia Hatzfeld, który w imieniu Berlina pertraktował ze zwycięzcą, napisał nieostrożnie jednemu z rozproszonych generałów dane dotyczące siły wojsk nieprzyjacielskich, list przejęto, cesarz, wściekły, postanawia zgładzić go jako szpiega sądem wojennym. Berthier wymiguje się od rozkazu. Rapp stara się go ułagodzić, podczas jakichś odwiedzin przyprowadzają doń hrabinę Hatzfeld, ona pada mu do nóg, on wzywa ją do Poczdamu. „Gdy pokazałem jej list męża, odpowiedziała mi najniewinniej, szlochając, z głębokiem wzruszeniem: Tak, to bezsprzecznie jego pismo. I gdy je czytała, wzruszył mnie jej ton do

NAPOLEON

głębi. Zlitowałem się nad nią: Widzisz więc, — kończy list do Józefiny, — że lubię dobre, naiwne i łagodne kobiety.“

— Lubię? Oto stoi mocarz, hrabina nie znaczy dlań nic jako kobieta, ledwo zwrócił uwagę na jej wzrost i suknię, ale to naturalne uczucie, te prośby kobiece, to łkanie i milczenie przejmują go tak, że rzuca list do kominka: „Oto płonie jedyne świadectwo, jakie posiadam. Teraz mąż pani jest bezpieczny.“

Tak postępuje Napoleon Zwycięzca z dwiema Niemkami ze starej szlachty i ich walczącymi przeciw niemu mężami, tylko dlatego, że ton ich przemówił mu do serca.

Królowej Ludwiki nie może cierpieć: kobieta-polityczka, która kraj i męża wciągnęła do wojny, która poważyla się spokojne, żadną klęską niezbezczeszczone istnienie wystawić na potworny hazard, jest dlań nieznośna. Ponieważ przy każdej sposobności ziała nań ogniem, przekreśla teraz jej godność kobiecą i szydzi z niej w publicznym biuletynie: „Jest kobietą o ładnych rysach, ale ubogą na duchu... Strasznie muszą ją dręczyć wyrzuty sumienia z powodu cierpień, które ściagnęła na swój kraj. Mąż jej jest całkowicie człowiekiem honoru, który pragnął pokoju i szczęścia dla swego ludu.“

Teraz wjechał do Berlina, w świetnym orszaku, on sam najprostszy, w małym kapeluszu z tanią kokardą, ale nic nie ciekawi go tak, jak Sanssouci: trzymając w rękach szpadę Wielkiego Fryderyka, zabiera ten najcenniejszy łup, jaki znalazł w życiu i oddałby go za pruską koronę. Współczesnymi jednak gardzi z całego serca, publicznie występuje dalej przeciw królowej:

„W komnatach królowej znaleziono podobiznę cara, który ją jej darował, tak samo korespondencję jej z królem... Dokumenty te świadczą, jak nieszczęśliwi są książęta, którzy pozwalają kobietom wpływać na sprawy państwowe. Noty i papiery państwowe woniały piżmem i leżały pod wstążkami, koronkami i innymi częściami garderoby.“

Oczywiście zły ton! O narodowej pobudce królowej zdaje się zapominać; jeśli jednak porówna się z temi drwinami to, co pisał o niej najlepszy i największy z wszystkich Prusaków owoczesnych, niepruski baron vom Stein, to zrozumie się cesarza, choć się go nie usprawiedliwi.

RZEKA

Atoli ważne powody zmuszają go, ze względu na cara, utrzymać dom Hohenzollernów, który w szkicu dekretu już złożył z tronu. Napoleon myśli w Berlinie po europejsku. „Nad Łabą i Odrą zyskaliśmy nasze indyjskie przedsiębiorstwa, hiszpańskie kolonie i Przylądek Dobrej Nadziei.“ To wspaniałe zdanie z Berlina oznacza wprawdzie dopiero tylko wyjazd, ale cesarz teraz żegluje potężnymi uderzeniami wiosła ku przylądkowi swojej nadziei. Na zamku w Charlottenburgu dyktuje największe, najbezkrawsze, a najmniejbezpieczniejsze z swych orędzi wojennych: Karol Wielki zamyka wszystkie porty Europy dla okrętów angielskich. Skoro wyspa ta niedosiężna jest dla jego miecza, to niechże Europa stanie się odtąd niedosiężna dla niej. Wszystkie towary, firmy, pakiety, poczta z Anglii i do Anglii i wszystkich jej kolonji są zabronione, każdy Anglik w Europie jest jeńcem wojennym.

Jak jednak dopilnować przeprowadzenia tego? Cokolwiek dotąd dekretował, wiedział, że znajdzie posłuch. Tym razem potrzeba mu traktatów państwowych na wszystkie strony, przedewszystkiem trzeba mu Austrii i Rosji. Austrija posiada części dawnej Polski, ale Rosja chce je mieć zpowrotem, Polska zaś nie chce słuchać dłużej ani Austrii ani Rosji. Jak Boga, błagają Polacy wielkiego cesarza, aby on, zwiastun wolności ludów, wyzwolił i ich. Co czynić? Jak rozwiąże Napoleon zagadnienie polskie?

„Czy tron Polski będzie przywrócony i wielki ten naród odzyska byt? Jedyne Bóg, który wszelkie ukształtowanie rzeczy dzierży w swych ręku, rozwiąże tę wielką zagadkę.“ Takie delficko chytre zdania każe proklamować w Polsce, a gdy je podpisuje, jedynie Bóg widzi jego uśmiech. Poza to robi trzy kroki: od Polski żąda wojska, gdyż „dopiero, posiadając armję liczącą 40.000 ludzi, będziecie godni zwać się narodem.“ Po drugie proponuje Austriakom zamianę Galicji na Śląsk Pruski. Prawdziwy jednak klucz do zagadnienia polskiego wyławia z Bosforu: żąda od sułtana, aby wyparł Rosjan z Mołdawji i z nim samym spotkał się nad Dniestrem, przez co pęta nietylko Rosję, ale i przestraszoną Austrię nad dolnym Dunajem.

Oto teraz siedzi w Sanssouci, stare kandelabry w gabinecie Fryderyka lśnią nad jego głową, portret Voltaire'a uśmiecha

NAPOLEON

się z boku ponad widmem do rodaka: ten siedzi przy szachach, oblicza posunięcia niewidzialnego przeciwnika, coraz dalej sięgają jego spojrzenia i nagle zmieniają się rysy jego nowego przodka, długa, jasna broda znika, nos staje się gładszy, spojrzenie traci na wierności, staje się znów śmielsze: z Karola Wielkiego robi się nagle znów Aleksander Wielki. Tak, pobije Anglję w Indjach! Władza światowa świta.

Wtedy wskakuje mu znienacka na szachownicę nowy przeciwnik: kurjerzy przynoszą wieść o powstaniu w Hiszpanji; zbladł, jak powiada świadek. Cała gra jest zagrożona; widzi znowu: kto chce zniszczyć Anglję, potrzebuje przyjaźni Rosji. Aby jednak Rosję pobić lub pozyskać, potrzeba mu stałego punktu w kraju, a tym może być tylko powstańcza Polska. Napoleon jedzie do Warszawy.

Gdy wyobraźnia jego w tygodniach tych waży losy części świata, serce jego czuje się osamotnione, ale on nie troszczy się o kobiety, tylko do własnej żony pisze uprzejme słowa: „Kocham cię i tęsknię do ciebie... Te Polki (w Poznaniu) to same Francuzki, ale dla mnie istnieje tylko jedna kobieta. Znasz ją? Opisałbym ci ją, ale musiałbym jej zanadto schlebować, abyś mogła siebie w niej poznać. Żart na bok, serce moje mogłoby tylko dobrze mówić o tobie. Ach, te długie noce, a ja sam!”

Józefina węcem wyłała wietrzy w tym nastroju zwierzyne, której on jeszcze niema, jest zazdrosna, chce przyjechać. To zależy tylko od wypadków, odpowiada on, ale „rozdrażnienie twego listu dowodzi, że wy, ładne kobiety, nie znacie granic: czegokolwiek zechcecie, to musi się stać. Ja natomiast wyznaję, że jestem najbardziej ujarzmionym człowiekiem: mój rozkazodawca niema litości dla mnie, a tym rozkazodawcą jest natura rzeczy.”

Ledwo zakończył te małe sprawy tak wielką myślą, przynosi mu kurjer wiadomość o wielkim skutku małej sprawy: piękna, którą zeszkłej zimy przywiodła mu Karolina, zległa! Nareszcie! Dowód, że mu nie brak przyrodzonej siły! Wielki dar niebios: chłopak — i oto zwraca się do jednego z swych zaufanych i woła z naiwną radością, jak młodzieniaszek: „Duroc! Mam syna!”

RZEKA

XIV.

W rozjaśnionej sali balowej promieniają wszystkie piękności i klejnoty, jakie Polska posiada, oto wielki wieczór, na którym, w starym zamku królewskim w Warszawie, cesarz ma się przekonać, jaki to naród tęskni do wolności. Czy spodoba mu się taniec narodowy, muzyka i formy, czy podrażnia go tych kobiet oczy, w których życie tryska poprzez smutek słowiański, czy pochlebstwa przemów i wielbicielskie porównania gazet zmiękczą jego twarde spojrzenia: oto, jak wnioskują ci sangwinicy, pytanie, od którego zawisł los narodu. Odbił już defiladę, wielu zagadnął z humorem, teraz stoi w niszy, napół rozmawiając, zwrócony ku tańczącym. Myśli o Paryżu, gdzie od siedmiu lat nie omieszkał spędzić stycznia.

Wtem zaostrza wzrok, przerywa rozmowę, sto badawczych oczu śledzi spojrzenie tego myślicy: kto jest zwierzyną? Nieco później zbliża się do pewnej grupy, każe wymienić sobie nazwiska i ze spojrzeniem i uśmiechem, z serdeczną uprzejmością, którymi darzył tylko zaufanych, wybiera z koła jedną, którą ma na myśli.

Jest to łagodna, złotowłosa piękność, zgrabna, nieduża, o błękitnem spojrzeniu pełnem słodkiego oddania, osiemnastolatka, bez świetności i uwodzicielstwa, w żadnym ruchu nie chcąca się podobać, wytworna, lecz ubrana skromniej, niż większość. Cesarz tańczy z nią kontredansa, sławi jej wdzięki, jej piękny głos, zachwyca się jej łamaną francuzczyzną, i kiedy ona uśmiecha się zmieszana, po wszystkich uroczystych salach pałacu niesie się szeptem jej nazwisko, którego on sam jeszcze nie zapamiętał: hrabina Walewska.

Kto ona? pyta później zaufanego Duroc'a. Pochodzi ze starego zubożałego rodu, przeto poślubiona jest bogatemu, staremu hrabi, którego najmłodsza wnuczka jest od niej o dziesięć lat starsza.

„Widziałem tylko panią, pisze nazajutrz rano, tylko panią podziwiałem, pani pożądałem. Proszę dać mi szybko odpowiedź, uciszyć płomień, który mnie trawi. N.“ Ale odpalony Duroc bez odpowiedzi wraca do cesarza. Cesarz niemieje: zupełna nowość! Przed tuzinem lat generał brygady Bonaparte dostał wprawdzie kosza. Napoleon nigdy. Czyż ko-

NAPOLEON

biety, księżniczki i artystki, czyż wszystkie piękności, gdy rzucił na nie spojrzenie, nie śpieszyły ku niemu z uśmiechem zachęty? Tem czarowniejsza jest ta, która dziewiczo trwoży się wobec żądz mężczyzny.

„Nie podobałem się pani? Mniemałem, że wolno mi się spodziewać czegoś przeciwnego. Lub czy znikło pierwsze pani uczucie? Moje rośnie! Pozbawia mnie pani wszelkiego spokoju! Zechciej pani dać niemu biednemu sercu, które pragnie panią uwielbiać, trochę radości, odrobinę szczęścia! Czy tak trudno dać mi odpowiedź? Już mi pani dwie dłużna.“ Ten drugi bilet niema podpisu. Gdyby znajdował się w jakimś zbiorze listów miłosnych, któżby odgadł Napoleona! Tony te nie są ani ciężkie, czy władcze, ani patetyczne, czy literackie, raczej nieco romantyczne, ale ponieważ świat od każdego żąda tego, co on przedstawia, więc i ta próba jest niewysłuchana. Straszne położenie adjutanta, który poraz drugi nie spełnił nakazanego ruchu! Cesarz, który chciałby wybuchnąć, zmusza się do spokoju i myśli:

— Skoro więc ani moja prośba, ani moje stanowisko nie mają wpływu na tę delikatną istotę, to trzeba spróbować połowicznej obietnicy, której przecie nie trzeba dotrzymać, — i pisze: „Są chwile w życiu, kiedy wjsokie stanowisko jest wielkim ciężarem. Odczuwam to teraz zbyt silnie... O, gdyby pani chciała! Pani jedna może pokonać przeszkody, które nas dzielą. Przyjaciół mój Duroc ułatwi to pani. O, przybądź, przybądź! Spełnię wszystkie pani życzenia! Ojczyzna Twoja będzie mi jeszcze droższa, gdy zlitujesz się nad moim sercem. N.“

Teraz poznajemy go znowu, nawet bez wielkiego N. A jednak jak przeraża w tych słowach samotność mocarza! Z poza tego trzeciego, wreszcie znów rozumnego i przeto zwycięskiego listu miłosnego — w jakże tragicznej masce wyłania się los istoty, pragnącej słuchać tylko tego prawa, według którego panuje i poświęcającej tej heroicznej monomanji swe szczęście człowiecze. Oto chodzi po wspaniałym zamku, z rękoma założonymi na plecach, od tygodni już pogrążony w nastroju ogólnej tęsknoty, ale zawsze samotny, od miesięcy pozbawiony bliskości kobiety i teraz zakochany; niepokojnie oddała sekretarzy, nie przyjmuje generałów, od-

RZEKA

prawią deputacje, każe rozsiodłać znów konia, cały mechanizm, który zbudował dokoła siebie, stoi bez ruchu: zamek, armja, Paryż, Europa niech czekają! On, najbardziej z wszystkich ujarzmiony, nie chce być dziś posłuszny naturze rzeczy; mężczyzna 37-letni, którego, jako mężczyzny, nie oszołamia już jego 45-letnia żona, teraz poruszony w duszy widokiem dziewczyny, dwakroć przez nią odpalony, musi wymyślić przyręte z innych swych dziedzin, musi omamić ją wolnością jej ojczyzny, by, po dziesięciu latach milczenia uczuć, poraz pierwszy oprzeć spragnioną ciszy skroń na ramieniu młodej kobiety!

Ona jednak, przerażona męskim pożądaniem, siedzi o tej samej popołudniowej godzinie wśród swych kuzynów i przyjaciółek, którzy prą ją do tej ofiary, — dla Polski! W tym nastroju wreszcie zjawia się ona u niego. Trzy godziny wieczorne, które spędza u niego, są jednym ciągiem łez. Udaje mu się uspokoić ją zwolna, ze zdumieniem widzi ona, w groźnym człowieku z żelaza, delikatnego zalotnika.

„Marjo, moja słodka Marjo, pierwsza myśl moja należy do ciebie! — pisze do niej nazajutrz rano. — Zobaczę cię przy obiedzie. Przyjaciół obiecuje. Przyjmij, proszę, ten bukiet, niech będzie on tajemnym pośrednikiem naszych uczuć wśród tłumu; będziemy się tak porozumiewali: jeśli położę rękę na sercu, będziesz wiedziała, że ono całe do ciebie należy; w odpowiedzi przyciśnij me kwiaty do piersi. Ach, kochaj mnie, czarująca Marjo, nie odejmuj ręki od kwiatów.“

Dopiero po trzech dniach oddaje się ona jemu, potem przychodzi co wieczór, ale on pragnie pozatem widywać ją na każdej uczcie, inaczej odmawia. Czemże jest ona dla niego? Drugą na ziemi istotą, która nic nie chce od niego: matka była pierwszą. Nigdy nie znał kobiety, któraby nie oczekiwała z jego czarodziejkiej ręki skarbów ziemi: kamieni, zamków, koron, pieniędzy. Ta nie chce od niego nic, a daje mu wszystko: jedynie ona, hrabina Walewska, była ową cichą, kochającą towarzyszką, której burzliwa dusza Napoleona szukała niekiedy. Dlatego też nie wypuścił jej tak prędko. „Ona jest aniołem, można twierdzić, że dusza jej jest tak piękna, jak jej rysy.“

Józefina chce przybyć? Teraz? Cesarz uśmiecha się. Ponieważ Bonaparte od czasu Kairu nie znalazł w swych wy-

NAPOLEON

prawach żadnej kochanki, gdy generałowie jego otaczali się często kobietami, przeto wieść o tej miłości musiała w zniekształceniu, lecz szybko, dotrzeć do Paryża, a w osłoniętej formie i do uszu Józefiny. Teraz czeka, by ją wezwano. W najogólniejszy sposób cesarz oszukuje żonę, która oszukiwała go przez długie lata: niepogoda, drogi, niepewność, niepodobieństwo! Ba, „jak chętnie spędzałbym z tobą długie noce zimowe... Jeśli wciąż płaczesz, to uważam cię za pozbawioną odwagi i charakteru. Tchórzów nie znoszę. Cesarzowa powinna mieć odwagę.“

Teraz on oszukuje ją. „Śmiałem się, otrzymawszy twój list, w którym piszesz, że wzięłaś sobie męża, aby być z nim razem. W niewinności ducha myślałem, że kobieta stworzona jest dla męża, mąż dla ojczyzny, rodziny, sławy. Przebacz mi mą niewiedzę, od pięknych kobiet można zawsze czegoś się nauczyć... Nie wiem zresztą, z jaką to damą jestem w korespondencji. Gdybym jednak rzeczywiście miał zajmować się jaką, to zapewniam cię, że musiałaby być tak piękna, jak rozkwitła dopiero róża. Czy takie są panie, o których mówisz?“

Czujecie, jak bawią go te dwuznaczne słowa? Jak płocho jest czasem to serce, jak swawolnie umie igrać, jakby rewolucja nigdy nie istniała na świecie. Ruszając po kilku tygodniach w pole, obiecuje pięknej Polce widzenie się.

I Rosja otwiera się poraz pierwszy: podobna jest do pustyni. Nieskończone stopy, pokryte śniegiem lub błotem, niemal bez dróg i bez chleba. Po kilku utarczkach car cofa się powoli. Czy można podążać za nim? Dokąd nas wtedy zwabi? Kto wyżywi armję? Tu niema nic, coby można zająć, jak w bogatych Niemczech, a magazyny też jeszcze nie istnieją. Gdyby nie pośrednictwo kilkuset mądrze spekulujących żydów polskich, zginęłyby całe pułki, już teraz, w roku siódmym. Gdy cesarz, którego powóz nigdzie przejechać nie może, jedzie konno do Pułtusza, słyszy szemranie w szeregach wojska. Oddawna zapomniany to głos, przed ośmiu laty pod Akkon słyszany poraz pierwszy i ostatni. Generałowie donoszą o samobójstwach, tysiące zgłodniałych opuszczają już armję, by rabować na własną rękę. Cesarz słyszy to, ale

RZEKA

milczy, gdyż pomoc nie może. „Znam swych Francuzów, rzekł sam, trudno robić z nimi dalekie wyprawy. Francja jest za piękna.“

Czyż można się dziwić, że zmusiwszy Rosjanina jednak do bitwy, nic zwycięża? Wprawdzie nic jest pobity pod Hławką (PreuBisch-Eylau), ale wojska rozchodzą się ze srogimi stratami bez rezultatu. Pierwsze ostrzeżenie: przeciw Rosji nie wyruszać w pole! Sprawozdanie po bitwie: żołnierze wygrzebują kartofle, konie jedzą słomę ze strzech, kraj pełny chorych żołnierzy, żaden pułkownik nie wie, ile ma jeszcze wojska. Cesarz:

„Pozostaniemy tu jeszcze dwa dni, potem cofniemy się o kilka mil. Na wszystkich mostach wiślanych ustawić żandarmów, nie przepuścić nikogo, z wyjątkiem tych, którzy przeszli amputację. Maruderzy nie będą prześladowani, nikt nie będzie ukarany.“ Ale widok taki przejmuje go bardziej, niż dawniej. Przyłącza się kurcz żołądka, którego doświadczał już niekiedy, który jednak teraz powtarza się częściej i cesarz powiada: „Noszę w sobie zarodek wczesnej śmierci. Umrę na tę samą chorobę, co mój ojciec.“ Jest to cierpienie rodzinne, któremu on ulegnie, jak dziadek, ojciec, stryj, Lucjan i Karolina.

„Żyjemy tu wśród śniegu i błota, bez wina, chleba i wódki,“ pisze poufnie do brata i kiedy w Osterode, w stodole, siedzi i je z żołnierzami, po koleżeńsku, jak wtedy w Italji, biuletyny jego obwieszczają Paryżowi całkowite zwycięstwo, ucieczkę Rosjan, jedną trzecią prawdziwej liczby zabitych i zapewniają, że „moglibyśmy tu zostać rok, tak dobrze nam się dzieje.“

Poraz drugi przekonywa się wtedy, jak mało stworzone są nerwy jego do czekania; jak w Egipcie, spoczywanie zdaje się temu wodzowi czemś niesamowitem. W całym przeciągu jego piętnastoletniego panowania jeszcze raz tylko zdarzy się taki dwu — trzy miesięczny postój zdała od Paryża: oba okresy powolnego rozważania, przezornego układania się wypełnia wylewnymi uczuciami zamkniętego zresztą serca, wypełnia je sielanką.

Finckenstein, mocny zamek pruski, staje się teraz sceną jego działania, gdy oczekuje odwilży na ulicach i w sercach swych przeciwników. Istnieją tam wielkie kominki, które go uspo-

NAPOLEON

kajają, „gdyż lubię nocą, gdy nie śpię, patrzeć w ogień,“ skrzydła i dziedziniec są dość obszerne, dla przyjmowania gości i kurjerów. Stąd przez dziesięć tygodni rządzi częścią świata. Na górze w swej wielkiej sypialni kazał obok paradnej łożnicy rozłożyć swe łożko polowe.

Nikt nie wie, że w przyległym pokoju żyje hrabina polska, z wyjątkiem kamerdynera Konstantego i mameluka Rustama. Nie wyjeżdża nigdy, lub tylko w mroku, czekając cicho, haf-tując, czytając, spędza czas, aż otworzą się drzwi: wtedy zjawia się on, dla niej jedynie, dwa razy dziennie jada z nią sam na sam. W tych dwóch pokojach swej kwatery głównej, w tem zaciszu chwilowo cesarskiego zamku, zbudował wódz i cesarz ostrożną ręką swój sen. Niema tu żadnych pragnień dynastycznych, jak w Paryżu, niema zazdrości czy rachunków jubilerskich, niema żądzy błyszczenia, jest tylko prośba, by można pozostać w ukryciu, prośba przemawiająca niemo z oczu tej osiemnastoletniej, delikatnej kobiety, która nauczyła się go kochać.

„Ja wiem, mówi on do niej, wolisz żyć bezemnie, tak jest, wiem o tem. Ale jesteś dobra, łagodna, serce twe jest czyste. Czy chcesz pozbawić mnie tych kilku godzin szczęścia, które mi gotujesz codziennie? I mnie uważają za najszcześniejszego człowieka!“

Nagle depesza zawiadamia, że bratanek jego i dziedzic, syn króla Ludwika umarł. Jak go to dotyka, o tem świadczą pełne wzruszenia listy do Józefiny; to, co go tutaj i teraz w dwójnasób przejmuje, musi przed nią przemilczać. Czyż już w Kairze nie domagał się od małej kokotki syna? A gdyby ta piękna, wy-tworna kobieta, którą kocha, obdarzyła go dziedzicem? Czy wyniósłby ją wtedy do godności cesarzowej? I czemużby nie? Spogląda na nią i milczy.

Co mówi Paryż?

Nastawiając uszu z polskiego stepu, słyszy cesarz: renta spada, złośliwe dowcipy strzelają po bulwarach, gdzie nasze młode zuchy, pytają Paryżanie. Bacność! Z małego deszczu może powstać szybko burza, a ten, który umie poskramiać pioruny, jest daleko. Teraz ofiarowuje on pobitym Prusom pokój oddzielny, potem nawet konferencję, ale królowa trzyma się cara. Również Austria odpowiada milczeniem na jego zabiegi.

RZEKA

A jednak: właśnie teraz i tu, zagrożony zlewa i zprawa, podejmuje znów plany Aleksandra! Oto posłowie z ściśle zapieczętowanymi listami wyjeżdżają z zamku Finckenstein, a wjeżdżają obcy z wszystkich wybrzeży, z dalekich gór. Oto przybywa do tej północnej kwatery głównej poseł perski, przedstawiciel Króla Królów, kłoni czoło przed wzniosłym cesarzem zachodu i nazajutrz staje ugoda, że cesarz zmusi cara do oddania szachowi Gruzji, wzamian za co szach podburzy Afganistan i ludy Kandaharu przeciw Anglii, uzbroi wojsko przeciw Indjom i gdy potem cesarz francuski wyśle armję przeciw Indjom, szach pozwoli mu na wolny przemarsz.

Ledwo Pers wyjechał z zamku, wjeżdża przed zdumionymi oczyma straży świetny Turek, wraz ze złotymi darami przywozi pismo, które orjentalista w okularach odczytuje; cesarz stoi przed kominkiem w Polsce, tłumaczy sobie bombastyczny styl wschodni na swój własny język i dyktuje pismo do sułtana: „Żałowałem bardzo, że żądasz ode mnie tylko 500 ludzi, zamiast kilku tysięcy... Postaw jasno swoje żądanie, a wszystko czego pragniesz, pošlę ci natychmiast. Wejdz w stosunek z szachem perskim, który jest jeź nieprzyjacielem Rosjan... Ofiarowywałem twemu posłowi kanonjerów i wojska, których potrzebujesz, ale on nie chciał ich przyjąć, obawiając się urazić delikatność muzułmanów... Jestem nadosyc potężny i z nadto interesuję się twemi zwycięstwami, zarówno ze względów przyjaźni, jak i polityki, bym mógł ci czegokolwiek odmówić“.

Tego samego dnia pisze do brata Ludwika, który z nowego swego państwa śle rozpaczliwe wołania, prawdziwy list pouczający dla królów, liczący pięć stron druku. Potem instrukcje dla Józefa, jak ma postępować w Neapolu. Jednocześnie pyta Hieronima, który we Wrocławiu, zamiast wojskiem, komenderuje ładnymi aktorkami: czemu sprawozdania jego nie są całkowite, czemu pozostawia w Świdnicy 600, a w Brzegu 400 ludzi; chce mieć dokładne plany, „żadam najdrobniejszych szczegółów, abym mógł wyrobić sobie prawdziwe pojęcie o położeniu W. Mości.“ Jednocześnie sporządza pismo, które dochodzi każdego z biskupów francuskich oddzielnie i w którym pobudza do uroczystej modlitwy dziękczynnej do Boga wojny na intencję cesarza, w rzeczywistości jednak stara się

NAPOLEON

wywrzeć na każdego osobiście wpływ, dochodzą go bowiem wieści, że konflikt między papieżem i cesarzem w sumieniach duchowieństwa rośnie.

W tymże czasie wydaje tuzin rozkazów do Fouché'go, co do pani Staël. co do zakresu jej wpływu, co do salonów szlacheckiego *faubourg*. Zapytania co do stanu finansów i repertuaru obu wielkich teatrów paryskich. „Gdzie mój bibliotekarz?” — pisze nazajutrz. — „Czy umarł, czy siedzi na wsi? To byłby wygodny sposób wykonywania swego zawodu. Kazałem mu przysyłać sobie wszystkie nowości i katalogi literackie, ale nie słyszę o niczem.“ Projekt nowej wszechnicy historycznej, by młodzież uczyła się nie tylko dziejów starożytności, lecz i czasów nowych. Do ministra spraw wewnętrznych: „Literatura potrzebuje zachęty. Proszę mi podać projekty dla pobudzenia różnych form sztuk pięknych.“ Pytania w sprawie budowy nowej giełdy i kościoła Magdaleny. „W bibliotece państwowej jest wiele nieszlifowanych kamieni szlachetnych, rozdać je między najlepszych rytowników paryskich, by mieli pracę, a przemysł poparcie.“ Jak użyć dobrze sześciu milionów na rękodzieła i jak najlepiej pokryć wydatek? Zamówienia na dwa miliony mają być zrobione prywatnie dla jego zamków. I znów rozkazy sporządzania w Paryżu artykułów, pochodzących rzekomo z Bukaresztu i Tyflisu i opisujących rozpaczliwe położenie Rosji.

I znowu uśmiech dla jego cichej przyjaciółki: „Dziwisz się tak szerokiej działalności? Muszę spełniać swoje zadanie. Dawniej byłem żołędzia, teraz jestem dębem, teraz mam zaszczyt rozkazywać ludom. Ze wszystkich stron oglądają mnie, gdyż góruję. Tedy trzeba grać swą rolę, nie można być zawsze naturalnym. Tylko dla ciebie pragnę być zawsze żołędzia.“ Jak proste, jak spokojne słowa. Spędza z nią jeszcze jeden wieczór, potem wyrusza znów w pole, gdyż oto nadszedł maj i wraz z kwaterą zimową i kominkiem kończy się sielanka. Zobaczy ją znowu, oboje wiedzą o tem, ale gdyby o niej zapomniał, to może czytać w pierścieniu, który mu dała, wyryte tam słowa:

„Jeżeli przestaniesz mnie kochać, to nie zapomnij, że ja cię kocham.“

RZEKA

XV.

Na środku Niemna (Memla), pod Tylzą, stoi na kotwicy tratwa, pnie i belki pokryte są kobiercami, na środku błyszczą pstry namiot w świetle czerwcowego poranka, na szczycie powiewają chorągwie Francji i Rosji, na obu brzegach tłoczą się gwardje cesarzy zachodu i wschodu, oto odbijają łodzie i jednocześnie na środku rzeki cesarz i car wchodzą do namiotu pokoju. Gwardje, które przed dziesięciu dniami ostrzeliwały się jeszcze, wołają sobie hurra! poprzez rzekę i ci, którzy stoją najbliżej, opowiadają tysiącom: wczorajsi nieprzyjaciele, panowie ich, uścisnęli się, stali się przyjaciółmi.

Zaraz po nowem, wielkiem zwycięstwie pod Friedland, podał Napoleon swoim sposobem rękę zwyciężonemu i podczas pierwszego wstępnego układu, — gdy sułtan nie odpowiedział po jego myśli, — dał do poznania, że car mógłby kiedyś może na Aja Sofia zatknąć krzyż. Wrażenie obliczył zgóry, gdyż wie, że ten, któremu jutro słowa te powtórzą, jest miękkim, romantyczno-mistycznym duchem. Car szybko pochwycił dłoń. Teraz obaj przeciwnicy z pod Austerlitz i Friedland stoją naprzeciw siebie. Chłodno ogarniają błękitnoszare oczy Napoleona głowę jedynego, prawdziwego rywala na kontynencie; widzi teraz, że młodzieniec ten ma rysy kobiece, wszystko w nim jest delikatne, układne, różowe, słuch i wzrok słabe, i w dwie minuty wie: człowieka tego można pozyskać.

Mijają dwa tygodnie i przeciwnicy są nietylko sprzymierzeńcami, ale i przyjaciółmi. Jak to się dzieje?

„Jest to miły i przyjemny człowiek, bohater powieściowy“, powiada o nim Napoleon natychmiast, a ponieważ nie znosi już samych powieści, a cóż dopiero ich bohaterów w rzeczowym świecie swych liczb, więc w grzeczności tej tkwi już krytyka, ale dodaje on, jest to „ładny młodzieniec, sprytniejszy, niż się zazwyczaj przypuszcza.“

Później wypowiada o nim bardzo głębokie uwagi: „Car jest postacią ujmującą, stworzoną, by wywierać czar na każdego, kogo zdobywa. Gdybym mógł oddawać się czystym wrażeniom, sprzyjałbym mu serdecznie. Atoli w istocie jego tkwi coś, czego nie umiałbym określić inaczej, niż mówiąc, że we wszystkim brak ma zawsze czegoś. Najosobliwszą rzeczą

NAPOLEON

jest to, że nie można nigdy przewidzieć, co w danym wypadku brakować mu będzie, gdyż ten brakujący kawałek zmienia się w nieskończoność.“ Tak kobiece wrażenie robi na nim mężczyzna, na którego przyjaźni zależało mu pod każdym względem i w zaufaniu streszcza cesarz swój sąd w miażdżącym komplemente: „Gdyby car był kobietą, zdaje mi się, że uczyniłbym z niego swą kochankę.“

Nie dziw, że taka istota ulega w okamgnieniu wabikom silniejszego, ani że go później opuszcza: jedno i drugie czyni, jak kobieta. Nikt nie określił Aleksandra trafniej od Metternicha: „Mieszanina zalet męskich ze słabościami kobiecemi, ulubione idee, powierzchownie ujęte, rodzą nagłe impulsy. Stąd nagłe zakłopotania, bo idee nieprzemyślane do końca. Daje szybko słowo, dostaje się w przykre położenie, aby go dotrzymać, dla egoizmu w wielkim stylu niedość silny, dla czystej próżności niedość słaby, raczej światowiec, niż władca. Pewnego rodzaju perjodyczność w oddawaniu się i rozczarowywaniu i to w pięcioletnich okresach, w których ciągu jakaś idea rośnie i maleje. Poczem przychodzi nowa: zaczawszy zupełnie liberalnie, z nienawiści do francuza, uległ potem jego wpływowi.“

Od dziś za pięć lat skończy się nowy okres, wtedy rozpoczyna znów wojnę.

Wszystko to znawca ludzi przeczuwa już może w świątecznym namiocie, gdzie przez dwie godziny układają się o świat, niewątpliwie jednak podczas długich uczt, na przejeżdżkach wierzchem i powozem, i traktuje go jak mistrz. Zrazu występuje przed nim jako rycerz, który nie może się dość natchwalić bohaterskiej odwagi Rosjan, potem rozgłasza, tak, aby car się dowiedział, że musi jak najrychlej otoczyć się swymi ministrami, gdyż inaczej ulegnie jego urokowi. Przy stole mówi chętnie o swem szczęściu, — o którym człowiek przeznaczeniowy zazwyczaj milczy, — aby go olśnić, i opowiada znikąd zresztą nie przekazaną historję, jak to spał raz w Egipcie pod starym murem, jak mur runął, nie trafiając go, i jako budząc się, uczuł kamień w ręce — i oto rozpoznał w nim kameę Augusta przedziwnej piękności. Czy dramaturg może obmyślić świetniej tę scenę, niż to uczynił cesarz po obiedzie, aby wyrzucić wrażenie na mistycznego pólidealistę ?

RZEKA

Jakże car przysłuchuje się cudotwórcy! Ach, żeby wiedzieć to wszystko, co on wie! „Czuję, że nie jestem takim cesarzem, jak W. C. Mość, bo zależę od mych generałów.“ Potem zadaje mu sto pytań z zakresu sztuki wojennej i wywiaduje się jak najniewinniej podczas przejażdżki konnej: — Czy to jest pozycja? Jak możnaby ją bronić, jak atakować? — „Wy tłumaczyłem mu to i rzekłem, że jeśli raz jeszcze będę prowadził wojnę z Austrią, to dam mu w komendę korpus złożony z 30.000 ludzi pod memi rozkazami, by nauczył się sztuki wojennej.“

Czyż uwodził kto kiedy kobietę z takim humorem? Niebawem przymierze zaczepno-odporne zawarte.

„Kraje między Łabą a Niemnem, opiewa tajemna nota, winny tworzyć barjerę dzielącą oba wielkie państwa i udaremniającą szpilkowe ukłucia, które wśród narodów zwykły wyprzedzać strzały armatnie.“ W układzie tym każdy daje tylko, aby coś wziąć wzamian i w dwóch słowach poświęca car Prusy, a cesarz Polskę, choć każdy z nich przyobiecwał kobiecie utrzymanie jej ojczyzny. Groteskowe niemal wrażenie sprawia spokój, z jakim, w małej izbie nieznanego, zapadłego miasta nad Bałtykiem, dwóch ludzi siedzi nad mapą i wykrawa z niej kawałki, jak w dramacie o Antonjuszu i triumwirach: w ten sposób zwraca cesarz Koburg, Mecklenburg. Oldenburg, domy pokrewne carowi, by zabrać za to Cattaro i wyspy jońskie. Gdy jednak car schodzi na sprawę posiadania Bosforu, cesarz nie zgadza się: „Konstantynopol? To byłoby wszak panowanie nad światem!“ Tu wyskakuje jawnie z gąszczy układów rozstrzygające słowo, które kryje się poza temi wszystkimi traktatami i notami. Czuje się, że gdy dwóch podzieli się światem, to ostatecznie przyjdzie do walki między oboma.

Ściągają też króla pruskiego, ale ponieważ nie wykazuje on ani godności, ani sprytu, obaj cesarze zaniedbują go. W zafaniu Napoleon nazywa go ograniczonym, pozbawionym talentu i charakteru i gani w nim wszystko, aż do ubrania, gdyż ów jako huzar, chodzi w czapce. Ponieważ jednak król w obawie o istnienie Prus chce próbować wszystkiego, prosi królowę, by przybyła do Tylży. Cesarz, ciekawy swej pięknej nieprzyjaciółki, napomknął, że chętnieby ją tu zobaczył. Granicę

NAPOLEON

neutralności bierze za pozór, by nie wyjeżdżać na jej spotkanie, urządza jej jednak piękny dom. w którym ona nie zamieszkuje, potem nadjeżdża w świetnym orszaku, lecz w najskromniejszym ubraniu, i powitany jest przez nią u szczytu schodów.

W białej jedwabnej sukni, ze starymi klejnotami, stoi piękna i cierpka i aby przełamać ogromne zakłopotanie, znajduje niewinne słowa: Proszę wybaczyć, Sire, te wąskie schody!

„Czegóż nie robi się, by przybyć do takiego celu!“ Lecz gdy on chce dalej ciągnąć w tym tonie i pyta, czy tak piękną krepę wyrabiają na Śląsku, ona mówi z godnością: — Sire, czy potośmy tu przybyli, by rozmawiać o błahostkach? — Poczem przemawia jako żona i matka i ucieka się do jego „wspaniałomyślnego serca.“

„W. K. Mość wróci chętnie do Berlina?“

— Nie pod wszystkimi warunkami. Od W. C. Mości zależy, byśmy mogli powrócić tam bez boleści.

„Madame, byłbym bardzo szczęśliwy.“ Ale gdy ona ciągnie dalej, on pyta bardzo poważnie: „Madame, jak Prusy mogły poważnie się na tę wojnę!“

— Sława Fryderyka Wielkiego omamiła nas co do naszej mocy.

„Jakże często ofiarowałem pokój! Austrija po Austerlitz działała rozumnie.“

— Dziś jednak proszę W. C. Mość zdobyć sobie prawo do naszej wdzięczności.

„Czyż jednak W. Kr. Mość sama nie zniszczyła mej przyjaźni dla Prus?“

— Serce W. C. Mości jest zbyt szlachetne, jednoczy wraz z innymi jego zaletami wielki charakter.

„Niestety, W. Kr. Mości, ogólne kombinacje sprzeciwiają się często osobliwym względom.“

— Nie znam się na wielkiej polityce, ale sędzę, że nie uchybię godności kobiecej, jeśli zaklnę W. C. Mość... On słucha, gdy ona mówi dalej w tym tonie, z zainteresowaniem, ona spostrzega „dobrotliwy uśmiech w kącikach jego ust, który pozwolił mi wierzyć w powodzenie, — wtedy wszedł do pokoju król.“

Rozmowa, która maluje ich oboje, nie miała skutków politycznych, ale miała wydatne skutki moralne. „Dobrze, że

RZEKA

wszedł król, mówi cesarz do cara i tylko do połowy jest to kokieterja. Omal nie dałem jej przyrzeczeń... Urocza kobieta, ma się ochotę, zamiast odebrać jej koronę, złożyć ją jej u stóp.“ I po kilkakrotnej rozmowie z nią, pisze do Józefiny: „Zachwycająca kobieta, bardzo uprzejma dla mnie, ale możesz nie być zazdrosna... Zresztą drogoby mnie kosztowały tu umizgi... Ukarana jest za swą żądzę panowania, ale ostatecznie wykazała wiele charakteru w nieszczęściu. Trzeba przyznać, że powiedziała wiele rozumnych rzeczy.“

Bardziej jednak zdumiewa jeszcze wrażenie wywarłe przez nią na nią, która przedtem zwykła była określać go jako pomiot piekielny. „Głowa jego ma piękny kształt, pisze ona, rysy świadczą o człowieku myślącym, całość przypomina cesarza rzymskiego. Uśmiechając się, ma koło ust rys dobroci.“

Jest to największe zwycięstwo, jakie odniósł Napoleon: któraż kobieta przedstawiła go w kilku słowach piękniej, niż ta, która teraz właśnie miała dość powodów, aby go nienawidzić, gdyż mimo jej upokorzenie się, pozostał z żelaza. Niebawem bądź co bądź zaczyna go ona denerwować i gdy wreszcie wszystko jest podpisane i cesarz „tylko z przyjaźni dla cara“ obronił państwo od rozpadnięcia się, chociaż z wielkimi okrojzeniami, ona zaczyna nanowo i gdy on wkońcu odprowadza ją do powozu, ona zaś pyta go raz jeszcze, dlaczego tak wielki człowiek nie chce zyskać sobie jej dozgonnej wdzięczności, wtedy kończy się jego dwomość i przemawia jego ironja:

„Trudno, Madame! Jestem godny pożałowania, gdyż jest to widocznie wpływ mojej złej gwiazdy!“

XVI.

Co mówi Paryż?

„Choćbym znajdował się o 2000 mil od mego kraju, nie mógłbym pozwolić złym obywatelom podburzać mej stolicy.“ Teraz, po dziesięciomiesięcznej nieobecności, dłuższej, niż kiedykolwiek przedtem, lub potem, tem energiczniej chwytą w ręce rządu wewnętrzne, gdyż z przerażeniem widzi, że krytyczni Paryżanie wymykają mu się z rąk. Rażą go nie-

NAPOLEON

tylko dowcipy i piosenki, hulające po bulwarach, ale cały sceptyczny ton, w jakim dowcipne to miasto metyle zachwyca się jego wyprawami. ile się niemi bawi. Tak, ma on słusność, paryżanom potrzeba „żelaznej ręki w aksamitnej rękawiczce.“ Dobrze, będą mieli jedno i drugie, tylko, że aksamit jest trochę przetarty. Cóż to za swobodny ton zapanował? Czyż pragną wznowić czasy dyrektorjatu, gdzie każdy mówił i drukował, co mu się chciało?

Nowa, surowa cenzura ujmuje w karby czasopisma i teatry. Dramat historyczny może podawać tylko to, co jest odległe o wieki, nawet ideał jego, Corneille, zostaje oczyszczony z ustępów mimowolnie aktualnych. Żąda, aby przed każdą operą zapytywano go nietylko w sprawie przyjęcia, lecz i w sprawie wyboru tematu, tematy kościelne mają być autorowi wzbronione, mitologiczne zalecone. Przy pomocy olbrzymich środków, lecz w sposób zupełnie imperjalistyczny, wedle wzoru znienawidzonych przezeń szkół Jezuitów, powstaje. Uniwersytet, którego nauczycielom przyznana jest wolność od służby wojskowej, ale częściowo narzucona jest bezżenność. Chateaubriand jest zwalczany, a jego *Mercure de France* zabroniony, gdyż w salonach opozycyjnych krytykuje cesarza i cytuje Tacyta, jako mściciela w stosunku do tyrana Nerona.

Nowe prośby pani Staël o pozwolenie powrotu, spotykają się z odmową, „gdyż zdolna jest wpoić w ludzi myśli, których nie znali lub o których zapomnieli.“ Do wielkiego kanclerza: „Każ pan wezwać do siebie hrabiego R., buduar jego żony jest skandalem Paryża.“ Do Fouché'go: „Nie troszczy się pan o policję w Paryżu, gdzie obiegają rozmaite złośliwe pogłoski. Każ pan zwracać uwagę na rozmowy toczące się u restauratora Citerni i w Cafe Foy.“ I aby młodzież wiedziała, kto miły jest panu Bogu, odbębnią każde dziecko francuskie swój katechizm: „Winniśmy naszemu cesarzowi Napoleonowi I. miłość, cześć, posłuszeństwo, wierność, służbę wojskową... i gorące modlitwy za jego zbawienie,... gdyż Bóg obsypał go w wojnie i pokoju swojemi darami i uczynił go swem odbiciem na ziemi.“

Tak dalekośmy doszli. Kto w takie rzeczy wierzy, jako dziedzic pradawnych pokoleń, temu wierzą i inni, albo ich

RZEKA

część. Ale Napoleon, dopiero trzy lata temu, powiedział w dzień swej koronacji o takim pochodzeniu boskiem, że wygwizdałaby go każda przekupka ryb.

Czyż nie jest już tym samym człowiekiem? Czyż osobiście nie odsuwa dziś, jak dawniej, wszystkiego, co jest przepychem i pozorem? Odrzuca wydatki na swą pracownię, znajduje się w niej, poza wielkim biurkiem, mała kozetka, na której, dyktując, przysiadła, o ile nie wędruje, dwie wysokie szafy z książkami, para świeczników i Fryderyk Wielki; w innej pracowni stoi tylko Cezar. Przeglądając rachunki: „To było za czasów mego porucznikostwa tańsze. Nie chcę płacić drożej, niż inni.“. Gdy chcą odnowić salę teatralną w zamku, pisze, „o ile się nie mylę, muszę mieć jeszcze mnóstwo wyściełanych ławek i pajaków, które sporządzone były na koronację za duże pieniądze i muszą tu jeszcze być.“

Gdy Rémusat przekracza budżet garderoby cesarskiej o 20 000 franków, zostaje usunięty, następca jego otrzymuje długą listę, którą cesarz sam nanowo zestawiał: „Sądzę, że można porobić przytem jeszcze pewne oszczędności. Pilnuj pan, by krawiec dostarczał dobrego towaru. Nowe ubrania proszę mi przedstawiać tego samego dnia, gdy zostały dostarczone, abym je przymierzył, potem pójdą do moich szaf.“ Przy każdym z surdutów uniformowych, które mają być dostarczane kwartalnie, robi uwagę: „Ten surdut musi wytrzymać trzy lata... Dalej 48 białych spodni i kamizelek po 80 franków sztuka = 3840 franków. Co tygodnia dostarczona być ma jedna para spodni i jedna kamizelka, muszą wytrzymać trzy lata... 24 par butów, co dwa tygodnie para, muszą wytrzymać dwa lata — 312 franków.“ Tylko koszul zamawia dużo, tuzin tygodniowo i muszą wytrzymać sześć lat.

Tak, tu w wewnętrznym kole swego życia jest on tym samym człowiekiem, jak też nie zmienił się i w polu: jest całkowicie wstrzemięzliwy. Natomiast formie majestatu, dworowi, etykietce, całemu ogonowi przeżytego i przezeń samego ubezwładnionego świata, poświęca nie tylko pieniądze, ale, co cenniejsze, czas, i co najcenniejsze, widok najwyższej godności ludzkiej, wolność swojej jedynej postaci.

NAPOLEON

Nietylko uśmiecha się teraz ironicznie, ilekroć „*faubourg*“ zjawi się na dworze: odczuwa to jako zadośćuczynienie. Można rozumieć ten nastrój jego, gdy ta sama szlachta, która niegdyś raniła chłopięce serce kadeta szyderstwem z jego ubóstwa, teraz tłoczy się na dwór tego samego Korsykanina, by w zwierciadlanej posadzce oglądać swój cień w głębokim ukłonie. Oto są znowu wszyscy w Tuilerjach, panowie Montmorency i Montesquieu, Radziwiłłowie, Noailles, Narbonne, Turenne, którzy przez długie lata poprzysięgali parwenjuszowi śmierć, a obok nich brzęczą ostrogami wśród uroczystego chłodu sal, w niemieckich uniformach, księżęta Związku reńskiego, Meklenburczyk nadskakuje cesarzowej, następcom tronu badeńskiego i bawarskiego wolno przysłuchiwać się obradom rady państwa. Wszystko to mogłoby być zabawą dla starej szlachty, dla cesarza środkiem politycznym dla zapewnienia sobie i tej klasy.

Atoli staje się coś, co stać się nie było powinno: tej samej jesieni, ten sam Napoleon, który surduty swe liczy, jak jego żołnierze, który nie zrobi kapitanem nikogo bez zasługi, porucznikiem nikogo bez zdolności, tylko dlatego, że jest czymś tam synem lub kuzynem, on, który siedzi w stodole z oficerami, na biwaku z grenadjerami, on, który z swej księgi praw skreślił wszelkie przywileje stanu, on, który nową zasadę osobistej dzielności przeciwstawił starej odziedziczonej godności i przez to kawał świata wyważył z zawiasów: — ten sam Bonaparte ustanawia teraz nową szlachtę, „gdyż w naturze ludzkiej ugruntowane jest życzenie pozostawienia swym dzieciom obok majątku również znaków powagi, jakiej się zażywało.“ Tworzy się nowych hrabiów i książąt, hercogów i ordynatów, nie po to, by, jak dotąd, najwaleczniejszych marszałków, najmędrszych senatorów i ministrów uczcić w sposób najosobistszy, lecz aby ich synowie i prawnukowie, nicponie, bogate brukotłuki paryskie, dandysi i zwyrodnialce mogli znów kiedyś korzystać z tych przywilejów, dla których zniesienia całe dziesięciolecie kapało się w krwi.

Ba, nawet Legia honorowa zbezczeszczona zostaje przez swego własnego twórcę przez to, że ci wybrani rycerze, z których każdy sam zasłużył się około ojczyzny, może dziedzicowi swemu przekazać pozór tej zasługi wraz z jej rentą, a wielcy

RZEKA

dostojnicy swój tytuł książęcy. Oczywiście, bez żadnych przywilejów obywatelsko-państwowych — ale bądź co bądź wbrew duchowi Kodeksu Napoleona. „Wolność, mówi on poufnie przy wydaniu dekretu z nazbyt głęboką słusnością, wolność jest potrzebą tylko nielicznych, których natura obdarzyła wyższymi zdolnościami, można ją bezkarnie ograniczyć. Tłum lubi równość. Nie naruszam jej, gdy rozdzielam tytuły, nie zadając dawnego pytania co do urodzenia, są to korony obywatelskie, które każdy zdobyć może. Zręczni ludzie nadają tym, którymi rządzą, ten sam ruch, co sobie. Mój ruch dąży ku górze, przeto i naród musi poruszać się trochę w tym kierunku... Wiem, że ci książęta, których tak wysoko uposażam, uniezależniwszy się ode mnie, będą mi starali się wymknąć. Ale ja biegnę szybciej i dopędzę ich wkrótce!”

Rzadko uzasadniano wielki błąd w sposób tak wielki. Istne cięgi wymierzył listownie, jeszcze kilka miesięcy temu, bratu za to, że ustanawia szlachtę w Holandji i swój własny podobny plan usprawiedliwiał tem, że w państwie militarnem jest to rzecz zgoła inna, niż w narodzie handlowym. Ale właśnie to, że sam uczynił Francję państwem militarnem, było pierwszym niebezpieczeństwem; drugim była korona cesarska, która swą odwiecznie symboliczną moc z nieubłaganą logiką zlewa teraz na jego państwo.

Wówczas, jako konsul, mógł bezkarnie rozdawać korony obywatelskie, skupić zaszczyty i sławę w Legji i potężny ruch swego koła rozpędowego przenosić za pomocą transmisji na najsilniejsze mniejsze kółka w kraju. Ale już wtedy, gdy najlepszym z swych ludzi darowywał kraje, potrzebował tytułów dla tych krajów, które z konieczności przechodzą dziedzictwem na następców i gdy teraz potrzebuje tytułów i krajów dla drugo- i trzeciorzędnych „najlepszych“, ci żądają słusnie takiej samej dziedziczności i w ciągu jednego pokolenia tysiące, w ciągu trzech pokoleń dwadzieścia tysięcy ludzi będzie nosiło te nowe tytuły, bez zasług, bez czynów, z pozorem wyższości, i jeśli nie z temi samemi politycznemi, to jednak owemi społecznemi przywilejami, które niegdyś z gniewnych głębin nieuprzywilejowanej masy wytworzyły rewolucję.

Zdrada i niewdzięczność, które tu przygotowuje, otworzą mu jeszcze i osobiście oczy. Ba, ten wyrok śmierci dla równości

staje się w jego rękach zbrodnią cięższą, niż wyrok na księcia d'Enghien: tam zniszczył potomka przewyciężonych czasów, tu tworzy przodków dla ich powrotu.

Ciężkich nastrojów wynikiem była ta decyzja, jest to pośpny rok duszy Napoleona, choć nie spotykają go niepowodzenia. „Myli się pan w swych pobudkach, mówi do pewnego uczciwego demokrata, nie umie pan dostrzec różnicy między sobą i innymi, osobisty interes wchodzi wszędzie w grę, niech pan spojrzy na Masséne; zdobył tyle zaszczytów i sławy, chce jednak koniecznie zostać księciem, jak Murat i Bernadotte, w najbliższym czasie da się zabić w bitwie, aby nim zostać. Ambicja, oto sprężyna Francuzów!“

Teraz występuje z coraz większym chłodem, zabrania braćm przemawiać doń, przerywa regularność pracy, przeciąga niepotrzebnie posiedzenia do nocy, znosi nawet w Fontainebleau wśród polowań i uczt tylko tragedje na scenie, wstaje w połowie nocy, aby dyktować aż do rana, udaje mu się wzmagając się wciąż pobudliwość nerwów uśmierzać tylko całogodzinnemi gorącemi kąpielami; cierpienia z powodu kurczów żołądka rosną.

Smutek, jakiego doświadczał tylko w latach młodości, omracza jego serce. Chętnie rozmawia teraz o szumie morza i wiatru, każe przysłaniać świece, by słuchać tragicznych pieśni śpiewaków włoskich, ale niema nikogo, ktoby rozumiał ten nastrój, wszystko dziwi się i domyśla motywów politycznych. Towarzystwo nie rozumie, że właśnie teraz, gdy sen wyobraźni zaczyna się spełniać, zawodem musi dlań być takie spełnienie, które zjawia się inaczej, niż on marzył i zbyt powoli. „Pan jest taki sam, jak tłum, — wpada z góry na jednego z ministrów, który składa mu życzenia z powodu pokoju w Tylży. — Władcą będę dopiero wtedy, gdy podpiszę pokój w Konstantynopolu.“

Panowanie nad światem! Azja! takim pragnieniem zatętni niebawem znów jego serce i gdyby on, który uczęszcza na tragedje bohaterskie, aby się w nich przeglądać, chciał znaleźć prawdziwy obraz swej duszy, winien był cz\tać pewne wiersze, w których teraz właśnie pewien poeta niemiecki kształtuje od wewnątrz ten sam niepokój faustowski, którego on, cesarz, coraz potężniejszymi ciosami, wypróbowywa od zewnątrz na krajach Europy.

RZEKA

Ale niebawem po tych mrocznych chwilach chroni się znów w światło swych liczb i posyła innemu władcy obszarów, carowi, ten fantastyczny program:

„Armja złożona z 50 000 Francuzów, Rosjan, może w małej części Austriaków, może przez Konstantynopol wpaść do Azji i gdy dotrze do Eufratu, Anglja legnie u stóp kontynentu... W miesiąc po naszym porozumieniu może armja stanąć nad Bosforem: akcja da się odczuć aż w Indjach... Bądź co bądź, decyzja w tej sprawie mogłaby zapaść w osobistem spotkaniu się z W. C. Mością. Wszystko można pisemnie załatwić i postanowić przed połową marca, a przed 1. maja staną nasze wojska w Azji, pańskie w Sztokholmie, Wtedy Anglja runie pod ciężarem zdarzeń, któremi brzemienne jest powietrze. W. C. Mość i ja wolelibyśmy oczywiście w obrębie naszych obszernych państw zażywać pokoju... Mądrze i politycznie jest jednak zawsze czynić to, co nakazuje los... Wtedy ugnie się ta gromada Pigmejów, która nie rozumie, że podobieństwa terażniejszości szukać należy w odległych dziejach, a nie w artykułach dziennikarskich minionego stulecia... W tych kilku wierszach wyrażam W. C. Mości mą całą duszę.“

Całą duszę? Jej część, gdyż z namysłem szlifowane tą te szlachetne kamienie dla niejasnego idealisty, który widzi w nich tęczowe odbicie swych własnych snów. Przedsięwzięcie jednak ujęte jest realistycznie i gdy w tymże czasie pewien generał, który był w Indjach zjawia się u niego na przyjęciu, nazywa przedsięwzięcie nietrudnem i osłabia skrupuły cesarza, ten głaska go kilkakrotnie obiema rękami po twarzy i jest „pełen jasnej, niemal dziecinnej radości.“

Tak fantastyczny był Napoleon.

Terażniejszość prowadzi go znów do cienia Karola Wielkiego. Zeszłego roku zamyślał jechać do Rzymu, by kazać się ukoronować na cesarza zachodu, przyczem papież zachowałby tylko władzę duchowną i kilka milionów renty, ale kardynałowie oświadczyli, że to niemożliwe. Wtedy gniewał się już: „Cała Italja będzie poddana mym prawom. Nie tknę niezależności Stolicy Świętej, jeśli Wasza Świątobliwość w sprawach świeckich okaże mi te same względy. Wasza Świątobliwość jest bezwątpienia suwereneni w Rzymie, ja jednak jestem jego cesarzem!“ Z tym patetycznie groźnym gestem, z tą karolin-

NAPOLEON

gowską butą stoi w sprzeczności cała państwowo-prawna budowa jego władzy. W Rzymie i w Indiach chce on wymusić jednocześnie rzeczy, które zrodziła tylko wizja wielkich wzorów.

Mnożą się znaki, że historyczna fantazja Napoleona pragnie przerosnąć ścisłość jego zmysłu realistycznego, — i skończy się to straszliwie.

W Rzymie narazie pozostaje silniejszy, ale jego nawyk rozkazywania, wiara w niezwycięzalność swego miecza wzrosły do tego stopnia, że traci on poczucie owej moralnej potęgi, którą sam, przed dziesięciu laty, jako politycznie niedoświadczony wódz, bronił z niezachwianem uczuciem przeciw grubiaństwu dyrektorów i którą potem pod grozą utraty popularności wzmocnił w konkordacie. Teraz pisze do Eugenjusza, że pewien kardynał pozostawił po sobie historję papieży; „jeśli w niej autor stara się wykazać, ile zła wyrządzili papieże Kościołowi i chrześcijaństwu, to każ W. Mość niezwłocznie tę rzecz wydrukować.“

Ponieważ papież nie zamknął państwa swego dla Anglii, cesarz obsadził Ankone, powołując się na opiekę, „mocą której Bóg opromienił sprawę mą pełnią blasku... Jeśli Wasza świątobliwość chce odprawić mego posła, to wolno mu to uczynić, niech sobie nawet przyjmie raczej Anglików lub Kalifa z Konstantynopola... Toteż proszę Boga, by przez długie jeszcze lata utrzymywał Waszą Świątobliwość na czele naszej świętej Matki-Kościola. Waszej świątobliwości bogobojny syn, cesarz Francuzów i król Italji, Napoleon.“

Jednocześnie z temi uciesznemi pogroźkami kazał zeszłego roku posłać przez wuja Fescha ostrzeżenie, przyrównał rolę swą do roli Konstantyna i wywłókł stary spór średniowiecza o inwestyturę. „Dla Papieża jestem Karolem Wielkim, gdyż tak, jak on, jednoczę koronę francuską z lombardzką i państwo me graniczy ze wschodem... Jeśli będzie się dobrze sprawował, to skłonny jestem nie zmieniać nic w zewnętrznym pozorze, w przeciwnym razie zdegraduję papieża na biskupa rzymskiego,... wprowadzę w Italji konkordat, gdyż wszystko, co zbawia we Francji, będzie zbawiało i w Italji, a co nie przyczynia się do zbawienia w tem życiu, nie może przyczynić się i w tamtem.“

Zaprawdę, luterński język! On, który buja w urojeniach, gdy jego interesy światowe gubią się w mistyce historycznej, staje się rzeczowo jasny tam, gdzie mistyka religijna staje się pretekstem dla interesów światowych. Rozum Napoleona sprzyjał przez całe jego życie protestantom i tylko ze względów politycznych cesarz oparł się chęci zluteranizowania Francji. Zdecydowany teraz nie ceremonjować się bardzo z najwyższym pasterzem, który nie chce całkowicie zerwać z Anglią, zamierza usunąć uciążliwą przeszkodę między górno- i dolnośląskiem królestwem i wreszcie osiąść rzeczywiście całą Italię, której królem niesłusznie się mieni.

Teraz pisze do wice-króla Eugenjusza stylem swych dekretów wojskowych: „Papież terazniejszy jest zbyt potężny. Księża nie są stworzeni do rządzenia. Czemu nie chce on oddać cesarzowi, co cesarskiego, i nie przestaje niepokoić mych państw? Może niedaleki jest czas, gdy... zwołam na koncylium kościoły Galji, Niemiec, Italji i Polski i załatwię się bez papieża.“ Chce zmajoryzować go przez kardynałów francuskich, papież odmawia pomnożenia ich liczby, chce przejednać go koronacją na cesarza zachodu, ale czar stracił dlań już i ten symbol, do którego cesarz jeszcze zeszłego roku dążył daremnie; ledwo stał się możliwy, wydaje mu się już spełniony; a gdy papież ustępuje i w kwestjach pieniężnych, cesarz żąda znów więcej i grozi, „tę grupę mych dóbr koronnych zjednoczę natychmiast znów z państwem i cofnę darowiznę Karola Wielkiego.“

Słowem, chce połączyć całe państwo Kościelne, gdyż sam ma wielki żołądek. Wtedy papież, oburzony, zrywa układy, cesarz każe obsadzić Rzym i w kwietniu jest państwo kościelne prowincją.

Napoleon, który jeździł od Kairu do Wiednia, od Madrytu do Moskwy i często przebywał we Włoszech, był dziwnie powściągliwy wobec jedynej miejscowości, gdzie duch jego był u siebie: ostrożność, czy zrządzenie losu, trzymały go od Rzymu zawsze zdaleka. Rzeczywistość nie potwierdziła ani zaprzeczyła nigdy obrazu, który od lat chłopiących nosił w swej duszy. Teraz generałowie jego obsadzają poraz drugi Miasto, które wydawało mu się Wieczne. Nikt z jego otoczenia nie powstaje przeciw hazardownemu czynowi. Tylko

matka jego czuje błąd, przechorowyywa to zdarzenie i kiedy dotąd mawiała tylko sceptycznie: o ile to potrwa, — teraz otwiera proroczco przed zaufanymi swą duszę:

„Widzę już, że spowoduje on upadek własny i całej swej rodziny. Powinien był zadowolnić się tem, co ma. Ugania eię za zbyt wielu rzeczami, przeto straci wszystko!“

XVII.

„Ludy niemieckie żądają niecierpliwie osobistości odznaczających się już nie szlachectwem, lecz talentem, mających równe prawo do swych przekonań i urzędów, aby całkowicie usunięte zostały wszelkie słuźalstwa i wszelkie pośredniczenia między władcą i proletarjatem. Te dobrodziejstwa Kodeksu Napoleońskiego, jako też postępowanie sądowe i procesowe rozstrzygną o charakterze pańskiej monarchji i, aby wypowiedzieć tę myśl w całości, liczę na efekt ich w utwierdzeniu tej monarchji więcej, niż na wynik największych zwycięstw. Lud W. Mości musi osiąść wolność i równość, dwa dobra w Niemczech nieznanne! Ten sposób rządzenia będzie naj-silniejszą przegrodą ochronną od Prus, silniejszą od Łaby, twierdz i opieki francuskiej. Któryż to lud pragnąłby wrócić pod rozkazy Prus, poznawszy raz dobrodziejstwa liberalnego rządu?“

Zapomocą tych zdań, które, jako pouczenie prywatne, nie są obliczone na efekt, stara się cesarz wyjaśnić najmłodszemu bratu wielkie posłannictwo, jakie przekazuje mu wraz z nowem królestwem Westfalskiem. Należało tu przeszczepić poraz pierwszy zasadnicze myśli rewolucji na grunt niemiecki, ukazać ludowi, który zawsze tylko słuchoał, pierwszą możliwość stanowienia o sobie, tylko w tym kraju Europy. Gdyż ani Holendrom, ani Włochom, nie były myśli te z ich historii nieznanne, co się zaś tyczy książąt Związku Reńskiego, to mogli oni wprawdzie na rozkaz wprowadzić nowe księgi praw, ale stosownie do tradycji i zdolności nie mogli nic odnowić od wewnątrz. W tem leżała historyczna misja najmłodszego Bonapartego: przez wspaniałą próbę stworzenia demokracji mógł cztery miljony Niemców przekształcić z pod-

danych na obywateli państwa i przez swą inicjatywę oszczędzić całemu narodowi pychy książąt po wojnach o wolność!

Zamiast tego 23-letni, w przepychu rodzinnym już jak książę wychowany młodzieniec, uważał koronę za swawolną przygodę, dla której trwoni się pieniądze i siły żywotne, młodość za szampan, który chce wyszumieć, oszukiwał swą wirtenderską małżonkę z niezliczonymi metresami, robił wszędzie długi, dzieci i skandale, bawił się więcej, niż jego poddani i temi prawowitemi manierami kompromitował na całe lata myśl o wyborze najdzielniejszego. Jeśli już książę traktuje konno pola i ludzi, myśleli nie bez słuszności Niemcy, niechże będzie to przynajmniej książę z urodzenia. On jednak śmiał się z szyderstwa świata, śmiał się nawet z przestróg wielkiego brata.

Ten miał doń słabość, jaką mają ojcowie dla późno urodzonych synów: ogień tego życia odpowiadał jego własnemu tempu, zresztą Hieronim był zawsze miły, nie brał niczego za złe i gdy prosił o naczelne dowództwo, pozwolił się gromie temi słowami:

„W. Mość chyba kpi ze mnie! Dopiero gdy W. Mość weźmiesz udział w sześciu wyprawach, gdy stracisz pod sobą z pół tuzina koni, wtedy będziemy mówić z sobą.“ Ciągnął na wojnę z całym swym dworem, wprowadził bez królowej, ale z najładniejszymi jej damami dworu, wydawał proklamacje w duchu Króla-Słońca, ale potem bez wielkiej przykrości czytał takie zdania cesarskie:

„Czytałem rozkaz dzienny W. Mości, który robi z ciebie pośmiewisko: „W. Mość jest królem i bratem cesarza? To śmieszne przymioty na wojnie! Przedewszystkiem trzeba być żołnierzem. W obozie nie potrzebuję ani ministrów, ani zbytku. Winienesz Waszmość biwakować przy swej pierwszej straży. Dzień i noc spędzać na koniu, maszerować z awangardą, by odbierać natychmiast wiadomości — lub raczej zostać w swym pałacu! Prowadzi W. Mość wojnę, jak satrapa! Na Boga, czyś się tego nauczył ode mnie? Ja jadę na czele strzelców i towarzyszyć sobie nie pozwalam nawet memu ministrowi spraw zagranicznych... Ma W. Mość wielkie uroszczenia, mało sprytu i kilka zalet, które jednak błazeństwa twoje usu-

NAPOLEON

wają zupełnie w cień. Nadto jesteś W. Mość niezmiernie zarozumiała, a nie masz o niczem najmniejszego pojęcia.“

Król wetknął list w żabot i śmiał się. A cesarz? Czyż udzielając tych napomnień stroskanego ojca, nie widział jasno, jak na dłoni, że wszyscy, co otrzymywali odeń władzę bez zasługi, godzą w samo serce władzy? Że ta złota obręcz i ów herb czyniły ze statystów, którym ich udzielił, szybko ruchliwych królów i książąt? Że homunculus wykradł się z fioli i wysmiewa swego pana? Ta niepokonalna słabość w sprawach pokrewieństwa kazałaby niekiedy uważać go za to, czem był najrzadziej, za dobre chłopisko, bo choć zrazu rozkazuje, to jednak przeważnie ustępuje braciom wkońcu. „Drogi bracie, w załączeniu znajdziesz W. Mość konstytucję swego królestwa“: tem zdaniem, które mogłoby pochodzić z jakiejś starej operetki, zaczyna wysoce polityczny list wychowawczy. Ale gdy jest w humorze, to kończy pełne wyrzutów pismo prawdziwie ojcowskim uśmiechem: „Drogi przyjacielu, kocham cię, ale jesteś przerażająco młody!“

On sam przestał już być młody. Ze wzrostem jego planów wzrastać musi owa zimna, przygodna twardość, która właściwie jest skutkiem przeciążenia. Gdy przed dwunasty laty, jako zwycięzca, schodził z Alp, pędząc przed sobą sławę doliną lombardzką, wtedy młodość jego nadawała nowości tej wyprawy wojennej pewnego rodzaju romantyczną niewinność, która porywała współczesnych. Dziś, gdy potok oddawna rozszerzył się w rzekę, gdy na ruchomej jej wstędze okręty wiozą skarby ziemi, ona zaś zbliża się do oceanu, gdzie wody jej zleją się niebawem z wodami całego świata: powaga tej atlantycznej pracy przeniknęła cesarza rysy i serce, coraz rzadziej zdarzają się godziny ciszy, chwile humoru i wesołości i heroiczny cynizm jego posłannictwa zmienia go w oczach świata w posąg brązowy.

Wprawdzie sprowadził hrabinę polską do Paryża, urządził jej dom przy tej samej ulicy, gdzie zachwycała go zrazu Józefina i gdzie pod wpływem zabobonu umieszczał kilkakrotnie swe przyjaciółki, codzień posyła jej swego lekarza, utrzymuje jej dom na wielkiej stopie; jednak ona żyje zupełnie samotna, choć towarzystwo wie o niej, nie chodzi nigdy do łoży operowej, którą jej oddał do użytku i nie widuje go teraz w Paryżu

RZEKA

często. Jest to tylko intermezzo pomiędzy jedną sielanką i drugą. Pragnienie, aby go obdarzyła synem, jest dlań prawem i mogłoby dziś mieć skutki jeszcze większe, niż wczoraj.

Gdyż pierwszy, którego narodzenie uspokoiło go wówczas w Berlinie co do jego zgoła wątpliwej płodności, stał się przez matkę sercu jego raczej obcy. Gdy po powrocie jego zgłosiła się doń, każe jej oświadczyć, że przyjmuje tylko tych, których wzywa, darowuje jej dom i rentę i nie widzi jej już nigdy. Syna jednak każe przyprowadzać do siebie, bawi się z nim i przekomarza i nawet myśli przez chwilę o tem, aby go usynowić. Wszystko musi dziać się w tajemnicy: radować się swobodnie tą najnaturalniejszą w życiu ludzkim sceną, którą Napoleon poznał dopiero pod koniec czwartego dziesiątka swych lat, zabrania mu jego niewidzialny pan, którego on zwie naturą rzeczy, a rzadko losem. Oto go ma, — nareszcie, rodzono syna, który mógłby być jego dziedzicem; ale jemu, cesarzowi zachodu, nie wolno wystąpić i rzec: Oto on! I aby użyzyć mu przynajmniej połowy swego imienia, daje mu imię Leon.

Niewątpliwie, że tego syna, czy to ze względu na matkę, która stała mu się zupełnie obca, czy w przeczuciu jego złych skłonności, nie naznacza poważnie na swego następcę: zda się, jakby przeczował, że ten połowiczny Napoleon stanie się napół zbrodniarzem, a całkowitym nicponiem.

Tem kategorycznie przypominają mu konieczność nowego małżeństwa mnożące się lata. Dochodzi do rozmów między małżonkami, między rozumem i żalością, a służba widuje po nich we łzach nietylko Józefinę. „Ach, powiada on raz, straszna to rzecz umierać bezdzietnie.“ Przytem wzrasta z postępującym wiekiem jego przywiązanie: jeśli już rzadko tylko i to pod przymusem rozstawał się ze współpracownikiem, to zachowawcza natura jego łąnie w dwójnasób do tego najstarszego towarzysza jego wzniesienia się. „Gdybym się z nią rozstał, — mówi do Talleyranda, który doradzał tę konieczność, — byłoby to jednoznaczne z wyrzeczeniem się wszelkiego czaru życia domowego; skłonności i przyzwyczajenia młodej żony musiałbym dopiero studjować. Cesarzowa stosuje się do wszystkiego i rozumie mnie całkowicie. Possatem byłbym

NAPOLEON

niewdzięczny za wszystko, co dla mnie uczyniła.“ Powody te, subtelne i rozumne, przystojne i wygodne, więc zgoła mieszczańskie, trzymają męża przy żonie.

Ale trudności rosna, konieczność decyzji nagli. Zastanawiając się nad moralnem wrażeniem, jakie musi wywołać we Francji jego rozwód, gdyż Józefina jest bardziej lubiana, niż on, kombinuje długo na swój sposób, by nagle uczynić posunięcie, którego nikt nie oczekiwał i które ma spełnić naraz dwa jego pragnienia. Zbliża się do człowieka, którego oddawna potrzebuje i teraz mógłby potrzebować w dwojnasób. Matka nie przestała nigdy wstawiać się za Lucjanem; teraz on podczas podróży do Włoch wzywa go do siebie.

Jest to najciekawsza z przekazanych rozmów Napoleona i Lucjan opisał ją z prawdą i obrazowością. Tkwi w niej cały Napoleon.

XVIII.

Po podróży, podczas której nie opuszczała go obawa przed uwięzieniem, staje przeszło trzydziestoletni Lucjan na zamku w Mantui, dokąd wezwał go cesarz. Blask, promieniejący rozrzutnie z piramid świec na salę, olśniewa go zrazu i dochodzi go tylko cichy szept mameluka: — Sire, brat W. C. Gości Lucjan.

Ale ten, ku któremu zwrócone są te słowa, nie rusza się. Śedzi przy dużym, okrągłym stole, zakrytym całkowicie olbrzymią mapą Europy, większą, niż wszystkie, które Lucjan widział w życiu. Lewą ręką podpierając lewy policzek, siedzący wtyka drugą ręką w swą mapę kolorowe szpilki, mające przedstawiać korpusy czy armje. Ponieważ odwiedzający nie widział lat kilka cesarza, który w tym czasie się zmienił, więc zrazu nie jest pewny, czy to istotnie cesarz i przez kilka minut stoi bez ruchu. Wreszcie mężczyzna podnosi się z nad mapy, ziewa, pociera plecy o krzesło, ujmuje stojący obok niego mały dzwonek, potrząsa go jedyny raz bardzo silnym ruchem. Teraz gość postępuje kilka kroków naprzód.

— Sire, to ja, Lucjan.

Cesarz powstaje spieszenie, odprawia służącego i ujmuje z powściąganem nieco uczuciem tkliwości czy przyjaźni rękę

RZEKA

brata. Ten uważa, że winien go uściskać, tamten nie broni się, stoi jednak chłodny, jakby odwykł już od takich poufałości. Potem bierze znów jego rękę, odsuwa go nieco, patrzy nań badawczo.

„Więc to W. Mość ? Jakże się Mu powodzi ? Jakże rodzina ? Kiedy wyjechałeś z Rzymu? Czy miałeś dobrą podróż? A cóż papież? Jakże mu się wiedzie? Lubi cię?“

Lucjan dostrzega zakłopotanie, kryjące się w tej fali pytań, daje pomyślną odpowiedź i cieszy się, że go zastaje w zdrowiu.

„Tak, dobrze mi się powodzi, — i klepie się lekko po brzuchu. — Tyję i boję się, że przytyję jeszcze bardziej.“ Poczem przygląda mu się bystro, zażywa tabaki i mówi: „A waszmość? Wiesz, że dobrze wyglądasz? Dawniej byłeś chudy. Teraz uważam, że jesteś niemal piękny.“

— Wasza Cesarska Mość raczej żartować.

„Nie, mówię prawdę, ale siądźmy i pogadajmy trochę.“ Siadają obok wielkiej mapy, cesarz bawi się szpilkami, Lucjan oczekuje przemowy, wreszcie mówi tylko: — Sire. — W tej chwili tamten zmiata dłonią wszystkie szpilki: „Więc? Cóż masz mi W. Mość do powiedzenia?“

Lucjan spodziewa się przebaczenia.

„Otrzymasz je W. Mość tem snadniej, że wszystko zależy od Niego.“

Lucjan pragnie uczynić wszystko, co godzi się z jego honorem.

„Doskonale, ale z czernie to chcesz W. Mość godzić swój honor?“

Lucjan wymienia naturę i religję.

„A polityka, mój panie, a polityka jest dla W. Mości niczem?“

Lucjan uchyla się, oświadcza, że jest człowiekiem prywatnym.

„Tylko od W. Mości zależało, by być tak samo królem, jak twoi bracia.“

— Sire, cześć mojej żony, stanowisko moich dzieci...

„Mówi W. Mość zawsze o swej żonie, a wie dobrze, że ona nią nigdy nie była, nie jest i nigdy nie będzie, gdyż ja nie uznaję jej nigdy.“

— Ach, Sire!

„Nie, nigdy, choćby niebo runęło na ziemię! W. Mości, jako bratu swemu, mogę przebaczyć krzywdę. Ją jednak ścigać będzie moje przekleństwo!“ I długa obelżywa przemowa zmusza ostatecznie Lucjana do słów wyrzeczonych z nerwowym śmiechem.

— Sire, proszę się miarkować! Pewne przysłowie powiada: *La processione torna, dove esce*, — co na wszelki wypadek tłumaczy mu na francuski. Gdy cesarz mówi dalej o złej sławie owej kobiety i widzi boleść na twarzy Lucjana, dodaje, że wie, iż to może być oszczerstwo, ale mimo to on jej nie uzna. Zresztą jest to prawo kardynalne, jak prawo salickie, że każde małżeństwo w rodzinie cesarza jest bez jego pozwolenia nieważne. A gdy Lucjan powołuje się na czas, w którym zawarte było jego małżeństwo: „Tak, ale prawo to było wydane z powodu W. Mości!“ Na ten argument logiki napoleońskiej Lucjan nie mógł się nie uśmiechnąć.

„Czemu się W. Mość śmiejesz? Mnie nie chce się śmiać! Wiem, co odpowie pan, pańska żona, i moi nieprzyjaciele, którzy są jedynymi pańskimi przyjaciółmi. Ale żaden dobry Francuz nie przyzna panu słuszności... Odzyska W. Mość opinię publiczną tylko wtedy, gdy przyłączy się do mnie, jak Hieronim.“

Lucjan, który poprzysiągł sobie panowanie nad sobą, bo był wszak w rękach cesarza, nie może pozostać już dłużen odpowiedzi, zrywa się z miejsca i już nie siada:

— W. C. Mość myli się! Jeżeli dworacy pańscy poczytują postępowanie jego ze mną za wdzięczność za usługi, które z radością wyświadczyłem W. C. Mości, to czynią tylko zadość swemu rzemiosłu. Moi słudzy uznają też, że mam słuszność! — Na te słowa chmurzy się czoło Napoleona, oczy jego skrzą, nozdrza drgają, „pewny znak gniewu naszej rasy.“ Ale Lucjan rozpędził się i ciągnie dalej: Co winien mi naród, co mi zawdzięcza? Mógłby widzieć we mnie zbawcę tego, który go umiał uratować... I myślę z dumą, że naród postawi mnie raczej na równi z W. C. Mością, niż z Hieronimem! Nie, Sire, opinia publiczna, która jest potężniejsza, niż wszyscy królowie ziemi, stawia każdego na jego miejscu mimo wszystko, co sobie mówią dworacy!



*N. Napoleon I Cesarz
Francuzów i król Włoch
Zbawca Polaków*

RZEKA

Napoleon ostyga. Zamiast porwać się w swym wielkim gniewie, czego Lucjan obawiał się przez chwilę, opanowyywa się i mówi spokojnie:

„Talleyrand ma słuszość. W. Mość wkłada w tę sprawę zapał godny klubu. Jednak taka wymowność, obywatelu, wyszła od dawna z mody. Wiem doskonale, że 19-go brumaire'a był mi pan pomocny; że mnie pan jednak uratował, na to brak dowodów. Natomiast przypominam sobie dokładnie, że zaprzeczał mi W. Mość jedności władzy, której potrzebowałem dla ratowania Francji i że poświęciłem z Józefem pół nocy, by wymóc na panu milczenie, gdyby o sprawie tej była mowa... Wreszcie był pan skłonny po zwycięstwie zwalczać osobiste me wznie-sienie się, co samo już uwalniało mnie od wszelkiej wdzięczności.

„A czy W. Mość nie jest mi dłużny żadnej wdzięczności? Gdy mnie W. Mość uratował w St. Cloud, czyż nie był sam w niebezpieczeństwie, skoro wysłałem swych grenadjerów, by uwolnili Go z rąk morderców? I gdybyś, zły, wyrodny bracie, istotnie przeprowadził przez głosowanie ów wniosek, który ogłaszał mnie za wyjątego z pod prawa, to czy sądzisz, że byłbym tak głupi, by się do niego zastosować? Czyż nie pozostawało mi dość zwolenników, by z Bogiem obronić tę głowę, która przeznaczona była dla tylu koron?“ I mówi dalej, przez godzinę, o owych dniach, o rodakach korsykańskich, którzy byliby mu pomogli, nagle zaczyna się zwierzać, wspomina ówch generałów i stopień ich oddania, przechodzi do konfliktów politycznych, co do których bracia różnili się w zdaniu, dowodzi, jak dalece słuszość była po jego stronie, wreszcie urywa i zmienia temat:

„Ale dosyć. Wszystko to stare dzieje, jak pański wielki dzień 19-go brumaire'a i nie po to chciałem się widzieć z W. Mością, by wygłosić odczyt.“ Długa pauza.

„Lucjanie, posłuchaj W. Mość, rozważ dokładnie moje słowa, przede wszystkim nie irytujmy się... Jestem za potężny, bym miał ochotę złościć się. W. Mość przyszedł do mnie w zaufaniu. Cesarz Francuzów nie naruszy gościnności korsykańskiej. Ta cnota naszych przodków i rodaków jest ci rękojmnią pełnego bezpieczeństwa.“ Cesarz chodzi po sali przez długi czas, tamten widzi, jak się skupia, potem podchodzi doń, ujmuje jego rękę i ściska ją.

NAPOLEON

„Jesteśmy tu sami. Prawda? Jesteśmy sami. Nikt nas nie słyszy. Na punkcie małżeństwa W. Mości nie mam słuszności. Ponieważ znałem pański upór, pańską miłość własną, — gdyż wszystko to, rozumie W. Mość, to tylko miłość własna, która uważa się za cnotę, tak samo jak my księżęta nazywamy polityką wszystko, co dotyczy naszych namiętności, — otóż nie powinienem był mieszać się do pańskiego związku... Oczerzono pańską żonę przede mną, niektórzy też mieli odwagę mówić dobrze o niej, zwłaszcza mama, która ją kocha, gdyż twierdzi, że ona uszczęśliwia cię i jest dobrą matką... Lebrun chwalił ją nawet tak często, iż Józefina podejrzewała pocziwca, że się w niej kocha... Bawiłem się przytem bardzo z powodu mej żony, która jest daleko złośliwsza, niż się sądzi. Bądź co bądź, w stosunku do mnie Józefina nie pokazuje nigdy pazurów. Otóż nie pogardzam pańską żoną, ale nienawidzę jej, gdyż namiętność ta zrabowała mi najzdolniejszego z mych braci. Ale piękność ta minie, W. Mość rozczaruje się, wtedy jednak będzie W. Mość stał na przeszkodzie mej polityce, będę cię wbrew mej woli prześladował, gdyż powiadam ci: jeśli nie będziesz za mną, — to Europa jest dla nas obu za mała!“

— W. C. Mość żartuje ze mnie.

„Nie, serjo, przyjaciel lub wróg!... Dziś łatwiejsze to dla W. Mości, niż kiedykolwiek! Nie dziw się: moja polityka rodzinna zmieniła się, zobaczysz zaraz. Dzieci W. Mości, które dotąd chciałem wyłączyć, mogą mi teraz być bardzo pożyteczne, ale muszą być dynastycznie uznane. Pochodząc z nieuznanego przeze mnie małżeństwa nie mogą mieć prawa do korony. Powiedz mi W. Mość tedy, co zrobiłbyś na mojem miejscu?“

Lucjan radzi ogłosić ich uprawnienie do dziedziczenia prostu przez uchwałę senatu.

„Wiem, że mogę to zrobić, ale nie wolno mi tego: jak W. Mość przedtem rzekł, istnieje jeszcze opinja publiczna. Coby powiedziała na to rodzina, dwór, Francja, które czuwają nad najdrobniejszym mym ruchem! Taka palinodja zaszkodziłaby mi więcej, niż przegrana bitwa.

Lucjan czyni uwagę, że nie mógłby przecie prosić o przebaczenie mu małżeństwa, które zawarte zostało na długo

RZEKA

przed owem wyniesieniem na tron. — Jeśli W. C. Mość uczyni zadość mym prośbom, to nie miałyby wierniejszego ode mnie sługi. Całe życie swoje poświęcę wdzięczności!

Mówi długo i przez cały ten czas Napoleon wyjmuje nieustannie z tabakierki tabakę, choć nie zażywa ani czwartej części: jest tak zdenerwowany, wydaje się nawet Lucjanowi wzruszony i tak trwożny, że w pomieszeniu wreszcie woła: „Ach, mój Boże, W. Mość napiera, a ja jestem słaby. Ale nie będę tak słaby, by przeprowadzić tę uchwałę. Nie mogę uznać żony W. Mości!“

Na to Lucjan zmieszany i rozdrażniony:

— Sire, więc czegoż W. C. Mość chce odemnie?

„Czego chcę? Poprostu rozwodu!“

— Ale W. C. Mość zawsze utrzymywał, że nie jesteśmy po-brani. Jakże więc możemy się rozwieść?

„Na to czekałem... Jakież wyciągnął pan wniosek z roz-wodu, którego żądałem? Widocznie chciałem przez to uznać W. Mości małżeństwo, ale nie żonę.. Rozwód jest dla pańskich dzieci dobry, jak wszystko, czego W. Mość dotąd odmawiał, a co byłbym tak chętnie widział: by unieważnić i rozwiązać małżeństwo.

— To byłoby bezczeszczące dla mnie i dla mych dzieci, tego nie zrobię nigdy!

„Jakże W. Mość może, przy swym rozumie, nie widzieć różnicy między memi propozycjami dawnymi i dzisiejszemu Wtedy skutkiem unieważnienia dzieci twe zostałyby bastar-dami!“

Lucjan przedstawia różnicę między dynastycznymi a oby-watelskimi prawami swych dzieci: — Sire, W. C. Mość może darowywać swe trony, komu zechce; W. C. Mość zdobył je ostrzem swej szpady. Nikt jednak nie może wyłudzić od mych dzieci ich udziału w skromnym spadku po Carlo Bonapartym, gdyż wedle Kościoła i prawa są prawowite, jak wszystkie inne. Papież dał jednej z mych córek nawet imię jego matki!

„Uspokójże się W. Mość!... Rozwód, którego sobie życzę, zawiera w sobie oczywiście uznanie małżeństwa... Nie zmu-szam też W. Mości rozstać się faktycznie z swą żoną. Niech będzie szanowana wedle zasługi, jeśli złoży tę ofiarę mojej polityce, przyszłym interesom Francji. Nawet sam złożę jej

NAPOLEON

wizytę. Jeśli jednak odmówi, to ludzie będą obwiniać was oboje, żeście prawdziwą wielkość swych dzieci poświęcili wemu egoizmowi, one zaś będą przeklinać waszą pamięć.“

Lucjan odpowiada patetycznie.

„W. Mość jest niepoprawny, bierze wszystko tragicznie. Ale ja nie życzę sobie tragedij, rozumiesz W. Mość. Namyśl się!“

Gdy Lucjan kilkakrotnie zaznacza swe stanowisko honoru i żegna się kilkakrotnie, cesarz wznawia znów sprawę rozdziału koron: woli oddać jemu Włochy, które pozostawił Eugenjuszowi tylko prowizorycznie, skarży się również na Hortensję, bo nikt nie jest zadowolony. „Paulina jest oczywiście najrozumniejsza *in puncto* ambicji, gdyż jest królową mody. Zresztą jest coraz piękniejsza. Józefina postarzała się i jest zmartwiona z powodu pewnego rozwodu.“

Lucjan nastawia uszu, Napoleon ciągnie dalej, jakby gawędził: „Pomyśl W. Mość tylko, płacze ciągle, gdy źle trawi, bo wierzy, że jest otruta przez tych, którzy chcieliby mnie inaczej ożenić. To godne pogardy. Ostatecznie jednak będę musiał się rozwieść. Winienem był uczynić to daleko wcześniej, miałbym już dziś dorosłe dzieci, bo trzeba W. Mości wiedzieć. — i przybiera poważny ton: — nie moja to wina, jak wszyscy sądzą, że nie mamy dzieci. Mam ich kilkoro, o dwojgu wiem z całą pewnością“. Określa, bez wymienienia nazwiska, matkę Leona — i rzecz zdumiewająca — hrabinę polską: „To urocza kobieta, anioł... Śmieje się W. Mość, że jestem zakochany? Tak, jestem nim, ale o polityce swej nie zapominam nigdy: wymaga ona, bym się ożenił z księżniczką. Oczywiście wolałbym wynieść na tron swą kochankę! W ten polityczny sposób winienby i W. Mość postąpić w stosunku do swej żony!“

— Sire, postąpiłbym tak samo, gdyby żona moja była tylko moją kochanką.

Cesarz ożywia się coraz bardziej, mówi o silnem postanowieniu rozwiedzenia się, żałuje, że dał bawarską księżniczkę Eugenjuszowi, który jej nie szanuje i że nie wziął jej sam, czyni uwagę, że córkę Lucjana byłby już dawno zaręczył z księciem Asturji, „albo z innym księciem, może nawet z wielkim cesarzem... Więc rozwód W. Mości musiałby poprzedzić mój albo odbyć się w tym samym czasie: wtedy

RZEKA

będzie mniej hałasu z powodu mojego rozwodu; bo pański rozwód, któremu W. Mość sprzeciwiał się tak uparcie, wywoła z pewnością większe wrażenie. Wyświadcz mi tę przysługę! Powinieneś to zrobić!”

Lucjan patrzy nań wzrokiem, który go zdumiewa, poczem cesarz mierzy jego samego od stóp do głów: „Czemużby nie?” Lucjan uśmiecha się z powodu tego żądania, cesarz miesza się, potem wraca do sprawy, nazywa go nagle „swym drogim prezydentem,” gdyż Lucjan był niegdyś prezydentem Rady Pięciuset i dodaje z naciskiem: „Usługa za usługę, tak być musi, — i tym razem nie okażą się niewdzięcznym!”

Lucjan czuje, że „tonie w pewnego rodzaju marzeniu, które nie było pozbawione słodyczy”, tak, że słów Napoleona przez chwil kilka nie słyszy. Następnie cesarz zwierza się w poufny tonie, że życzy sobie tego rozwodu tylko dlatego, aby złagodzić wrażenie własnego w opinii publicznej. Gdy Lucjan oględnie zaznacza wyższość swej żony, tkwiącą w jej młodości, i płodności, brat nie obraża się zgoła: „W. Mości żona, — tak, W. Mości żona, — czyż nie kazałem zawiadomić cię o tem? Zostanie księżną Parmy, najstarszy syn będzie jej dziedzicem, atoli bez pretensji do dziedzictwa po W. Mości, jako księcia francuskiego. To będzie pierwszy stopień, na który pragnę Waszą Mość wznieść, dopóki nie znajdzie się coś lepszego: jakaś niezależna korona.”

Przy słowie „niezależna” Lucjan uśmiecha się, gdyż przychodzi mu na myśl rola braci. Napoleon zauważa:

„Tak, niezależna. Gdyż W. Mość będzie umiał rządzić. Niech W. Mość tylko wybiera!” Przy tych słowach oczy jego ciskają iskry, uderza potężnie ręką w olbrzymią mapę. „Nie mówię na wiatr, wszystko to należy, lub niebawem należeć będzie do mnie. Mogę już dziś rozporządzać. Chcesz W. Mość mieć Neapol? Odbiorę go Józefowi... Italję, najpiękniejszą klejnot mej korony cesarskiej? Eugenjusz jest tylko wicekrólem. Spodziewa się, że dostanie ją, gdy mnie przeżyje, ale zawiedzie się na tym punkcie: będę żył lat dziewięćdziesiąt, bo tyłu potrzeba mi do całkowitego umocnienia mego państwa! Zresztą Eugenjusz z swą odrażoną matką nie będzie nadawał się już dla Włoch. Chcesz wziąć Hiszpanję? Czyż nie widzisz jej już w mej ręce, dzięki błędom ich ukochanych’

NAPOLEON

Bourbonów? Nie chciałbyś W. Mość być tam królem, gdzie byłeś posłem? Więc czego chcesz? Wszystko, czego chcesz, jest do rozporządzenia W. Mości, — gdy rozwód pański poprzedzi mój!“

Lucjan, którego nerwowa szybkość, z jaką mówił Napoleon, przykuła jakby do miejsca, mówi wreszcie: — Ani nawet piękna Francja pańska nie skusiłaby mnie do tego rozwodu, a nadto... — Zaczyna się, ale cesarz odgaduje jego myśl i mówi suchym tonem i „z ową wspaniałą miną“, której Lucjan nigdy u niego nie widział:

„Czy może uważa się W. Mość jako człowiek prywatny za bezpieczniejszego, niż ja na moich tronach? I czy myślisz, że przyjaciel twój, papież, jest dość silny, aby obronić cię, gdybym chciał W. Mość poważnie zaniepokoić?“ I powtórzywszy argumenty oraz pokusy, rzecze w uroczystym tonie: „Wszystko dla Lucjana rozwiedzionego, dla nierozwiedzionego nic.“

Lucjan spogląda ku drzwiom, jakby chciał zachęcić cesarza do odprawienia go, ten jednak ujmuje go za rękę i mówi „trudnym do określenia tonem i z miną, z której można było dorozumieć się wszystkiego“:

„Gdy się rozwiodę, to W. Mość nie będziesz poza mną jedyny, także Józef czeka na mój rozwód, aby zgłosić swój. Pani Julja nie umiała nic lepszego, jak rodzić dziewczęta, gdy mnie przecie potrzeba było chłopców! Dziewczyny przydają się tylko do zawierania przymierzy. Zresztą najstarsza W. Mości, jak powiadasz, ma lat czternaście, czyli jest w sam raz we właściwym wieku. Czy nie chcesz posłać jej do Mamy? W danym razie zażądam jej od niej. Chyba nie boisz się W. Mość o rozpieszczone swe dziecko? Powiedz córce, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi i że nie będę już, jak wówczas, gdy była dzieckiem, targał jej za uszy... Pragnę mieć więcej bratanków i bratanie! Gdyż rozwiedziona Józefina, babka dzieci Hortensji, będzie zawsze nieprzyjaciółką mych prawych i adoptowanych synów. Nie, — mruknął potem jakby do siebie, — tak być musi, nie mam innego środka, by ubezwładnić siłę dzieci Ludwika i Hortensji.“

Potem przechodzi znów do naturalnych swych dzieci, chce je adoptować, wdaje się w szczegóły i woła nagle: „Czy sądzi W. Mość, że nie mam mocy uprawnić mych naturalnych

RZEKA

dzieci, jak Ludwik XIV, który swe podwójnie cudzołożne bastardy ogłaszał swymi następcami tronu?“ I kiedy znowu wraca do rozwodu Józefa, a Lucjan wyraża wątpliwość, mówi Napoleon, zacierając ręce z zadowoleniem:

„Tak, tak, Józef i W. Mość również rozwiedziecie się! Rozwiedziemy się wszyscy trzej i potem ożenimy się znowu jednego i tego samego dnia!“ Dodaje jeszcze wiele wesołych rzeczy. Potem mówi nagle: „Ale W. Mość bardzo spoważniał. Człowiek byłby skłonny uważać W. Mość za antycznego mędrca! Powinien W. Mość trzy dni zabawić u mnie. Każę ustawić dla W. Mości łóżko obok mojej sypialni!“

Wobec ponownego zaproszenia Lucjan wymawia się chorobą dziecka, gdyż lęka się jego pokus.

„Chce W. Mość porozumieć się z żoną? Więc żegnajcie przyjacielskie plany!“

Lucjan podkreśla, że raczej żona jego cierpi z powodu nienawiści cesarza, i wyraża obawę, że mogłaby kiedyś rozchorować się z powodu wzruszeń i zgryzot.

„Istotnie? Roleję nad tem! Ale pilnuj W. Mość! Nie wolno jej umrzeć przed rozwodem, bo wtedy nie mógłbym już uprawnić jej dzieci!“

Lucjan udaje, że pragnie się nad tem zastanowić.

„No dobrze! Jedź W. Mość, skoro chcesz koniecznie! Ale dotrzyмай słowa!“ Podaje mu rękę, nadstawia jednocześnie policzek do pocałunku, który nie wypadł zbyt po bratersku, Lucjan wychodzi, w drugim pokoju słyszy cesarza wołającego: „Ménéval!“

Tedy przyśpiesza kroku, — bojąc się znowu, że zostanie arestowany, jak bał się przyjeżdżając.

Nikt, ani w zakresie poezji, ani historii, nie przedstawił Napoleona świetniej, niż to brat jego uczynił z namacalną wiernością. Bo gdzie poeta, któryby przewyższył tę scenę! Tej nocy znajduje się cesarz w trudnem położeniu, wydobyć zeń ma go ktoś, kogo on zmusić nie może i kto dorósł go w pewnym względzie. W tem świetle charakter jego staje się niemal przejrzysty, jesteśmy świadkami, jak sam się rozwija i skłębia swe motywy.

Wszelkimi sposobami uwodzicielskimi stara się przekonać przeciwnika, każdy efekt jest obmyślany i to z myślą o tym ambitnym charakterze, który pragnie zjednać sobie; oto jak

go przyjmuje, ślęcząc nad Europą, jak go potem wita, to straszy, to znów darzy zaufaniem; jak to kobietę, o którą walka się toczy, zrazu lży, potem sławi; jak podejmuje terminologię klubów, nazywa go obywatelem, zmienia rejestr patosu: wspomnienie Korsyki i wspólność rasy, owo ironiczne wyzwanie, że Europa jest za mała dla nich obu, potem mama i Paulina, Józef i Ludwik, imiona z pokoju dziecinnego: tak go omotywa.

A jednak — co najdziwniejsze — jego tryskająca natura, to bijące serce, ten drgający mózg, a z niemi fantazja i namiętność przełamują z porywającą siłą ciągle na nowo granice powagi, z ust jego padają w obecności tego zdeklarowanego wroga wyznania dotyczące poufnie Józefiny i hrabiny, pasierbów i generałów, własnych błędów i wielkich planów. Czemu?

Bo ten Lucjan jest utalentowanym, jak Talleyrand, partnerem, ale jest też bratem i przeto dla tego człowieka o takim zmyśle rodzinnym kimś mimo wszystko godnym zaufania. Przejmująca to chwila, gdy cesarz późno po północy w poufnej rozmowie pragnie go zatrzymać, ów jednak odchodzi, nie dlatego, że musi, tylko że nie chce jeszcze ulec genjuszowi. Gdyż tajemna walka toczy się między oboma, nie o miłość czy rozwód, o zaszczyt lub korony, chodzi o najwnętrniejsze poczucie siebie, tak dziś jak przed siedmiu laty, gdy młodszy nie chciał słuchać starszego i jeszcze dziś myśli w duszy, że byłby wszystko zrobił lepiej.

Mimoto kocha go na swój sposób; każde słowo jego sprawozdania wyraża tę ciemną nienawiść bratnią, która mieszka obok miłości. Przeto nie darowuje mu nic, wywleka znów z cienia ów 18. brumaire'a i znowu obaj mają słuszność i kiedy ci doświadczeni realisci rozmawiają, wypływają na ich wargi stare frazesy o wielkości i bezpieczeństwie Francji, kiedy tu chodzi wyłącznie o ich własną namiętność, i nagle zdaje się, jakby popisywali się przed tłumem, nie zaś siedzieli o północy sami — czy nie tak, jesteśmy sami, nikt nas nie słyszy — jesteśmy w obcym zamku pod olbrzymimi piramidami świec, które palą się coraz mroczniej i kończą się niemal.

A jednak mimo swą potężną egzystencję, nietylko pod względem państw i koron, ale siły myślowej i fantazji, — cóż to za biedny człowiek uwikłany w losy, które zaczął snuć,

ale które teraz snują się dalej, wbrew niemu! Mimo swą wszechmoc poddany jednej, nieobliczalnej, otaczanej zabiegami wielkości, opinii publicznej, która nie pozwala mu przejednać sobie brata, uznać dzieci, przystać na małżeństwo z kochanką! Jakże uwydatnia się ta niemoc potężnego męża właśnie w jego okrzyku, że jest dość potężny na to i na wszystko, — a jednak nie może się na to ważyć! Jak bardzo podoba mu się brat teraz po latach oczyszczenia i wyrzeczenia, jakżeby pięknie rządził za niego! Gdyby został teraz u niego, choćby trzy dni, nastąpiłoby pojednanie, — mój Boże, W. Mość napiera, a ja jestem słaby.

Czyż tej nocy, gdy cesarz dał bratu korony Europy do wyboru, nie było mowy o dziedzictwie Carla Bonaparte, ubogiego szlachcica na małej, zapadłej wyspie? Czyż cesarz Francuzów, który zapiera się zawsze obcego pochodzenia, nie wezwał nagle znowu tych Korsykanów, jako przodków i penatów ogniska domowego dla ochrony parlamentarza w obozie wroga? Czyż to znów nie legenda opowiadana o północy przy kominku w Mantui? Tak, jest to legenda, którą mały porucznik korsykański rozsunął z swej nici życiowej: ze wstęgi tkanej, którą ciągnie za sobą, zadzierzga i zaplata, mnożąc barwy i wzory, czyni się kobierzec i coraz większe z jednej nici powstają obrazy, obrazy krajów i koron, mórz i ludzi.

Całość jednak uprzedła się w sposób najnaturalniejszy; bez cudów, tylko dzięki własnym zdolnościom, człowiek stał się władcą ludzi i nocy dzisiejszej chciał jeszcze jednego pozyskać dla dzieła. Czasu ma mało, choć pragnie dożyć wieńcdziesiątki, braciom nie może pozwolić płodzić córek, żyć z żonami, które kochają; gdy jednak ci pożądanu bratankowie zaczynają się potem tłoczyć, on musi im przeciwstawiać nowych bratanków, a gdy jedna z żon kona ze zgryzoty, on każe jej czekać, aż otrzyma rozwód; i kiedy wreszcie oni trzech opuszczą swe żony, które rodzą tylko córki lub wcale nie mają dzieci, wtedy jednego dnia wszyscy wezmą sobie nowe żony, — i wszystko będzie w porządku. Ach, jakże wkońcu zaciera ręce ten mały czarodziej nad olbrzymią mapą! I kiedy wszystkie kraje nabije na pstre szpilki, jak motyle, by schować je do swego zbioru — wtedy dopalą się świece i na-
zajutrz nie wstanie już dzień.

XIX.

Dynastia hiszpańska zdawało się dojrzała do upadku. Zaraz po tej rozmowie przyszło do wojny, jak to cesarz przepowiedział. Król zwyrodniały w utrzymanka swej żony, królowa, której do Mesaliny brakło tylko wielkości, przენiewierczy minister, nienawiść między ojcem i synem, przekupstwo, łajdactwo: oto obraz hańby, w jakiej tonał dom Bourbonów. Kto chciał go obalić, musiał posługiwać się jego środkami. Nigdzie bezwzględny krok Napoleona nie brzmiał gniewniej, nigdzie deprawacja przeciwników nie była mu bardziej na rękę, a ponieważ każdego człowieka chwyta jego własnym sposobem, więc z przyjemnością używa względem tej zgniłej dynastji wszelkich podstępów, jakimi ona jeszcze się trzyma. Że zapomina przytem o ludzie hiszpańskim, który za takich królów nie odpowiadał i zgoła niepodobny był do nich, tego będzie ciężko żałował.

Kto jest z Anglią, ten jest mym wrogiem: na tej zasadzie wygnał już rodzinę portugalską. Ponieważ Hiszpanja stoi po stronie Anglii, wryzyskuje on w długich intrygach wewnętrzną walkę między królem i następcą tronu hiszpańskiego, osadza ostatniego na tronie, żąda jednak potem, by zrezygnował na rzecz ojca i podczas pierwszego zjazdu obu stron w Bayonne i groźbą i chytryością osiąga to, że korona przypadła jemu samemu. Od Gibraltaru do Cattaro Morze Śródziemne, raczej jego wybrzeża, musiały należeć do niego. Tego wymagała wojna z Anglią.

Zrazu podbój udaje się jego generałom łatwo: „Czy wie pan, mówi do Metternicha, czemu posuwam się naprzód w Hiszpanji? Muszę być bezpieczny na tyłach.“ Biada, jeśli nim już nie będzie!

W rozstrzygający dzień, gdy załatwił się już z księżętami i osadził ich w łagodnej niewoli, jest w lekko podnieconym nastroju, nowa korona dodaje mu rozmachu, nie widzi już tylko Hiszpanji, lecz niezmierne kolonje, które niegdyś posiadała. „Z tego powodu, opowiada pewien świadek, mówił cesarz długo, lub raczej poetyzował, osjanizował... jak ktoś, komu taje serce... W malowniczym, obrazowym swym stylu mówił o potężnych koronach w Meksyku i Peru,

o potędze i wpływie ich władzy. Ilekroć go słyszałem, nigdy nie roztoczył takiego bogactwa obrazów. Był wzniosły.“

Ale brakuje króla, gdyż Lucjan nie wrócił. Pozostaje przesunięcie, jak w państwie urzędniczym: wszystko posuwa się o jedno miejsce. Holandia nie może się przecież utrzymać, zrobi się z niej prowincję i odwoła Ludwika. Ten broni się: „Nie jestem zarządcą prowincyj. Król może być królem tylko z łaski bożej... Jakiem prawem mógłbym żądać przysięgi od ludu, gdybym nie dotrzymał tej, którą złożyłem Holendrom wstępując na tron!“ Oto znowu następstwa dynastji! Gdyby ten Rzymianin postawił na czele swych prowincyj generałów i zarządców, mógłby ich zawsze odwoływać. Gronostaj jednak, w który odziewa swe lalki, cały aparat koronacyjny, msza, namaszczenie, wszystko to budzi wyobrażenia, które chciano pogrzebać i daje małemu królowi Ludwikowi dzisiaj pełne prawo do odmowy.

Józef jest ruchliwszy: skoro był wczoraj królem w Neapolu, czemużby nie miał być nim jutro w Madrycie? Niebawem po intrydze w Bayonne wjeżdża tam król Józef I., wprawdzie nie powitany przez serca ludu, lecz przez nakazane strzały armatnie i hołdy. Murat, którego żona i tak oddawna kładła bratu w uszy, by podarował jakąś koronkę, Murat, syn proletarjacki, zostaje królem Neapolu; nareszcie okazała para otrzymuje okazałe pole dla swych intryg, a potem dla swej zdrady.

Ale co za awantura, i z jakimi skutkami, robi się z tej Hiszpanji! „Na tyłach“ cesarza huczą gromy, gdyż dumny ten lud nie zniesie podboju bez walk; z drugiej strony Renu zaś wszyscy, którzy w Prusiech i Austrii nienawidzą cesarza, mają namacalny powód do uzasadnienia swej ciągle ponawianej ofensywy obawą przed podobnym losem. Jeśli Napoleon niegdyś w Berlinie oświadczył, że w Łabie zdobył Ganges, to przeoczą teraz, że z nad Tagu stwarza sobie nowych wrogów nad Dunajem. Załatwić się z Hiszpanją rzeczywiście byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby car trzymał Austrię w szachu. Trzeba więc z nim pomówić, zjednać sobie ten niepewny charakter można tylko sugestją, jak przed dwoma laty w Tylży. To pobudza cesarza do spotkania się z carem w połowie drogi, w środku Niemiec, wynurza się nowa dlań

NAPOLEON

forma polityki, konferencja. Jeszcze nigdy nie wyruszał z Francji bez miecza, układy zawsze wywalczał sobie dopiero. Teraz dla uniknięcia walki wybrany jest stół konferencyjny, ustawiają go w Erfurcie.

Napoleon przygotowuje konferencję, jak kiedyndziej armję. Codziennie wzywa urzędników i dostojników, „podróż moja musi wypaść bardzo pięknie. Pragnę mieć w kwaterze głównej znakomitsze nazwiska... Chcę przepychem wprawić Niemcy w zdumienie.“ Bo przybędzie nie tylko car: podwójne słońce ściągnie wszystkie małe słońca. Jak działać na to zgromadzenie — myśli cesarz. Widowisko będzie pętlicą, w którą pochwyci królów ich sumienie! Ustanawia przeto dokładnie repertuar teatru, rozważa i zmienia obsadę, koryguje skreślenia, daje wskazówki Talmie, dla którego żywił coś w rodzaju przyjaźni, jakie ustępy należy akcentować: wszystko obliczone jest na ten parkiet. „Będzie pan grał przed parterem złożonym z królów.“

Istotnie, wieczory teatralne stają się kulminacyjnymi punktami tygodni erfurckich. Oto czterech królów, 34 książąt i wszystko, co stara się podnieść własnym blaskiem ich rywalizujący przepych, w łoży zaś siedzą cesarze wschodu i zachodu i każdego niemal wieczora słuchają, co głoszą, o co walczą i cierpią królowie podania, historii. Oto Talma jako *Orestes* woła przed rampą:

*„Bogowie są władcami naszych dni,
Lecz sławę naszą kształtuje dłoń własna.
Czemuż ma serce znosić groźbę nieb?
Myśl wzniesćcie, sami nieśmiertelni bądźcie,
Los bogów stwórzcie sobie tu na ziemi!“*

Następnego wieczora widzą *Mahometa* Voltaire'a, którego cesarz szczególnie lubi, dlatego choćby, że nie schodzi niemal ze sceny i uczniowie słyszą wołanie proroka:

*„Wszyscy ludzie są równi! Tak, nie urodzenie,
Własna siła i dzielność li może ich dzielić.
Są łaską obdarzone duchy, które same,
Nie przez przodków się swoich stały tem, czem są.
Taki jest mąż, którego obrałem za mistrza,
On jeden zasługuje, aby ująć świat!“*

RZEKA

Czyż istnieje serce, które nie bije teraz dla męża siedzącego tam w łoży — albo też nie bije namiętnie przeciw niemu? Czyż spojrzenia tych wszystkich rodowitych książąt, unikając łoży, nie szukają siebie wzajemnie, jakby dla porozumienia? Nie wąż się oni uśmiechać, przecież drżą przed nim, który, jako ucieleśniona rewolucja siedzi w swym prostym zielonym surducie i słucha. Wie on, czego nie wiedzą ci niemieccy książęta na sali, że wnet nowy, silniejszy cios padnie z ust Mahometa.

*„Widzę, że państwo rzymskie się rozpada,
Kruszą się członki spróchniałego ciała.
Ze zgliszczy wschód się podnosi daleki,
Nowy rozjaśnia bóg ten ślepy świat!”*

W końcu słyszą politykę cesarza dzisiejszą i jutrzejszą w słowach:

*„Któż pana królem uczynił? Zwycięstwo
Tylko mu dało koronę! Lecz on
- **Potrafi odtąd do miana zwycięzcy**
Dołączyć twórcy pokoju nazwisko.”*

W tej chwili, gdy wszyscy patrzą na niego, jakby pytająco, Napoleon daje lekkim ruchem do poznania, że i on jest tego zdania i na przeciąg jednej sekundy politycznej znosi złudzenie teatru. Gdy jednak innego wieczora *Edyp* woła ze sceny:

„Przyjaźń silnego męża to dar bogów!”

wtedy powstają obaj cesarze i podają sobie ręce.

Że Aleksander nie jest silnym mężem, ani przyjaźń ta darem bogów, o tem Napoleon wie i stara się przez sugestję pozyskać ten chwiejny charakter, gdyż aby w myśl owego listu skłonić go do zagwarantowania podzielonej władzy nad światem, i pisemnie i uroczyście rozszerzyć ugodę Tylżycką, używa codziennie nowych psycho-magnetycznych zabiegów. Pozostawia go rzadko samego, traktuje go jak kobietę, którą zdobyć się pragnie; jedynym człowiekiem, któremu wolno mu w tem pomagać, jest Talleyrand.

Wciąż jeszcze kulawiec kroczy za prostym, a wszak niedawno jeszcze różnica zdań doprowadziła ich do straszliwej sceny.

NAPOLEON

Wielki znawca dostrzegł pierwsza pęknięcia w systemie swego pana wcześniej, niż on i wszyscy inni. Zeszłego roku, po nierozstrzygniętej partji w Hławce. ukazała mu się w wielkiej, dyplomatycznej wizji możliwość załamania się w Rosji, — i natychmiast jako wniosek wyciągnął z tego myśl o posłannictwie wielkiego, dyplomatycznego zdrajcy. To, że dwoje oczu liczy tylko na dwoje oczu. że cesarz buduje tylko na carze, cała ta karolingjada przeprowadzana przy pomocy pomysłów cesarycznych: słowem, fantazja w ujmowaniu świata przez jego pana, odsunęła go od jego polityki. Zamiast jednak odejść, oddał tylko pod delikatnymi pozorami portfel, za co otrzymał intratne dostojęństwo w państwie. Obaj chcieli wygrać na tem: cesarz spodziewał się, że będzie mógł lepiej czuwać nad nim, Talleyrand miał nadzieję, że będzie go mógł lepiej szpiegować, ponieważ zaś zostaje szambelanem, cesarz zaś z następcy jego Champagny, jako z ministra, zawsze tylko szydzi, — więc zostaje po rozwodzie właśnie faworytem i nie ponosząc odpowiedzialności, zdwaja pokątnymi intrygami swą moc.

Sprawy hiszpańskie stwierdziły tylko jego wątpliwości. Już wtedy, gdy pan jego zwrócił pierwsze spojrzenie na ten łup, przewidział nieszczęście i kusił go przeto coraz bardziej do tej awantury: od czasów Ludwika XIV, mówił, korona hiszpańska należała zawsze do panującej rodziny fraucuskiej i gdy takimi pozornymi argumentami podbechtał go zupełnie, doszło ostatecznie do obsadzenia Katalonji, „aż do zawarcia pokoju z Anglią.“ Teraz intrygant przeszedł szybko do krytyki i uśmiechał się skrycie, gdy cesarz powierzył mu poniżającą misję, by na swym zamku w Valencay zabawiał infantów hiszpańskich w ich honorowym areszcie.

Pragnął zażyłości, nietylko dlatego, by wybadać uwięzionych książąt, a przy ich pomocy pośrednio i Anglję, lecz i przeto, aby ich samych pouczyć. Stąd już krok tylko do jawnej zdrady. Talleyrand czyni go, całe jego życie państwowe wiodło go na tę drogę: odtąd daje on Tołstojowi i Metternichowi, ambasadorom cara i cesarza Franciszka w Paryżu, prywatne „informacje.“ Jakże jednak ukryć takie rzeczy przed swym panem, wobec którego przez urząd państwowy, dworski i poufną radę trzykrotnie jest się zobowiązanym?

Urządza się mu scenę.

RZEKA

„Widzi pan, — mówi cesarz, wróciwszy z Hiszpanji, — wszyscy jednak wpadli w sieć, którą na nich zastawiłem!”

— Sądzę, Sire, że wskutek wypadków w Bayonne W. C. Mość więcej stracił, niż zyskał.

„Jakto?”

— To proste, wykażę to na przykładzie. Jeśli człowiek wartościowy popełnia głupstwa, utrzymuje metresy, *ile* obchodzi się z żoną i przyjaciółmi, to gani się go, ale dzięki majątkowi i władzy odzyska on względy społeczeństwa. Ale jeśli człowiek ten oszukuje w grze, to wytrąca się go z dobrego towarzystwa, nie przebacza mu się tego nigdy.

Cesarz zbladł — opowiada Talleyrand — i tego dnia nie przemówił doń ani słowa. Ale czemuż go nie wypędzi? Czemuż nie ześle go do Indyj Zachodnich? On, Napoleon, moralnie osmagany przez potomka starej szlachty, zatrzymuje go mimo to przy sobie? Lub czy też Talleyrand skłamał? Pamiętniki jego są tem prawdziwsze, że pisał je w dwadzieścia lat później, po Restauracji, właśnie dla wykazania, że zawsze już grał *o deux mains* i — wskutek moralnego uczucia dla prawowitych, oczywiście — zawsze napół tylko służył swemu panu. Jeśli więc kłowa te w ten sposób powiedziane zostały człowiekowi, któremu nikt prawie nie mówił już prawdy w oczy, a cóż dopiero obelgi: to dlaczego go trzymał?

„On jedyny rozumie mnie,” mówił cesarz często o Talleyrandzie, a to już dużo. Jego pozbawiony skrupułów sposób myślenia, który nie musi walczyć z sumieniem, bo go nie zna, służył za ujeżdżalnię, po której cesarz mógł harcować, ilekroć dosiadł polityki: inni mieli zasady lub względy, które trzeba było. dopiero przeskakiwać. Ponieważ Talleyrand nie miał urazy do klas i czasów, ale jednocześnie też żadnej z porządkujących idei, mocą których Napoleon wydzwignął swe państwo z chaosu przypadków, przeto ten gładki oportunistą, pragnący tylko używać pieniędzy, stał się najlepszym doradcą drugiego realisty, który zawsze tylko w nowych planach umiał uśmierzać swą wściekłą fantazję.

Dlatego rozumieli się, ale tylko do pogranicza swych charakterów; zdrady, którą Talleyrand mu gotował, nie zgrunтоваł Napoleon nigdy do dna.

NAPOLEON

Właśnie tu, w Erfurcie, nadeszła wielka chwila dla dwulicowego gracza. Gdy książęta tłoczą się dokoła niego i wypytują go o cesarza, pomija swych małych przyjaciół, któż bowiem zapłaci najwięcej za informacje, zarówno pod względem politycznym, jak gotówkowym?

Na Aleksandra zarzuca Talleyrand swe wędkę, i nie musi zarzucać daleko. Gdyż Rosjanin, pouczony przez swego przedstawiciela paryskiego, jest tego Francuza ciekaw nie mniej, jak cesarza, rychło schodzą się w salonie księżny Thurn und Taxis, która co wieczór po teatrze urządza swobodne przyjęcia i zdaniem Mefistofelesa zdają się słowa, które Talleyrand po latach dziesięciu zapisuje w swym pamiętniku: „Cała sztuka, której użycie zdawało mi się konieczne, była wobec cara niepotrzebna: po pierwszym słowie zrozumiał mnie i to tak ściśle, jak chciałem być rozumiany.“

Ukryta myśl tych słów wychodzi na jaw, gdy Talleyrand pierwszego dnia mówi do cara: „Sire, co W. C. Mość zamyśla tu robić? Od W. C. Mości zależy ocalenie Europy, ale nie dokona W. C. Mość tego, jeśli nie sprosta cesarzowi francuskiemu. Lud francuski jest cywilizowany, jego władca nim nie jest. Władca Rosji jest cywilizowany, jego lud nie jest nim. Więc władca Rosji powinien być sprzymierzeńcem ludu francuskiego... W. C. Mość nie powinien się dać skłonić do żadnych groźnych środków przeciw Austrii, lecz tylko wziąć na siebie te same zobowiązania, co mój pan.“

Jest to tylko jedno zdanie. Podczas długich wieczorów, przy ponczu i herbacie, Talleyrand, który także umie uwodzić, wszczepia w mózg Aleksandra wszystkie prawdy i nadzieje, które chce w umyśle jego ożywić. Jak cenne są dla cara te *indiscreta* dotyczące Francji, dowodzi jego łaska: przyrzeka on Talleyrandowi dla jego bratanka rękę księżniczki rosyjskiej, najbogatszej dziedziczki wschodu.

Dopiero teraz, umocniony podejrzliwością i ostrożnością, które i tak już w domu zbudziła w nim rodzina, może car opierać się Napoleonowi. Mimo obcowanie w cztery oczy, jeden na tym parkiecie erfurckim stara się nieustannie oszukać drugiego: narzeczeńska atmosfera z Tylży rozwiła się, marzycielskość znikła.

RZEKA

Napoleon zdumiewa się. Każe Talleyrandowi ująć nowe przymierze w paragrafy, potem przepisuje własnoręcznie — największy trud! — z własnymi poprawkami arkusz i przyніósłszy go Aleksandrowi, każe mu przysiąc, że tego zupełnie tajnego pisma nikt nie pozna. Car przyrzeka: daje jeszcze tego samego wieczora arkusz Talleyrandowi do przeczytania, znów pod najświętszą przysięgą milczenia wobec Napoleona, i w ten sposób autor poznaje z swym partnerem, co pan jego zmienił w jego własnym szkicu. Pismo jednak podpisane nie zostało nigdy.

W nocy każe cesarz wezwać Talleyranda; ten gra po mistrzowsku rolę Jagona. Cesarz mówi: „Nie posuwam się ani o krok naprzód, on myśli na zbyt krótką metę.“

— Ale jest cały pod urokiem W. C. Mości.

„Udaje to przed panem, wodzi pana za nos. Jeśli kocha mnie istotnie, czemuż nie podpisuje?“

— Ma w charakterze coś rycerskiego, — mówi tamten i pęka z własnych słów. — Dlatego czuje się zawsze bardziej związany słowem i skłonnością, niż układem.

„Nie będę już mówił o tem, inaczej będzie uważał mnie za nazbyt interesowanego. Nasze prywatne spotkania wystarczą, by zbudzić w Austrii wiarę w istnienie tajnych artykułów... Nie rozumiem pańskiej predylekcji do Austrii: przecież wszystko to jest jak polityka naszego *ancien régime!*“

W takich chwilach zasadniczego zarzutu Talleyrand zawsze wychodzi z swej skóry: — Zdaje mi się, że jest też polityką nowego *régime* i, śmiem powiedzieć, winnoby być własną polityką W. C. Mości. Właśnie na W. C. Mość liczy się, celem zagwarantowania kultury.

„Kultury!“ Staje nagle przy kominku, zmienia ton, mówi cicho: „Wie pan, dlaczego nikt nie układa się ze mną bezpośrednio i prosto? Bo nie mam dzieci, bo wszystko zależy od dwojga oczu. To tajemnica. Boją się mnie, każdy ciągnie zyski, jak może. Zły to stan rzeczy dla świata, trzeba go zmienić.“

Mija dni kilka, stosunek władców zdaje się serdeczniejszy, nikt nie myśli o etykiecie, każdy wchodzi, wychodzi, kiedy chce. Napoleon zastawia delikatnie sieci, mówi do cara:

NAPOLEON

„Tak, trzeba mi spokoju, trzeba mi ogniska. Ale czy ma się je bez dzieci? Żona moja jest o dziesięć lat starsza ode mnie, — dodaje, dokłamując jej cztery lata. — Przepraszam. To, co mówię, jeft może śmieszne, ot tylko wzruszenie serca. którem pragnę, Sire, podzielić“ się z panem.“ Pauza. „Ale mamy już tylko chwilę do obiadu, muszę pożegnać jeszcze pana de Vincent.“

Tak wytwornie umie ten człowiek z biwaku, jakim raczą go przedstawiać królowie galonowi, nawiązać delikatną sprawę tuż przed obiadem, aby móc szybko urwać. Wieczorem każe wezwać Talleyranda do łóżka, mówi, pyta, kombinuje, wydaje bezładnie rozkazy, — aż wreszcie wypowiada słowo rozwód. „Los mój chce tego, spokój Francji wymaga tego. Nie mam następcy. Józef jest niczem i ma tylko córki. Muszę założyć dynastję i to z córką wielkiego rodu książęcego. Aleksander ma siostry, jedna jest w odpowiednim wieku. Niech pan pomówi z Romancewem: po sprawie hiszpańskiej chcę przystąpić do podziału Turcji, niech pan powie to i przytoczy inne argumenty, wiem, że jest pan przecie oddawna za rozwodem.“

Nazajutrz mówi Talleyrand bezpośrednio z carem. Ten jest pod wpływem sugestji, którą cesarz w przeddzień wieczorem zamierzał wywołać swem inelancholijnem wystąpieniem: „Nikt nie zna dokładnie charakteru tego człowieka, — mówi Aleksander z przejęciem. — Cały niepokój, który on sieje, jest koniecznym skutkiem jego stanowiska. Nikt nie wie, jaki on dobry. Co sądzi pan, który zna go tak dobrze?“

Talleyrand nie jest w żadnym razie skłonny wyznać, co myśli, ale jest na tyle rozumny, że przedstawia myśl swego pana: „Byłbym gotów, — powiada car natychmiast, — ale bez mej matki nie mogę rozporządzać wielką księżną.“

Następuje między cesarzami długa, nieznana nikomu rozmowa, wznowiona jest zażyłość, wznowione jednocześnie herbaty wieczorne z Talleyrandem, — ale niema zakończenia: w Erfurcie nie zostało zawarte rozszerzone przymierze, ani małżeństwo i Napoleon, wśród oznak czci, jakich on nawet nigdy nie zaznał, jest rozczarowany, gdyż musi odjeżdżać bez umowy i bez rosyjskiej oblubienicy. Jedyny Talleyrand przywosi coą pewnego, miljony nowej bratanicy.

RZEKA

Tymczasem cesarz i jego ludzie głaszczą 38 książąt, grożą im, chwalać ich, lub zostawiają na lodzie. „Nie widziałem w Erfurcie, pisze Talleyrand, ani jednej ręki, któraby po męsku dotknęła pazura lwa... Ostatniego dnia był otoczony książętami, którym zabrał lub zniszczył armje, zmniejszył państwa i dochody, a jednak nikt nie śmiał wystąpić z prośbą: każdy chciał być tylko widziany, o ile można ostatni, aby pozostać w jego pamięci.“

Na wszelki wypadek sądzi Napoleon, że Wiedeń wierzyć będzie w zawarcie niezawartej niestety umowy, więc strach zastąpi to, czego nie przyniósł traktat. Nie wie, że tymczasem Talleyrand zdradził go i wobec Metlernicha, któremu powiedział: „Od pana tylko zależy, by stanąć znów z Rosją na tak bliskiej stopie, jak przed Austerlitz. Tylko to przymierze może ocalić ostatek niezawisłości Europy.“ Oczywiście więc może Austriak skończyć swe sprawozdanie promieniejącem zdaniem: „Nareszcie więc wstąpiliśmy w nową epokę, w której sprzymierzeńcy, zda się, przychodzą do nas z łona cesarstwa francuskiego.“

Następuje pożeganie, cesarz w otoczeniu książąt zamienia z carem bratni pocałunek; wszyscy stoją z szacunkiem wobec tej światowładnej przyjaźni. Tylko Talleyrand, z kapeluszem w ręce, uśmiecha się nieznacznie: przy herbacie u księżny niemieckiej, udało mu się tę przyjaźń podkopać.

W cztery lata, robota jego wyda owoce, któremi Napoleon się otruje.

XX.

Jasno wznosi się na szarem tle tych książąt pochodnia ducha niemieckiego. „Zabieram stąd tylko jedną zdobycz do Paryża: nadzieję, że zachowacie mnie w dobrej pamięci.“ Do wybranego grona ludzi w Weimarze mówi to cesarz ostatniego wieczoru; tu i w Erfurcie spędził kilka wieczorów z tymi prawdziwymi książętami niemieckimi, którzy nie mieli żadnych przodków, tylko genjusz. Tylko im czuje się genjusz bez przodków pokrewny i cała nowa pogarda, która nagromadza się w nim w tych dwóch tygodniach, znajduje *pendant* w grzeczności i szacunku, jakie okazuje duchowi niemieckiemu. Przy-

NAPOLEON

tem dzieła mistrzów są mu nieznane, zna on tylko ich sławę i stanowisko, jakie zajmują w republice niewidzialnej niemieckiej i w cesarsko-francuskiej. Stosownie do tego wyszukuje ich.

Już przed dwoma laty sprowadził z Poczdamu do siebie Jana Mullera i nic nie wyraża lepiej wagi tej rozmowy, nad powściągliwość z jaką sprusaczony Szwajcar zdarzenie to traktuje. Z całą ścisłością swego umysłu, który rozgranicza wszystkie materje, przeszedł wtedy cesarz, bez żadnych pytań wstępnych, bo wracając wprost od swych generałów, do problemów, które muszą przykuwać“ uwagę każdego historyka, a tego w szczególności, i po trzech minutach tkwił wśród najgłębszych problemów historycznych.

Mówił o Tacycie. Potem starał się ustalić główne epoki ducha i sławił przedziwną odnowę, jakiej wykształcenie greckie doznało dzięki chrześcijaństwu wbrew wykształceniu rzymskiemu; jak wielką musiała być“ zřęczność Grecji, która, pobita przez miecz Rzymu, zdobyła sobie napowrót władztwo duchowe. Słowa te, wypowiedziane w kilka dni po Jenie do uczonego pruskiego, zawierały uznanie i wezwanie i cesarz wzmógł swą uprzejmość, proponując Müllerowi, czego nie proponował nigdy żadnemu Francuzowi: aby napisał jego historję. Potem mówił o istocie i konieczności wszystkich religij i „rozmawiano jeszcze wiele i rzeczywiście o wszystkich niemal krajach i narodach... Im bardziej zajmująca była jego rozmowa, tem mówił ciszej, tak, że cały nachylić się musiałem do jego twarzy i nikt w pokoju nie mógł rozumieć, co mówił; jakoż i ja o rozmaitych rzeczach nigdy nie wspomnę.“

To zdumiewające zakończenie tego krótkiego sprawozdania świadczy o skrytości poważnego Müllera, lecz i o wspaniałej otwartości, z jaką cesarz monologizował wobec znakomitych umysłów.

Teraz w Weimarze zwraca się przedewszystkiem do starego Wielanda, porównywa go do Voltaire'a, zadaje mu jednak natychmiast krytyczne pytanie, czemu miesza powieść i historję. „Umysł tak wybitny, jak pański, powinien zupełnie oddzielać rodzaje. Pomieszanie takie prowadzi łątwno do bałamuctwa.“

Ale chodzi o coá więcej, bo kiedy Wieland dowcipnie broni twego nadużywania historji i zaczyna mówić o nocie, jako

RZEKA

wzorze, przerywa mu cesarz żywo: „Ale czy wiadomo panu, co zdarza się tym, którzy ukazują w poezji tylko cnotę? Ludzie zaczynają wierzyć, że i cnota jest tylko poetyckim zmyśleniem.

Potem przechodzi do Tacyty, którego wszędzie prześladuje, jakby ten mógł dziś jeszcze, niby pani de Staël, niepokoić salony i za pośrednictwem krytyki, wśród sali balowej, wypowiada wielkie myśli o ludziach działających: „Tacyt nie rozwinął dostatecznie przyczyn i wewnętrznych motywów zdarzeń. Nie zbadał dość głęboko tajemnicy postępków i charakterów, aby ugruntować bezstronny sąd potomności. Sąd taki powinien ludzi i ludy brać takimi, jacy być mogli w swoich czasach i okolicznościach... Słyszałem, iż chwalono go za to, że napędzał tyranom strachu przed ludami: to jednak jest wielkim złem dla ludów! Czyż nie mam słuszności, panie Wieland? Ale nudzę pana, nie przyszedłszy tu po to, aby rozprawiać o Tacycie! Niech pan spojrzy, jak cesarz Aleksander pięknie tańczy!“

Na tę chwilę Wieland czekał: w świetnie spreparowanej mowie broni starego rzymianina przeciw nowemu, tak, że wkońcu grono wielkości weimarskich i wszyscy, którzy słuchali, nie mogli powstrzymać się od zachwytu.

Cesarz słuchał z uwagą, teraz wszyscy patrzą na niego, co powie? Czy grzecznie wycofa się z debaty? Napoleon wyzyskał minuty, obliczył, jak w bitwie, na czyjej informacji opierać się może nieoczekiwany atak przeciwnika i co począć przeciw niemu. Mowa nie była improwizowana, skąd jednak przyszła Wielandowi myśl spreparowania tematu Tacyty? Błyskawicznie przypomina sobie on, który od tego czasu rozmawiał z setkami ludzi, swoją gawędę z Müllerem przed dwoma laty.

„Mam do czynienia z silnym partnerem, — powiada, gdy stary pan skończył. — Wyzyskuje pan każdą swą przewagę. Czy koresponduje pan może z panem Müllerem, którego spotkałem w Poczdamie?“

Wszyscy uśmiechają się dokoła, również i Wieland, który kocha dowcip bardziej, niż siebie i przeto odpowiada otwarcie:

— Od niego słyszałem, Sire, że W. C. Mość nie lubi Tacyty. —

„No, nie uważam się jeszcze za pobitego,“ mówi cesarz. Potem wraca do swych idei greckich i chrześcijańskich, posuwa

NAPOLEON

się jednak tym razem dalej, gdyż odgaduje w tym zręcznym starym poecie sceptyka: „Zresztą, — mówi cicho, przystępując doń blisko i kładąc rękę na ustach, — zresztą to jeszcze wielkie pytanie, czy Chrystus istniał.“

Zdobywca i poeta: pierwszy, w pełni sił, odnowiciel religii chrześcijańskiej na gruzach rozumu, ale teraz właśnie przejęty lekkim niepokojem co do tego Kościoła; drugi, poeta i poganin i właśnie dopiero przez pierwszego porównany z Voltaire'em, który ten rozum przeciw Chrystusowi wprowadził, należący nadto do ludu pokonanego i jednocześnie tak słaby, że szuka ciągle poręczy krzesła, — i oto szepcą sobie na ucho, że Chrystus pono nie istniał. Ale stary pan nie napróżno jest od lat 50-ciu najwytworniejszym umysłem na ziemiach niemieckich; dowiedzie teraz cesarzowi, że nietylko poza Renem ludzie umieją być grzeczni i odpowiada pośpiesznie: „Wiem, że są szaleńcy, którzy wątpią o tem. Ale, to byłoby równie niedorzeczne, jak wątpić, czy istniał Juljusz Cezar, lub czy istnieje W. C. Mość.“

Takto Wieland ratuje francuskim zwrotem jednocześnie dworność niemiecką i Chrystusa. Ale cesarz bez zapuszczania się w sprawę, kończy ją, klepiąc starego po ramieniu: „Tak, tak, panie Wieland!“ I zwracając się ku sali balowej, mówi głośno o państwowo-zachowawczej wartości chrześcijaństwa; ale choć miał, wedle świadectwa, największą ochotę rozmawiać dalej z tym umysłem, Wieland dał wyraźnie do poznania, że nie może dłużej 6tać i tak skończyła się za wcześnie scena, która przy pomocy dwóch krzesel mogła być coraz ciekawsza.

Niemym świadkiem rozmowy był Goethe.

Z nim miał cesarz kilka dni temu jednogodzinną rozmowę w Erfurcie, na osobności, to jest w jednej z owych sal, w których podczas podróży jednocześnie śniadał, przyjmował, rozkazywał, filozofował, podpisywał. Była to rozmowa duchów, wymiana dwóch przeciwnych elektryczności, wzajemne poznawanie się dwóch największych ludzi owych czasów, rozmowa, w której najwięcej spraw przemilczano, a najlepszą był podziw obu stronny. Goethe, który od natury mógł uczyć się wszystkiego, ale w rzeczywistości świata ludzkiego znajdować tylko potwierdzenie przewidzianych obrazów, odczuł i określił rozmowę tę, jako jedno z największych zdarzeń. Dla cesarza musiała ona mniejsze mieć znaczenie.

RZEKA

Albowiem gdy Goethe ze zdumieniem śledził drogę Napoleona od lat dziesięciu i w starości wypowiedział o nim najgłębsze sądy, których nie prześcignęło stulecie badań nad Napoleonem, cesarz nie wiedział o nim w gruncie rzeczy nic, zwłaszcza o jego osobistym dlań uwielbieniu, któremu dawał wyraz tylko w poufnych rozmowach i którego jemu samemu nie zdradził ani słowem. Werther, którego czytał kilkakrotnie, jako nastrój nie istniał dziś dla cesarza zupełnie, jak wszystkie owe nastroje młodzieńcze, które były tylko zastępczą strawą beczynnej fantazji. Ale co teraz znaczy ten posiwiwały poeta, o tem nie miało wówczas pojęcia nawet stu Niemców, a ani jeden zgoła Francuz, ponieważ zaś i w narodzie nazwisko jego było podówczas niewielkie, chłodne i niepopularne, przeto cesarz nie mógł nic o nim wiedzieć ponadto, że napisał przedziwne utwory, których nie znał nikt z jego otoczenia, i że już w roku Jeny był ministrem owego księcia saskiego, na którego cesarz był tak wściekły. Wezwawszy go, musiał spodziewać się po nim mniej, niż po Müllerze lub Wielandzie.

Ale duchom takim, jak Napoleon lub Goethe, wystarczy tylko spojrzeć człowiekowi w oczy, aby go ująć. Oto cesarz, przy wielkim okrągłym stole spożywa śniadanie, mając z prawej Talleyranda, z lewej Daru, spostrzega poetę w drzwiach, zaprasza, by wszedł i milczy zdziwiony: przed nim stoi sześćdziesięcioletni, najpiękniejszy, najzdrowszy Goethe, Goethe z swej najspokojniejszej epoki, u szczytu z trudem zdobytej harmonji, której nie posiadał nigdy przedtem i którą znów niebawem utraci. Cesarz patrzy na męża tego ze zdumieniem, potem mówi, raczej do siebie, niż do świadków:

„*Voilà un homme!*“

Oto złota strzała, godząca w samo serce tego męża i tej sceny: nawskroś odczute, wizjonerskie słowo, raczej wrażenie, niż sąd — i tak przystało. Gdyż właśnie przeto, iż władca świata nie wie, że ma przed sobą władcę świata, słowo to, którego nie rzekł nigdy ani przedtem, ani potem, ani do kogoś, ani o kimś, dowodzi boskiego pokrewieństwa geniusza z swym bratem. Zda się, jakby w sferach powietrznych dwa demony poznawały się poprzez kłębowisko chmur i wyciągały nagle ramiona, aż dotkną się końcami palców; potem znów mgła

NAPOLEON

czasu zapadnie między nich obu. Równą chwilę w biegu stuleci legenda przekazała chyba tylko jeszcze w spotkaniu Diogenesa z Aleksandrem.

Goethe, w nieprzezorności swej, spisał rozmowę dopiero bardzo późno i niedokładnie, również i z innych pamiętników znamy tylko jej ułamki.

Napoleon wysławia Werthera, ale „końca pańskiej powieści nie lubię.“

„Wierzę, Sire; W. C. Mość nie chciałby, aby powieści miały koniec.“

Cesarz połyka ten groźny niemal epigram, gani jednak, że u końca miłości Werthera występuje, jako motyw katastrofy, także ambicja. Poeta śmieje się, — tą wobec cesarza niezwykłą swobodę potwierdza on sam w dwóch listach — przyznaje, że zarzut jest słuszny, dodaje jednak, że można wybaczyć artyście, jeśli posługuje się trudnym do odkrycia chwytem.

Cesarz rad jest z swego małego zwycięstwa na obcym terenie, przechodzi do dramatu, robi „bardzo głębokie spostrzeżenie, jak człowiek, który patrzył na scenę tragiczną z największą uwagą sędziego śledczego i odczuwał przy tem bardzo głęboko odchylenie teatru francuskiego od natury i prawdy. To też wyraził się i o sztukach fatalistycznych z naganą; twierdził, że należą do ciemniejszej epoki:

„Po co jeszcze fatum! Polityka to fatum!“

W tej samej chwili stwierdza te słowa na swój sposób, zwraca się do Daru, mówi z nim o kontrybucjach, potem rozmawia z Soult'em, który wszedł właśnie. Potem wraca do Goethego, odcina go od innych pewnego rodzaju manewrem, wypytuje o sprawy osobiste. Potem przechodzi do ataku:

„Podoba się panu tutaj, panie Goethe?“

Ale i ten umie korzystać z politycznych momentów i odpowiada:

„Bardzo, i mam nadzieję, że te dni wyjdą na dobre i naszemu małemu krajowi.“

„Czy lud pański jest szczęśliwy?“ pyta cesarz, nie spostrzegając, że stylizuje pytanie, jakby zwracał się z niem do którego

RZEKA

z książąt, gdyż względem nich posługiwał się niem często. W rzeczywistości nie obchodzi go teraz Saksonja; myśli: — Jakby ten umysł mógł mi być pomocny? Szkoda, że nie jest dziejopisem. Ale jako powieściopisarz mógłby odmalować ten kongres, a jako dramaturg mógłby przedstawić mego rzymskiego kuzyna. Jedno i drugie zrobi z pewnością lepiej, niż nasi ludzie, a ze strony cudzoziemca miałyby to podwójną wartość. To też mówi:

„Powinien pan zostać tu przez cały czas pobytu i opisać, jakie to wielkie widowisko wywarło na panu wrażenie. Cóż pan na to, panie Goethe?“

Pytanie to, tak obce zresztą jego apodyktycznym nawykom, kończy niemal każdy wywód zwrócony do tego poety, który z takim trudem daje cos z siebie wywabić. Ten mówi przeźornie:

„Na to brak mi pióra antycznego autora.“

— To politycznie, — myśli cesarz, ale rzecze:

„Pański książę zaprosił mnie do Weimaru. Przez chwilę był bardzo zły, ale teraz poprawił się.“

„Jeśli był zły, Sire, to kara była nieco za surowa, ale może nie wolno mi sądzić o tych rzeczach. W każdym razie — musimy go wszyscy szanować.“

— Doskonale, myśli cesarz, zaślania swego pana, ale pozwala domyślać się, że to osieł. Doprawdy, ten człowiek musi mi napisać Cezara! Wywrze to większe na Francję wrażenie, niż wygrana bitwa! I mówi:

„Tragedja winna być szkołą królów i ludów: oto najwyższa nagroda, jaką mogą zdobyć poeci! Powinien pan napisać Śmierć Cezara, w sposób godny, wspanialszy, niż to próbował zrobić Voltaire. Mogłoby to być najpiękniejsze zadanie, arcydzieło pańskiego życia! W tragedji tej trzebaby pokazać światu, jak bardzo byłby Cezar uszczęśliwił świat, gdyby mu tylko pozostawiono czas do wykonania jego dalekich planów! Niech pan przyjedzie do Paryża! Żądam tego od pana! Tam będzie pan mógł górniej patrzeć na świat, tam znajdzie pan najbogatszy materiał dla swych nowych poematów.“

Poeta dziękuje dwornie, oświadcza, że będzie się czuł szczęśliwy.

NAPOLEON

— Dalej nie mogę się posunąć. — myśli cesarz, jak niedawno w stosunku do cara. — inaczej będzie mnie uważał za nazbyt zainteresowanego. Rzecz dziwna: człowiek ten nie chce nic ode mnie, nie chce nawet błyszczeć wobec mnie. Jak podniecić tego nieprzekupnego męża? Niech zobaczy nasze sztuki i widowiska: wtedy skusi go ambicja, aby zrobić lepiej.

„Niech pan przyjdzie dziś wieczorem do teatru! Spotka pan wielu książąt. Zna pan kbięcia-prymasa? Zobaczy pan go zawsze w jego łoży śpiącego na ramieniu króla Wirtemberskiego. Zna pan cara? Powinienby pan mu poświęcić jakąś rzecz o Erfurcie!“

— Trzecia wskazówka. Czy zgodzi się nareszcie? Ale poeta uśmiecha się znów dwornie i mówi szczerze:

„Nie uczyniłem tego nigdy, Sire, aby potem nie pożalować.“

Francuz jest nieco dotknięty i, rzecz dość dziwna, syn rewolucji powoływa się na Króla-Słońce, mówiąc:

„Za czasów Ludwika XIV autorzy nasi byli innego zdania!“

„Niewątpliwie, Sire, ale rzecz niepewna, czy tego nigdy nie żalowali.“

— Wielka prawda, myśli cesarz po tej sceptycznej odpowiedzi, która oznacza poprostu frondę Niemca. Przeto nie zatrzymuje poety, gdy ten, zapytując gestem otoczenie, żegna się sam: to również jest przełamaniem tradycji dworskiej, którą Goethe znał bardzo dobrze.

To też z niesamowitej tej rozmowy tych dwóch duchów odnosi się zadziwiające wrażenie, że cesarz, dla którego rozmowa ta była tylko interesująca, daremnie zabiegał o poetę, dla którego była ona największym spotkaniem się z człowiekiem. Powód jest prosty: cesarz potrzebował poety, poeta nie potrzebował cesarza. Pierwszy chciał od drugiego dzieł, drugi uważał czyny tamtego za najdrogocenniejszy materiał do zrozumienia geniusza; poto jednak nie trzeba mu było jechać do Paryża.

A choć poeta nie skwitował zaproszenia cesarskiego choćby poetycką grzecznością, cesarz po latach jeszcze przypomina sobie w tragicznej chwili męża, którego trzema wielkimi słowami wyróżnił od wszystkich współczesnych.

XXI.

W dwa miesiące po tej rozmowie stoi Napoleon w Madrycie przed portretem Filipa II. Obejrzał zamek, przebiegł galerje, Łeraz jednak przed obliczem tego władcy stoi tak długo, że otoczenie jego niemieje, gdyż zdaje się, iż prowadzi rozmowę z królem. W kraju mym słońce nie zachodzi: tego obserwatorowi obrazu nie dane było nigdy powiedzieć. Czyż trzeba było na to inkwizycyj, które zniósł właśnie przy wkroczeniu swych wojsk do Hiszpanji? Czyż było się wciąż jeszcze za łagodnym? Za demokratycznym? Czyż nie narzuciło się cugli wolności w kilkunastu krajach, by nauczyła się ciągnąć wóz dyktatora? Może mówiło się i pisało za duzo? Ten oto mąż o niezgłębionych oczach milczał pono zawsze. Nie wygląda na szczęśliwego, ale któż jest szczęśliwy?

Ciemna, bezradosna wojna przywiodła cesarza do tej stolicy, intrygancki początek sprawy hiszpańskiej pomścił się. Królowie i książęta, których postrącał wiosną tego roku, nie zasłużyli na nic lepszego; cesarz jednak nie docenił narodu. Gdy lud powstał, aby odzyskać godność swego dumnego życia, król nazwał powstańców śmiesznymi wartogłowami, „godnymi ziomkami Don Kichota. Ciemnota, pycha, okrucieństwo, tchórzostwo, oto widowisko, które przedstawiało się naszym oczom. Mnisi i inkwizycja ogłupili lud... Wojska hiszpańskie trzymają się, jak arabskie, tylko za domami, chłopi są tylko fellahami egipskimi, mnisi są ciemni i rozpustni, możni zwyrodniali, pozbawieni siły i wpływu.“

W omamieniu tem przeoczą, że wprawdzie i tutaj zwyciężą, ale zawsze tylko na dziś. Jutro lud, wspomagany przez Anglików, którzy tutaj mają największą swą podstawę, będzie znów strzelał z domów, któż mu zabroni! Już wtedy mówi to cesarz zaufanym; Vincent'owi, staremu towarzyszewi pierwszych wypraw, wyznaje:

„Jest to największe głupstwo mego życia! Niech pan wynajdzie sposób, podda mi myśl, jak wydobyć się z tego kłopotu!“

— Sire, należy poprostu rzec się tego kraju.

„Ach, łatwo panu mówić! Pomyśl pan o mem położeniu. Jestem uzurpatorem. Aby dotrzeć aż tutaj, musiałem mieć

NAPOLEON

najlepszą głowę i najlepszy miecz w Europie. Abym się utrzymał, każdy musi być o tera głęboko przekonany. Powaga tej głowy i tego miecza nie śmie upaść nigdy. Nie mogę stanąć wobec całego świata i powiedzieć, że pomyliłem się grubo i wycofuję się z pobiłem wojskiem. Niech pan osądzi: czy to możliwe? Proszę o dobrą radę!“

To przeświadczenie o błędzie i zarazem o niemożności zmanipulowania go, wypowiedziane bezkształtnie w tonie starego towarzysza broni, prośba o dobrą radę: czyż wszystko to ukazuje nam młodego Bonapartego, czy starzejącego się Napoleona? Czy nie pobił sławnej armji Fryderyka w przeciągu tygodnia? W Hiszpanji w ciągu ośmiu miesięcy osiągnął w gruncie rzeczy mało. W krajach, które żywią jego ludzi, które posiadają drogi i miasta, bije wojska zawsze; ale operować na ziemiach pozabawionych dróg, na pustyni, na równinach polskich lub w górach Andaluzji, to rzecz zbyt nudna dla jego tempa i zbyt niepewna dla jego matematyki.

Zamiast poprzeć go w takim położeniu, król-brat robi mu wszelakie trudności. Chce być Hiszpanem, wygrywać grzecznością, dochodzi do scen, słusznie czuje się śmieszny, ponieważ jako król musiał już raz czmychać i może teraz postępować tylko za kroczącym naprzód cesarzem. Ale z większą słusznością swej spżżowej istoty skarżył się cesarz na króla zaufanemu Roedererowi:

„Józef pragnie, aby Hiszpanie kochali go i wierzyli w jego miłość. Miłość królów nie polega na czułości, musi przejmować strachem... Piszze mi, że chce usunąć się do Morfontaine, zamierza w tej pracowitej chwili wprawić mnie w kłopotliwe położenie... Chce siedzieć raczej w swych dobrach, niż w kraju okupionym niesprawiedliwie przelaną krwią... Jest to krew nieprzyjaciół Francji! Jeśli jest dziś królem, to przecie chciał nim być, wszak mógł zostać w Neapolu. Chce mnie powstrzymać? Nie potrzebuję rodziny... Moi bracia nie są zgoła Francuzami. Ja tylko nim jestem, ja jeden... Król Holandji prawi też o życiu prywatnem. Kto jednak z nas trzech nadawałby się najbardziej do Morfontaine, to ja.“

Czemu nie rozstanie się z Józefem? Czemuż nie da korony marszałkowi Soult, który tam dowodzi i którego ceni najwyżej z swych generałów, skoro dał przecie koronę Murat'owi?

RZEKA

„Józef pisze mi, że jeśli wyżej szacuję kogo innego, to powinienem uczynić go królem. Z pewnością! Nie z szacunku osadziłem go na tronie. Gdybym chciał rozdzielać korony wedle zasług, to wybrałbym kogo innego! Potrzebuję swojej rodziny dla zabezpieczenia sobie dynastji, bo taki jest mój system.“

Teraz w Madrycie kilkoma dekretami doprowadza do ładu nowy stan rzeczy, witany przez nielicznych, niekochany przez nikogo, zagrożony przez Anglję, znienawidzony przez lud. Nic nie może go powstrzymać. On, który niedawno jeszcze, w październiku, pisał z Weimaru do żony, że car tańczy, on zaś nie, gdyż „czterdziestka jest czterdziestką“, on, który żartuje sobie z swej wzmagającej się tuszy, maszeruje w noc Bożego Narodzenia, pieszo wśród zawiei śnieżnej, przez Guadarramę, jakby był jeszcze generałem z czasów Lodi. Potem bije Anglików, nie może ich jednak na tych drogach, wśród śniegu i błota, ścigać tak jak za Friedlandem Rosjan, i zgrzytając zębami musi dożyć tego, że wróg chroni się na swe okręty. Czyż ma podążać za drugą częścią, która stoi w górach? Odsuwać coraz dalej punkt ciężkości swych sił od Francji? A kiedy bawi w sercu Kastylji, co mówi Paryż?

Oto do biwaku pod Astorgą wchodzi kurjer: wnet wiadomo będzie, co dzieje się w domu. Nagle cesarz nad listem zaczyna drzeć z niemego gniewu, milcząc chodzi przez godzinę tam i z powrotem, nawet zaufani nie dowiadują się o niczem. Potem nakazuje kwaterze głównej natychmiastowy odwrót, pozostawia armję i generałów, śpieszy do Valladolid i szybko ku granicy.

— Ach, słusność miało nieprzeniknione spojrzenie króla Filipa! — myśli cesarz w powozie podróżnym. — Należało tę inkwizycję zaprowadzić we Francji, zamiast usuwać ją w Hiszpanji! W Paryżu spisek i to uknuty nie przez wrogów! Fouché i Talleyrand, którymi można było się posługiwać tylko dlatego, że nienawidzili się, czuwali nad sobą i oskarżali się wzajem, pogodzili się oto i zawarli przymierze! I Murat jest z nimi!

Ostrzegające listy, które nagle skłoniły go do powrotui pochodzą od Eugenjusza i matki. Teraz, gdy nie uroczystości

NAPOLEON

się święcą, lecz grożą niebesspieczeństwa. stara Letycja staje się czynna; jest Korsykanką i strzeże swych dzieci. Dokąd sięga i~odkąd istnieje zdrada Talleyranda, niewiadomo. Ze ten radził tymczasem posłowi austriackiemu podjąć nagle teraz, gdy cesarz jest zajęty, ofensywę przeciw Francji, o tem cesarz nie wie. niema papierów, a choćby były, to tak wielkich panów wielki pan aresztować nie może. Powoli i nieznacznie władza pochodząca od niego urosła w ich rękach i zwróciła się przeciw niemu, którego nienawidzą. Podczas dwutygodniowej podróży wzbiera gniew przeciw jego kreaturom.

Ledwo cesarz przybył do Paryża, zwołuje radę państwa z licznymi senatorami i wszystkimi ministrami, aby byli świadkami zemsty, obaj oskarżeni są obecni, cesarz natychmiast wpada na Talleyranda: „Jesteś pan złodziejem, nikczemnikiem, dla którego niema nic świętego. Sprzedałbyś rodzzonego ojca! Obsypałem pana dobrodziejstwami, a jednak niema nic, czegobyś nie był zdolny uczynić przeciwko mnie! Doradzał mi pan to szaleństwo hiszpańskie, a teraz gani je pan wobec każdego! Pan zawiadomił mnie o miejscu pobytu księcia d'Enghien i judził mnie do surowości!... Ze złożonymi z tronu Hiszpanami, których pan miałeś pilnować, knułeś intrygi. Dziś, gdy pan sprawę hiszpańską uważa za złą, jest pan na tyle bezwstydnym, że każdemu, kto chce słuchać, opowiadasz. żeś mnie zawsze ostrzegał... Zwróci mi pan klucz szambelański, który panu powierzyłem... Mógłbym pana roztrzaskać, jak szkło, mam władzę! Ale nazbyt pogardzam panem, aby zadawać sobie ten trud!“

Tak mija pół godziny. Słuchacze siedzą zdrętwiali. Talleyrand kłania się w milczeniu i wychodzi. „Co za szkoda, powiada za drzwiami z uśmiechem do jednego z przyjaciół, że tak wielki człowiek jest tak źle wychowany!“ Tymczasem cesarz w sali gromi Fouché'go. że nie wpływał na opinię publiczną, że popierał wrogów cesarza.

Słuchacze siedzą zdrętwiali. Fouché kłania się w milczeniu i zostaje. Ale cesarz żąda teraz, by wszyscy najwyżsi urzędnicy zrzekli się wszelkiej wolności słowa, by byli tylko narzędziami jego myśli; oświadczają groźnie, że zdrada zaczyna się już z powątpiewaniem, a staje się całkowita, gdy wiedzie do sprzeciwu. Tak urósł teraz terror Cezara.

Tymczasem cały Paryż mniema, że obaj zostaną wygnani lub uwięzieni. Ale żaden nie dostaje odpawy! Fouché zostaje, bo któż zastąpi stuokiego? I Talleyrand zjawia się z uśmiechem na dworze, gdyż zatrzymał swój urząd państwowy i na przyjęciu niedzielnym staje zawsze tak, by pan jego widzieć go musiał; gdy cesarz obchodzi zebranych, odpowiada zamiast zapytanego i potwierdza prawdziwość żołnierskiego sądu Lannes'a: gdy Talleyrand, podczas rozmowy z kima, dostanie kopniaka w zadek, to z przodu nie widać nic po jego twarzy. Niebawem, gdy chłodne uroczystości rozświecają Tuilerje, widzi się go znowu, sztykutającego za swym panem z sali balowej do pracowni, gdyż „jest to jedyny człowiek, z którym mogę mówić.“

Trudne sprawy są do omówienia. Niemej przebudziły się, zaczynają ruszać się powoli, wszyscy spoglądają na Austrię. Wprawdzie król pruski zwleka, jak zawsze, a barona vom Stein wyгнаł z Prus rozkaz datowany z Madrytu. Ale Tyrol pełen jest buntów, jak Hiszpania, a Austrija, sprzymierzona znów z Anglią i tym razem także z Turcją, zbroi się do piątej wojny. Więc cóż z tego, że na południu pada wreszcie Saragossa po istotnie bohaterskiej walce; nie można zabierać wojsk z tego kraju wiecznego rokoszu. Gdy potężne, ćwierćmiljonowe wojsko nie może ruszyć się z Hiszpanji, jak uniknąć wojny, do której właśnie to położenie dodaje Austrii odwagi?

Pomóc tu może tylko groźba rosyjska! Cesarz zasypuje posła rosyjskiego, Romancewa, przed jego wyjazdem do Petersburga darami i obietnicami, przyrzeka ustąpić z Prus, służyć carowi pod każdym względem, jeśli tylko w obliczu drżącej Europy środkowej ogłosi groźnie przymierze.

Ale Aleksander w chwiejności ducha uspokaja się wprawdzie wskutek zabiegów Wiednia, Berlina i Londynu, ustępuje nadto, jak zawsze trwożny i niezdecydowany, groźbom wielkich książąt, którzy nienawidzą Napoleona, nie może jednak zdobyć się na to, by przejść zupełnie na ich stronę; daremnie też Wiedeń stara się o jego siostrę dla jednego z arcyksiążąt. Pozostaje neutralny.

Cesarza boli przeniewierstwo przyjaciela bardziej, niżby się zdawało: okazał zbyt wiele osobistego zaufania, duma jego zraniona, trudy daremne. Pozostaje mu dosłownie wy-

NAPOLEON

wołać armje z pod ziemi: rocznik następny zoslaje wzięty, pieniądze czerpie się ze wszystkich źródeł, Tenta wskutek sprawy hiszpańskiej spadła do 78. Mimo to, Austrija jest gotowa wcześniej, niż obliczał, i kiedy w kwietniu telegraf optyczny doniósł niezawodnie o wymarszu nieprzyjaciela i cesarza zbudowano wiadomością o godzinie 10 wieczór, nakazuje on natychmiastowy wyjazd o północy i jest wściekły, że wielki ten aparat może być gotów dopiero w cztery godziny później.

Przybywszy do Bawarii, widzi błędy marszu nieprzyjacielskiego, nie chce mu się wprost wierzyć, zdawało się, opowiada jeden ze świadków, „jak gdyby rósł, oko mu błysnęło“ i z radością, którą zdradzało spojrzenie, humor i ruch, zawołał: „Mam ich, to armja stracona! Za miesiąc jestem we Wiedniu!“ Przeliczył się! będzie tam już w trzy tygodnie. Teraz nagli wojska do marszów, robi przeszło 100 kilometrów w przeciągu 40 godzin i bije nieprzyjaciela w pięciu kolejnych bitwach. Te pięć dni nazwał później swym najlepszym manewrem. Przy końcu jednak tyka go kula i jakby przecząc jego nietykalności, w którą wierzy wielka armja i może on sam, trafia go właśnie w piętę achillesową.

Potem gna dalej, wpoprzek Niemiec. Napoleona powóz podróżny, *r* zewnątrz zupełnie prosty, zbudowany jest wygodnie, cesarz może w nim spać, w dzień pracować, jak w Tuilerjach i w namiocie. Jest pierwszym człowiekiem, który przewycięża tarcie w ruchu, a choć nie podróżuje tak szybko, jak my, to jednak podróżuje szybciej, niż ktokolwiek przed nim, w pięciu dniach z Drezna do Paryża. W licznych, dających się zamykać szufladach gromadzi w tym pojeździe raporty, depesze i listy, latarnia oświetla z góry wnętrze, przed nim wisi lista miejscowości z rozstawnymi końmi. Gdy doścignie go kurjer, wtedy Berthier, czy inny dostojnik, znajdujący się właśnie pod ręką, pisze w trzęsącym wozie najpilniejsze rozkazy, natychmiast ordynansi rozlatują się na wszystkie strony.

Na koźle siedzi tylko Mameluk, dwaj jeźdźcy przed nim kierują szóstką koni. Wóz otoczony jest stale legionem koniuszych, paziów, strzelców i gdy pochód toczy się naprzód, gdy droga staje się ciasna, i wszystko przewala się w gorącu i kurzu, wśród nocy i mroku, to chłopci, wystający w zdumie-

RZEKA

niu na drodze, mniemają oczywiście, że szatan wlaźł w wielkiego Napoleona. Drogę jego poznać można po śladach powozu i orszaku, gdyż znaczy ją deszcz papierowy: nie tylko wszystkie koperty i wszystkie niepotrzebne papiery wylatują przez okno, ale i wszystkie nieużyteczne, starannie pocięte raporty, potem wszystkie gazety, wreszcie książki, do których, ilekroć ma rzeczywiście spokój, zagląda, by zgotować im kres w błocie gościńca.

Gdzie tylko wysiądzie, czeka nań gorąca kąpiel. Jeśli jest druga w nocy, lub jak wyraża się cesarz, druga zrana, wtedy dyktuje do czwartej, śpi do siódmej, potem rusza dalej. Gdzie tylko wysiądzie, staje dokoła niego czterech strzelców w czworobok i posuwa się z nim stosownie do jego mchów, jeśli w dzień obserwuje pole przez małą lunetę; jeśli używa wielkiej, to paż dyżurny służy mu za stojak. Czy bawi gdzie długo czy krótko, zawsze w czasie wojennym przygotowana jest dlań mapa, w powozie czy namiocie, w biwaku czy przy ognisku obozowem i kto w okamgnieniu nie wskaże palcem punktu, który cesarz chce sprawdzić, zostaje sfukany lub dostaje szturchańca, — nawet sam Berthier, książę Neuchâtelu. Do wszystkich krajów przez całe życie towarzyszy mu mapa ponakłuwana pstremi szpilkami, w nocy otoczona jest 20 do 30 świecami, na środku leży cyrkiel. To jego ołtarz, uwielbia ją. Jest ona prawdziwą ojczyzną bezdomnego.

Teraz zajmuje bez walki poraz drugi Wiedeń, zajmuje w Schönbrunn te same pokoje, co przed laty. Ale wojna nie jest skończona.

Gdyż to, co tymczasem dzieje się w jego dalekich państwach, rozstrzyga się niepomyślnie dla niego i dodaje ducha nieprzyjacielowi. Złowrogie wiadomości nadchodzą z Hiszpanji, w Italji Górnej Eugenjusz walczył nieszczęśliwie, a ponieważ w tym samym czasie Murat miał zrobić wypad z Neapolu, cesarz rzymski załatwia się z Rzymem tak krótko, jak niegdyś Hohenstauf. Przed laty czterema przy tym właśnie biurku zniszczył jednym dekretem królewski dom neapolitański. Teraz czyni to samo z papieżem. Ponieważ Napoleon musi ciąć mieczem na wszystkie strony, nie pyta już o skutki moralno-polityczne i waży się na ten niebezpieczny edykt niemal tylko dlatego, by połączyć swe armje w Italji.

NAPOLEON

Także ze złości. W środku Hiszpanji przypomniał sobie z początku roku, jak mu Rzym ubliżył: „Zeszłego roku dopuszczono się tego bezwstydu, że nie przysłano nam święconych gromnic, jak innym głowom państw. Napisz pan do Rzymu, że nie życzymy sobie żadnych, ani dla trzech królów naszego domu. Daj pan do poznania, że w święta Oczyszczenia Panny Marji otrzymuję zawsze od mego księdza święcone gromnice, i rzeczom tym nie nadaje wartości purpura i władza. W państwie cieniów znajdują się tak samo proboszcze, jak papieże! Toteż świeca poświęcona przez mego księdza będzie równie świętą rzeczą, jak papieska! Nie chcę jego świec i wszyscy książęta mego domu powinni je odrzucić!”

Tak burczy, jak protestant, jak rewolucjonista. Oto Napoleon w bagnie dróg i walk hiszpańskich. Teraz w Schönbrunn zszadza poprostu Ojca Świętego jako księcia z tronu, odsyła go do Watykanu i przeznacza mu dwa miliony renty.

Ten i ów z otoczenia czuje strach, jest tam wielu bogobojnych katolików, a od dziś za pięć dni są Zielone święta. Czyż nie wyzwał Boga? Kto wiarę potęguje do zabobonu, może spotkać się z potwierdzeniem takich przeczuć: od dziś za pięć dni, będzie Napoleon poraz pierwszy w życiu pobity.

Można bitwę pod Aspern i Essling określić jako nierozstrzygniętą, w żadnym jednak razie jako sukces. Jeśli tu załamał się wielki most na Dunaju, to był to tak samo przypadek, jak wszystkie owe chwile, gdy pod Lodi, Rivoli, Marengo i tyle innych razy, dzięki takim improwizacjom Boga odnosił zwycięstwo. Jeden z jego przyjaciół młodości, marszałek Lannes padł. Cesarz śpieszy do umierającego i mówią, że stary towarzysz zwrócił się doń z wrogiem spojrzeniem i słowem. Tego wieczora siedzi długo sam. niemy przy wieczerzy, nie chce widzieć nikogo.

— Pokonany? Pokonamy? — myśli i patrzy nieruchomo przed siebie. Czyż pięta achillesowa ucierpiała jednak od strzału? Strzelec wycelował lepiej, niż Talleyrand. Nie, jestem sam winien. Przekraczać rzekę w obliczu nieprzyjaciela to zbyt wielki hazard! Lannes miał słuszność, był już napół po tamtej stronie. Co mówi Paryż? Jak donieśli o tem do Paryża? Niespokojny wraca do Schönbrunn. Olbrzymi, samotny zamek, wśród nieprzyjacielskiego kraju. Polka!

RZEKA

Gdybyż mieć przy sobie piękną Walewską! Siedzi ona teraz również w zamku, daleko w głębi Polski i myśli o nim. Zeszłego roku nie miała jednak dziecka.

I posyła po nią.

Wtedy nadchodzi dziwna wieść z Rzymu. Gdy świeżo dokonano detronizacji, papież w odpowiedzi obłożył Napoleona klątwą. Czy cesarz czuje strach? Śmieje się. Śmieje się z tego katolickiego średniowiecza, on żołnierz, który stworzył sam siebie, myśli:

— Czy to zemsta za to, że wówczas w Notre-Danie sam pochwyciłem koronę, którą ten święty mąż miał nadzieję mnie obdarzyć? I cóż jest święte? Czy Chrystus żył kiedykolwiek, jest rzeczą wątpliwą: pewne jest tylko to, że można go potrzebować. Klątwy jednak w tych nazbyt oświeconych czasach bojąc się już tylko dzieci i niańki. Czyż i 18-go brumaire'a, czyż już i na Korsyce nie wyjęto mnie z pod prawa? Takie szopki przynoszą szczęście!

W widocznie rzeźkim nastroju przygotowuje nieprzyjacielowi odwet na polu Morawy i jak w trzydziestu bitwach, zwycięża znów pod Wagram wyklętą swą bronią bogobojnego arcyksięcia Karola. Pod koniec tej dwudniowej bitwy, gdy wszystko szło dobrze, lecz on czuł upadek przetęzonych sił, kazał swemu Mamelukowi rozpostrzeć na środku pola skórę niedźwiedzia, obudzić się za 20 minut i punktualnie wstał pokrzepiony. Teraz wojna skończyła się, nastąpiło zawieszenie broni. Nazajutrz, donosząc żonie o nowem zwycięstwie, dodaje te słowa: „Słońce opaliło mnie na brunatno.“ Jest umocniony, odmłodzony.

Wróciwszy do Schönbrunn zastaje Polkę. Ileż to pięknych kobiet nie przemykało się tu już przez tajne drzwi i milczące pokoje, aby ożywić Habsburgów! Teraz awanturnik śródziemnomorski sprowadza tu co wieczór mieszkającą w pobliżu hrabinę, przykazuje surowo pokojowcowi, aby powóz, broń Boże, nie wyrócił się na złej drodze; teraz żyje z nią poraz drugi trzy miesiące. Obiecał to sobie i jej w Finckenstein, tylko miejsce i czas zależały od historii, ta zaś nie zawsze zależała od niego.

Po kilku tygodniach poczuła się matką: czyż uczyni mu tym razem dar, o który od lat dwunastu błaga kobiety, a który

NAPOLEON

raz tylko otrzymał? W ten sposób przybyła sielance nowa treść i gdy cesarz dnia 15-go sierpnia o północy oczekuje w jej ramionach czterdziestej rocznicy swych urodzin i myśli, jak to nazajutrz rano, we Francji i wszystkich podległych mu krajach, armaty i dzwony święcić będą ten dzień, na który życzliwy niegdyś papież przeniósł imię Świętego Napoleona: wtedy dziwi się może, że dziś pierwszym jego gratulantem jest dwudziestoletnia piękność, która żadnym z jego dwóch języków nie włada poprawnie i wogóle lepiej przemawia oczami, niż dźwiękami. Może przypomina sobie, jak właśnie dziesięć lat temu wyruszył z Egiptu i wszystko powierzył grze fal, z których sieć angielska zbyt łatwo wyłowić go mogła. Dziś jest inny, ale nie jest szczęśliwszy, gdyż jest niewolnikiem „natury rzeczy.“

Inny jest również, jak przed dwoma laty w Finckenstein. Już nie budowniczy światowego państwa, do którego ślą posłów królowie zachodu i wschodu: teraz musi go bronić i nawet zwycięstwo może tylko ostrożnie wyzyskać.

W Rzymie, w dzień zwycięstwa pod Wagram, poniósł, dzięki głupocie swych ludzi, porażkę, o której dowiaduje się teraz dopiero: „Zły jestem bardzo, że uwięziono papieża, to było wielkie dureństwo! Trzeba było kardynała... uwięzić, ale papieża należało spokojnie zostawić w Rzymie.“ Jeśli szydził z symbolicznej siły klątwy, gdyż pozostaje ona czystem, nieuchwytnym słowem, które biskupi francuscy mogą ostatecznie obejść, to teraz polityk czuje natychmiast, co znaczy uwięzienie i uprowadzenie: źle mu się przysłużono, bo papież wygnany, jest moralnie potężniejszy, niż wyklinający.

Zarazem nadchodzą listy z Hiszpanji, gdzie Anglja wetuje sobie swe straty, a widzialny-niewidzialny lud z Anglją sprzymierzony silniej broni się w lasach. Jednocześnie donoszą z Paryża, że Fouché przekroczył jego rozkaz i wszędzie powołał gwardje narodowe: widocznie dlatego, by podsycić w kraju obawę przed Anglją i wzmóc rosnące szemranie poborowych.

Co za położenie, odnawiające się coraz niebezpieczniej w miarę wzrostu promienia działania! Depesze z Rzymu i Paryża pochodzą z przed dni ośmiu, z Hiszpanji — z przed szesnastu; gdy nowe rozkazy z Schönbrunn dojdą do Valla-

RZEKA

dolid, wszystko będzie zmienione. Gdyby istniał sposób przesyłania swej woli na falach światła, możnaby z tego gabinetu rządzić światem! Teraz trzeba skrócić układy, które Austria, zachęcana przez Anglię i Węgry, przeciąga od całych tygodni. Gdy zwycięzca żądał niedawno jednej trzeciej monarchji z dziewięciu milionami ludzi, spotkał się z odmową; teraz poczyną sobie inaczej. Z ową wspaniałą szczerością, która rozbija zupełnie styl starych dyplomatów, w jednej z nieskończonych rozmów — ta właśnie rozmowa z Wiedeńczykiem, hrabią Bubna, trwała siedem godzin — przedstawia przeciwnikowi swe własne trudności:

„Ja sam byłem winien pod Aspern, dlatego też zostałem ukarany, zaufanie wojsk jednak pozostało nieuszczerplone.“
Potem podaje wielki zarys swej techniki bitewnej, „i powiem też panu, jaki błąd zawsze popełniacie... Wydajecie zarządzenia na dzień przed bitwą, gdy nie znacie jeszcze wcale porużeń nieprzyjaciela, tylko swój teren. Ja natomiast nie wydaję nigdy rozkazów przed bitwą i jestem zwłaszcza w nocy bardzo ostrożny... Z pierwszym słońcem wysłałem potem wywiadowców, przekonywam się sam naocznie i trzymam wojsko w masie, dopóki jestem w niepewności... Potem rzucam białą flagę na nieprzyjaciela i atakuję go wedle tego, co nakazuje teren... Słusznie przypomina mi pan krwawe straty spowodowane przez artylerię. Ale cóż mam robić? Wojska me są znużone, pragną pokoju. Więc muszę oszczędzać bagnetu i więcej, niż dawniej, pracować działem.“

Potem przechodzi do stanu sojuszków: „Dziś jestem cara pewien, ale któż mi zaręczy, że tak będzie dalej? O Prusach wiem oddawna, że wahają się między wami i mną.“ I nagle żąda tylko połowy tego, czego żądał ostatnim razem, deżuruje swego ministra i ofiarowuje przymierze. Musi to zrobić, gdyż spieszo mu do Paryża. Znajdują nową podstawę układów: Austria traci jedną część na rzecz Związku Reńskiego, inną na rzecz Rosji, Napoleon otrzymuje wolną drogę na Bałkan. Kilka tygodni jeszcze schodzi na układach, niecierpliwość jego z trudem uśmierzają piękne oczy Polki.

W październiku urządza w Schönbrunn wielką paradę: jakiś młodzieniec przepycha się naprzód, zachowanie jego zwraca uwagę, aresztują go, znajdują przy nim olbrzymi nóż

NAPOLEON

kuchenny i podobiznę młodej dziewczyny. Na odwachu odmawia on wszelkich wyjaśnień: pragnie je dać tylko samemu cesarzowi. Niebawem osiemnastoletni, poważny, jasnowłosy młodzieniec staje przed nim pełen szczerości, zarówno nieustraszony, jak grzeczny: Fryderyk Staps, syn protestanckiego proboszcza. Napoleon wypytuje go po francusku. Rapp jest tłumaczem.

— Tak, chciałem pana zabić.

„Młodzieńcze, jesteś szalony lub chory.“

— Nie jestem szalony, ani chory, jestem przy zmysłach.

„I dlaczego?“

— Bo pan szkodzi memu krajowi.

„Panu?“

— Mnie i wszystkim Niemcom!

„Kto pana przysłał?“

— Nikt. Serce powiedziało mi, że przez zamordowanie pana przysłużę się Niemcom i Europie.

„Czy widział mnie pan już?“

— W Erfurcie. Wtedy myślałem, że nie będzie pan już prowadził wojny, wtedy byłem największym pańskim wielbicielem.

Cesarz każe wezwać swego lekarza, gdyż chciałby koniecznie uznać młodzieńca za obłąkanego. Lekarz bada go, wypytuje.

— Młodzieniec jest zdrow.

— Widzi pan, przecie to powiedziałem.

Cesarz staje się niespokojny, opanowuje się, zaczyna znów od początku, nie chciałby niszczyć tego młodzieńca o szczerem spojrzeniu. Co dzieje się w jego duszy? To nie członek partji, spisku, pragnący zniszczyć w nim zasadę; to nie ideolog, lecz idealista. Niemcy przysyłają mu Brutusa z nożem kuchennym.

„Jesteś pan egzaltowany, gubisz swoją rodzinę. Proś mnie o przebaczenie i żałuj: wtedy daruję ci życie!“ Nigdy Napoleon nie przemawiał w ten sposób, przynajmniej do mordercy. Ale młodzieniec ani drgnie. Utraciłóż się moc sugestji? No?

— Nie chcę pańskiego przebaczenia! Niczego nie żałuję, żałuję tylko, że mi się nie udało.

Cesarz wpada w gniew: „Do djabła! Zbrodnia, zdaje się, to dla pana fraszka !“

RZEKA

— Zabić pana nie jest zbrodnią, lecz zasługą! — mówi młodzieniec, z całym szacunkiem, nawet ogłada.

„Hm. Czyj to portret?”

— Dziewczyny, którą kocham.

„Czy będzie rada z pańskiej awantury?”

— Będzie żałowała, że się nie udało, bo nienawidzi pana jak i ja.

— Ładne dziecko, — myśli cesarz, patrząc na portret.

— Czyż mam rzeczywiście rozbić się o tego młodzieńca? Nie, uratuję go, ułaskawię, niech mnie nienawidzi, co mi to szkodzi. Jeszcze raz mierzy go wzrokiem, trzymając portret w ręku: „No, a jeśli pana ułaskawię, czy dziewczyna ucieszy się?”

Błękitne spojrzenie nabiera mocy, młodzieniec mówi silnym głosem:

— Mimo to zabiję pana!

Cesarz odwraca się, każe go wyprowadzić. Potem z Champagny'm, który był przytem, rozmawia długo o oświeconych ludziach. Potem mówi nagle bez przejścia:

„Trzeba zawrzeć pokój. Niech pan wraca do miasta. Każ wezwać Austriaków. W zasadniczych punktach byliśmy niemal zgodni, dzieli nas jeszcze tylko wysokość odszkodowania wojennego. Różnica wynosi 50 milionów. Przepółów pan tę sumę. Skończ sprawę. Ostatni projekt podobał mi się. Niech pan doda artykuły, jakie wydają mu się właściwe. Polegam zupełnie na panu, ale zawrzyj pokój.”

Takie głębokie wrażenie wywarł młodzieniec. Nie można tego nazwać strachem, ostrożność to za mało; jest to zamroczenie duszy. Cesarz pozostawia zawarcie pokoju swemu ministrowi, by zaoszczędzić jeden dzień, po trzechmiesięcznych układach! Jednocześnie każe raz jeszcze badać młodzieńca, ale marzyciel nie chce się ratować. Nazajutrz rano o godzinie szóstej przywozi minister ułożony w nocy dokument. Cesarz dzierży pokój w dłoni, wielce rad, chwali ministra.

Tegoż rana morderca zostaje rozstrzelany.

Przed wymarszem gwardji cesarz zaczyna znowu: „To bezprzykładne! Młody człowiek, niemiec, protestant, dobrze wychowany, dopuszcza się takiej zbrodni! Jak skończył?” Odpowiedź brzmi, że wobec karabinów wołał głośno: „Niech żyje wolność, śmierć tyranowi!” Cesarz słucha, milczy.

Potem każe zabrać z sobą niemiecki nóż kuchenny.

XXII.

Cesarzowa leży omdlała na posadzce. Napoleon wzywa prefekta pałacu, który zanosi ją do jej pokoju, cesarz poprzedza go z lichtarzem. Ponieważ schody są za ciasne, oddaje świecznik służącemu i niesie wraz z prefektem żonę, kładzie ją ostrożnie na łóżko, wychodzi pełen wzruszenia. Ledwo znikł, Józefina mruga oczyma, krzyk i omdlenie były udane, prefekt zdradził to później, gdyż kiedy niósł ją sam, szepnęła, że ujął ją zbyt szorstko, sprawia jej ból.

Mimo to strach i cierpienie są aż nadto szczere, gdyż oto opuścić ma Tuilerje, w których rządziła lat dziesięć, dnia wieczór zawiadomił ją o tem. Dłużej tak być nie może: wszyscy Uczą na jego śmierć, zzewnątrz Niemcy z nożem kuchennym, wewnątrz Fouché z intrygami angielskiemu. Potrzeba mu syna i to z córki księżęcej. Wkrótce po powrocie z Schönbrunn oświadczył to Józefinie. Może był to też rodzaj idealnej zemsty za to, że nie mógł pięknej Polki wraz z synem, którego wreszcie jednak od niej oczekuje, osadzić na tronie. To pewne, że do tego dnia nie zna jeszcze imienia nowej małżonki.

Wkrótce potem siedzą w milczeniu, ze skamieniałymi mimami, matka, siostry, bracia, na wielkiej radzie rodzinnej, dokoła stołu, również Józefina; ta jednak słyszy niema radość w głosach tych świadków, którzy wreszcie dopięli celu: stara musi iść precz. Wzruszony cesarz przemawia nieopanowanym głosem: Nadzieja doczekania się dziedzica od cesarzowej już znikła, tylko dlatego musi się z nią rozłączyć, gdyż „Bóg jeden wie, ile kosztuje mnie ten krok... Ale niema dla mnie zbyt wielkiej ofiary dla dobra Francji... Piętnaście lat upiększała mi cesarzowa życie. Otrzymała koronę z mojej ręki. Pragnę, by zachowała rangę i tytuł cesarzowej, przedewszystkiem jednak, aby mnie do końca życia uważała za najlepszego przyjaciela.“ Józefina trzyma się dobrze, każe wielkiemu kanclerzowi odczytać swą zgodę.

Potem wszyscy podpisują protokół rozwodu. Podpis Napoleona jest o wiele wyraźniejszy, niż zazwyczaj na papierach państwowych, pełen siły, długi zakrętas podkreśla w sposób zgoła niezwykły jego pełne imię: bardzo poważną sprawę kończy w sposób męski. Trwożnie podpisuje się Józefina

z prawej strony tuż pod nim, jakby chciała powierzyć się jego pieczy. *Madame Mére* pisze M jak syn N i naśladuje go też w końcowym zakrętasie.

Wieczorem wielki niespodziewany występ Józefiny przy jego łóżku, ze łzami i rozpuszczonymi włosami. Nazajutrz podtrzymywana przez niego samego, niby Niobida, opuszcza pałac, jedzie do Malmaison, przedtem jednak wykazuje raz jeszcze swe niemądre wyrafinowanie w prośbie zwróconej do *Ménévala*, by jak najczęściej mówił cesarzowi o niej.

Cesarz jedzie sam do Trianon, które obecnie stoi pustką i obchodzi święto żałoby, jakim nigdy żaden kochanek nie uczcił uwiecznionej lub na wieki rozłączonej kochanki: spędza trzy dni beczynnienie, — zdarzenie takie, jakby święty bud-dyjski spełniał przez trzy dni pracę Napoleona. Nie przyjmuje nikogo, nic nie dyktuje, nie czyta, nie notuje, przez trzy dni stoi bez ruchu olbrzymie koło, które od piętnastu lat obracało się własnym rozpędem. Niebawem odwiedza rozwiedziona w Malmaison, potem pisze:

„Zastałem cię dziś w stanie gorszym, niżby być powinno, droga przyjaciółko... Nie wolno ci poddawać się złowieszczej melancholji. Szanuj zdrowie, które tak leży mi na sercu. Jeśli mnie kochasz, okaż się silną i zadowoloną. Nie wążp o czułej mej przyjaźni i nie myśl, że jestem szczęśliwy, gdyś ty nieszczęśliwa... Było mi bardzo smutno, gdym ujrzał znów Tuilerje, wielki zamek wydał mi się tak pusty, czuję się taki samotny... Bądź zdrowa, droga przyjaciółko, śpij dobrze i pamiętaj, że życzę sobie tego.“ Tak pisze czterdziesto-letni mężczyzna, po piętnastoletnim, zażyłym stosunku: z naturalnością i wdzięcznością, tylko z lekkim podkładem woli, która zawsze rozkazuje.

Potem następują nieskończone rachunki: pisze, że każe jej posyłać trzy miliony rocznie, ale garnitur rubinowy zapłaci osobno, „będzie mnie pewnie kosztował 400 000 franków, ale każe go przedtem ocenić, bo nie chcę się dać oszukiwać jubilerom... W szafie w Malmaison powinnaś znaleźć jeszcze 5—600 000 franków, które możesz wziąć, by uzupełnić swe srebra i bieliznę. Zamówiłem dla ciebie bardzo piękny serwis porcelanowy, ale naprzód zasięgnę twych rozkazów, by rzecz wypadła jak najpiękniej... Paż, który cię widział

NAPOLEON

dziś rano, rzekł, że widział cię płaczącą. Będę jadł obiad sam... Czy istotnie straciłaś całą odwagę życiową, odkąd bawisz w Malmaison? A jednak zamek ten był świadkiem naszego szczęścia i naszych uczuć, które nigdy nie zmieniają się i zmienić nie mogą, przynajmniej z mojej strony... Chętniebym cię odwiedził, ale muszę wpiery wiedzieć, czy jesteś silna, nie słaba. Jestem też nieco słaby i cierpię bardzo. Bądź zdrowa, Józefino, dobrej nocy.“

Miękki ton ozwał się w nim znowu; zdawałoby się, że namiętne listy wodza z Medjolanu do niewiernej w Paryżu przełożono w mol i tę samą melodję, którą wówczas grała cała orkiestra jego zmysłów, powtarza teraz wiolonczela, śpiewająca w chłodnych salach Tuilerjów.

Wkrótce potem na balu maskowym u wielkiego kanclerza jakieś zielone domino bierze pod ramię i odprowadza na bok księżnę Metternich, żonę dawnego posła wiedeńskiego na dworze paryskim. Wiadomo kto to, bo jeśli Napoleona niezamaskowanego nikt nie zna do gruntu, zamaskowanego pozna każdy: tragikomedja geniusza na świecie. Po kilku żartach on pyta ją, czy nie sądzi, by która z arcyksiężniczek przyjęła jego rękę.

— Nie wiem, Sire.

„Czy pani na miejscu arcyksiężniczki przyjęłaby moją rękę?“

— Odmówiłabym jej stanowczo! mówi, śmiejąc się Wiedenska.

„Pani jest złośliwa, proszę napisać do swego małżonka, co myśli o tej sprawie.“

— Należałoby zapytać o to księcia Schwarzenberga, Sire, przecież on teraz jest posłem.

Tym wspaniałym nawrotem do natury rewolucji, jedną z swych improwizacyj, zaczyna Napoleon swe zaloty po rozwodzie. Tego samego wieczora daje zlecenie Eugenjuszowi, który nazajutrz rano udaje się z zapytaniem do posła; nikt z Habsburgów nie pojmuje szybkości i prostoty takich posunięć, dla cesarza są one naturalne. Car milczy, Wiedeń, pokonany w czterech wojnach, musi być wreszcie uspokojony: cóż w gruncie rzeczy bliższego nad to rozwiązanie? Pocóż się rozwodzić, jeśli nie czyni się natychmiast wszystkiego, by osiągnąć rzecz nieosiągalną? Jego wołanie o dziecko stanie się wnet śmieszne.

Znowu budzi się korsykańskie poczucie rodzinne. On, który nigdy prawie nie odbywa narady wojennej, zwołuje przed rozwodem i przed małżeństwem radę familijną. Jak przed sześciu tygodniami, siedzi rodzina przy owalnym stole, wszyscy dostojnicy są obecni, wszyscy czują zakłopotanie, jak opowiada świadek. Cesarz oznajmia, że pragnie potomka, poczem następuje pytanie:

„Gdybym mógł posłuchać swego osobistego uczucia, to z koła legii honorowej wybrałbym z pośród córek bohaterów Francji najgodniejszą i dałbym ją Francuzom za cesarzową. Ale trzeba dostosować się do obyczajów swego wieku, do zwyczaju innych państw, do zadań polityki. Niektórzy suwereni szukali przymierza ze mną i mniemam, że niema obecnie żadnego, któremubym związku tego nie mógł ofiarować. Trzy domy wchodzą w grę: Austria, Rosja, Saksonja. Proszę o zdanie.“

Tak to klątwa prawowitości miesza się znów w sprawy gwałtownego dyktatora: o skałę tę on się rozbije. Czemuż nie Walewska, którą kocha? A jeśli to ma być Francuzka, to czemuż nie jedna z tych bohaterskich córek, których ojcom darowywał królestwa? Czyż poto wstrząsnął budową starego świata, własną ręką włożył sobie na czoło dwie korony, urodzonym królom kazał czekać w przedpokojach, jednego przepędził i syna karczmarza osadził na jego tronie, — aby dziś, rozłączywszy się ze zużytą i kochaną przyjaciółką w poszukiwaniu dziedzica, „dostosowywać się do obyczajów swego wieku,“ które przełamał, jak półbóg?

Ale o wszystkim tem niema mowy w tych zimnych komnatach cesarskich: wszyscy tu są zarażeni, gdyż wszyscy są przeciwni Francuzce. Eugenjusz i Talleyrand są za Augtrją, Murat ostrzega przed nią, gdyż Marja-Antonina przyniosła krajowi nieszczęście, niektórzy są za Rosją, za Saksonją. Cesarz wysłuchuje wszystkich, zamyka posiedzenie i czyni to, co przedtem postanowił, posyła jeszcze tego samego wieczora do Wiednia. Tylko jeden z ministrów w tem kole patrzył jasno, przemawiając usilnie za Rosją, ale wyrazić powód poważyl się tylko prywatnie: „W przeciągu dwóch lat będziemy z pewnością prowadzili wojnę z tą z obu mo-

NAPOLEON

narchij, z której rodziną cesarz nie spokrewni się przez małżeństwo, a wojna ta tylko z Austrią nie jest niebezpieczna“.

Petersburgowi każe cesarz powiedzieć, że kazano mu długo czekać, i że pop w Tuilerjach byłby niewygodny, wreszcie, że dowiedział się, „iż piętnastoletnia wielka księżna Anna nie jest jeszcze dorosłą kobietą. Ponieważ zaś zdarza się, że u młodych dziewcząt od pierwszych oznak dojrzałości do jej pełni mija okres dwuletni, więc rzeczą sprzeczną z zamiarami cesarza byłoby żyć jeszcze trzy lata bezdzietnie w małżeństwie.“ Tym ginekologicznym ustępem kończą się rosyjskie zalety, rozpoczęte melancholijnym występem w Erfurcie.

U Habsburgów natomiast było zawsze dużo dzieci, płodność była, rzecz można, zagwarantowana. Dowiedziawszy się, że matka wybranej urodziła 13, a jej babki 17, a nawet 26 dzieci, cesarz woła: „Właśnie macicy trzeba mi do małżeństwa!“ Zgoda Franciszka była niewątpliwa, tak samo, jak przyzwolenie osiemnastolatki. Oto nadchodzi już pierwszy Ust, przez cesarza własnoręcznie, mimo to miejscami czytelnie, napisany w asystencji Ménévala i z większym trudem, niżby jej szkolnemu charakterowa pisma wydawać się mogło.

„Droga kuzynko! Świetne zalety, które odznaczają osobę Twoją, zbudziły we mnie pragnienie służenia ci i uczczenia ciebie. Zwracając prośbę do cesarza, ojca pani, by powierzył nam szczęście Waszej Cesarskiej Wysokości: możemy żywić nadzieję, że przyjmiesz łaskawie uczucia, które skłaniają nas do tego kroku? Możemy pochlebiać sobie, że zdecydujesz się na ten krok nie tylko z obowiązku i posłuszeństwa dziecięcego?... Jeśli Wasza Cesarska Wysokość żywi dla nas choć ślad skłonności, będziemy uczucie to pielęgnowali starannie i weźmiemy sobie za najwyższe zadanie być W. C. Wysokości zawsze i we wszystkim mili, abyśmy kiedyś mogli czuć się szczęśliwi, że zdobyliśmy całą jej miłość...“

Czy wielki duch nagryzmolił kiedykolwiek śmieszniejsze pismo? Wie, że ona weźmie go conajwyżej przez dziecięce posłuszeństwo i nie posiada śladu uczucia dla tego djabła, który od jej lat dziecinnych zabierał jej ojcu prowincję po prowincji, tak, że na sam dźwięk jego imienia czyniła znak krzyża. Wie, że ma zupełnie inne najwyższe zadanie, jak być miłym gąscc, której nie odznacza żadna zaleta prócz szczęścia, że

posiada krew habsburską, — która nie jest ani ładna czy mądra, ani odważna czy namiętna, — a jednak dwuznaczność stanowiska popycha dziś jego, Napoleona, który nigdy o nic nie prosił, do takiego pisma!

Z sułtańskim gestem daje dziewczosłębowi, przyjacielowi Berthier, który ma zastępować go w Wiedniu, dla narzeczonej portret swój w diamentowych ramach, nadto garnitur wartości 1/2 miliona. Przy formalnym jednak ślubie w Burgu zastępuje go wuj narzeczonej, arcyksiążę Karol, którego pobił w tuzinie bitew.

Cesarz tymczasem zajęty jest bardziej urządzeniem, niż sprawami państwowymi, wybiera meble i materjały, każe sporządzić jej wryprawę za pięć milionów, gdy ona sama wnosi tylko pół miliona, studjuje dokładnie podróż Marji-Antoniny, by przez uchybienie etykietce nie sprawić przypadkiem Habsburgom złośliwej radości, każe krawcowi robić modne fraki, szewcowi trzewiki z klamrami, poluje, jeździ konno, aby schudnąć, ba, uczy się nanowo tańczyć.

Ona w podróży próżno stara się odczytać czułe pismo zaręczynowe, które wyjaśnia tylko wielkie N na końcu, codzień oczekują ją kwiaty, rano w Compiègne ma zobaczyć na własne oczy straszego człowieka, który czeka tam na nią z całą rodziną.

Ale nagle z świeżą siłą młodości przebija się przez tę gęstwinę przestarzałych form silna wola, ognista niecierpliwość rewolucjonisty: cesarz siada z Muratem do kolasy bez herbu, zdejmuje haftowany frak, wkłada stary uniform, wyjeżdża na przeciw orszaku ślubnego. Ten przybywa, w ulewnym deszczu zmieniają konie. Cesarz chce zaskoczyć narzeczoną, poznaje go jednak koniuszy, otwiera drzwiczki powozu: „Jego Cesarska Mość!“ I oto Napoleon siedzi już obok niej w powozie, żegna damę dworu, całuje narzeczoną i śmieje się, bo jest przemoczony do nitki. Ale ona mówi w zakłopotaniu ładne zdanie: „Portret pana, sire, nie jest pochlebiony.“

— Nie jest ładna, myśli on, gdyż ma ślady po ospie, grube wargi, wodnisto-niebieskie oczy, jest piersista jak na swoje lata, jednak świeża i młoda.

Mistrzowie ceremonji widzą wieczorem z przerażeniem, że cały ich, tygodniami próbowany program jest zburzony,

NAPOLEON

następuje powitanie rodziny cesarskiej, każdy robi, co mu się podoba, kwiaciarki muszą skrócić swe powinszowania, bo wszyscy są zmokli i zziębnięci, improwizuje się kolację samotrzeć z Karoliną. O pierwszej w nocy wszyscy w Compiègne kładą się spać. Ale tymczasem cesarz wziął na bok wujkardynała i zadaje mu pytanie doktorskie: czy Marja Ludwika przez ślub wiedeński nie jest już jego żoną. „Tak, Sire, wedle prawa cywilnego,“ odpowiada, przeczuwając rzecz, kapłan.

Nazajutrz rano każe cesarz wspólne śniadanie przynieść do łóżka cesarzowej. Po godzinie wiedzą o tem wszyscy.

Tym nocnym improwizowanym atakiem zwyciężył Napoleon świat prawowity tak samo, jak w polu, wziął twierdzę habsburską szturmem, jak przystało zdobywcy.

Z złośliwą dwuznacznością pisze nazajutrz nic nie przeczuwającemu teściowi: „Ona spełnia wszystkie moje nadzieje i nie przestajemy dawać sobie wzajemnie dowodów tkliwych uczuć... Pozwól pan tedy podziękować sobie za piękny podarek.“ Dopiero po świetnym wjeździe do Paryża wuj daje im ślub. Co do Józefiny spóźnił się z błogostawieństwem o osiem lat, teraz o czternaście dni.

Cesarz zachwycą się nią. „Żeńcie się z Niemkami, mówią do zaufanych, są łagodne, dobre, niezepsute i świeże, jak róża.“ Jest jej wdzięczny, że zgadza się z jego rodziną. „Spokój w domu“ jest dlań nowością. Wyraża zdanie swe przy tualecie, szczypie ją w policzki, nazywa swem dobrem zwierzątkiem.

Po kilku tygodniach nadchodzi wiadomość z Polski: dziecko z czasów szenbrunskich urodziło się, jest to chłopiec. Dziwne uczucia krzyżują się w jego wnętrzu: z tego właśnie zamku, który zamieszkiwał zawsze bez gospodarza, wziął sobie żonę, która oczywiście nawet nie wygląda jeszcze na to, by miała spełnić swe zadanie. Cesarz waha się, wzywa Polkę do Paryża. Ale wnet potem i Marja Ludwika poczuwa się matką. Cesarz „żyje w trudnej do opisanego radości,“ pisze Metternich do Wiednia. Cięża cesarzowej zostaje w swych początkach uroczyście podana do wiadomości senatu i ludu, nakazane są modły za następcę tronu, obchodzi się święto radości, jak za czasów pogańskich.

RZEKA

Gdy przyjeżdża piękna Walewska, on daje jej wszystko, o czymby mogła zamarzyć, widuje i pieści dziecko, mianuje je hrabią, daje mu kanclerza za opiekuna, ale nic pozatem nie łączy kochanków: Napoleon jest mieszczańskim małżonkiem.

I kiedy historia jego życia pod każdym względem zdaje się rozlewać w bezgraniczność, tak, że ledwo widać horyzonty, powstają i między kobietami, które stanęły na jego drodze, nowe stosunki. Polka, której niegdyś chętnie Józefina wydrapałaby oczy, jest zaproszona przez nią do Malmaison, przywozi jej Napoleonowe dziecko, którego brak rozstrzygnął o tamtej losie, i wiedzą zaufani, co za grupa przesiaduje na tarasie: dwie kobiety, jedna posiwiata, która urodziła się w Indjach Zachodnich, potem siedziała w więzieniu i na tronie cesarskim Francji, druga kwitnąca, wychowana na zubożałym zamku w Polsce, wydana za bogatego starca, potem wskutek przypadkowej bytności na balu wyrwana z swej kolei, — a między nimi obiema dziecko człowieka, który obie kochał i porzucił, by małą głupią Habsburżankę zmusić do uwiecznienia dawno już przez niego samego uwiecznionego nazwiska.

Lecz gdy nadchodzi godzina cesarzowej, czeka go jeszcze decyzja wielka, jak przeznaczenie. Paryż i Francja wiedzą, że młoda kobieta leży w bólach porodu i wszyscy oczekują dziedzica, nieprzyjaciele boją się go, zanim się zrodził, lud, w takich chwilach nastrojony zawsze dynastycznie, modli się za matkę i dziecko. Całą noc czuwał Napoleon przy łożu żony, teraz usuwa się. Wtem wchodzi lekarz z przytłumionymi słowami: dziecko źle leży, niebezpieczeństwo życia dla matki i dziecka!

Cesarz widzi, że cały gmach jego planu dynastycznego chwieje się. Czyż mąż z żelaza, którego lekarz zapytuje, zanim się wda w sprawę, nie każe przedewszystkiem ratować dziecka, na którego pierwsze tchnienie czekają z nim miliony? Kim jest Marja Ludwika? Gdy urodzi mu zdrowego chłopca, doczesne zadanie jej skończone. Czy cesarz może rozstrzygnąć inaczej?

„Postap pan zupełnie tak, jakbyś rozwiązywał mieszczkę! Ratuj przedewszystkiem matkę!“

NAPOLEON

Po upływie dwóch godzin uratowani są oboje. Z najwyższym napięciem słucha Paryż strzałów: 19, 20, 21, aż dotąd są oznajmieniem księżniczki. Dopiero gdy huknął 22-gi, przejmuje całe miasto gorączka radości. I kiedy okrzyki Indu, przerywane hukami strzałów, odbijają się o stary zamek Bourbonów, mały porucznik artylerji stoi przy oknie i mechanicznie wedle strzałów oblicza kaliber dział, patrzy na zmienny tłum w dole i myślą sięga daleko wstecz i jeszcze dalej wprzód.

Pokojowiec widział w tej chwili zimne, szaro-niebieskie oczy w łzach.